

Autor błyskotliwych thrillerów naładowanych akcją

STEPHEN SOLOMITA

CZAS
CHWAŁY


AMBER

**STEPHEN
SOLOMITA**

THRILLER

**CZAS
CHWAŁY**

Stephen Solomita urodził się i wychował w Nowym Jorku, gdzie przez 12 lat pracował jako kierowca taksówki. Zdobyte w tym zawodzie doświadczenie życiowe zaprezentował, gdy zaczął pisać powieści kryminalne. Wszystkie jego książki błyskawicznie zdobyły uznanie czytelników, jeden z krytyków określił obrazowo jego powieści jako „thrillery naładowane akcją”. Stephen Solomita napisał ich dotąd sześć. *Czas chwały* (1994) to fascynująca opowieść o niewinnym przestępcy i nieuczciwych szanowanych obywatelach. Stephen Solomita obecnie mieszka i pracuje w Pocono Summit, w stanie Pensylwania.

Znany adwokat Maxwell Steinberg podejmuje się udowodnienia niewinności upośledzonego bezdomnego Billy'ego Sowell, skazanego przed dwoma laty za zabójstwo kobiety. Okazuje się, że Billy ma żelazne alibi, a za zbrodnią kryją się wpływowi ludzie, którzy nie chcą dopuścić do rewizji procesu...


SENSACJA

Cena det. zł 12.80 (128 000)

ISBN 83-7082-966-X

STEPHEN
SOLOMITA

CZAS
CHWAŁY

Przełożył

WOJCIECH NIEMCZAK



Tytuł oryginału LAST CHANCE FOR GLORY

Ilustracja na okładce

COLIN THOMAS

Redakcja merytoryczna

EWA RYBARSKA

Redakcja techniczna

ANDRZEJ WITKOWSKI

Korekta

DOBIEŚŁAW KUBACKI

Copyright © 1994 by Stephen Solomita

Copyright © 1995 by Wydawnictwo Amber Sp, z o.o.

ISBN 83-7082-966-X

Wydawnictwo Amber Sp, z o.o.

Warszawa 1995.

Wydanie I

Druk: Opolskie Zakłady Graficzne

Pragnę podziękować swemu wieloletniemu przyjacielowi, doktorowi Alanowi Bindigerowi. Po głębszym zastanowieniu nie przypominam sobie, bym kiedykolwiek zdołał ukończyć książkę bez skonsultowania z nim choćby jednego szczegółu. Za każdym razem podejmował mnie z cierpliwością, wyrozumiałością oraz ciekawością. Moim zdaniem cechy te stanowią wyjątkowe połączenie.

Wszystkie opisane postaci i wydarzenia są wytworem wyobraźni autora i nie pozostają w związku z rzeczywistością. Wszelkie ewentualne podobieństwa są czysto przypadkowe.

Część pierwsza

Prolog

27 listopada, 2.48

Skowyt rozpoczyna się od pojedynczej nuty w górnym zakresie kontraltu. Przez pewien czas trzyma się jednego tonu, a następnie powoli wznosi się poprzez kolejne oktawy, by w końcu wyjść poza zakres słyszalności ludzkiego ucha. Melody Mitchell próbuje wmówić sobie, że to jedynie część snu, porównuje go do odległej syreny przerywającej ciszę opustoszałej ulicy. Wyobraża sobie pędzącą na wezwanie karetkę, mokre ulice oraz czerwono-niebieskie odbłaski na skropionym deszczem asfalcie.

Nic jednak nie pomaga. Jak zwykle. Ponownie rozlega się ten sam dźwięk, jego ton podnosi się i przeistacza w lekki pomruk, podczas gdy kołdra przykrywająca leżącą kobietę zaczyna zsuwać się z jej pleców.

Choć jeszcze nie całkiem rozbudzona, wciąż na granicy między jawą a snem, Melody Mitchell podnosząc z poduszki głowę, nie dziwi się, napotykając wzrokiem parę wpatrzonych w nią szklisto-brązowych oczu.

— Roscoe, ty mnie kiedyś wpędzisz do grobu. Taki będzie koniec — mamrocze.

Roscoe, bynajmniej niezrażony, przestaje skowyczeć, zaczyna tańczyć z radości i głośno poszczekiwać.

Co za los, myśli Melody. Kobiety w moim wieku mają zazwyczaj męża, dzieci; ja natomiast mam starego dobermana ze słabym pęcherzem.

Okrywa się długim, ciepłym płaszczem, na bose nogi wkłada zimowe buty, a następnie przypina smycz do psiej obroży.

— Roscoe — powtarza — ty mnie kiedyś wpędzisz do grobu. Bez wątpienia. I nie patrz na mnie w taki sposób. Powinnam cię wymienić na suczkę. One przynajmniej potrafią załatwić się w jednym miejscu. Nie muszą obsikiwać każdej latarni w okolicy.

Wychodząc na parterze z windy, spotyka Petię, który zdążył już otworzyć dla niej drzwi. Wśród mieszkańców Gramercy Park North 551 krąży plotka, że Petia, zamiast strzec budynku przed nowojorskimi złodziejami, spędza noce gdzieś indziej. Jeśli to prawda, Melody na pewno kiedyś go przyłapie.

— Późno, panno Mitchell. Myślałem, że choć raz uda mu się wytrzymać do rana.

— Niestety nie. Jak jest na zewnątrz?

— Zimno. Nadchodzi zima.

Poorana twarz Rosjanina przybiera wyraz zrezygnowania połączonego z męczeństwem niczym u spętanego świętego stojącego na stosie, który czuje już gryzący dym tłącego się pod nim drewna.

— Wspaniale.

Melody, ciągnięta przez zdesperowanego Roscoe, idzie w kierunku najbliższego krawężnika. Powiew wiatru sprawia, że jej oczy zaczynają łzawić.

— Roscoe, proszę, postaraj się, żeby nie zajęło ci to całej nocy. Dziś jest okropnie zimno.

Jakby rozumiejąc prośbę, pies podnosi łapę do góry, a następnie zamiera w bezruchu. Z głębi klatki piersiowej zwierzęcia niespodziewanie wydobywa się warkot. Melody spogląda na Roscoe, po czym przesuwa wzrok w ślad za spojrzeniem dobermana. W pobliżu wypolerowanego mercedesa dostrzega człowieka ubranego w ciemny, długi płaszcz. Mężczyzna odwraca się, przez chwilę patrzy w jej stronę i w końcu odchodzi.

— Spokój Roscoe. Nic się nie stało. Po prostu ktoś parkuje samochód.

Roscoe, sprawiając wrażenie, że podziela zdanie swojej pani, na nowo obsikuje zderzak rdzewiejącej toyoty.

Idąc wzdłuż zaparkowanych samochodów, Roscoe co chwila przystaje, by powąchać chodnik. Melody, która do tej pory zdążyła się już rozbudzić, zaczyna niecierpliwie się z powodu przemarzniętych stóp.

— Jeszcze raz i wracamy — zwraca się do psa, który zbliża się właśnie do stojącego mercedesa. Rzucając okiem na samochód, podobnie jak każdy nowojorczyk, zastanawia się, czy mężczyzna, którego widziała, był złodziejem.

Mało prawdopodobne, myśli. Był zbyt elegancko ubrany, jak na kogoś, kto miałby połaścić się na radio czy nawet na cały samochód.

Bursztynowo-beżowe światło latarni zacierza kontrast między światłem i cieniem. Mimo to Melody wystarcza tylko jedno spojrzenie, by mieć pewność, że na siedzeniu leży zakrwawione ciało nagiej kobiety.

4-53

Melody Mitchell siedzi przed telewizorem, walcząc z ogarniającą ją sennością. Na brzegu stolika znajduje się kubek z fusami po wypitej kawie. Ogląda powtórkę wczorajszego odcinka ulubionego serialu, nie rozumie jednak ani słowa, myśląc tylko o pójściu do łóżka.

— Nareszcie — woła zdenerwowana, gdy w końcu rozlega się dzwonek do drzwi. To nie w jej stylu. Takie zachowanie nie przystoi czterdziestoosmioletniej Amerykance, wychowawce najbardziej renomowanych nowojorskich szkół. Niemniej jednak nie każdego dnia zdarza się, że jakiś glina o krótkiej szyi, w tanim garniturze zabrania człowiekowi położyć się spać.

— Mam jeszcze parę pytań, ale wpiery chciałbym rzucić okiem na ciało, zanim zabiorą je ci z patologii — brzmiały słowa wypowiedziane przez policjanta o płaskiej twarzy, z dużym nosem, o włosach tak miękkich, że choć nie miały więcej niż dwa centymetry, gładko przylegały do kanciastej czaszki. Nazywał się Kosinski.

— Rozmawiałam już z detektywem Branniganem. Nie sądzę, bym miała coś do dodania — odpowiedziała spokojnie.

— Pozwoli pani, że sam to osądzę, panno... — zerknął do notatnika — ...Mitchell. Mamy tu do czynienia z morderstwem. Rozumie pani? Chce nam pani pomóc, prawda?

Otwierając drzwi, Melody napotyka wzrokiem wpatrzone w nią małe, niebieskie oczka detektywa Kosinskiego. Tuż za nim stoi Brannigan.

— Dziękujemy za cierpliwość.

Kosinski wkracza do pokoju i siada na sofie. Brannigan wzrusza ramionami, uśmiecha się pod nosem, po czym rusza za kolegą.

— Proszę się nie kłopotać z kawą — odzywa się Kosinski. — To nie potrwa długo — uśmiecha się w kierunku partnera. — Od razu do rzeczy, zgadza się?

— Tak jest, sierzancie — odpowiada Brannigan, potrząsając grzywką kłębiącą się nad jego niebieskimi oczami i niewielkim nosem. Poniżej na moment pojawiają się dwie niemal pionowe zmarszczki biegnące od nosa ku kącikom ust. Uśmiech ożywia pozbawioną zazwyczaj wyrazu twarz Brannigana.

— Proszę zacząć od samego początku — żąda Kosinski. — Co robiła pani na ulicy o wpół do trzeciej nad ranem? Co pani zobaczyła? W jaki sposób? I tak dalej.

Melody Mitchell chrząka, próbując opanować narastający w niej gniew. Traktują mnie jak przestępcę, mówi do siebie w myślach.

— Podałam już wszystkie te informacje detektywowi Branniganowi.

— Tak, ale być może zapomniała pani o czymś. Muszę usłyszeć wszystko osobiście.

— Osobiście?

— Zgadza się.

Melody zastanawia się, czyjej uszczypliwość chybiła celu, czy też po prostu odbiła się od zakutego łba Kosinskiego, nie wywołując najdrobniejszej reakcji. W końcu postanawia spełnić żądanie policjanta. Może tylko odpowiedzieć na pytania lub odmówić wszelkiej współpracy, co jest nie do pomyślenia. Popełniono przecież zbrodnię — zamordowano, a wcześniej zapewne zgwałcono kobietę. W żyłach Melody płynie krew przodków z czasów, gdy Nowy Jork należał do Holendrów. Dziedzictwo to nie pozwala na zaniedbanie jednego z najświętszych obowiązków obywatelskich.

Kolejny raz opowiada wszystko od samego początku — o starzejącym się psie, Petii w hallu wejściowym, niepokoju dobermana, człowieku przy mercedesie, krwi i w końcu o martwej kobiecie.

— To był mężczyzna średniego wzrostu lub może nieco wyższy. Zbudowany także przeciętnie. Miał gęste, ciemne włosy i rzęsy, podobnie jak detektyw Brannigan. Nosił ciemny, zapewne drogi płaszcz. Niebieski, czarny albo brązowy. Nie potrafię opisać go dokładniej, wiem tylko, że ciemny.

— A mężczyzna był biały, czarny, może Mulat?

— Biały.

— Co robił w pobliżu samochodu?

— Nie zauważyłam niczego szczególnego. Po prostu tam stał, a następnie spojrzął na mnie.

— Nie trzymał w ręku kluczyków?

— Nie przypominam sobie.

— A może nóż?

— Nie pamiętam żadnego noża.

— Drzwi nie były otwarte?

— Nie. Tego jestem najzupełniej pewna. Przez chwilę popatrzył na mnie, po czym oddalił się. Gdyby zamykał drzwi, usłyszałabym i na pewno bym nie zapomniała.

— Jak długo na panią patrzył?

— Tylko przez chwilę. Nie wiem.

— Proszę spróbować.

— Pięć sekund? Nie jestem pewna.

— A więc mogło to trwać dziesięć do piętnastu sekund.

— Tak przypuszczam.

— I mógł trzymać w dłoni kluczyki do samochodu?

— Możliwe. Nie przyglądałam się jego dłoniom.

— Czy rozpoznałaby go pani, gdyby ponownie go zobaczyła?

— Nie sądzę.

— Ależ panno Mitchell. Przyglądała mu się pani przez piętnaście sekund. Niech się pani postara sobie przypomnieć.

— Staram się, sierzancie. I wypraszam sobie pańskie sugestie, że tak nie jest.

Melody przypatruje się, jak Kosinski i Brannigan wymieniają między sobą spojrzenia. Męski szowinizm, przychodzi jej na myśl.

— Proszę się nie czuć urażoną — odzywa się Kosinski, odwracając się ponownie w jej stronę. Jego łagodny głos zdaje się zapewniać, że on nie czułby się urażony. — Widzi pani, że świadkami zawsze jest jednakowo. Pamiętają znacznie więcej, niż im się wydaje. Problem polega tylko na znalezieniu odpowiedniej drogi, by dotrzeć do istotnych informacji. Byłoby najlepiej, gdyby przyszła pani jutro na posterunek i obejrzała kilka zdjęć. Przygotujemy portret pamięciowy. W tym czasie ja spróbuję pomóc pani w przypomnieniu sobie wyglądu mordercy. Niech pani postara się zapamiętać każdy najdrobniejszy szczegół, jaki przyjdzie pani do głowy. Jeśli się człowiek naprawdę przyłoży, rezultaty mogą przekroczyć najśmielsze oczekiwania. Proszę mi wierzyć, znam się na tym.

30 listopada, 23.15

— Nie podoba mi się ta sprawa, Tommy — Bell Kosinski zwraca się do swojego partnera. — Ani trochę, do cholery. Nie cierpię pieprzonego Queens. Nienawidzę też pieprzonych parkingów w Queens. No i nie lubię, gdy jakiś cholerny kapitan wysłał mnie na taki parking. Rozejrzyj się tylko. W promieniu pięciu mil nie spotkasz tu żadnego białego. Więc po co siedzimy w zaparkowanym samochodzie

ze zgaszonymi światłami? — milknie na chwilę, a następnie sam odpowiada na pytanie. — Wiesz, wszystko to wygląda mi — a mam spore doświadczenie — na zasadzkę. Może to robota wydziału spraw wewnętrznych — palcami przeczesuje włosy. — Brakuje mi zaledwie dwóch lat do emerytury. Nie potrzebuję teraz żadnego smrodu.

Tommy Brannigan najchętniej powiedziałby swojemu partnerowi, by przestał zachowywać się jak dupek. Kiedy ktoś oferuje klucz do nierozwiązanej sprawy zabójstwa — nazwisko przestępcy, na miłość boską — nie zastanawiasz się, czy warto całować go w dupę. Na dodatek, gdy ten ktoś jest kapitanem, który może pomóc na sto różnych sposobów, nie przestajesz całować, mimo że omdlewają ci usta. Pod żadnym pozorem jednak nie wolno narzekać. Powinieneś tylko pamiętać, by podziękować Wszechmogącemu w wieczornym paciorku.

Mimo wszystko, nie należy zapominać, że Tom Brannigan, policjant z dziada pradziada, zawsze postrzegał Nowojorski Departament Policji jako Ziemię Obiecana. Bierz, co ci się nawinie pod rękę, uszczęśliwiał zwierzchników i pilnuj swoich interesów. W tym przypadku interesem Tommy'ego Brannigana było przeniesienie z wydziału zabójstw. Tutaj nie dawało się zarobić rozsądnych pieniędzy. Tak jak niektórzy mężczyźni zamykając oczy, wyobrażają sobie gwiazdy filmowe rozbierające się przed nimi, tak Brannigan marzył o wydziale narkotyków czy obyczajówce.

Dlatego zamiast odezwać się, Tommy Brannigan chrząka i dalej w milczeniu wygląda przez okno. Pamięta, że Bell Kosinski przewyższa go rangą, a poza tym jest już jedynie wrakiem, nałogowym pijakiem, któremu nie należy ubliżać ani grozić, lecz znosić cierpliwie do czasu znalezienia sobie nowego partnera.

Dziesięć minut później nadjeżdża rozlatujący się Chevrolet sedan i zatrzymuje się od strony Brannigana. Siedzący za kierownicą łysy mężczyzna w średnim wieku pokazuje odznakę, a następnie przedstawia się.

— Aloysius Grogan.

Brannigan dostrzega siedzącego obok kapitana Murzyna. Jego zniszczona czapka zaczyna się pruć. Strzępki wełny wiszą wokół niewielkich uszu mężczyzny.

— Słuchamy, panie kapitanie. Co się stało?

— Siadajcie na tył. Załatwimy to szybko i po cichu.

Kosinski i Brannigan wykonują polecenie. Kurcząc się z powodu panującego na zewnątrz zimna, próbują rzucić okiem na twarz czarnego mężczyzny, zanim wsiądą na tył samochodu i zatrzasną za sobą drzwi.

— W porządku — zaczyna Grogan — to jest Mack. Zamierza przekazać wam pewną informację. Nie będzie świadkiem. Nie chce zeznawać. Nigdy więcej już go nie zobaczycie. Jest informatorem, z którym pracuję nad większą sprawą. Zrozumiano?

— Tak, pewnie — głos Kosinskiego zdradza zarówno znudzenie, jak i pogardę.

— Przekazuję wam pałeczkę. Co zrobicie, zależy tylko od was. Gdyby nie chodziło tu o zabójstwo, mój człowiek w ogóle by z wami nie rozmawiał. Zrozumiano?

— Tak jest, panie kapitanie — odpowiada pospiesznie Brannigan. — Proszę nie myśleć, że nie doceniamy pańskiej przysługi. Jesteśmy w ślepej uliczce — Brannigan wie, że nie mówi całej prawdy. Choć nie znaleźli jeszcze zabójcy Sondry Tillson, sprawa posuwa się do przodu. Obecnie ich uwaga skupia się przede wszystkim na mężu ofiary, Johanie. Mimo że Johan Tillson ma żelazne alibi, z całą pewnością ukrywa jakiś szczegół dotyczący jego żony. Brannigan nie ma wątpliwości, że chodzi o kochanka.

— Dobrze, skoro już wszystko sobie wyjaśniliśmy, Mack powtórz im to, co mi powiedziałeś.

Mack mówi odwrócony plecami do obu detektywów. Nosi postrzępioną, wełnianą kurtkę, która doskonale pasuje mu do czapki. Smród od niego z łatwością dociera do siedzącego z tyłu Brannigana.

— Słuchajcie, przekazuję wam to, co powiedział mi Billy Sowell. Nikt inny mi o tym nie mówił, tylko on sam. Piliśmy nad rzeką, tak jak zwykle, rozmawiając o wszystkim i o niczym. Również jak zwykle. Opowiadałem mu o jednym kolesiu, którego znaleziono w rzece. Mówiłem mu, jak wykombinowałem, że najpierw go załatwili, a później wrzucili do rzeki. I wtedy Billy zaczął opowiadać, jak zabił tę dziwkę w pobliżu Gramercy Park, tego, który ma zamykaną bramę. Mówię mu: „Nabijasz się ze mnie”, a on na to: „Nie stary, zrobiłem to. Zabiłem tę sukę. Nie chciała się ze mną pieprzyć, więc ją zabiłem”. Kiedy ja mu nadal nie wierzyłem, pokazał mi ten swój długi nóż. Człowieku, był wielki jak skurwysyn. Jak jakiś miecz. I wtedy mówi mi: „Zadźgałem ją tym właśnie nożem i teraz muszę się go pozbyć”.

Brannigan odwracając się widzi, że jego partner wygląda przez okno.

— Czy Billy Sowell ma jakiś adres?

— Mieszka nad rzeką niedaleko dwudziestej trzeciej wschodniej. W skrzyni.

— W skrzyni?

— Jesteśmy bezdomni, panie oficerze.

— Czy powiedział ci coś jeszcze?

— Nie, proszę pana. Widzi pan, najpierw myślałem, że to tylko pijacki bełkot. Billy nie jest zbyt bystry, wie pan, jest niedorozwinięty, więc nie zastanawiałem się nad tym za dużo, dopóki nie zacząłem się dopytywać i dopóki nie usłyszałem o tej suce, którą zabito w pobliżu Gramercy Park. Zadźgana nożem, tak jak mówił Billy. Wtedy pomyślałem sobie, że może rzeczywiście to zrobił i powiedziałem panu oficerowi.

Po powrocie do własnego samochodu Brannigan zapala silnik i włącza ogrzewanie, podczas gdy jego partner wyciąga małą fłaszeczkę.

— Moim zdaniem — stwierdza Kosinski — to wszystko bzdury. Kompletnie brednie.

Brannigan czuje, jak krew uderza mu do głowy.

- Nie chcesz tego sprawdzić?
- Nie Tommy, nie zamierzam sprawdzać gadki jakiegoś pijaczka, który śmierdzi jakby spał we własnych szczynach, o innym, podobnym do niego osobniku. Większa sprawa? Kapitan twierdzi, że razem z tym śmieciem pracuje nad jakąś większą sprawą? Gówno prawda, Tommy. W przypadku tego obdartusa większa sprawa jest wtedy, gdy jakiś litościwy obywatel rzuci mu pięćdziesiąt centów zamiast dziesiątaka.
- Bella, mamy przecież świadka. Dlaczego nie mielibyśmy pokazać jej zdjęcia Billy'ego Sowell'a?
- Dlaczego? Ponieważ Melody Mitchell nie jest w stanie zidentyfikować sprawcy. Nawet jeżeli w ogóle miała okazję mu się przyjrzeć, w co osobiście wątpię. Zeznała, iż morderca miał na sobie drogi płaszcz. Nie pasuje to zbyt do jakiegoś bezdomnego. Wreszcie to, że Billy Sowell pojawił się na scenie, nie czyni z niego od razu przestępcy. Poza tym mam sześć dni wolnego i zamierzam cieszyć się każdą minutą odpoczynku. Jeśli chcesz sam pobawić się w detektywa, proszę bardzo.

11 grudnia, 10.15

Billy Sowell, wychodząc ze swej skrzyni, uśmiecha się na widok policjanta. Zawsze tak robi, gdy czuje się zmieszany lub zagrożony, choć praktycznie nie różni tych dwóch stanów.

- Cześć, Billy.
- Wysoki glina przykuca i też się uśmiecha.
- Cześć.
 - Jak leci?
 - W porządku.
 - Nazywam się detektyw Brannigan. Czy chcesz, żebym pokazał ci moją odznakę?
 - Nie, wierzę panu.
 - Billy, muszę z tobą porozmawiać o pewnym zdarzeniu sprzed dwóch tygodni.
 - Sprzed kilku tygodni? — Problem polega na tym, że Billy ma kłopoty z pamięcią. Chciałby spełnić życzenia policjanta, by ten zostawił go w spokoju, ale teraz nie sądzi, by mu się to udało. — Nie pamiętam, co było dwa tygodnie temu.
 - Słuchaj Billy, to bardzo istotne. Tak ważne, że być może nie zapomniełeś.
- Billy zamyka oczy, próbując przypomnieć sobie wydarzenia sprzed dwóch tygodni. Kiedy jednak chce się skoncentrować, wszystko zasnuwa nieprzenikniona mgła.
- Billy? Otwórz oczy — policjant czeka, aż chłopiec się uśmiechnie, a następnie mówi dalej. — Chodzi o pewną kobietę, którą zamordowano w pobliżu Gramercy Park. Czy wiesz, gdzie to jest?

Przytakuje.

— Ktoś powiedział mi, że to ty ją zabiłeś. Twierdził, że dźgnąłeś ją nożem. To bardzo poważne oskarżenie. Billy, czy zabiłeś tę kobietę?

Billy potrząsa przecząco głową. Z jego twarzy powoli znika uśmiech. On nie potrafi wyjaśniać różnych spraw.

— Nigdy nie zrobiłbym niczego takiego — odzywa się w końcu.

— Wierzę, Billy, ale kiedy ktoś cię oskarża, muszę to sprawdzić. Na tym polega moja praca. Zajmę ci tylko kilka chwil. Pójdziemy do mojego biura i wszystko wyjaśnimy. Mam tam kawę i kanapki. Będziemy mogli zjeść sobie lunch. Czy chcesz pójść ze mną?

Billy nie wie, co znaczy słowo „oskarżenie”, lecz na ulicy spędził już wystarczająco dużo czasu, by rozumieć, że gliny to kłopoty. Natomiast, gdy glina zabiera cię gdzieś, znaczy, że masz *wielkie* kłopoty.

— Chcę zostać tutaj — odzywa się Billy. Sztuczny uśmiech nie znika z twarzy chłopca.

— Czy nie chciałbyś tego wyjaśnić?

Glina wydaje się niezadowolony, czego Billy nie potrafi pojąć. Nie wścieka się jednak, a to dobry znak.

— Pewnie, że tak — odpowiada — ale ja tego nie zrobiłem.

— O to właśnie chodzi. Jeżeli wszystko wyjaśnimy, przestaniesz być podejrzanym. Musisz jednak powiedzieć mi, co robiłeś w czasie, gdy popełniono morderstwo.

— Dwa tygodnie temu?

— Zgadza się. Dwudziestego siódmego listopada.

— A co będzie, jeśli sobie nie przypomnę?

— Nie martw się Billy. *Pomogę ci* sobie przypomnieć. My dwaj możemy to załatwić.

13•35

— Jezu, Billy, nie starasz się zbytnio. Nie możesz przypomnieć sobie nawet najmniejszego, przekłętego drobiazgu.

— Ale ja się staram, detektywie Brannigan. Staram się z całych sił.

— Dużo pijesz, prawda? Bardzo dużo. Pijesz mnóstwo alkoholu.

Billy spuszcza głowę i przytakuje.

— Czy pijesz codziennie?

Znowu skinienie głową.

— Czy wiesz, co to oznacza, Billy? Chodzi o to, że nie masz alibi.

Billy Sowell podnosi wzrok.

— A co to jest alibi?

— To znaczy, że nie możemy udowodnić, iż w czasie, gdy popełniano zbrodnię byłeś w innym miejscu. A propos, czy znałeś Sondrę Tillson?

— Nie.

— Jesteś pewien? To ta kobieta, którą zamordowano.

— Nie znam żadnych kobiet oprócz Batbrain Mary i Lisy MacCready. Śpią

pod mostem Williamsburg.

— Wierzę ci Billy, ale będziemy musieli to udowodnić.

Billy siedzi na stołku w całkowicie pustym pokoju o zakratowanych oknach i przygląda się chodzącemu w kółko detektywowi Branniganowi. Żałuje, że w ogóle zgodził się przyjechać z nim na posterunek. Nie dostał obiecanych kanapek. Nie podano mu nawet szklanki wody.

— Wiem — detektyw Brannigan zatrzymuje się. Jego twarz rozpromienia szeroki uśmiech, podczas gdy palec unosi się do góry. — Moglibyśmy sprawdzić do wody. Potrzeba tylko próbki twoich włosów oraz paru włókien z twojego płaszcza. Musielibyśmy również zrobić ci zdjęcie, żeby pokazać świadkowi. No i jeszcze pobrać od ciebie odrobinę krwi.

— Mojej krwi?

— Troszeczkę.

— Igłą?

— To nie będzie boleć. Tylko lekkie ukłucie.

— Nie chcę żadnej igły, detektywie Brannigan. Czy nie ma innego sposobu na udowodnienie, że mnie tam nie było? Jestem już bardzo zmęczony.

— Widzisz Billy, nie musisz tu zostawać, jeżeli nie chcesz. Możesz wyjść. Sądzę jednak, że powinieneś spróbować wszystko wyjaśnić, zanim sprawy zajdą zbyt daleko. Oczywiście, jeżeli *naprawdę* jesteś niewinny.

— Ale ja tego nie zrobiłem. Powiedział pan, że mi wierzy.

— Tak, wierzę, Billy. Wierzę ci, ponieważ mi pomagasz. Lecz jeśli pójdziesz do domu, zanim udowodnimy twoją niewinność, mogę zmienić zdanie.

19.20

Tommy Brannigan przeciera zmęczone oczy. Siedzi za swoim biurkiem w pokoju detektywów, próbując nie przejmować się panującym wokół chaosem. Jest zajęty układaniem zestawu zdjęć. Największy problem stanowi fakt, że wykonana polaroidem fotografia Billy'ego Sowell'a w niczym nie przypomina ośmiu otaczających ją zdjęć z policyjnej kartoteki. Przede wszystkim pozytywy z polaroida są o wiele grubsze od pozostałych. Na dodatek zdjęcia z kartoteki to dwa ujęcia: z przodu i z profilu, na jednym kawałku papieru. Fotografia Billy'ego nawet po przycięciu do takich samych rozmiarów, różniłaby się od nich. Uniemożliwia to przedstawienie jej w sądzie, choćby Melody Mitchell dokonała identyfikacji, co jest mało prawdopodobne, jeśli się jej nieco nie dopomoże.

Jak bardzo jednak można jej dopomóc? To prawdziwy problem. Tommy Brannigan nie jest prawnikiem, ale wystarczająco długo pracuje w branży, by wiedzieć, że niektórzy sędziowie znacznie częściej odrzucają dowody, inni zaś skłonni są przyjąć niemal wszystko.

— Hej, poruczniku — Brannigan pociąga za rękaw przechodzącego oficera. — Może pan rzucić na to okiem? Nie chciałbym spieprzyć sprawy.

Porucznik Corelli odwraca się na pięcie.

— Czego chcesz, Brannigan? Jestem zajęty.

— Mam podejrzanego w sprawie Sondry Tillson. Jest również świadek. Chciałbym ułożyć dobry zestaw do identyfikacji, ale nie daję sobie z tym rady.

Corelli spogląda na fotografię.

— To ten? — kościstym palcem wskazuje Billy'ego Sowella.

— Zgadza się.

— Tommy, ujęcie z profilu zostało spieprzone. Podejrzany obrócił bokiem do aparatu samą głowę, a nie całe ciało. Zestawienie jest wyraźnie sugestywne.

— Sądzi pan, że to beznadziejne? — uśmiechnięta zwykle twarz Brannigana krzywi się. — Widzi pan, wykorzystuję jego chęć do współpracy.

— Przeczytałeś mu jego prawa?

— Nie ma na razie statusu podejrzanego. Namówiłem go, by podpisał zgodę na pobranie próbek włosów, krwi, włókien z płaszcza, lecz może stąd wyjść kiedy zechce.

— No to co tu jeszcze robi? Przecież tu chodzi o zabójstwo.

— Nie jest zbyt bystry — opóźniony w rozwoju. Naturalnie potrafi mówić, podpisać się, lecz bez wątpienia chłopak jest opóźniony. Na dodatek regularnie pije, co jeszcze pogarsza jego stan. Powiedziałem mu, że spróbuję oczyścić go z zarzutów — w pewnym sensie to przecież prawda — a on to kupił. Przynajmniej na razie.

Tommy Brannigan, znów z uśmiechem na ustach, obserwuje porucznika Corelliego z uwagą oglądającego zdjęcia. Porada starszego rangą oficera może mu pomóc na dwa sposoby. Nie tylko zwiększy prawdopodobieństwo, że zestawienie zdjęć zostanie przyjęte przez sąd, lecz dodatkowo zwiąże Corelliego ze sprawą. Bez jego poparcia Brannigan nigdy nie zdoła dotrzeć do prokuratury. Nie ma przecież gwarancji, że Corelli zechce posłać sprawę dalej, jeżeli zostanie zepsuta. Zgodnie z dewizą departamentu nie należy niepotrzebnie zawracać głowy zastępcy prokuratora.

— Czy podczas przesłuchania świadek wspomniała o płaszczu?

— Tak.

— Twój podejrzany jako jedyny ma na sobie płaszcz. Pozostali są w kurtkach. To trochę zbyt oczywiste, Tommy. A tak naprawdę *nazbyt* oczywiste. Czy świadek wspominała coś o bliźnie na policzku?

— Nie. Ani słowa.

Corelli podnosi wzrok ze zdziwieniem.

— A on ma bliznę. Jak więc chcesz przeprowadzić identyfikację?

— To nie moja wina. Po prostu tak wyszło. Niech pan posłucha, chcę tylko wykonać kolejny ruch. Niech świadek obejrzy zdjęcia. Zobaczymy, co powie i wtedy zadecydujemy.

Corelli potrząsa głową.

— Być może oszalałem, lecz mimo to powiem ci, co masz zrobić. Najpierw weź pióro do retuszowania i namaluj bliznę na każdym ze zdjęć. Pod okiem, tak

jak u podejrzanego. Następnie przyklej wszystkie fotografie na dużym arkuszu papieru, rozplaszcz je idealnie i całość odbij na ksero. To powinno zatrzeć różnice między zdjęciami. I pamiętaj, nie pozwól świadkowi zobaczyć oryginałów. Jeżeli nie rozpozna sprawcy na kopii, wypuść podejrzanego. Może poszczęści ci się w laboratorium.

- Chce pan, żebym się pozbył oryginału? Tak jakby nigdy nie istniał?
- Oszalałeś? Przecież staramy się wykazać dobrą wolę. Chcemy, by wiadano, że respektujemy prawa tego śmiecia. Oznacz zdjęcie i załącz do dokumentacji.

21.15

Otwierając drzwi, Melody Mitchell czuje ulgę, widząc stojącego samotnie detektywa Brannigana. Detektyw Kosinski przypominał jej robotników budowlanych, którzy nie tak dawno na jej widok werbalizowali swoje obsceniczne fantazje. Brannigan natomiast dzięki swojemu szerokiemu uśmiechowi oraz niesfornej grzywce wygląda niczym mały chłopiec.

- Proszę, niech pan wejdzie, detektywie.
- Dziękuję. Czy nie przeszkadzam? — policjant zatrzymuje się, by podrapać psa za uchem. — A więc to jest słynny Roscoe. Co by począł nasz wymiar sprawiedliwości, gdyby nie jego słaby pęcherz?

Melody mimowolnie odpowiada na uśmiech detektywa. Jego dobry humor jest zaraźliwy bez względu na fakt, że ma za zadanie uspić jej czujność.

- Czy napije się pan kawy?
- Prawdę mówiąc tak. I jeśli pani pozwoli, skorzystamy z kuchennego stołu, by rozłożyć zestaw identyfikacyjny.
- Czy właśnie tak to się nazywa? Zestaw identyfikacyjny?
- Takiej nazwy używają prawnicy.

Melody sadza Brannigana, a następnie odwraca się w kierunku szafki nad zlewem, aby sięgnąć po filiżanki i spodki.

- Proszę mi powiedzieć, jak to działa?
- To proste, panno Mitchell. Przygotowałem na jednym arkuszu osiemnaście zdjęć przedstawiających dziewięciu osobników. Wystarczy, że przyjrzy się pani dokładnie każdemu i powie mi, czy jest wśród nich mężczyzna, którego widziała pani tamtej nocy. Proszę mi wierzyć, to o wiele prostsze niż przeglądanie setek zdjęć w kartotece.
- Czy oznacza to, że wie pan, kto jest zabójcą? — Melody wraca do stolika, niosąc filiżanki, spodki, łyżeczki i serwetki. Dostrzega niezwykle skoncentrowanie Brannigana. Cokolwiek zamierza, myśli Melody, wyraźnie nie chce popełnić najmniejszego błędu.
- Sądzę, że to oczywiste, muszę jednak poinformować panią, że mężczyzna, o którym mowa, jest na razie tylko podejrzanym. Nie został jeszcze aresztowany. Wiele zależy od tego, czy pani go rozpozna. Jeżeli w ogóle może go pani rozpoznać.

Nie chciałbym w żaden sposób na panią wpływać.

Melody nalewa kawę, stawia na stole cukier i mleko, po czym sama siada.

— Zdaje się, że woli pan dmuchać na zimne.

— Chodzi o sąd, panno Mitchell — Brannigan wzrusza ramionami i wzdycha.

— Jeżeli sędzia odrzuci zestaw, najprawdopodobniej odrzuci również wszelkie dalsze identyfikacje dokonane przez panią. Zapewne nie uzna pani za wiarygodnego świadka, a obrońca podejrzanego wypyta panią bardzo dokładnie o nasze obecne poczynania.

— Rozumiem — myśl o przesłuchiowaniu w sądzie otrzeźwia Melody. Co zrobię, jeśli będą tam reporterzy, zastanawia się. A jeżeli telewizja będzie wszystko transmitować? — Czy mógłby pan raz jeszcze wyjaśnić mi procedurę?

— Zaprezentuję zestaw zdjęć. Chcę, aby przyjrzała się im pani dokładnie przez pełną minutę, zanim zacznie pani cokolwiek mówić. Proszę się nie spieszyć i nawet jeżeli nie rozpozna go pani od razu, proszę spokojnie jeszcze popatrzeć, obejrzeć dokładnie każdą twarz.

Spoglądając w dół na leżące przed nią fotografie, Melody myśli, że ostatnia uwaga Brannigana była całkowicie zbędna. Każdy z przedstawionych mężczyzn niemal niczym nie odróżnia się od innych. Przyglądając się im kolejno, stara się nie zapominać, że pomiędzy nimi znajduje się prawdziwy podejrzan. Mija jedna minuta, druga, wreszcie trzecia i dopiero wtedy Melody podnosi głowę.

— Nie wiem. Nic szczególnego nie rzuca mi się w oczy. Powiedziałabym, że trzeci i dziewiąty są najbardziej podobni. Nie pamiętam jednak blizny.

— Czy gdyby nie blizna zidentyfikowałaby pani numer trzeci jako człowieka, którego widziała tamtej nocy? Proszę spojrzeć jeszcze raz. Niech pani da szansę swojej pamięci.

Melody przygląda się młodemu mężczyźnie ubranemu w długi płaszcz, próbując pominąć bliznę pod okiem. Rzeczywiście, przyznaje w duchu, wygląda jakoś znajomo. Te ciemne oczy i rozczochrane, czarne włosy.

— Gdybym wtedy wiedziała, że mężczyzna, którego widzę, jest mordercą — odzywa się — na pewno bym go zapamiętała. On patrzył w moją stronę, lecz nie zwróciłam na to większej uwagi.

— Pomimo że było około trzeciej nad ranem?

— To była sobotnia noc, detektywie, w Nowym Jorku. Poza tym nie zauważyłam niczego szczególnego w tamtym człowieku.

Brannigan opróżnia filiżankę i odstawia ją na spodek.

— No więc dobrze. Twierdzi pani, że numery trzy i dziewięć najbardziej przypominają człowieka, którego pani widziała. Zgadza się?

— Szczególnie numer trzeci. Tylko bez blizny.

— Ale nie mogłaby pani rozpoznać go w sądzie?

— Nie, nie jestem aż tak pewna.

Brannigan prostuje się, a następnie pochyla nad stołem ze spokojnym, poważnym wyrazem twarzy.

— Panno Mitchell, czy wie pani, co to jest regresja hipnotyczna?
— Oczywiście. Mam nadzieję, że nie zamierza mnie pan hipnotyzować.
— Nie ja — odpowiada Brannigan śmiejąc się. — Rozumie pani, wszystko zależy od pani nastawienia. Hipnoza pomagała nam już wiele razy, lecz nie daje rezultatów, gdy ktoś znajduje się pod przymusem — przez moment stuka palcem o brzeg stołu. — Chciałbym po prostu zidentyfikować lub wyeliminować podejrzanego. Prawdę mówiąc, nie obchodzi mnie, która z tych możliwości spełni się. Rzecz w tym, że nie zamierzam w nieskończoność marnować czasu, ale jeśli mój podejrzany naprawdę jest winny, wołałbym nie patrzeć, jak odchodzi wolny. Nie chciałbym wysłać zabójcy z powrotem na ulicę.

Z powyższych słów Melody domyśla się, że jeśli odmówi poddania się hipnozie, będzie winna wypuszczenia zbrodniarza. Jej pierwszą reakcją jest sprzeciw. Nie nawidzi, gdy ktoś próbuje wywierać na nią nacisk, po części nie może jednak odrzucić argumentów detektywa Brannigana. Na dodatek, przecież osobiście widziała zamordowaną.

— Więc kiedy chciałby pan przeprowadzić tę hipnozę?
— Mógłbym zorganizować wszystko na jutro rano. Skorzystamy z usług psychologa, pani doktor Elizabeth Kenton. Współpracowaliśmy już z nią kilkakrotnie.
— No cóż, sądzę, że mogę poświęcić parę godzin dla dobra sprawiedliwości — z przekorą krzywi twarz. — I tak nie mam żadnego ciekawszego zajęcia.

Uśmiech Brannigana poszerza się.

— Wspaniale, po prostu wspaniale. Przepraszam, czy mógłbym skorzystać z telefonu?

— Naturalnie. Proszę przejść do salonu, ja w tym czasie posprzątam w kuchni.

12 grudnia, 4.40

Tommy Brannigan wchodzi do Trzynastego Posterunku Policji, wita się z sierżantem, a następnie w pośpiechu zmierza w stronę toalety. Trzy kubki kawy wypite po zaledwie czterogodzinnym śnie doprowadziły jego pęcherz do granic wytrzymałości. Stojąc przed pisuarem myśli o Roscoe, psie Melody Mitchell. —

Roscoe — odzywa się głośno — wiem, jak się musisz czuć.

— To znaczy?

Odwracając głowę (lecz na szczęście nie zapominając, by reszta ciała pozostała zwrócona we właściwym kierunku), Brannigan widzi sierżanta Adolphusa Cobba.

— Rany, sierżancie, niech pan się tak nie skrada. Nie słyszałem, że pan wszedł.

— Rany, Tommy, nie lej tak głośno. Nie usłyszałbyś nawet, gdyby przyszedł słoń i cmoknął cię w ucho.

Cobb stoi z szeroko rozstawionymi nogami, trzymając dłonie na biodrach. Jest profesjonalistą w każdym calu, niemal weteranem wśród sierżantów, spoglądającym z góry na każdego z niższym stopniem. Brannigan jednak nie czuje

się onieśmielony. Wie, że gdy Adolphus Cobb zaczął służyć w policji, inni gliniarze zwykli wkładać do jego szafki plakaty z King Kongiem, kiście bananów lub arbuzy. Teraz Cobb jest ich przełożonym.

— Zająłem się twoją sprawą Tommy. Tak jak prosiłeś. Dałem chłopakowi kanapkę z własnego śniadania zaraz po twoim telefonie. Około pierwszej przyniosłem polówkę i kazałem mu położyć się spać.

— Sprawiał kłopoty?

— Marudził coś, że chciałby pójść już do domu, ale przypomniałem mu, że tu jest ciepło i przyjemnie. Powiedziałem: „Synu, na dworze jest ponad pięć stopni mrozu i zbiera się na śnieżyce. Na dodatek, żeby dojść nad rzekę, musisz przejść kawał drogi tylko po to, by spać w jakimś pudle. A jutro i tak będziemy musieli po ciebie przyjechać”.

— I zrozumiał?

— Pewnie. Jest tępy, ale nie stuknięty. W gruncie rzeczy to miły dzieciak. Nie wygląda na takiego, co to wychodzi i zabija człowieka.

— Cholera, sierżancie, przez większość czasu Billy Sowell jest tak pijany, że nie wie, co i kiedy robi. Nie był nawet w stanie powiedzieć mi, gdzie się przedwczoraj włóczył. W każdym razie jestem pańskim dłużnikiem. Jeśli kiedykolwiek będzie pan czegoś potrzebował, może pan na mnie liczyć.

— Nie ma sprawy.

— Aha, nie chciałby się pan nieco zabawić? Mój partner jest na urlopie i przydałaby mi się niewielka pomoc.

— To znaczy?

— Zamierzam postraszyć nieco podejrzanego i dobrze by było, żeby ktoś odegrał rolę złego policjanta. Nie wiem dlaczego, ale wydaje mi się, że pan pasowałby idealnie.

5-15

Billy Sowell budzi się z głębokiego snu i widzi pochyloną nad sobą ponurą twarz detektywa Brannigana. Tym razem policjant nie uśmiecha się. Wydaje się zmieszany, zaniepokojony i jednocześnie smutny. Billy przeciera oczy, próbując zebrać się w sobie. Musi się napić i dobrze o tym wie. Trzęsą mu się ręce i ma kłopoty z koncentracją. Mimo wszystko bez trudu dostrzega twarz wyłaniającą się zza pleców detektywa Brannigana

— Wyciągnij go z łóżka — odzywa się nieznajoma twarz. — Udaje.

Co udaje, zastanawia się Billy. Przecież właśnie się obudziłem.

— Billy — zwraca się do niego Brannigan — to jest sierżant Cobb. Będzie dziś pracował razem ze mną.

— Cześć — pozdrawia go Billy. Dostrzega czarny kolor skóry sierżanta, lecz nie przeraża go to. Mieszka już zbyt długo na ulicy, żeby bać się każdego czarnego; choć nie zawsze tak było. Kiedy umarła jego matka, wysłano go do przytułku.

Wtedy o czarnych wiedział tylko z telewizji. Przez pierwsze dwa tygodnie sądził, że każdy czarny chłopak czai się, by go zabić.

— Mamy z tobą duży problem — odzywa się spokojnie Brannigan. — Postaraj się rozbudzić i posłuchaj mnie.

— Muszę się napić — mówiąc Billy uśmiecha się przepraszająco. Zdaje sobie sprawę, że jego stan pogarsza się, lecz nie wie, co z tym począć.

— Rozumiem, Billy — detektyw Brannigan kładzie dłoń na ramieniu chłopca — ale wpierrw musimy sobie wszystko wyjaśnić. Na razie możesz napić się kawy, jeżeli chcesz.

— Nie dawaj mu żadnej kawy — wykrzykuje sierżant. — Nic mu nie dawaj.

Detektyw Brannigan odwraca się w stronę Cobba.

— Sierżancie, niech się pan uspokoi. *Wszystkim* nam przydałby się łyk kawy.

Sierżant Cobb przygważdża Billy'ego wzrokiem. Chłopiec wielokrotnie już widział takie spojrzenie — zawsze oznaczało, że ktoś czegoś od niego chciał — jego alkoholu, butów, szczoteczki do zębów, a nawet jego ciała. Zwykle Billy spełniał te żądania, ponieważ nie potrafił się bronić. Nie wychowano go do takiego życia. Mieszkając z matką, nie miał się z kim bić.

Billy obserwuje, jak sierżant Cobb opuszcza pokój i jak zwykle marzy, by żyła jego matka, by znaleźć się razem z nią w ich dawnym mieszkaniu. Wyobraża sobie, jak siadają do obiadu, oglądają telewizję, rozwiązują zagadki.

— Billy, słyszysz mnie? — detektyw Brannigan znowu się uśmiecha.

— Tak.

— Pokazaliśmy twoje zdjęcie świadkowi i ona uważa, że byłeś tam, gdzie zabito Sondrę Tillson.

— Ale to nieprawda. Nie było mnie tam.

— Skąd to wiesz? Skąd wiesz, że cię tam nie było?

— Bo ja tego nie zrobiłem.

— Też tak wcześniej sądziłem. Teraz jednak nie jestem już taki pewny.

— Nie ja...

— Spokojnie. Posłuchaj mnie przez chwilę. Może zabiłeś tę kobietę, a potem zapomniałeś. Może tamtej nocy byłeś pijany. Czy wiesz, co to zanik pamięci?

— Nie.

— Kiedy ktoś pije, czasami nic nie pamięta. To dość powszechne, Billy. Ludzie, którzy dużo piją, zapominają o swoich czynach.

— Nie zapomniałbym tego. Nie mógłbym zapomnieć czegoś podobnego.

— Skąd możesz mieć pewność? Widzisz, gdybyś tylko mógł mi powiedzieć, gdzie byłeś tej nocy, kiedy zabito Sondrę Tillson, sprawdziłbym to, ale ty niczego nie pamiętasz. A więc muszę kierować się posiadanymi dowodami, a w obecnej chwili przemawiają one przeciwko tobie.

Billy nie wie, co powiedzieć. Detektyw Brannigan ma zapewne rację, gdyż zupełnie nie pamięta Sondry Tillson ani tamtej nocy.

— Słuchaj, Billy — zwraca się do niego Brannigan — jeśli naprawdę jesteś niewinny, nadal chciałbym oczyścić cię z zarzutów. Może gdybym obejrzał miejsce, w którym sypiasz i przeszukał twoje rzeczy, znalazłbym jakiś pomocny drobiazg.

— Nie wydaje mi się, żeby było tam cokolwiek godnego uwagi.

— Nie dowiemy się, zanim nie sprawdzimy, nieprawdaż?

— Chyba tak.

— Ale potrzebuję twojej zgody. Nie wolno mi tego zrobić, dopóki mi nie zezwolisz. Proszę, to dla twojego dobra.

— Brannigan, do cholery, czyś ty do reszty zgłupiał?

Spoglądając do góry, Billy widzi sierżanta Cobb stojącego w drzwiach. Wydaje się jeszcze bardziej rozszalony niż poprzednio.

— Moim zdaniem — mówi Cobb, wskazując palcem na Billy'ego — powinniśmy zamknąć go w celi. Pozwolić chłopakom przelecieć mu tyłek. Zmiękczyć nieco skurwiela.

6.15

— Jestem pewien, że w tych pieprzonych kocach roi się od pcheł — Adolphus Cobb oświetla latarką wnętrze skrzyni stanowiącej dom Billy'ego Sowell.

— Niech się pan nie przejmuj. Nie zostaniemy tu długo. Nie szukam pisemnego przyznania się do winy.

— A tak właściwie to czego szukasz, Tommy? Co my, do cholery, robimy tu o szóstej rano?

— Szukamy tego, sierżancie. Tego oto narzędzia zbrodni — chwytając delikatnie dwoma palcami, Brannigan podnosi do góry nóż o ponad piętnastocentymetrowym ostrzu.

— Człowieku — narzeka Cobb — to jeszcze o niczym nie świadczy. Chłopak sypia na ulicy, więc musi mieć coś przy sobie. Jest na nim krew?

— Trudno powiedzieć. Ale to mogłoby być narzędzie zbrodni. Lekarz sądowy twierdzi, że dziewczynę zabito za pomocą noża o długości co najmniej dwunastu centymetrów. Sprawca zadał jej trzy ciosy. Dwukrotnie w ramię, gdy próbowała się bronić i raz w gardło. Wykrwawiła się.

— Widzisz krew na ciuchach Sowell? Na jego ubraniu powinna być krew.

Schowawszy nóż do torby przeznaczonej na dowody, Brannigan po kolei ogląda wszystkie ubrania należące do Billy'ego.

— Nie widzę, ale miał dwa tygodnie na ich pozbycie się.

— Naprawdę? — Adolphus Cobb kieruje światło latarki wprost na twarz Brannigana, po czym niespodziewanie wybucha śmiechem. — No cóż, Tommy, to ty prowadzisz sprawę, ale skoro pozbył się ciuchów, po co zatrzymał nóż?

11.45

Pytanie: Proszę sobie wyobrazić, że stoi pani na szczycie schodów. Jest tam piętnaście stopni i schodząc po nich, zacznie pani cofać się w czasie. Każdy stopień to jeden dzień. Gdy dojdzie pani na dół, znajdzie się pani z powrotem w nocy dwudziestego siódmego listopada. Obudzi się pani w swoim łóżku rozluźniona i wypoczęta. Melody, a teraz proszę ruszyć. Pierwszy stopień, następny i jeszcze jeden. Zupełnie rozluźniona. (Pauza) Melody?

Odpowiedź: Tak.

Pytanie: Czy może pani powiedzieć, gdzie pani jest?

Odpowiedź: Jestem w swoim łóżku.

Pytanie: Czy budzi panią coś?

Odpowiedź: Tak, to Roscoe. Mój pies. Merda ogonem i poszczekuje. Chce wyjść na spacer.

Pytanie: I jak pani reaguje?

Odpowiedź: Wiem, że muszę go wyprowadzić, w przeciwnym wypadku zsika mi się w mieszkaniu. Roscoe tego nie cierpi, czuje się poniżony. Nie podoba mu się, że jest już stary.

Pytanie: Czy ubiera się pani?

Odpowiedź: Nie, wkładam płaszcz wprost na koszulę nocną a następnie ciepłe buty.

Pytanie: Czy jest zimno?

Odpowiedź: Tak, na zewnątrz jest lodowato. Było już zimno, gdy wyprowadzałam Roscoe zaraz po dzienniku.

Pytanie: Melody, co teraz pani robi?

Odpowiedź: Zjeżdżamy windą na parter. Przy drzwiach stoi Petia.

Pytanie: Kto to jest Petia?

Odpowiedź: To portier.

Pytanie: Czy widzi go pani?

Odpowiedź: Tak, narzeka, że jest zimno.

Pytanie: Proszę mu się przyjrzeć. Jak jest ubrany?

Odpowiedź: Ubrany jest w swój strój służbowy.

Pytanie: Proszę go opisać.

Odpowiedź: Ma na sobie białą koszulę, czarną muchę i brązową marynarkę. Są w niej cztery guziki, z których ostatni nie jest zapięty. Spodnie są tego samego koloru co marynarka.

Pytanie: Czy zawsze nosi ten sam strój?

Odpowiedź: Nie, ma również szary (chichot). Ostatni guzik jednak zawsze zostawia rozpięty. To z powodu wielkiego brzucha.

Pytanie: Melody, co dzieje się później? Co pani robi?

Odpowiedź: Prowadzę Roscoe w stronę krawężnika. Zdaje się, że wciąż jeszcze

nie rozbudziłam się całkowicie, ponieważ nie zauważam niczego, dopóki Roscoe nie zaczyna warczeć. Spoglądałam na ulicę i widzę mężczyznę stojącego przy zaparkowanym samochodzie.

Pytanie: Proszę teraz zwolnić. Proszę posuwać się bardzo, bardzo powoli. Niech pani zacznie od jego butów. Czy może mi pani powiedzieć, jakiego są koloru?

Odpowiedź: Nie, nie pamiętam jego butów. Nie przyglądałam się im.

Pytanie: W porządku, Melody. Proszę się rozluźnić. Czy pamięta pani, o czym rozmawialiśmy wcześniej?

Odpowiedź: Tak.

Pytanie: Czy pamięta pani, że powiedziałam, by nie próbowała pani widzieć rzeczy nieistniejących? Że ma pani być jak gdyby tylko reporterem, kamerą?

Odpowiedź: Tak.

Pytanie: A więc teraz proszę przesunąć wzrok do góry wzdłuż jego ciała. Czy widzi pani dłonie?

Odpowiedź: Tak. W prawym ręku coś trzyma. Teraz odwraca się i chowa dłoń za siebie. Ja, ja...

Pytanie: Spokojnie. Proszę się nie spieszyć, jeszcze raz spojrzeć na jego ręce. Tak jakby oglądała pani film wideo. Można go zatrzymać, cofnąć, czego tylko dusza zapragnie. A więc trzyma coś w prawej dłoni. Czy ów przedmiot odbija światło? Czy to metal?

Odpowiedź: Tak, wydaje mi się, że to kluczyki.

Pytanie: W jaki sposób je trzyma? Całą dłonią?

Odpowiedź: Trzyma je pomiędzy kciukiem i palcem wskazującym.

Pytanie: Ile kluczy pani widzi?

Odpowiedź: Nie wiem. Widzę pęk kluczy na kółku. Wszystkie zwisają.

Pytanie: Dobrze, Melody. Idzie pani znakomicie. A teraz niech pani skupi swoją uwagę nieco wyżej. Czy widzi pani jego klatkę piersiową i szyję?

Odpowiedź: Tak, widzę je.

Pytanie: Jak jest ubrany?

Odpowiedź: Ma na sobie płaszcz.

Pytanie: Czy może go pani opisać?

Odpowiedź: Powiedziałabym, że wygląda na drogi, ale znajduje się dosyć daleko i jest noc. (Pauza) Nie wydaje się brudny ani podarty.

Pytanie: Czy ma krawat?

Odpowiedź: Płaszcz zapięty jest pod samą szyję. Nie wiem.

Pytanie: Czy widzi pani jego szyję ponad kołnierzem?

Odpowiedź: Tak.

Pytanie: Czy jest tam coś niezwykłego? Jakies znamiona, blizny?

Odpowiedź: Nie.

Pytanie: W porządku. Proszę teraz wziąć głęboki oddech, dobrze, wypuścić powietrze i przesunąć wzrok jeszcze wyżej. W górę, w górę, aż spojrzy mu pani prosto

w twarz. Melody, czy patrzy pani na jego twarz?

Odpowiedź: Tak.

Pytanie: Proszę mi ją opisać.

Odpowiedź: Ma ciemne, kręcone włosy. Odstają mu od głowy i opadają na czoło. Za jego plecami znajduje się latarnia, więc włosy rzucają cień na całą górną część twarzy. Widzę jednak, że ma krzaczaste brwi, prosty nos i pełne usta. Poza tym szerokie, kwadratowe czoło i wydatną szczękę.

Pytanie: Czy widzi pani kolor oczu?

Odpowiedź: Nie, oczy są w cieniu.

Pytanie: Ma okrągły podbródek czy z dołeczkiem?

Odpowiedź: Nie jestem pewna.

Pytanie: Czy jego uszy przylegają do czaszki, czy może są odstające?

Odpowiedź: Przylegają.

Pytanie: Czy nosi kolczyki?

Odpowiedź: Nie.

Pytanie: W porządku. A teraz proszę powrócić do jego twarzy. Niech się pani skupi na twarzy.

Odpowiedź: Jego oczy są w cieniu. Widzę jakąś linię. Nie... Jest za ciemno. Może tam jest, a może jej nie ma. Nie jestem pewna.

Pytanie: Pewna czego? Tego, co pani widzi?

Odpowiedź: Nie, nie. Widzę coś, ale nie wiem co.

Pytanie: Ćśśś. Proszę się uspokoić. Niech pani zrobi przerwę i nie spieszy się. Pamiętaj pani, co powiedziałam, zanim zaczęłyśmy? Chcę, żeby mówiła mi pani tylko o tym, co widzi. Niech pani nie próbuje opisywać rzeczy, których nie widzi. W porządku?

Odpowiedź: Tak.

Pytanie: Dobrze. Może pani kontynuować.

— Jak się pani czuje? — detektyw Brannigan patrzy na nią z powagą. Melody wolałaby, żeby się uśmiechnął.

— Dobrze — odpowiada — obawiam się jednak, że zbyt nie pomogłam.

— Pamiętała pani o kluczykach, panno Mitchell, a to wiąże z samochodem mężczyznę, którego pani widziała. Na pewno nie był tylko zwykłym przechodniem. Człowiek, którego pani widziała, musiał być zabójcą.

Melody czuje ucisk w piersi. To śmieszne, myśli sobie. Codziennie słyszy się i czyta o jakiejś zbrodni, lecz nie ma się pojęcia, jak to jest, dopóki nie dotknie ona człowieka osobiście lub przynajmniej dopóki się o nianie otrze.

— No cóż detektywie, gdybym tylko mogła coś jeszcze dla pana zrobić...

— Tak, zanim pani wyjdzie, czy mogłaby pani raz jeszcze zerknąć na tamte fotografie?

Billy Sowell śpi już drugą godzinę, gdy do sali przesłuchań wkracza sierżant Cobb. Billy'emu śni się matka. Mówi mu, że nie będzie już więcej musiał chodzić do szkoły, gdyż ona sama może nauczyć go wszystkich potrzebnych rzeczy. Czyż nie nauczyła go alfabetu albo podpisywać się drukowanymi literami? Inne dzieci są dla niego zbyt szybkie. Zbyt bystre i jednocześnie okrutne.

Billy słyszy, że sierżant Cobb wykrzykuje jego imię, lecz we śnie głos sierżanta przeobraża się w głos matki wołający go na śniadanie.

— Wstawaj Billy, wstawaj.

— Jeszcze chwilkę, mamó — mamrocze, przewracając się na bok.

Czuje, że spada na podłogę. Natychmiast otwiera oczy. Jego spojrzenie pada na rozwścieczoną twarz sierżanta Cobba.

— Chłopcze, kiedy każę ci coś zrobić, słuchaj mnie i to szybko.

Billy uśmiecha się. Rozgląda się w poszukiwaniu detektywa Brannigana. Szuka ochrony. Szuka matki.

— Szukasz swojej przyjaciółki? Hm, panienko? Rozglądasz się za de-tek-tyy-wem Bran-ni-ga-nem? Czy to twoja sympatia? Odpowiadaj, suko!

— Nie rozumiem...

— Wstawaj. Już, do cholery.

Billy zaczyna spełniać rozkaz, lecz dłonie sierżanta chwytają za jego koszulę, jeszcze zanim zdołał się poruszyć. Czuje, że zostaje uniesiony do góry, a jego twarz zatrzymuje się w odległości kilku centymetrów od twarzy sierżanta. Oczy Cobba są wielkie, okrągłe i czerwone z wściekłości.

— To ty zabiłeś tamtą kobietę, Billy. W twojej skrzyni znaleźliśmy nóż. Wiemy, że to ty ją zabiłeś.

— Nie, ja...

— Tak, ty. I powiem ci, jak to się stało. Najpierw obserwowałeś, jak parkowała samochód. Taka ładna blondyneczka. Obserwowałeś ją i zastanawiałeś się, jak by to było w jej cipce. Myślałeś o tym tak długo, że omal nie oszalałeś. Nie wiedziałeś już, co robisz. Kiedy otworzyła drzwi, podszedłeś do niej. Podszedłeś i powiedziałeś jej dokładnie, co chciałbyś zrobić.

— Proszę, ja nie pamiętam, ja nie...

— Spojrzała na ciebie jak na wstrętnego robala. Coś co chciałoby się zdeptać. Niedorozwinięty, śmierdzący, bezdomny robal. To cię wkurzyło, zgadza się, Billy? Tak cię wkurzyło, że zupełnie zapomniałeś o swoim fiucie i niesamowitym podnieceniu. Uderzyłeś ją. Walnąłeś ją w twarz i wepchnąłeś z powrotem do samochodu.

— Nie.

— Potem sam wsiadłeś, zamknąłeś drzwi i spojrzałeś na nią. Nie czuła już obrzydzenia, zgadza się? Nie, teraz już się ciebie tylko bała, a to ci się podobało. Wyjąłeś nóż i dźgnąłeś ją. Raz i drugi, aż ból zmusił ją do opuszczenia rąk. Wtedy, Billy, zobaczyłeś jej gardło i właśnie tam zadałeś kolejny cios. Prosto w jej miękką białą szyję.

— O Boże! Mamo, pomóż mi. Mamo, mamo, mamo...
— Obserwowałeś, jak się dławi własną krwią. Wokół było pełno krwi, prawda? Mnóstwo, mnóstwo krwi. Na fotelu, na oknach, na podłodze i na tobie. Wiedziałaś, że musisz uciec, zanim ktoś zauważy, co zrobiłeś, więc przelożyłeś ją na tylne siedzenie, wysiadłeś i zamknąłeś drzwi. Przyglądała ci się jakaś kobieta. Widziała cię trzymającego kluczyki. Ją także chciałeś zabić, ale bałeś się psa.

— Nie...

— Ona twierdzi, że to byłeś ty, Billy. Trzymałeś kluczyki w swojej pieprzonej dłoni.

— Nie było mnie tam. Proszę, Boże, dlaczego pan mnie nie słucha? Chcę iść do domu.

— Do domu? Prędzej pójdziesz do piekła. Rozumiesz?

Billy nie jest przygotowany na uderzenie w brzuch. Nie wie nawet, co się stało i dlaczego leży na podłodze, próbując odzyskać oddech.

— A teraz mnie posłuchasz, cioto. De-tek-tyw Bran-ni-gan może nabrałby się na brednie, które opowiadasz, ale nie ja. Spróbuj mi jeszcze raz pyskować, a wyrwę ci serce i każę je zjeść. Rozumiesz mnie?

— Tak.

— Wstawaj.

Billy podrywa się na równe nogi, zostaje obrócony, zakuty w kajdanki, a następnie ponownie przekreślony stając twarzą w twarz z sierżantem Cobbem. Patrząc w oczy policjanta, myśli sobie, że ten człowiek lubi zadawać innym ból. Billy zna to spojrzenie, typowe dla mężczyzn, których nauczył się unikać. Właśnie przez nich opuścił przytułek i zamieszkał na ulicy.

— A więc postąpisz teraz jak należy, prawda Billy?

— Tak.

— Chcę, żebyś za mną powtarzał. Dokładnie to, co ja będę mówił, rozumiesz?

— Tak.

— I bez marudzenia. Powtarzaj dokładnie.

— W porządku.

— Włóczyłem się żebrząc.

— Włóczyłem się żebrząc.

— I wtedy zobaczyłem tę blondynkę.

— Zobaczyłem tę blondynkę.

14 grudnia, 10.00

— Proszę się nie obawiać, panno Mitchell, to jest lustro półprzepuszczalne. Stąd go widać, ale podejrzany nie może pani zobaczyć.

Słowa detektywa Brannigana ledwie docierają do Melody Mitchell. Widziała zbyt wiele filmów kryminalnych, by cokolwiek ją dziwiło. Poza tym nie ona była

ofiarą, nie musi więc stawiać czoła okropnym wspomnieniom. Niemniej jednak cierpliwie czeka, aż policjant skończy mówić.

— Na podeście nie ma teraz nikogo, lecz za chwilę stanie na nim dziewięciu mężczyzn. Niech się pani nie spieszy. Proszę się przyjrzeć dokładnie każdemu z nich, zanim podejmie pani decyzję. Gdyby chciała pani zobaczyć czyjś profil czy usłyszeć głos, proszę tylko powiedzieć.

— W porządku, detektywie. Zdaje się, że jestem gotowa.

Kiedy mężczyźni wchodzą, Melody bez zdziwienia przyjmuje ich podobieństwo. Właśnie tak, myśli sobie, powinna wyglądać identyfikacja. Zaskakuje ją natomiast jej nagła pewność.

— Mój Boże — odzywa się, wskazując na Billy'ego Sowellę — to on. — Przykrywa usta dłonią i cofa się, nadeptując na nogę Brannigana. — To jest zabójca. To on.

— Który, panno Mitchell?

— Numer pięć, z prawej.

— Czy jest pani pewna?

— Tak pewna, jak tego, że tu stoję. Na żywo wygląda zupełnie inaczej niż na zdjęciu. Lecz teraz gdy go widzę, jestem stuprocentowo pewna. Mężczyzna z bliźną jest człowiekiem, którego widziałam przy samochodzie.

— Czy zezna pani tak samo w sądzie? Proszę się dobrze zastanowić. Rozprawy sądowe często stają się niezwykle ostre.

Melody odwraca się w stronę wysokiego detektywa.

— Może to pana zdziwi, ale w Nowym Jorku są jeszcze ludzie, którzy wierzą w sprawiedliwość. *Zwykli* ludzie, nie policjanci. Rozpoznałam tego mężczyznę tutaj i rozpoznam go tyle razy, ile okaże się potrzebne. Zrobię to w obecności i na życzenie każdego, kto zażąda. Czy to panu wystarczy?

— Tak, panno Mitchell — na opanowanej dotychczas twarzy detektywa Brannigana pojawia się szeroki uśmiech. — Z całą pewnością wystarczy.

13.00

— Sądzę, że już czas, Billy, abyśmy zamknęli sprawę.

Billy Sowell spogląda zażawionymi oczyma i kiwa głową.

— Nie płacz. Wszystko będzie dobrze — Tommy Brannigan ociera policzki Billy'ego. W jego własnych oczach również pojawiają się łzy. — Próbowaliśmy oczyścić cię z zarzutów, ale nie udało się.

— Jestem taki zmęczony — Billy opuszcza głowę. — Czy jak już wszystko się skończy, będę mógł pójść spać?

— Oczywiście. Będziesz mógł spać, ile tylko zechcesz — Brannigan cofa się, wyjmując z kieszeni dyktafon i pokazuje go Billy'emu. — Czy wiesz, co to jest?

— Tak, mama miała podobny.

— Kiedy go włączę, zacznę zadawać ci pytania. Czy wiesz, co masz mówić?

— Chyba tak.

- Jeśli zgubisz watek, nie martw się, pomogę ci. Zrozumiałeś?
- Tak.
- Dobrze, Billy. Bardzo dobrze. Więc zaczynamy.

Pytanie: Czy mógłbyś podać swoje nazwisko?

Odpowiedź: William Sowell.

Pytanie: Billy, wiesz, że nie musisz ze mną rozmawiać, zgadza się? Już ci o tym mówiłem?

Odpowiedź: Tak.

Pytanie: Wiesz również, że wszystko, co powiesz, może zostać wykorzystane w sądzie przeciw tobie? O tym także ci mówiłem, prawda?

Odpowiedź: Tak.

Pytanie: I wiesz, że przysługuje ci prawo do skorzystania z usług adwokata, który nie by cię nie kosztował?

Odpowiedź: Tak.

Pytanie: A więc składasz zeznanie z własnej woli?

Odpowiedź: Tak, chcę to już mieć za sobą.

Pytanie: Billy, czy możesz mi powiedzieć, gdzie byłeś we wczesnych godzinach porannych dwudziestego siódmego listopada?

Odpowiedź: Czy to dzień, kiedy wszystko się wydarzyło?

Pytanie: Tak, Billy.

Odpowiedź: Żebrałem.

Pytanie: Chodzi ci o zbieranie datków? Prośenie obcych o pieniądze?

Odpowiedź: Tak.

Pytanie: Czy trafiłeś wtedy w okolice Gramercy Park?

Odpowiedź: Czy to ten z zamykaną bramą?

Pytanie: Właśnie ten. Czy tam się znalazłeś?

Odpowiedź: Tak.

Pytanie: W porządku, Billy. Chcę teraz, żebyś powiedział mi, co się zdarzyło w pobliżu Gramercy Park. Powiedz mi tak, jak potrafisz.

Odpowiedź: Zobaczyłem kobietę.

Pytanie: A ona co robiła?

Odpowiedź: Co robiła?

Pytanie: Tak, kiedy zobaczyłeś japo raz pierwszy.

Odpowiedź: Parkowała samochód.

Pytanie: Czy możesz opisać ten samochód?

Odpowiedź: Ja... ja nie...

Pytanie: Jeśli czegoś nie pamiętasz, po prostu powiedz „Nie pamiętam”

Odpowiedź: Nie pamiętam samochodu.

Pytanie: Nie masz prawa jazdy? Nigdy w życiu nie prowadziłeś samochodu?

Odpowiedź: Nie, nigdy się tego nie nauczyłem.

Pytanie: Czy możesz opisać tę kobietę?

Odpowiedź: Nie, nie pamiętam.

Pytanie: Ależ Billy, przecież opisałeś ją poprzednio. Czy była blondynką?

Odpowiedź: Tak, była blondynką. Teraz sobie przypominam. Była ładna i chciałem się z nią pieprzyć. Podeszedłem do niej, ale ona powiedziała „Nie”. Potem wepchnąłem ją z powrotem do samochodu...

Pytanie: Zdażyła z niego wyjść?

Odpowiedź: Hmm?

Pytanie: Powiedziałeś, że zobaczyłeś ją parkującą auto. Czy zdażyła z niego wyjść, zanim podeszedłeś?

Odpowiedź: Tak, wysiadła z samochodu.

Pytanie: Więc co stało się później?

Odpowiedź: Była bardzo ładna i chciałem się z nią pieprzyć. Podeszedłem do niej, ale ona powiedziała „Nie”. Potem wepchnąłem ją z powrotem do samochodu. Byłem bardzo zły. Wyjąłem nóż i dźgnąłem ją. Raz, drugi, w sumie trzy razy. Skaleczyłem ją w ramię i w szyję. Później przepchnąłem ją na tylne siedzenie. Wysiadłem i zamknąłem drzwi na klucz. Na ulicy zobaczyłem kobietę z psem. Ją też chciałem zabić, ale bałem się psa, więc poszedłem do domu.

Pytanie: Billy, czy to twój nóż?

Odpowiedź: Ja... nie jestem pewien. Wygląda jak mój. Tak, prawdopodobnie to mój nóż.

Pytanie: Czy tym właśnie nożem zabiłeś tę kobietę?

Odpowiedź: Tak.

Pytanie: Czy zdażyła coś powiedzieć, zanim ją zabiłeś?

Odpowiedź: Powiedziała, że nie będzie się ze mną pieprzyć.

Pytanie: Jak dokładnie brzmiały jej słowa?

Odpowiedź: Nie pamiętam.

Pytanie: Czy dlatego, że byłeś zdenerwowany?

Odpowiedź: Zapewne tak.

Pytanie: Byłeś tak zły, że nawet jej nie słuchałeś?

Odpowiedź: Tak.

Pytanie: Czy mówiła coś, gdy wyciągnąłeś nóż?

Odpowiedź: Chyba tak. Była przerażona.

Pytanie: Kiedy pchnąłeś ją nożem, czy twój płaszcz załapała krew? Pomyśl uważnie.

Odpowiedź: Nie mogę, detektywie Brannigan. Jestem tak zmęczony, że nie mogę myśleć.

Pytanie: Chciałbyś napić się kawy? Możesz się napić, jeśli chcesz.

Odpowiedź: Tak.

Pytanie: Dobrze, Billy. Ponownie włączyłem magnetofon. Czy jesteś gotowy?

Odpowiedź: Tak.

Pytanie: Czy czujesz się trochę lepiej? Bardziej rozbudzony?

Odpowiedź: Tak.

Pytanie: W porządku, cofnijmy się nieco. Czy dotykałeś tę kobietę po w-
pchnięciu do auta?

Odpowiedź: Dotykałem jej piersi. Pytanie: I co mówiła? Odpowiedź: Krzyczała:
„Nie, nie, nie...”. Pytanie: A kiedy wyjąłeś nóż, czy coś mówiła? Odpowiedź: Zaczę-
ła płakać i powtarzać: „Proszę, nie rób mi krzywdy”. Pytanie: I co się wtedy stało?
Odpowiedź: Wtedy dźgnąłem ją raz, drugi i trzeci. Pytanie: Czyjej krew opryskała
ci płaszcz?

Odpowiedź: Tak. Po przyjsciu do domu, wyrzuciłem go. Potem poszedłem do
kościola i wziąłem inny.

Pytanie: Który to był kościół, Billy?

Odpowiedź: Nie wiem, jak się nazywa. Na dwudziestej ósmej ulicy.

Pytanie: A co zrobiłeś z nożem?

Odpowiedź: Zostawiłem go w domu.

Pytanie: A gdzie znajduje się twój dom, Billy?

Odpowiedź: Nad rzeką.

Pytanie: Chodzi ci o East River przy dwudziestej trzeciej ulicy?

Odpowiedź: Tak sądzę.

Pytanie: I twój dom to wielka, drewniana skrzynia?

Odpowiedź: Pudło. Mieszkam w pudle. Jestem bezdomny.

Pytanie: Czy potwierdzasz, że wszystko, co mi powiedziałeś, jest prawdą?

Odpowiedź: Tak.

Pytanie: A swoje zeznanie złożyłeś całkowicie z własnej woli?

Odpowiedź: Tak.

Pytanie: Dziękuję ci, Billy. To już koniec.

1.

Kiedy na czterdziestej siódmej ulicy zaczęła się bójka, Marty Blake wysiadł ze swojej rozgrzanej niczym piec taksówki. Z chodnika miał znacznie lepszy widok. Nie był zniecierpliwiony ani zdenerwowany, choć jak wiadomo, taksówka nie przynosi zysków, jeśli nie jeździ. Nie przejmował się nawet tym, że po odliczeniu należności dla korporacji i zatankowaniu do pełna ledwie wystarczy mu pieniędzy na obiad i piwo.

Marty Blake nie należał do ludzi żądnych krwi. Niczego tak nie pragnął, jak przemknąć się bokiem bez zwracania uwagi na dwóch idiotów skaczących sobie do gardeł. Niestety, samochody walczących stały między rogami a jego taksówką. Marty mógł przejechać tylko po chodniku, lecz nawet gdyby wystarczyło mu odwagi, by stawić czoło zebrany gapiom, drogę do krawężnika blokowała nieprawidłowo zaparkowana furgonetka z całym plikiem mandatów wetkniętych za wycieraczkę.

— Panie kierowco, źle się czuję, proszę się tu nie zatrzymywać.

W ostrych promieniach południowego słońca twarz pasażerki wydawała się całkowicie pozbawiona wyrazu. Na jej czole oraz długim nosie połyskiwał zroszony potem puder, a w grubych soczewkach okularów Blake dostrzegł dwa maleńkie słoneczka.

— Nic na to nie mogę poradzić, proszę pani — wzruszył ramionami Blake. — Wszystko w rękach Boga.

Miał nadzieję, że jego pobożne westchnienie skłoni kobietę do milczenia, lecz okazała się ona płonna.

— Nie zniosę takiego upału. Powinien był pan wybrać inną drogę.

Blake wiózł staruszkę wraz z jej tobołkami od szóstej alei niedaleko Herald Square. Kazała zawieźć się na West End Avenue, więc posłusznie ruszył w stronę centrum i przedzierając się przez gęstniejący ruch, wypatrywał okazji, by wydostać się ze śródmiejskiego zgiełku. Czterdziesta siódma ulica w zasięgu wzroku była najzupełniej przejezdna. Teraz jednak, znajdując się niespełna sto metrów od dziesiątej alei, utknął na dobre.

— Ma pani rację — przyznał Blake. Kobieta skrzywiła się na widok rozgrywanej się sceny, jakby litowała się nad czarnym mężczyzną. — Powinienem był pojechać inną drogą.

Uśmiechnął się i znów zaczął obserwować bójkę. Wysoki grubas wciąż pochylony nad fordem wydzierał się na uwięzionego w środku Murzyna.

— Czarna dupa. Jesteś czarną dupą. Wszystkie czarne dupy należałoby wysłać z powrotem do Afryki.

Mężczyzna w samochodzie sprawiał wrażenie raczej zmieszanego niż

przestraszonego. Blake niejednokrotnie rozmawiał z rosyjskimi kierowcami taksówek, którzy obsługiwali hotele. Określeniem „czarna dupa” posługiwali się tak, jak inni używają słowa „czarnuch”.

— Panie kierowco, proszę.

Blake odwrócił się w stronę swojej pasażerki. Przewoził średnio sześćdziesiąt osób dziennie i czasami myślał o nich jak o pakunkach.

— Nic nie poradzę. Po prostu nie ma jak przejechać.

— Dlaczego wybrał pan tę ulicę? Żądam odpowiedzi.

— Zwyczajny pech.

— Bezcelność, jestem starszą kobietą.

— Współczuję, ale to nie moja wina.

— Umieram od gorąca. W tej taksówce jest chyba ze trzydzieści pięć stopni.

— Tak naprawdę to czterdzieści trzy. Z przodu mam termometr.

Uwięziony przez napastnika czarny mężczyzna poruszył się. Według Blake'a jego największym problemem było wydostanie się z samochodu w sposób uniemożliwiający natychmiastowy nokaut.

— Proszę, niech mnie pan nie ignoruje. Jestem pasażerem i mam swoje prawa.

— Kobieto, wystarczy przecież, że przejdzie pani pieszo do dziesiątej alei i tam złapie inną taksówkę. Nic trudnego.

— Skoro muszę iść pieszo, nie zamierzam płacić.

Blake sięgnął przez otwarte okno i skasował licznik. Nie było sposobu, na wymuszenie zapłaty, chyba że przemocą. Jeszcze kilka miesięcy temu kłóciłby się, stawiał żądania oraz groził, że wezwie policję, ale nie dzisiaj. Po 364 dniach wygnania wracał do domu. Domem w tym przypadku było Manhattan Executive Security, Inc.

— W porządku, proszę pani. Te pieniądze zapewne przydadzą się pani bardziej niż mnie — otworzył drzwi, po czym cofnął się. — Proszę nie zapomnieć o swoich tobołkach.

Kobieta, wyraźnie pocieszona perspektywą zaoszczędzenia całych trzech dolarów i pięćdziesięciu centów, wysiadła z samochodu, zabrała stertę pakunków i ruszyła wzdłuż ulicy. Blake obserwował ją jeszcze przez chwilę. Pomyślał, że przypomina babcię Emmy, która opowiadała mu o wielkim kryzysie w taki sam sposób jak druga babcia, Agatha, zwykła mówić o Czerwonym Kapturku. Emma, babka ze strony matki, w ostatnich latach swojego życia cieszyła się z każdego centa zaoszczędzonego w supermarketach bądź też ze swetra kupionego na wyprzedaży. Dorobek życia babci wykorzystywała obecnie jej córka.

Gdy Blake odwrócił się, zobaczył, jak zwaśnione strony przechodzą od słów do czynów. Gruby Rosjanin niespodziewanie sięgnął do wnętrza samochodu Murzyna, ale tam natknął się na jego zęby. Odskoczył krzycząc, podczas gdy przeciwnik wykorzystując okazję, wysiadł z drugiej strony.

Tylko bez broni, pomyślał Blake. Proszę tylko bez broni. Jeśli któryś z nich rzeczywiście uszkodzi drugiego, przez najbliższe sześć godzin będą mnie przesłuchiwać gliny.

Wyglądało na to, że jego pragnienie jednak nie zostanie spełnione. Murzyn obchodził właśnie swoje auto, wymachując żelazną rurą o blisko metrowej długości, co zdaniem Blake'a było całkiem niezłym pomysłem. Murzyn o piętnaście centymetrów niższy od białego i co najmniej o pięćdziesiąt kilogramów lżejszy, nie mógł nawet uciekać, gdyż jego samochód zablokowały inne auta.

Blake spojrzął na zebrany tłum, który składał się głównie z mężczyzn o oczach pełnych nienawiści. Sztywne szczęki, połyskujące czoła, zaciśnięte pięści, przesiąknięte potem ubrania. Później „umysłowi” wezmą prysznic i przebiorą się, robotnicy i włóczędzy będą się drapać i śmierdzić.

— Dawaj, dawaj. Wal go w mordę, do cholery. Skop mu dupę.

Doskonały przykład ulicznej równości i demokracji, pomyślał Blake. Bezdomni obok dyrektorów. Wizje Thomasa Jeffersona wyjęte z Karty Praw i rzucone na chodnik.

Blake ponownie odwrócił się w kierunku walczących. Murzyn wyraźnie nie chciał się bić. Bezustannie wymachiwał rurą, ale ani na krok nie zbliżył się do Rosjanina. Ten natomiast chodził w kółko, monotonna nucąc.

— Czarna duuupa, czarna duuupa, czarna duuupa.

Wreszcie niezdecydowany Murzyn wykonał pierwszy ruch. Cios wymierzony w czaszkę Rosjanina, dość głośny, nie spowodował u zaatakowanego ani śmierci, ani nawet utraty przytomności. Śmiejąc się i ignorując krew zalewającą mu oczy, Europejczyk chwycił mniejszego od siebie mężczyznę, a następnie rzucił nim. Murzyn uderzył głową w chodnik.

— Czarna duuupa.

Powoli, jakby dla potwierdzenia własnej godności, Rosjanin wyprostował się, a potem z głośnym posapywaniem, nie spiesząc się, zaczął kopać ogłuszonego przeciwnika. Raz, drugi, trzeci.

Blake widząc, że zwycięzca nie zamierza przestać oraz że leżący człowiek przestał się poruszać, wkroczył do akcji.

— Wystarczy — odezwał się, próbując nadać swojemu głosowi taką siłę, by zwrócić uwagę Rosjanina. — Wygrałeś. Koniec walki. No już, wystarczy.

Grubas odwrócił lekko głowę i warknął:

— Ciebie też zabiję. — W jego oczach wciąż tliło się szaleństwo.

— Chłopie, chyba nie chcesz nikogo zabić — odpowiedział Blake, podnosząc dłonie do góry w pojednawczym geście. — Za zabójstwo grozi naprawdę sroga kara. Od dwudziestu pięciu lat do dożywocia. W Attice*.

* Attica — zakład karny w stanie Nowy Jork (przyp. tłum).

To pouczenie miało uspokoić rozjuszonego mężczyznę, lecz nie odniosło skutku. Mimo wszystko jednak odsunął się od swego leżącego przeciwnika, co

Blake uważałby za pewien sukces, gdyby tylko nie szedł teraz w jego kierunku.

Blake nie bał się. Cztery lata treningów w zapaśniczej reprezentacji college'u stanowego (był wystarczająco dobry, by wziąć udział w eliminacjach do kadry olimpijskiej, lecz nie na tyle, by wygrać choć jedną walkę) nauczyły go wysoko trzymać głowę. Kolejne dziesięć lat ćwiczeń na jednej z sal gimnastycznych w Forest Hills dodały mu jeszcze pewności siebie. Obecnie wyciskał sto pięćdziesiąt kilogramów, czyli o ponad sześćdziesiąt więcej, niż sam ważył. Być może nie mógłby kandydować na silacza roku, miał jednak pewność, że zdołałby unieszkodliwić przekłętego Rosjanina.

— Słuchaj, popełniasz ogromny błąd — Blake nie przestawał się cofać. — Na razie nic nie zrobiłeś. Wszystko w obronie własnej. Facet rzeczywiście walnął cię rurą w głowę i masz ranę świadczącą na twoją korzyść. Ale ja przecież nie mam żadnej broni — podniósł ponownie ręce. — Na dodatek uciekam. Słyszysz syreny? Lada chwila przyjadą tu gliny. Czy nie masz już wystarczająco dużo problemów? Po co masz być oskarżony o drugą napaść? Pomyśl o tym.

Blake dostrzegł błysk zrozumienia w oczach Rosjanina. Nie była to jeszcze inteligencja, ale przynajmniej jakiś spryt. Może wspomnienie własnego kraju i tego, co władze potrafią tam zrobić człowiekowi.

— Czemu się wtrącasz?

— Przyszynaję, nie powinienem. Nie ma jednak sensu ciągnąć tego dalej. Trzeba tylko poczekać na policję.

— Jesteś wstrętnym tchórzem.

— W porządku, zgadzam się.

— Jesteś wstrętnym *amerykańskim* tchórzem.

Gdy Rosjanin odwrócił się w oczekiwaniu na policję, Blake, działając pod wpływem impulsu, zrobił krok do przodu i uderzył go pięścią w kark. Choć jego cios (podobnie jak ów w wykonaniu Murzyna) nie był śmiertelny, całkowicie unieszkodliwił grubasa. Mężczyzna upadł na chodnik i zaczął kwiczeć niczym wykastrowana świnka.

Blake potrząsnął głową z obrzydzeniem!

— Zapamiętaj to sobie, palancie. Podstawowa zasada na amerykańskiej ulicy — nigdy nie odwracaj się tyłem do człowieka, którego właśnie upokorzyłeś.

— Panie sierżancie, cała moja rodzina pracowała w tym fachu — wyjaśniał Blake. — Dwaj wujkowie, mój stary i kilku kuzynów. Od 1883, kiedy niejaki Kilpatrick zrobił mojego prapradziadka policjantem.

— A więc co stało się z tobą?

Marty Blake i detektyw sierżant Paul O'Dowd siedzieli w przyjemnym chłodzie klimatyzowanego wnętrza posterunku policji przy dziesiątej alei. Ich przyjazna pogawędka przedłużała się, a tłum w poczekalni gęstniał.

Blake opowiadał o sobie. W 1983 roku ukończył Nowojorski College Stanowy, zdobywając licencjat w dziedzinie informatyki. Podjął pracę przynoszącą mu rocznie trzydzieści pięć tysięcy dolarów. Całkiem nieźle jak na dwudziestojednoletniego chłopaka. Jedyny problem stanowił fakt, że nienawidził swojej pracy. Początkowo tworzenie oprogramowania na zamówienia banków wydawało się dość interesujące, szczególnie z punktu widzenia studenta nie mającego funduszy, by zrobić magisterium. Później jednak okazało się nudne jak flaki z olejem.

— Dlaczego więc jeździsz taksówką?

— To długa historia. Czy jest pan pewien, że chce tego słuchać?

— Blake, tamten czarnuch jest w ciężkim stanie. Gdyby przypadkiem mu się zmarło, mielibyśmy do czynienia z zabójstwem. Ty byłeś świadkiem, a moim zadaniem jest cię dokładnie sprawdzić. A więc powiedz mi, dlaczego zostałeś taksówkarzem?

— Czy miał pan kiedyś pracę, której nienawidził?

— Nie cierpię mojej roboty.

— Niech więc pan sobie wyobrazi, że jakiś człowiek poznany na przyjęciu zaproponował panu pracę. Coś tysiąc razy ciekawszego i lepiej płatnego niż zawód policjanta.

— Mów dalej, to ciekawe.

— Osoba, którą spotkałem, to Joanna Bardo, prezes i właściciel agencji detektywistycznej Manhattan Executive Security. Kiedy powiedziałem jej, że jestem programistą, z miejsca zaproponowała mi posadę.

— Mianowicie jaką?

Blake uśmiechnął się.

— Panie sierżancie, wie pan na czym polega łażenie za kimś? W Manhattan Executive zanim zaczniemy kogoś nachodzić, posługujemy się komputerem. Numery tablic rejestracyjnych, raporty o wypadkach, kartoteki policyjne, polisy ubezpieczeniowe, akty własności, urodzenia, zgonu — wszystko to można tam znaleźć. Wystarczy tylko telefon.

— Oczywiście dzwoni komputer?

— Zgadza się. Wystarczy podać komputerowi numer ewidencyjny, a wszędzie odnajdzie człowieka. Manhattan Executive była jedną z pierwszych firm wykorzystujących komputer do poszukiwania osób. Był taki czas, że z naszych usług korzystał każdy, kto za kogoś wpłacił kaucję, a jego podopieczny ulotnił się. Teraz mamy konkurencję, lecz wciąż jeszcze sami dobieramy sobie klientów.

— Brzmi to nieźle. Zapewne wiąże się też z niemałą forszą?

— Tak, ale byłoby lepiej, gdybym pozostał przy komputerach. Ja jednak chciałem pracować w terenie, więc wyrobiłem sobie licencję. Jestem pełnoprawnym prywatnym detektywem. Albo raczej będę za niecałe sześć godzin. Na razie

jestem jeszcze zawieszony, za nielegalną inwigilację. Nie mieli przeciwko mnie żadnych poważnych dowodów, ale ja, nie mając odwagi stanąć przed sądem, zgodziłem się na zaproponowany roczny urlop bezpłatny. Dzisiaj mija ostatni dzień.

2.

Mimo że było jeszcze bardzo wcześnie, zaledwie parę minut po szóstej, Marty Blake, stojąc w łazience, starannie mydlił swą ciemną, bujną brodę. Poprzedniego wieczoru nie zawracał sobie głowy nastawianiem budzika. Nie potrzebował z niego korzystać. Zwykle o tej porze kursował już po Manhattanie, przemierzając ulicę za ulicą w poszukiwaniu ostatnich pasażerów z nocnej zmiany i pierwszych spośród tych pracujących za dnia.

Teraz jednak koszmar dobiegł już końca, pozostało jedynie wspomnienie. Odpokutował swoje winy i wreszcie wracał do „domu”. Przynajmniej miał taką nadzieję.

Dzwoniąc do Joanny Bardo, oczekiwał znacznie większego entuzjazmu z jej strony. Spodziewał się, że zostanie powitany jak bohater, którym był w istocie. Nawet w najgorszych chwilach, kiedy prokurator mówił o piętnastu latach, a jego własny adwokat nie miał odwagi spojrzeć mu w oczy, kiedy proponowano mu darowanie winy, jeśli wystawi Joannę Bardo, on pozostawał wierny. Wziął wszystko na siebie.

Sprawa wydawała się dosyć prosta. Mała firma handlowa, Hattmann Brothers, podejrzewała jednego ze swych kierowników, księgowego o nazwisku Porcek, o handel poufnymi informacjami. Porcek przekazywał dane dotyczące nowych przedsięwzięć swojemu szwagrowi, ten z kolei podawał je innemu kuzynowi, który w imieniu żony kupował akcje. Szefowie firmy zamierzali pozbyć się księgowego, zanim przyplącze się FBI, lecz potrzebowali czegoś więcej niż tylko poszlak. Chcieli zdobyć wystarczająco dużo dowodów, by zmusić Porceka do dobrowolnej rezygnacji ze stanowiska i w ten sposób uniknąć skandalu.

Wynajęli Joannę Bardo, która wyznaczyła Marty'ego Blake'a, swojego najlepszego detektywa, szczególnie jeśli chodzi o nielegalne operacje. „Marty, naszego klienta nie interesuje sposób, w jaki wykonamy zadanie — poinformowała go znacząco Joanna. — Chce tylko, żebyśmy załatwili sprawę”.

Blake zrozumiał aluzję, włamał się do mieszkania Porceka podczas nieobecności właściciela i zainstalował podsłuch. Nie było to nic wielkiego. Pomimo postępu technologicznego praca prywatnego detektywa nie zmieniła się od czasów, gdy wykonywanie tego zawodu polegało na śledzeniu niewiernych małżonków. Klienci oczekiwali rezultatów i nie zamierzali płacić za sześciomiesięczną obserwację z dystansu. Jeżeli nie zgodzisz się na łamanie przepisów, zrobi to twój konkurent.

Zanim Blake zorientował się, że nielegalne interesy Porceka nie polegają jedynie na handlu poufnymi informacjami, do mieszkania księgowego wkroczyła policja gospodarcza i oprócz dwóch milionów w fałszywych banknotach znalazła także liczne podsłuchy. FBI zatrzymało podrabiane pięćdziesięciodolarówki, a urządzenie do podsłuchu przekazało prokuraturze stanowej. Prokurator udał się do Hattmann Brothers, gdzie powiedziano mu o Manhattan Executive i Joannie Bardo, a ta z kolei, nie mając innego wyjścia, wskazała Marty'ego Blake'a.

Pomimo usilnych starań oskarżenie nie miało wystarczających dowodów, by wytoczyć sprawę. Blake'owi zaproponowano oczyszczenie z zarzutów pod warunkiem, że weźmie roczny urlop bezpłatny. Przystąpił na tę propozycję, ponieważ nie miał odwagi złożyć w ręce ławy przysięgłych decyzji dotyczącej najbliższych dziesięciu lat jego życia.

Marty Blake splukał resztki kremu do golenia, wytarł się ręcznikiem, a następnie przyjrzał w lustrze swojej twarzy. Wolałby, żeby wyglądała nieco bardziej dostojnie, arystokratycznie. Obecnie bogaci klienci to głównie wielkie korporacje, które oczekują od detektywa odpowiedniej prezencji. O cygarach, pogniecionych garniturach i butelkach wystających z kieszeni nie może być mowy.

Marty jednak zawsze doskonale wiedział, że jego twarz nigdy nie będzie dostojna. Ma zbyt mocno kręcone włosy, za długi nos oraz zbyt pełne usta. Ciemnoniebieskie oczy byłyby do przyjęcia, gdyby nie to, że są niesymetrycznie osadzone. Podobnie rzecz się miała z nosem. Dziesięć lat temu pewien przerośnięty drugoklasista przygniótł lewą stronę jego twarzy. Nie chodziło o jakąś złośliwość, po prostu próbował przewrócić Marty'ego, a on z kolei za wszelką cenę starał się uciec z maty. W rezultacie po zagojeniu się licznych zadrapań Blake'owi pozostał nieco głupawy wyraz twarzy — rzucający się w oczy szczególnie, gdy się uśmiechał.

Nie przejmował się jednak swoim wyglądem. Właściwie uważał go nawet za coś pozytywnego. Kiedy się ma sto siedemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu i osiemdziesiąt pięć kilogramów wagi, kiedy klatka piersiowa ma w obwodzie sto dwadzieścia centymetrów ludzie biorą cię za typa, który wszystkie weekendy spędza na egzekwowaniu długów w imieniu jakiegoś lichwiarza.

Charakterystyczny uśmiech Marty'ego łagodził pierwsze niekorzystne wrażenie. Na policzkach pojawiały mu się zabawne dołeczki, mrużył swe wielkie, niebieskie oczy, a klienci natychmiast zapominali o swoim onieśmieleniu. Wydawał się wesoły, pełen zapału i nade wszystko usłużny. A gdy zaczynał opowiadać o poszukiwaniach za pomocą komputera oraz technikach inwigilacyjnych, wykazywał się czystym profesjonalizmem. W rezultacie postrzegany był jako osoba godna

zaufania, która odwali brudną robotę bez narażania na szwank reputacji zleceniodawcy.

— Kochanie, co robisz tak wcześnie w łazience? Spotkanie masz przecież dopiero o dziesiątej.

Blake, jak zwykle gdy chodziło o Rebeke Webber, zwracał uwagę raczej na ton jej głosu niż wypowiedane słowa. Lekka chryпка nie oznaczała, że pragnęła jeszcze pospać. Była po prostu napalona. Przecież dlatego do niego przyszła.

— Staram się, by moje policzki nie drapały twoich.

— To miło z twojej strony.

Blake odłożył na półkę maszynkę do golenia i odwrócił się. Pomimo śladów snu na twarzy i braku makijażu jego zdaniem Rebeka Webber wyglądała pięknie. Miała duże, ciemne oczy zdradzające mądrość i pewność siebie. Marty dostrzegł w nich teraz pożądanie.

Za godzinę z pewnością pójdzie do Sutton Athletic Club, gdzie jej osobisty trener będzie oceniać ciało Rebeci, podobnie jak czynią to sędziowie na pokazie psych piękności. Twarz, szyję, barki i ramiona, piersi, górne i dolne partie brzucha, talię, pośladki, biodra, uda i wreszcie łydki. Rezultaty nigdy nie zadowalały Rebeci, lecz Marty'emu wydawały się idealne.

— Zdejmij to.

Miała na sobie jedynie złotą, krótką haleczkę nałożoną na nagie ciało.

— Rozwiąż to — zaczęła długim, smukłym palcem o ręcznik owinięty wokół jego bioder.

Blake pociągnął za węzeł utrzymujący ręcznik, patrząc jednocześnie na rozbiegającą się powoli Rebeke. Uśmiechała się. Blake wpatrywał się w ciemną kępkę włosów, miękkie, różowe ciało oraz opalony brzuch. Haleczka zawadziła o koniuszki piersi, pociągnęła je do góry, by następnie pozwolić im swobodnie opaść.

— Cudowne, po prostu cudowne.

Biorąc ją w ramiona, poczuł sutki dziewczyny ocierające się o włosy na jego klatce piersiowej, zaciskające się najęgo nogach uda oraz gorące i wilgotne ciało przylegające do jego skóry.

— Chodźmy pod prysznic — odezwała się cicho.

Marty bez najmniejszego sprzeciwu pozwolił poprowadzić się do kabiny. Już dawno zorientował się, że władza Rebeci nad jego osobą bierze się ze wzajemnego pożądania. Kiedy pragnęła go tak bardzo jak teraz, szedł za nią posłusznie niczym piesek za swoim panem.

Pod prysznicem, czując ciepłą wodę spływającą po ich ciałach, Blake całkowicie zapomniał o swoich obawach dotyczących najbliższej przyszłości. Kiedy trzymane przez Rebeke mydło dotknęło jego kręgosłupa, gdy prześlizgnęło się pomiędzy pośladkami, skupił się wyłącznie na zmysłowych doznaniach. Przyklekając zanurzył głowę pomiędzy udami kochanki, by na koniec z poczuciem triumfu przyjąć jej orgazm.

Pragnął tego zapomnienia, tęsknił za nim, słysząc przez telefon głos Rebeki. Łatwiej mu było znieść myśl, że nie zobaczy jej przez cały tydzień, gdy ona wróci do domu. Jeśli nawet nie do męża, to przynajmniej do jego życia, życia człowieka, który od urodzenia miał tak wielki majątek, że praca stanowiła dla niego tylko hobby.

Blake zdawał sobie sprawę, że nawet gdyby William Webber zaginął w nieznanych okolicznościach, on, syn policjanta, nigdy nie mógłby stać się częścią tamtego stylu życia. Wiedział również, że Rebeka nigdy nie porzuci męża. Związek z Martym to jedynie przyjemność w chwilach, gdy ich ciała się łączą, a jego palce zaciskają się na jej pośladkach.

3.

Manhattan Executive Security, Inc, nie zmieniło się zbyt wiele w ciągu roku. Na podłodze leżała ta sama szara, niewyobrażalnie droga wykładzina. Cynthia Barret wciąż siedziała za swoim nowoczesnym, szklanym biurkiem, odbierając telefony i witając klientów. Czarno-białe, podpisane fotografie przedstawiające widoki miejskie nadal wisiały na ścianach na tych samych miejscach. Nowa była jedynie twarżda, skórzana kanapa. Stara, jak pamiętał Blake, została pocięta przez niezadowolonego pracownika.

Nazywał się Vincent Cappolino i już samo jego istnienie świadczyło o podwójnym obliczu Manhattan Executive. W pomieszczeniach znajdujących się za biurkiem Cynthii Barret pracowali detektywi, informatycy, elektronicy, biegły księgowy oraz pólétatowy adwokat. Gabinet Joanny Bardo mieścił się na końcu korytarza. Umieblowany dziewiętnastowiecznymi amerykańskimi antykami był, jak mawiała jego właścicielka, godny dyrektora naczelnego.

Z punktu widzenia klientów Manhattan Executive (a przynajmniej tych, którzy wchodzili frontowymi drzwiami) gabinet Joanny znajdował się na samym końcu drogi. Nie mieli oni najmniejszego pojęcia o istnieniu położonego dalej zaplecza. Nie wiedzieli również o detektywach zajmujących się poszukiwaniem zbiegłych aresztantów zwolnionych za kaucją, którzy za swoje usługi pobierali procent od odzyskanej kwoty. W branży nazywano ich poszukiwaczami zbiegów, lecz Marty Blake wolał tradycyjne określenie „łowcy głów”.

Na początku swojej kariery w Manhattan Executive Blake pracował z nimi jako informatyk. Doskonale wiedział, że niektórzy spośród nich, między innymi Vinnie Cappolino, byli równie stuknięci jak ludzie, których ścigali.

— Martin? Możesz wejść — uśmiech Cynthii był jak zwykle ujmujący. — Miło, że wróciłeś.

— To proroctwo, Cyn? Czy może wiesz coś, o czym ja nie mam pojęcia?

Wedle krążącej plotki Cynthia Barret i Joanna Bardo były kochankami. Blake jednak znał obie wystarczająco dobrze, by wiedzieć, iż nie było w tym słowa prawdy. Rzeczywiście łączyła je bliska przyjaźń. Bliska na tyle, by skąpa zazwyczaj Joanna płaciła Cynthii dwukrotnie więcej, niż zarabiają inne nowojorskie recepcjonistki. Wyróżniana podwładna odwdzięczała się jej niemal psią wiernością.

— Marty, lepiej się pospiesz.

Mam kłopoty, pomyślał Blake, idąc korytarzem. Mam kłopoty, a nie wiem dlaczego.

Joanna Bardo traktowała swoją firmę jak rodzinę. Lubiła o niej tak myśleć i często posługiwała się tym porównaniem. Ona była oczywiście matką kochającą wszystkie swoje dzieci, także te najbardziej nieznośne. Nawet Vinniego Cappolino, który wciąż dla niej pracował, chociaż zniszczył kanapę wartą dwa tysiące dolarów. Blake natomiast, wyobrażał sobie Manhattan Executive jako średniowieczny dwór z Joanną Bardo zajmującą miejsce na tronie. Była despotką, a nie matką, nieprzewidywalną, kapryśną i od czasu do czasu bezwzględna.

— Marty, miło cię znowu widzieć.

Powitalny uśmiech wydawał się prawdziwy, lecz należało pamiętać, że wszystko co dotyczyło Joanny wydawało się prawdziwe, począwszy od zasłon w oknach, poprzez finezyjne krzesła w osiemnastowiecznym stylu, stojące przed biurkiem, dwurzędowy żakiet od Karla Lagerfelda, a skończywszy na sznurze pereł wiszącym na jej szyi. Każda rzecz *sprawiła wrażenie* oryginalności, lecz Blake wiedział, że połowa spośród tych „antyków” była jedynie kopiami, a kostium, buty i biżuteria pochodziły od lichwiarza, u którego technicy Joanny często przeprowadzali „odpluskwanie”.

— Miło być znów w domu — jeśli Joanna zamierzała się go pozbyć, Blake postanowił utrudnić jej to, na ile się tylko da.

— Usiądź Marty i napij się kawy.

W drzwiach pojawiła się Cynthia Barret, niosąc najdroższy spośród dostępnych w firmie serwisów do kawy.

— Niedobrze — odezwał się Blake, gdy tylko ponownie zostali sami, po czym wskazując serwis, usiadł.

— Dlaczego tak sądzisz?

— Ponieważ nie jestem dyrektorem naczelnym, ani nawet zastępcą dyrektora. Ponieważ nie podałaś mi kubka i nie kazałaś obsłużyć się samemu.

Blake przyglądał się, jak Joanna panuje nad swoją twarzą. Nie zmieniła się zbyt wiele. Te same nieco wytrzeszczone oczy z ciemnymi łukami brwi, prosty nos, kształtne usta i mały, ostry podbródek. Dzięki delikatnym rysom wydawała się miękka i słaba, ale Blake wiedział, że pod tą maską kryje się doskonały, bezwzględny intelekt. Widywał już Joannę walczącą w obronie swego królestwa i poddanych. Pamiętał czasy, gdy obnażała kły niczym osaczona wilczyca.

— Nie było cię ponad rok, jesteś więc specjalnym gościem.

Blake wzruszył ramionami zdziwiony.

— Joanno, pamiętasz chyba, że mało brakowało, a trafiłbym na dziesięć lat do więzienia i na zawsze straciłbym licencję. Dlatego postanowiłem nie korzystać z dawnych kontaktów. Wiesz, chodzi mi o podejrzenia — uśmiechnął się, lecz Joanna nie dała się nabrać. Wyraz jej twarzy pozostał obojętny i nieodgadniony.

— I dlatego zdecydowałeś się na jeżdżenie... taksówką?
— Musiałem za coś żyć.
— Z twoimi kwalifikacjami mogłeś znaleźć sobie pracę przy komputerach. Choćby nawet zwyczajną obróbkę danych — potrząsnęła głową z przekonaniem. — Do licha, Marty, mogłeś pracować tutaj. Na *naszych* komputerach. Potrzebowałam cię.

— Oskarżasz mnie o nielojalność? — Blake poczuł się jakby przekonywano go, że niebo jest zielone. — Gdybyś przypadkiem zapomniała, pragnę ci przypomnieć, że to ja uratowałam twój tyłek przed więzieniem.

— Wiem Marty, ale...

— Więc zachowuj się jak należy.

— ...ale to nie takie proste.

— Prokurator uważał, że to *było* proste. Mógł mnie wykończyć — Blake bliski był zaprzepaszczenia wszystkiego. Wyprostował się, skrzyżował nogi i zaczerpnął głęboki oddech. — Wiem, że gdybym tylko poprosił, dałabyś mi pracę, ale tu na zapleczu robi się przeróżne sztuczki. Właśnie za nie wystawiasz rachunki swoim klientom, prawda? A ja, mając na karku prokuratora, wolałam trzymać się od tego z daleka. Pozwolić, żeby zapomniano o istnieniu niejakiego Marty'ego Blake'a.

— Ale *taksówkarz!* — jej palce przebiegły po perłach zawieszonych na szyi. — Mogłeś się lepiej postarać.

— Czy to cię uraziło? — może wkurzył ją fakt, że naraził na szwank wizerunek pracowników Manhattan Executive. Albo może przypomniał jej niechęć o ojcu, który całe życie przepracował na rynku rybnym w Fulton.

— Mogłeś postarać się lepiej — powtórzyła.

— Przestań, mamy recesję. Zarabiałem na czynsz i jedzenie. Poza tym nie robiłem tego pierwszy raz; przez całe studia jeździłem jako taksówkarz. Joanno, pozwól, że coś ci powiem. Po pierwsze, nie mógłbym codziennie rano podbijać karty, to zbyt poniżające; a po drugie, nie zniósłbym ciągłej obecności szefa. Zawód taksówkarza pozwalał mi pracować na ulicy, co w tych okolicznościach odpowiadało mi najbardziej. Rozumiesz?

Nagle Blake zdał sobie sprawę, że Joanna wygrała. Zanim się spostrzegł, zmusiła go do obrony, choć zdrowy rozsądek podpowiadał mu wręcz przeciwną taktykę. Kolejny raz poczuł, że zazdrości jej doskonałej umiejętności przewidywania. Uważał się za osobę myślącą logicznie, lecz w porównaniu z Joanną Bardo przypominał raczej małą próbującą zachowywać się jak człowiek.

— Przykro mi, że tak mówisz. Jeśli planowałeś powrót do dawnych obowiązków, nie będzie to proste.

Wzięła do ręki filiżankę i uniosła ją do ust prawdziwie kobiecym ruchem. Jej oczy nigdy nie zdradzały zamiarów. Blake, sięgając po swoją kawę, przypomniał sobie, że gdy trafił do firmy wkrótce po ukończeniu studiów, Joanna była dla niego wzorem do naśladowania. Może właśnie dlatego obecna rozgrywka wydawała mu się tak przykra.

— Mów dalej, Joanno. Na razie nie wiem jeszcze, jak mógłbym ci odpowiedzieć.

— Kiedy zarzuty przeciwko tobie podano do publicznej wiadomości, straciliśmy połowę naszych szanowanych klientów — na jej twarzy pojawił się smutny uśmiech. — Powiesz zapewne, że obawiali się smrodu. „Przykro nam, ale nie możemy sobie pozwolić, aby reputacja naszej firmy została zszargana przez kontakty z firmą zatrudniającą kryminalistów”.

— A nie mówili tak?

— No cóż Marty, jakoś przetrwaliśmy, uniknąwszy zbiorowych zwolnień.

— Kazałaś chłopcom z zaplecza pracować po godzinach? — Blake nie widział innego sposobu, dzięki któremu Manhattan Executive mogłoby przetrwać. Jedyną rzeczą, jaką wpłacający kaucję pragną ochronić, są ich pieniądze, a te nie muszą dbać o swój wizerunek.

— To był wspólny wysiłek całego zespołu. Przyłączyli się wszyscy — spojrziała w dół na gładką powierzchnię biurka i potrząsnęła głową. — Paula Rosenbauma musieliśmy wysłać aż do Pittsburga w pogoni za gwałcicielem. Postępowanie takie nazwałabym śmiesznym, gdyby nie fakt, że byliśmy zdesperowani.

Paul Rosenbaum pracował w firmie jako biegły księgowy. Kiedy jakieś przedsiębiorstwo dokonywało oszustw finansowych, on pełnił rolę głównego dochodzeniowca. Blake spróbował wyobrazić go sobie przemycającego się najpodlejszymi uliczkami Pittsburga, przesiadującego w zatłoczonych spelunkach, czy stawiającego czoło szurniętym zbirom z tatuażem na powiekach.

— Obecnie sprawy mają się już lepiej — Joanna spojrziała Blake'owi w oczy. — Częściowo dzięki temu, że nie stanąłeś przed sądem, a częściowo dlatego, że ludzie zapominają. Musimy jednak zachowywać ostrożność. Nie mogę na nowo zatrudnić cię na eksponowanym stanowisku.

Stało się najgorsze i Blake nie potrafił opanować narastającej goryczy. Najpierw potężni klienci zdradzili Joannę, a teraz ona zamierzała zdradzić jego.

— A więc gdzie zamierzasz mnie umieścić? Przy obsłudze komputerów? A może na zapleczu pośród łowców głów?

— Poszukiwaczy zbiegów — poprawiła go automatycznie. Niegdyś oboje traktowali to jako żart. — Zrozum mnie, Marty. Twój telefon w zeszłym tygodniu zupełnie mnie zaskoczył. Skoro nie odzywałeś się przez rok, doszłam do wniosku, że znalazłeś sobie inną pracę; może założyłeś własny interes.

— Nie chrań, Joanno. Jeszcze nikomu nie udało się ciebie zaskoczyć.

Wstała, podeszła do znajdującego się za jej plecami okna i odsunęła zasłonę. Z biura na ósmym piętrze rozciągał się wspaniały widok. Blake często zastanawiał się, dlaczego Joanna zasłaniała okna.

— Tak czy owak nie mogę przywrócić cię na twoje dawne stanowisko.

Blake miał ochotę wstać i spoliczkować ją. Uzmysłowił jej, co by się stało, gdyby przyjął propozycję prokuratora, gdyby posłał Joannę Bardo do więzienia. Sam przeżył najgorsze czterdzieści osiem godzin w swoim życiu, kiedy został

aresztowany. Odkrył wtedy, że taki twardziel jak on jest nikim w świecie, gdzie zabija się za kradzież tenisówek, morduje się podczas snu.

— Skoro mnie zwalniasz, czy porozmawiamy teraz o odprawie?

— Nie musi być aż tak źle — odwróciła się, zasłoniwszy z powrotem okno. — Chyba uda nam się coś wspólnie wymyślić.

Doskonale, pomyślał Blake. Na dworze panującego władcy nic nie jest proste. Należy przestrzegać rytuału. Poczul chęć złożenia ukłonu.

— Coś?

— Chodź ze mną.

Idąc za Joanną, z satysfakcją zauważył jej unoszące się i opadające pośladki. Mimo arystokratycznych aspiracji, miała zwykły, tłusty, chłopski tyłek, szerokie biodra i grube uda.

Prowadziła go przez korytarz w kierunku bocznych drzwi, które, jak Marty doskonale wiedział, prowadziły do niesławnego zaplecza.

— Joanno, słuchaj. Gdybyś przypadkiem nie zrozumiała mnie dobrze, nie mam zamiaru zostać łowcą głów.

— Poszukiwaczem zbiegów.

— Jakkolwiek chcesz to nazywać. Taka praca jest zbyt niebezpieczna, to czyste szaleństwo. — W głębi duszy Blake wiedział, że mimo wszystko przyjąłby nawet taką posadę. Właściwie nie miał innego wyboru. Skoro Joanna nie chce go zatrudnić, nie zrobi tego również żadna z czterech czy pięciu konkurencyjnych firm. Albo zgodzi się na babranie w brudach, albo poszuka sobie innego zawodu.

— Tak naprawdę nie to miałam na myśli.

Kiedy Joanna otworzyła drzwi, oczom Marty'ego ukazał się duży, zakurzony, opustoszały pokój. Jeszcze rok temu roiliby się od pracujących dla niej kowbojów. Blake wszedł do środka, by się lepiej rozejrzeć. Położone dalej mniejsze pomieszczenia również świeciły pustkami.

— Zdaje się, że długo mnie tu nie było.

— Pracują teraz w Queens pod nazwą Woodside Investigations. Manhattan Executive odpłatnie udostępnia im swoje komputery. Nie ma innego powiązania między obiema firmami.

— Musiało cię to nieźle kosztować. Czy nie mówiłaś, że miałaś kłopoty finansowe?

— Vinnie Cappolino i Walter Francis sfinansowali większość całego przedsięwzięcia. Są właścicielami stu procent udziałów.

— Prawdziwie piekielna spółka. Walter jest jeszcze bardziej nieobliczalny niż Vinnie. Ile czasu upłynie, zanim któryś z nich dojdzie do samodestrukcji? Sześć miesięcy? Rok?

— Do tego czasu nie będę już ich potrzebować.

Blake cofnęła się o krok uderzony nagłą myślą, że wszystko było tak oczywiste.

— Dlaczego po prostu nie zlikwidowałaś całego działu? Po co ta szarada?

— Vinnie, Walter i inni pracowali dla mnie bardzo długo — zawahała się, po czym sięgnęła do kieszeni po paczkę papierosów, mimo że palenie rzuciła już

wiele lat temu. Wyjawszy pustą dłoń, przez moment przyglądała się jej w milczeniu, zanim ponownie odwróciła się w stronę Blake'a. — Od kilku miesięcy zajmujemy się doradztwem politycznym. To jeszcze nic wielkiego, ale potencjał jest ogromny. Nie muszę ci chyba mówić, że politycy i partie polityczne znacznie bardziej dbają o swój dobry wizerunek niż firmy stanowiące naszą dotychczasową klientelę. „Dyskrecja” to słowo, którym uwielbiają się posługiwać.

— Pojmuję cele, ale do czego potrzebna jest cała ta szarada?

— Wszyscy oni zasługują na szansę. Vinnie i Walter. Zasługują na szansę uczenia się na własnych błędach. Jestem im to winna, a ja zawsze spłacam swoje długi.

Blake skinął głową ze zrozumieniem. Wreszcie dochodziła do sedna sprawy.

— Żadnych zobowiązań?

— Widzisz Marty, długi zagrażają przyszłości. Szczególnie gdy nie jesteś w stanie przewidzieć gdzie, kiedy i jak trzeba będzie je spłacić.

Blake odwrócił się i ruszył w kierunku gabinetu Joanny, pozostawiając ją za plecami. Kiedy już wygodnie zasiedli w fotelach, przeszedł do rzeczy.

— Spłać mnie, Joanno — odezwał się ze spokojem.

— Nie wiem, czy kiedykolwiek będę w stanie...

— Nie chrań. Nie jesteś królową angielską, do cholery. Powiedz po prostu, co zamierzałaś.

Wzdrygnęła się, słysząc przekleństwo, a potem powiedziała:

— Chcę, żebyś otworzył własną firmę.

— Tak jak Vinnie i Walter?

— Z tobą jest inaczej, Marty. Jesteś opanowany, wykształcony — pochyliła się w stronę Blake'a. — Pozwól, że zaprezentuję ci scenariusz, a ty później powiesz mi, co o nim sądzisz. Dzwoni klient, ktoś ważny, posiadający zasobne konto w banku. Mówi, że mąż jego siostry uciekł, zabierając dzieci. „Sprawa rozwodowa; trudna sytuacja; siostra nie przestaje płakać; mama nie potrafi żyć bez wnuków”. Chce — a raczej, *oczekuje* — żebyś odnalazł dzieciaki. Co ty na to?

Blake wzruszył ramionami. Wolałyby się nie godzić, lecz nie mógł odmówić. Sprawy matrymonialne miały jeszcze gorszą reputację niż łapanie zbiegów.

— Scenariusz numer dwa — Joanna przerwała, by napełnić filiżanki. Bez pytania wrzuciła Marty'emu dwie kostki cukru i dodała odrobinę śmietanki. — Dzwoni radny Smith. Jego brat, Joe, został aresztowany za zbrojny napad. Adwokat pragnie wynająć prywatnego detektywa, który nastraszyłby ewentualnych świadków oraz zapewnił mu alibi. Naturalnie wszystko w największej dyskrecji, gdyż radny Smith nie może pozwolić sobie na kolizję z prawem. Nie powinien uchodzić za stronnika pospolitych przestępców bez względu na stopień pokrewieństwa, bowiem publicznie deklaruje swoją wiarę w doskonałość naszego systemu prawnego.

Blake miał ochotę zmiażdżyć należącą do Joanny filiżankę z francuskiej porcelany, tylko po to, by zobaczyć, jak zareaguje. Dotychczasowa bezradność powoli opuszczała go, a jej miejsce zajmowała radość. Do cholery, nie daj jej nic po sobie poznać, powtarzał w duchu. Ani odrobiny.

— Zobaczmy, czy dobrze cię zrozumiałem. Chcesz podsyłać mi swoje najbardziej śmierdzące sprawy. Te, które mogłyby zaszkodzić Manhattan Executive Security. Mam zostać swego rodzaju firmowym klozetem. Zgadza się?

Drobne usta Joanny Bardo zacisnęły się, nozdrza zaczęły drgać, a oczy zwęziły się. Miała już dosyć i Blake zdawał sobie z tego sprawę.

— Wyrzuć to wreszcie z siebie, Joanno — odezwał się pospiesznie.

— Nigdy nie poproszę cię o nic, co naraziłoby cię na utratę licencji.

— Jakże to miło z twojej strony.

— Oczywiście zarówno nasze komputery, jak i technicy byłiby do twojej dyspozycji. Z trzydziestoprocentową zniżką. Płacisz po otrzymaniu pieniędzy od klienta.

— Pięćdziesiąt procent i jeżeli nie uda mi się uzyskać zapłaty, anulujesz należność.

— Przy pięćdziesięciu procentach miałabym straty.

— Zawsze możesz je nadrobić, dodając kilka godzin do czyjegoś rachunku — Blake nie zwracał sobie głowy faktem, że Joanna już obecnie zawyżała rachunki.

— Chcę także dostępu do wszelkiego sprzętu używanego przy inwigilacji. Chyba że wolisz dać mi dziesięć tysięcy na zakup własnego.

— Możesz korzystać ze wszystkich wolnych urządzeń.

Blake odstawił filiżankę i pochylił się. Marzył o otwarciu własnej firmy już od dawna (oczywiście Joanna wiedziała o tym), nigdy jednak nie miał odwagi stawić czoła nieuniknionym w podobnej sytuacji trudnościom. Teraz praktycznie niczym nie ryzykował, skoro Manhattan Executive miało podsyłać mu sprawy, podczas gdy on będzie zdobywał własną klientelę.

— Na razie będę pracować we własnym mieszkaniu. Możesz uprzedzić swoich zleceniodawców, by nie spodziewali się żadnych antyków — zaczął, aż skinie potakująco, po czym kontynuował: — Muszę mieć również jakieś gwarancje, na wypadek gdybyś nie mogła zapewnić mi tylu spraw, bym osiągnął godziwe dochody.

— Dopilnuję, by nie brakowało ci pracy. Prawdę mówiąc, mam już coś przygotowanego.

— Ciekawe dlaczego mnie to nie dziwi?

Tym razem Joanna uśmiechnęła się szczerze. Blake rozpoznał to po sposobie, w jaki zmarszczyła jej się skóra na nosie. Był to uśmiech małej dziewczynki przynoszącej do domu piątkę.

— Wierz mi, Marty. Zastanawiałam się nad tym od dawna. Czuję się odpowiedzialna za ciebie... i cholernie wdzięczna. Wszystko pójdzie doskonale, na pewno. Jesteś niezależny, inteligentny, wytrwały. I potrafisz obsługiwać arkusz kalkulacyjny. Po prostu ideał.

4.

Foley Grill na Spruce Street, ocieniony przez skomplikowaną konstrukcję Brooklińskiego Mostu, swą bezpretensjonalnością przypominał bary na przedmieściach Nowego Jorku. Marty Blake, szukając tego miejsca, gdzie podobno można zastać gwiazdę adwokackiej profesji Maxwella Steinberga, dwukrotnie minął ów mało elegancki lokal, nim wreszcie go zauważył. Może z powodu brakującego *l* w wyrazie Foley, czy też nieobecności *r* w słowie Grill, a może brudnych szyb, wyblakłej, zielonej farby na wąskich drzwiach oraz bezdomnego żebrzącego na progu. Bez względu na wszystko ostatnią rzeczą jakiej spodziewał się Blake po otwarciu drzwi, był portier marudzący coś o krawatach.

— Przykro mi, proszę pana, ale w Foley Grill krawaty są obowiązkową częścią stroju — potrząsnął głową (ostrożnie, by nie zniszczyć fryzury starannie ułożonej za pomocą suszarki), po czym spuścił wzrok. — Takie są zasady. Przykro mi.

— A ten tam? — Blake wskazał głową mężczyznę bez krawata, siedzącego przy barze. — A ten? I ten?

— Będę musiał zwrócić im uwagę — udał zdziwienie portier.

Blake w odpowiedzi uśmiechnął się grzecznie.

— Proszę dać mi krawat, to go założę.

— Nie mamy krawatów, proszę pana. Czy ma pan rezerwację?

— Żadnej rezerwacji. — Blake przez chwilę zajął się liczeniem garniturów po półtora tysiąca rozsianych po całej restauracji. Przerwał na dwudziestu, zaskoczony przewrotnym snobizmem, który nakazywał elicie prawniczej Manhattanu jadać w takiej dziurze jak Foley Grill. Liczba sądów federalnych, stanowych oraz lokalnych mieszczących się na Manhattanie mogła wyjaśnić mnogość prawników, ale zebranych tu ludzi z pewnością stać było na obiad w Four Seasons* oraz na limuzynę, która woziłaby ich tam i z powrotem.

* Four Seasons — droga restauracja w Nowym Jorku (przyp. tłum.).

— Może spróbuje pan w innej restauracji? U nas nie ma już wolnych stolików.

Blake skinął w zamyśleniu głową. W Hollywood trzeba być gwiazdą filmową na Manhattanie — prawnikiem. W obu przypadkach chodziło o pozycję, o to kto zasługiwał na przebywanie w gronie tak wielu znakomitości, a kto nie.

— Ach, ale ja nie szukam stolika — Blake uśmiechnął się głupawo. — I jeżeli pójdę do innej restauracji, ten gruby facet w taniej peruce będzie niezwykle zawiedziony. Właśnie mnie oczekuje.

Usta portiera zacisnęły się z niezadowolenia.

— Dlaczego nie mówił pan tak od razu? — odezwał się niczym ośmiolatek kopnięty przez miejscowego łobuza.

Blake wsunął dziesięciodolarowy banknot w dłoń portiera i obserwował, jak jego spojrzenie wędruje ku dołowi.

— Ponieważ nie chcę jeszcze przysiąść się do niego. Wpierw pragnąłbym napić się czegoś przy barze.

Portier, którego godność została podreperowana, skinął głową.

— Proszę bardzo. Życzę smacznego.

Smacznego? Blake wiedział, że sukces stanowiłoby już wypicie piwa razem z Maxwellem Steinbergiem. Zamówił kawę, znosząc pełną dezaprobaty minę barmana, i ponownie zaczął obserwować swego przyszłego klienta. Patrzył, jak różni nadskakiwacze zatrzymują się przy stoliku adwokata, kłaniają się, szepecząc kilka słów na powitanie. Steinberg nawet na chwilę nie przestawał wkładać do ust kawałków homara, nie poprosił też żadnego z owych mężczyzn, by się do niego przysiedli. Jedyną miarę ważności poszczególnych rozmówców adwokata mogła stanowić jego sławna, tańcząca peruka. Jej miękkie, proste włókna zupełnie nie pasowały do sztywnych, kręconych włosów zawijających się wokół uszu Steinberga. Dobór koloru również pozostawiał wiele do życzenia. Gdyby tylko pozostawała zawsze w tym samym miejscu (wystarczyłoby, żeby zadał sobie nieco trudu i przymocował ją), Steinberga postrzegano by jako próżnego, podstarzałego głupca. Peruka jednak nawet przez sekundę nie potrafiła utrzymać się w bezruchu. Rzuciła się raz w prawo, raz w lewo, by za chwilę zjechać na czoło. Przeżuwanie sprawiało, że przesuwała się z boku na bok. Konsternacja (na przykład w obecności szczególnie niebezpiecznego świadka oskarżenia) powodowała, że podskakiwała niczym kropla wody na rozgrzanej blasze.

— Hej, koleś — odwracając się Blake spostrzegł stojącą na ladzie filizankę. — Cztery dolce.

— Dziękuję panu bardzo — odpowiedział, podając pięciodolarowy banknot, po czym zaczął przyglądać się uśmiechniętemu, pulchnemu młodzieńcowi w eleganckim garniturze, który podchodził właśnie do adwokata. Chłopiec odezwał się, ale Steinberg nie raczył nawet podnieść wzroku. Peruka zsunęła mu się na czoło — wyraźny nakaz oddalenia się.

Facet szuka kogoś, kogo będzie mógł poganiać, pomyślał Blake. Nie, nie poganiać — manipulować nim. Ma potrzebę rządzenia, nawet gdyby miało go to zrujnować.

Po spotkaniu z Joanną Bardo, Blake udał się wprost do komputera i wprowadził nazwisko Maxwella Steinberga. Dziesięć minut później trzymał w ręku trzy artykuły — z *the New York Timesa* i *The Daily News* oraz z *The New York Trial Lawyers' Journal*. Barwnie opisano w nich trzy rozwody adwokata, dwukrotne bankructwo i jedną naganę udzieloną mu przez New York Bar Association*.

*New York Bar Association — Nowojorskie Stowarzyszenie Prawników (przyp. tłum.).

Naturalnie nie zapomniano również o peruce, ale dwie pierwsze gazety odnotowywały, iż kiedy wymagały tego okoliczności (na przykład gdy Steinberg stawał oko w oko z ławą przysięgłych), cała bufonada natychmiast zniknęła, ukazując prawdziwe oblicze prawnika, który z żaby przemienił się w księcia.

Trial Lawyers' Journal poświęciwszy odrobinę uwagi teatralnej stronie osobowości adwokata, analizował następnie cechy, które sprawiały, że był doskonałym fachowcem. Według *Journala* Steinberg rozpoczynał bitwę już w chwili, gdy podejmował się obrony klienta. Skrupulatnie przygotowanymi wnioskami zasympywał sędziów i oskarżycieli. Podważając nawet najdrobniejszy dowód, zawsze dążył ku dwóm celom: po pierwsze sprawić, by go odrzucono, a po drugie stworzyć podstawę dla ewentualnej apelacji, gdyby mimo wszystko zapadł wyrok skazujący. Przeciwno ekspertom świadczącym na korzyść oskarżenia stawiał zawsze własnych, cieszących się większym autorytetem. Kiedyś nawet uzyskał orzeczenie pewnego doktora z Oregonu, iż kawałki ołowiu usunięte z mózgu ofiary zabójstwa mogły być częścią ołówka.

Blake zaczerpnął głęboki oddech i ruszył przez salę sprężystym krokiem. Steinberg nie podniósł wzroku aż do ostatniej chwili.

— Pan Steinberg? Nazywam się Marty Blake.

Brwi adwokata uniosły się, przesuając perukę kilka centymetrów do tyłu.

— Proszę usiąść, młody człowieku.

U boku Blake'a pojawił się kelner, by zdobywając się na niewielki uśmiech, odsunąć krzesło.

— Oscar, proszę brandy dla mojego przyjaciela, Martina Blake'a. Martin, pijemy dziś koniak dla uczczenia kolejnego sukcesu. Rano udało mi się uratować od stryczka pewnego gwałciiciela. Dobrze dla legendy, źle dla świata. *L'chayim*.

Blake skinął głową i z uwagą popatrzył na twarz prawnika. Pospolita, dokładnie taka, jak opisał ją dziennikarz *Daily News* — zaniedbana, ze szpakowatymi brwiami nad sprytnymi, czarnymi oczami oraz dużym nosem nad wąskimi ustami o lekko wystającej górnej wardze. Steinberg przypominał Blake'owi jednego z tych smutnych chłopców, którzy stoją na obrzeżach szkolnych boisk, kryjąc się przed łobuzami, szydercami i naturalnie dziewczętami.

Oskar pstryknął palcami i natychmiast pojawił się drugi kelner.

— Ryan, przynieś hennessy dla pana Blake'a.

Ryan skinął ze zrozumieniem, po czym obaj mężczyźni odeszli, potwierdzając tym samym przypuszczenia Marty'ego, dotyczące jego pozycji. Wart był jednego drinka, lecz obiad nie wchodził w rachubę.

— Martin, jesteś Irlandczykiem, zgadza się? Może powinienem darować sobie jidysz?

Blake uśmiechnął się, puknął palcem w stół, a następnie odezwał się:

— Proszę nie mówić tego mojej matce. Ona jest pewna, że jestem Żydem.

— Twoja matka jest Żydówką? — Steinberg otworzył ze zdziwienia usta. — W takim razie ty także jesteś Żydem. Według prawa.

— Według jakiego prawa? Żydowskiego? Żydowskie prawo nie jest...

Oczy Steinberga zwięzły się.

— Prawa nazistów. Prawa Hitlera. Ono wciąż obowiązuje, Martin. Widzisz, jacy stali się teraz Niemcy? *Ausländer raus!* Bardzo ładne. Gdyby w Niemczech zostali jeszcze jacyś Żydzi, byłoby *Juden raus!* Albo gorzej — pochylił się nad stołem, dotykając rękawa Blake'a. — W tym kraju Żydzi mają szczęście. Obrywają za nas czarni. Ale tylko poczekaj, przyjdzie czas i na nas.

Blake skinął potakująco, myśląc jednocześnie, że lepiej nie przyznawać się, iż matka jego ojca była Niemką.

Adwokat wyprostował się w swoim krześle, przetarł oczy i powoli pokiwał głową.

— Czy nie przeszkadza ci, że nie spieszę się z przejściem do właściwego tematu? Że paplam jakbym się zalał? — gestem powstrzymał kurtuazyjną odpowiedź Blake'a. — Ale jeśli nie można uczcić zwycięstwa, równie dobrze można by nie żyć, prawda? Dziś uratowałem przed stryczkiem gwałciela.

Ryan, drugi kelner, przyniósł zamówione hennessy. Blake pociągnął odrobinę, posmakował przez chwilę i połknął.

— Jak myślisz Blake, skąd wiem, że ten człowiek rzeczywiście zgwałcił? Po prostu powiedział mi. Przyszedł tanecznym krokiem do mojego biura i rzekł: „Szukają mnie gliny. Dopuszciliem się gwałtu. Uratuj mnie od stryczka”.

— Tak zwyczajnie? — Blake spojrział na swoje brandy, wzdrygnął się, a potem znowu utkwiał wzrok w Steinbergu.

— No cóż, może nie słowo w słowo, ale coś w tym rodzaju. Opowiedział mi każdy najdrobniejszy szczegół.

— I co pan zrobił?

— Powiedziałem mu: „Forsa, kochany. *Dinero, Geld*”. Przez parę minut pieprzył mi o kłopotach finansowych, a ja na to: „Chwileczkę stary, chciałbym zadać ci kilka pytań. Po pierwsze, zgwałcona kobieta to dziewczyna twojego najlepszego kumpla, zgadza się?” — „Tak” mówi mi. — „I poszedłeś do jej domu z zamiarem uprawiania z nią seksu, bez względu na to czy się zgodzi?” — „No cóż... tak”. — „A ona odmówiła i próbowała się bronić, prawda?” — „Tak”. — „A ty mimo wszystko przeleciałeś ją”. — „Nie wiem, do czego pan zmierza”. — „Do tego, że nie ma zniżek dla gwałcieli. Jeśli chcesz, bym uratował twój tyłek, musisz zapłacić, bez względu na to, co uda mi się osiągnąć”.

Blake z trudem opanował narastające w nim nudności. Nie każdy adwokat przyjmował sprawy dotyczące gwałtów, a szczególnie te, w których klient był bezspornie winny.

— Kiedy wreszcie zrozumiał, nie mieliśmy więcej problemów. Siedemdziesiąt pięć patoli plus pokrycie kosztów, wyciągnął je od swego bogatego ojczulka. Znalazłem dwóch renomowanych ginekologów gotowych przysiąc, iż zaistniałe rany pochwy mógł spowodować nawet najzwyczajniejszy stosunek, a tych miewała sporo

i to z wieloma chłopakami z okolicy. Jej byli chłopcy zgodzili się zeznać, że lubiła nietypowy seks, a regularne wizyty u ginekologa od ukończenia trzynastego roku życia nie świadczyły na korzyść oskarżenia. Potem wziąłem się za dowody rzeczowe, które de facto składały się głównie z podartej bielizny. Nagle okazało się, że w drodze od oficera dyżurnego śródmiejskiego posterunku policji do laboratorium sądowego zaginęła lista przewozowa. Bum i nie ma już majteczek, nie ma też staniczka. Teraz czekam tylko, aż skurwiele popełnią jakiś błąd.

Steinberg pochylił się i ponownie dotknął rękawa Blake'a. Jego oczy zmieniły się w wąskie szparki.

— Gliny zaczęły od oskarżenia mojego klienta o gwałt pierwszego stopnia plus bezprawne ograniczenie wolności. Jeżeli wszystko się doda, wychodzi od dwudziestu dziewięciu lat do dożywocia przyjmując, że sędzia z obu paragrafów orzeknie maksymalny wyrok, czego z pewnością zażąda na rozprawie prokurator. Na razie jednak pani prokurator, nie chcąc narażać biednego dziewczęcia na konieczność publicznego składania zeznań, proponuje nam przyznanie się do gwałtu drugiego stopnia. Wtedy mój klient dostanie pięć lat, z których odsiedzi tylko trzy.

Tak więc przechodzimy do składania wniosków i wtedy ja zasypuję sędzię taką stertą papierów, by zesrał się prędzej, niż zdoła wszystko rozpatrzyć. Kwestionuję wszystko prócz papieru w męskiej toalecie. Sędzia nie próbuje nawet ustalić daty rozprawy. Nie wie jeszcze, na kiedy wyznaczy swój „wielki dzień”. Nie cierpi mnie i nie ukrywa, że jego nienawiść rozciąga się również na mojego klienta. Nie wie jednak, iż dla tego pochodzącego z zamożnego domu chłopaka nie ma większej różnicy pomiędzy wyrokiem pięciu a dwudziestu pięciu lat. Kolana zaczynają mu drżeć nawet na myśl o pięciu minutach, które miałyby spędzić w więzieniu. Więc gdy każę mu się rozluźnić, mówiąc, że nie przesiedzi ani jednego dnia, chwytą się tej myśli niczym tonący brzytwy.

Następna ugoda brzmi: gwałt trzeciego stopnia. Mój klient dostałby trzy lata, z których odsiedziałby rok na specjalnym oddziale dla więźniów przechodzących resocjalizację seksualną. Pamiętam słowa zastępcy prokuratora, jakby wypowiedziała je przed dziesięcioma minutami. Najchętniej odgryzłaby sobie język, byle by tego nie mówić, tak mnie nienawidziła. „Nie sądzę — odpowiadam jej. — Dawno już nie byłem w sądzie. Przydałoby mi się trochę praktyki. Zobaczmy, co z tego wyjdzie”. W końcu postanowili sobie darować. Na dwa dni przed wyznaczoną datą rozprawy oskarżono ostatecznie mojego klienta o nadużycie seksualne, wykroczenie. Trzysta godzin pracy społecznej i dwuletnia terapia. Żadnej odsiadki. Tak jak obiecałem.

5.

Blake bawił się leżącym na stole widelczykiem deserowym. Przez cały czas zastanawiał się nad prawdziwymi zamiarami Steinberga. Cóż można rzec, gdy człowiek, którego poznało się przed chwilą, opowiada o tym, jak babrze się w gównie.

Rany, to wspaniale. Jak miło, że zechciał pan opisać wszystko w najdrobniejszych szczegółach.

Adwokat, przymknąwszy jedno oko, obserwował swojego rozmówcę. Sprawiał wrażenie, jakby oczekiwał na odpowiedź. W końcu Blake, przypomniawszy sobie, że przecież nie musi przyjmować tego zlecenia, uniósł kieliszek do góry i puścił oko.

— *L'chayim* — odezwał się, wznosząc toast. Niech stary osioł sam zgadnie, o co mi chodziło, pomyślał.

Steinberg wyprostował się.

— *L'chayim*. Ma się rozumieć. Za życie. Ono jest najważniejsze dla adwokata. Tak właśnie wygląda życie — nic tylko śmiecie. Na dodatek im więcej odnosisz sukcesów, tym gorsi do ciebie przychodzą. Lichwiarze, alfonsi, cwaniacy, gwałciciele — ponownie pochylił się, tym razem jednak zostawiając rękaw Blake'a w spokoju. Chwycił go natomiast za rękę i mocno ścisnął. — Pewnego dnia, było to jakieś cztery lata temu, siedziałem sobie w biurze, właśnie świętowałem kolejne zwycięstwo. Nie powiem, że bym był pijany, raczej mocno wstawiony — wiesz, jak to jest, człowiek myśli wtedy, że nic nie może mu się oprzeć.

Blake cofnął dłoń i zamierzał już odezwać się, lecz w ostatniej chwili zmienił zdanie, mówiąc sobie, że Steinberg zapewne wkrótce przystąpi do rzeczy, gdyż nic nie wskazywało, by mieli razem jeść obiad.

— A więc tak sobie siedziałem — kontynuował prawnik — kompletnie znieczulony, gdy niespodziewanie naszła mnie myśl: ilu morderców ocaliłem od stryczka? Jak wielu nieboszczyków figuruje na dokumentach w moim biurku, w moich księgach i zeznaniach podatkowych? Czy mógłbym wypełnić duchami cały dom? Umieścić w każdym pokoju po jednej ofierze? Pod łózkami? Pod prysznicem? W lodówce? W apteczce?

— Steinberg, jest pan stuknięty — Blake potrząsnął głową, mając nadzieję, iż jego gest odebrany zostanie jako wyraz podziwu. Pociągając kolejny łyček brandy, poczuł pierwsze zwiastuny ogarniającej go przyjemnej obojętności, która jeśli wkrótce nie przerwie, na pewno przeobrazi się w agresję. Natychmiast odstawił kieliszek z postanowieniem, że już go nie podniesie.

— Najpierw — ciągnął dalej Steinberg, ignorując uwagę Marty'ego — liczyłem tylko morderców, potem jednak postanowiłem uwzględnić wszystkie przypadki

zabójstw. Przecież z punktu widzenia ofiary nie ma żadnej różnicy, nieprawdaż? Otworzyłem kartotekę i przeglądałem akta. Za każdym razem, gdy miałem pewność, że mój klient był winny, czyli niemal we wszystkich przypadkach, stawiałem w notiesie kreskę. Po dwudziestu poddałem się. Nazwisko ostatniego z moich klientów brzmiało Minelli, pracował w rzeźni. Jego nie udało mi się uratować przed zawiśnięciem na haku. Rozumiesz? Na haku. Takim od mięsa.

Steinberg zamilkł i poprawił się na krześle. Blake zdawał sobie sprawę, że powinien zaśmiać się przez grzeczność, nie potrafił jednak zdobyć się choćby na nikły uśmiech.

— Martin, słuchaj mnie teraz uważnie, ponieważ dochodzę do sedna sprawy. Właśnie wtedy, siedząc na dywanie otoczony aktami dotyczącymi różnych spraw, podjąłem pewną decyzję. Następnego dnia zacząłem rozpuszczać pogłoskę, by wskazano mi niewinnego faceta, którego wsadzono za jakąś zbrodnię, a ja wyciągnę go z więzienia.

— Czyżby nie było już niewinnych kobiet? — Blake spostrzegł, że peruka zaczyna przesuwac się do przodu. Zły znak. — Tylko żartowałem, panie Steinberg.

— Mów do mnie Max. Jeżeli mamy ze sobą współpracować, powinieneś mówić mi po imieniu — peruka zwolniła, by w końcu się zatrzymać. — Widzisz, chodzi mi o to, że wiele razy miałem do czynienia z niewinnymi, których skazano za przestępstwa popełnione przez kogoś innego. Nigdy natomiast z niewinnym człowiekiem, który przyznał się do popełnienia zbrodni i na dodatek zrzekł prawa do apelacji. Martin, rozumiesz mnie? Znasz się trochę na procedurze sądowej?

— Lepiej będzie, jeśli odświeżysz nieco moją pamięć — w rzeczywistości Blake nigdy jeszcze nie pracował dla obrońcy.

— W porządku, najpierw zostajesz aresztowany, następnie postawiony w stan oskarżenia i wreszcie osądzony. Takie są formalności, rozumiesz? Prawo do obrony przysługuje oskarżonemu dopiero podczas składania wstępnych wniosków. Do tego czasu wiadomo już, czym dysponuje oskarżenie, przynajmniej jeśli chodzi o dowody rzeczowe, identyfikacje dokonane przez naocznych świadków i tak dalej. Obronca ma za zadanie sprawić, by sędzia odrzucił z tego jak najwięcej. Czy nadążasz za mną?

— Cały czas.

— Dobrze. Otóż ten właśnie oskarżony, jego nazwisko brzmi William Sowell, ma iloraz inteligencji sześćdziesiąt osiem. Gliny zwinęły go i powiedziały, że chodzi tylko o oczyszczenie z zarzutów, lecz potrzebna jest im jego zgoda.

Martin, to był prawdziwy pocałunek śmierci. Kiedy mówią ci, że pragną jedynie przywrócić twoje dobre imię, uciekaj ile sił w nogach. Ale cóż mógł wiedzieć tamten chłopak? Bezdomny, niedorozwinięty i na dodatek pijak. Siedemdziesiąt dwie godziny później złożył zeznanie. Przyznał się.

Martin, możesz być pewien, że gdybym to ja bronił Billy'ego Sowell, jego przyznanie się do winy nadawałoby się tylko na papier toaletowy. O dziwo jednak,

adwokat dzieciaka sporządził wniosek tak niespójny, iż sędzia zgodził się dopuścić zeznanie oskarżonego. Podobnie rzecz się miała z zestawem identyfikacyjnym oraz samą konfrontacją, obie formalności były tak tendencyjne, że nie przyjąłby ich nawet student pierwszego roku. Szczytem kpin jest jednak hipnoza. Martin, pomyśl tylko, jedynymi dowodami oskarżenia przeciwko Sowellowi są jego przyznanie się do winy oraz zeznanie świadka wiążące chłopaka z ofiarą...

— To już wszystko?

Peruka wznowiła swą wędrówkę do przodu.

— Joanna mówiła mi, że masz duże doświadczenie, wydajesz się jednak nieco naiwny.

— Przykro mi, Max. Mimo wszystko, nie ma to większego znaczenia.

— Dlaczego?

— Jestem prywatnym detektywem, a nie policjantem. Do moich obowiązków należy sporządzenie raportu, bez względu na to, co odkryję. — Blake zapomniał dodać tylko, że jego doświadczenia z pracy w terenie ograniczają się do potajemnego szperania w cudzych komputerach. Nigdy nie zdarzyło mu się działać na ulicy. — Po prostu kontynuuj, nie zamierzam nikogo osądzać.

— Słuchaj, chłopak zatrzymał się w rozwoju na poziomie dziesięciolatka. Gliny przesłuchiwały go przez siedemdziesiąt dwie godziny. Nie istnieje *żaden* dowód rzeczowy łączący go z popełnioną zbrodnią. Pobrano od niego krew, próbki włosów, a także włókien z płaszcza; ubrania przebadano w poszukiwaniu plam krwi — *i nic*. Martin, pytam się, gdybyś był sędzią, czy pozwoliłbyś ławie przysięgłych wysłuchać tamtego zeznania?

— Nie — przyznał Blake. — Skoro chłopak jest niedorozwinięty — na pewno nie.

— Dobrze. Weźmy teraz naszego cudownego świadka. Wszystko zaczyna się od jej spaceru z psem o trzeciej nad ranem. Wychodzi z bloku i widzi mężczyznę stojącego w pobliżu samochodu, w którym, jak się okazuje, leży ciało zamordowanej kobiety. Dwie godziny później dziewczyna opisuje faceta tak: ciemne, kręcone włosy, ubrany w drogi płaszcz. To wszystko. Następnie gdzieś pomiędzy pierwszym opisem a zeznaniem złożonym przed ławą przysięgłych, nie wiadomo skąd, nabiera stuprocentowej pewności, że Billy Sowell, bezdomny pijak z kilkucentymetrową blizną pod lewym okiem, jest człowiekiem, którego widziała. Mężczyznę o którym dwie godziny po zdarzeniu mówiła, że nie potrafi go zidentyfikować. Czy zaczynasz rozumieć, o co mi chodzi, Martin?

Blake zerknął na kieliszek brandy, następnie na Steinberga, po czym odrzekł:

— Słucham cię uważnie, mów dalej.

— W porządku, a teraz mój konik. Ciekawostka. Po trzech tygodniach od zdarzenia, świadek, Melody Mitchell, zostaje poddana regresji hipnotycznej. Wiesz, na czym to polega?

— Człowiek cofa się w czasie, prawda?

— Dokładnie. Policja już od dawna nie stosuje tej techniki, przynajmniej kilkadziesiąt lat. Odkryto bowiem, iż zahipnotyzowani ludzie stają się niezwykle podatni na wszelkie sugestie. Po prostu można nakłść im do głów najprzeróżniejszych rzeczy. Zazwyczaj prokurator nie dość, że nie uzyskuje akceptacji zeznań wydobytych za pomocą hipnozy, lecz dodatkowo całkowicie traci świadka. Zazwyczaj oskarżenie nawet nie podejmuje takiej próby — szczególnie w Nowym Jorku, gdzie sędziowie wykazują się wielką docieklivością, jeśli chodzi o dowody.

Steinberg zamilkł na moment. Podniósł widelec, pobawił się kawałkiem zimnego już homara, po czym włożył go do ust.

— Ten sędzia przyjął jednak wszystkie bzdury. A nie był to jakiś pierwszy lepszy kretyn, lecz John McGuire, który zjadł zęby na Karcie Praw. John McGuire, który ma aspiracje, by zostać sędzią Sądu Najwyższego. To niewiarygodne, Martin. Niewiarygodne.

Blake spojrzął na swoje dłonie, zastanawiając się, co z nimi zrobić. Znajdował się już stanie, w jakim nawet hennessy wydaje się pysznością. Uporczywie myślał o zapaleniu papierosa, choć nie palił już dwa lata.

— Podejrzewasz, że ubito interes? Jakież naciski polityczne? — podniósł kieliszek, opróżnił go i odstawił na miejsce.

— Hej, Martin, to ty jesteś detektywem. Ja po prostu twierdzę, że nic podobnego nigdy nie powinno mieć miejsca. Co więcej, na kilka dni przed wyznaczoną datą rozprawy oskarżenie proponuje Billy'emu Sowellowi układ. Morderstwo pierwszego stopnia. Nie zapominaj, że pierwotny akt oskarżenia mówił o zabójstwie drugiego stopnia oraz usiłowaniu gwałtu. Już samo morderstwo oznacza dwadzieścia pięć lat. Wszystko wyglądałoby całkiem nieźle, ponieważ skazanemu przysługuje prawo do odwołania. Problem jednak w tym, że aby układ doszedł do skutku, Sowell powinien zrzec się prawa do apelacji. I właśnie to uczynił za namową swojego adwokata.

— Z twoich słów, Max, wynika, że należałoby rozstrzelać tego obrońcę. A może sądzisz, że on również należał do spisku?

Steinberg chrząknął z jawną dezaprobatą.

— Odwracasz kota ogonem — pochylił się i kładąc łokcie na stole podparł dłońmi brodę. — W tej chwili jedyną podstawą do złożenia apelacji może być kwestia inteligencji Billy'ego Sowell. Zamierzam udowodnić, że jest zbyt głupi, by przyznać się do winy oraz zbyt opóźniony w rozwoju, by docenić konsekwencje swojej decyzji. Dodam również skrajny przypadek niekompetencji adwokata. Może był pijakiem albo ćpunem. A może miał jakieś problemy w małżeństwie lub prowadzono przeciwko niemu postępowanie karne. Wszystko jedno. Sąd Apelacyjny wymagać będzie jakiegoś pretekstu dla wznowienia sprawy Sowell. Jeżeli uporasz się z tym, co dotyczy poprzedniego obrońcy chłopaka, spełnisz swoje zadanie.

— Sądzę, że nie będę miał większych problemów. Wywiad środowiskowy

zajmie mi kilka dni. Jeśli cokolwiek...

Steinberg przecząco potrząsnął głową. Peruka, z lekkim opóźnieniem, wykonała taniec z boku na bok.

— To nie wystarczy, Martin. Chcę, żebyś włożył całe serce w wydostanie tego biednego chłopca z więzienia. Nie zamierzam ponieść klęski. Podążysz za każdym tropem, jaki napotkasz. Zapamiętaj sobie, Blake, że Steinberg nigdy się nie poddaje — sięgnąwszy pod stół, prawnik wydobył aktówkę, którą następnie podał Blake'owi. — W środku znajdziesz wszystko: przebieg dochodzenia, zeznania w obecności ławy przysięgłych, noty wstępne. Dzisiaj mamy wtorek. W piątek rano spotkasz się z Billym Sowellem w więzieniu stanowym. Czekam na ciebie w biurze w sobotę. Wtedy porozmawiamy.

— Max — zapytał Blake z uśmiechem — jeśli cię dobrze zrozumiałem, robisz to za darmo?

— Zgadza się.

— No cóż, Max, nie zrozum mnie źle, ale ja nie pracuję w organizacji charytatywnej. Nie stać mnie na dobroczynność.

— Pokrywam w całości twoje honorarium, przyjmując oczywiście, że nie przekracza ono granic zdrowego rozsądku.

— Trzysta dolarów dziennie plus bieżące wydatki. Zanim zjawię się w sobotę w twoim biurze, będziesz mi już winien tysiąc dolarów.

6.

Bell Kosinski wziął patyczek z zielonego plastiku i zaczął mieszać stojącego przed nim drinka. Robił to powoli, z namaszczeniem, z lekka uśmiechając się. Często tak się zgrywał w obecności Eda O'Leary'ego, barmana. Sens dowcipu polegał na tym, iż przezroczysta, pozbawiona zapachu ciecz wypełniająca naczynie nie wymagała mieszania. Była to czysta wódka.

— Mieszana — powiedział Kosinski, naśladowując brytyjski akcent — nie wstrząsaną.

O'Leary wydobyl z siebie grzecznościowe chrząknięcie, a potem zaczął oglądać w telewizji mecz baseballowy. Jankesi przegrywali. Barman, o czym Bell Kosinski wiedział doskonale, ani odrobinę nie dbał o Jankesów. Aby dorobić do swej niezbyt wielkiej pensji oraz napiwków, jakie otrzymywał za pracę w Cryders Bar & Grill, od czasu do czasu zabawiał się w bookmachera. Trochę tu, trochę tam — za mało, by przyciągnąć uwagę facetów od podatków. Zaledwie kilka dolców, by — jak sam mówił — „dogodzić żonie”.

Z głośnika telewizora popłynęła niespodziewanie krótka seria wiwatów, przywitana wyciem przez stałych bywalców pubu. Jankesi rozgrywali typową końcówkę. Bywalcy, podobnie jak Bell Kosinski mający za sobą dwadzieścia pięć lat pracy w policji, kibicowali zespołowi Red Sox. Być może zaczęli już liczyć pieniądze z zakładów.

Kosinski ponownie zajął się swoją wódką, wspominając lata, kiedy uwielbiał jej smak oraz te, gdy go nie cierpiał — okres ów zwykł teraz nazywać „dekadą trzeźwości”. Obecnie miał neutralny stosunek do alkoholu, wierzył, że nie da się bez niego żyć i nic więcej.

Był czas, gdy tak samo myślał o swojej pracy w policji. Sądził, że gdy będzie musiał odejść, jego życie się skończy. Jak widać mylił się, skoro po sześciu tygodniach od przejścia na emeryturę jego serce wciąż nie przestaje bić.

Opróżnił szklankę i poczuł, jak ognista ciecz powoli spływa mu do żołądka, po czym z powrotem odbija się w kierunku gardła.

— Nigdy więcej wody — odezwał się do swojej sąsiadki, Emily Caruso. — Następnym razem sam ogień.

Emily, zionąc alkoholowymi oparami, odrzekła:

— Spójrz tylko na to gównno.

Bell Kosinski popatrzył na porozrzucane dookoła stoliki i krzesła, małą kręgielnię oraz zepsutą szafę grającą.

— Jak dla mnie jest tu całkiem przytulnie — odpowiedział.

— Mówię o dzieciaku po drugiej stronie baru. Z tym, że jest trochę za stary jak na dzieciaka — podniosła do ust kufel z wypitym do połowy piwem i opróżniła go dwoma łykami. — On pije „Moussy”.

Kosinski przypatrywał się jej krtani, która podskoczyła dwukrotnie do góry. Słyszając głośnie czknięcie, pomyślał, gdzie przyszło mu dokończyć żywota. Właśnie tutaj umrze. Im szybciej, tym lepiej.

— No i co?

— „Moussy”, baranie. Piwo bezalkoholowe. Po jakie lichy facet przychodzi do baru, jeśli nie chce się narąbać?

Kosinski z zainteresowaniem popatrzył na drugi koniec baru. W przeciwieństwie do Emily Caruso uważał, że istnieją lokale, w których można pić napoje bezalkoholowe — na przykład niektóre knajpki na Manhattanie. Jednak z pewnością nie w Cryders. Nie sądził nawet, by w tutejszych piwnicach w ogóle znalazła się butelka „Moussy”. Może ten kretyn przyniósł ją ze sobą?

— Jak myślisz Emily? Czy przyniósł ją ze sobą?

Caruso zachichotała, kaszlnęła i zapaliła papierosa.

— Chcesz zabrać mnie dzisiaj do siebie?

— Niech no pomyślę — Kosinski starał się mówić naturalnym tonem, tak jakby pani Caruso nie była prababcią po siedemdziesiątce. Jakby interesował go jeszcze seks.

Uniósł do góry szklankę, marząc, by tym razem wreszcie udało mu się upić jak za starych dobrych czasów. Obecnie nie potrafił już tak się zalać.

— Bell, następna kolejka?

Kosinski podniósł wzrok, słysząc swoje przezwisko. O’Leary uśmiechał się.

— Jankesi wygrywają?

— Po równo.

— Zanosi się na remis, Ed? — rezerwowi Jankesów tradycyjnie prezentowali słabą formę.

— Zapomnij, Bell. W baseballu nie ma remisów. Ktoś musi wygrać.

Kosinski wskazał swój kieliszek.

— Napelnij skurwiela — zaczekał, aż barman naleje podwójną porcję i podniósł naczynie. — Kim jest ten dupek przy końcu baru?

— Ten, który pije cholerne „Moussy” — dodała Emily.

— Widzę go pierwszy raz. Nigdy wcześniej nie podawałem „Moussy”.

— Dziwię się, że w ogóle macie te siki.

— Nie mamy. Zaopatrzeniowiec zostawił je ponad rok temu. Gratis — jakaś promocja.

Kosinski ponownie odwrócił się w stronę mężczyzny siedzącego przy końcu baru, lustrując jego wygląd, jak przystało na starego policjanta. Był to biały mężczyzna w wieku około trzydziestu lat, o brązowych włosach oraz oczach, jasnej cerze, ubrany w luźną koszulkę mającą maskować jego atletyczną klatkę piersiową i potężne bicepsy. Nieznajomy mężczyzna uśmiechnął się, podnosząc do góry szklankę.

Rany, pomyślał Kosinski, chyba coś mi się stało z oczami. Czy ja go znam?

Wytężył wzrok, lecz po chwili doszedł do wniosku, iż postawione pytanie nie

ma już znaczenia. Nieznajomy wstał właśnie ze swojego stołka i zmierzał w jego kierunku.

Wiedziony pijacką fanaberią, Kosinski wetknął oba kciuki w uszy i trzymając dłonie skierowane w stronę nadchodzącego, zaczął przebierać palcami. Ku jego uciesze atleta zatrzymał się i zerknął w lewo.

Wygląda jak zmieszany buldog, pomyślał Kosinski.

— Nie rozumiem — odezwał się buldog.

— Udamę łosia — odparł z powagą Kosinski.

— Nadal jednak nie rozumiem.

— Rogi. Jak u łosia, do cholery.

— No cóż, pojmuję symbol, ale nie widzę żadnego związku.

— Piwo, baranie — skrzywił się Kosinski. — „Moussy”? Piwo dla łosi?* Rozumiesz?

*Gra słów — w języku ang. moose znaczy łoś (przyp. tłum.).

— Aha, pewnie.

— A więc cóż mogę dla ciebie zrobić?

— Pan Bell Kosinski?

— We własnej osobie.

— Nazywam się Marty Blake. Jestem prywatnym detektywem. Czy mógłby mi pan poświęcić chwilkę?

— Stawiasz? Dobrze się zastanów, zanim dasz odpowiedź, bo gdy zaczniesz stawiać, ja będę pił.

— Czy to znaczy, że jeżeli nie postawię, *nie będzie* pan pił?

— Nieważne — Kosinski obrócił się w stronę barmana. — Eddie, przynos je regularnie. Przesiadziemy się do stolika.

Emerytowany policjant ruszył pewnym krokiem, po czym z łatwością odsunawszy rozlatujące się krzesło, usiadł. Nieznajomy facet wydawał się w porządku. Był umiarkowanie złośliwy, a więc mieli ze sobą coś wspólnego.

— A więc czego chcesz, Marty Blake? — opróżnił szklaneczkę i dał znak Edowi O’Leary’emu, który szedł już w ich stronę. — I w jaki sposób mnie znalazłeś?

— Bell, zostawiam ci całą butelkę — poinformował go O’Leary. — Nie mogę przychodzić tu co dwie minuty. Zaczęła się dogrywka.

Przez moment Kosinski przypatrywał się plecom barmana. Potem odwrócił się w kierunku Blake’a.

— Więc? — napełnił swoją szklankę, opróżnił, a następnie znowu nalał do pełna.

— Zadał mi pan dwa pytania?

— Prawda. I jeśli nie pośpieszysz się z odpowiedzią, prawdopodobnie w ogóle zapomnę, jak brzmiały — w typowy dla policjanta sposób wpatrzył się w oczy Blake’a.

— Cel mojej wizyty jest prosty. Przyszedłem w sprawie dzieciaka o nazwisku Billy Sowell. Jak pana znalazłem — to trochę bardziej skomplikowane.

— Lubię skomplikowane rzeczy. Nie zapominaj, że byłem policjantem.

— W porządku — Blake wziął głęboki oddech. — Postaram się wyjaśnić wszystko możliwie jak najprościej. Przeglądałem akta policyjne dotyczące zamordowania Sondry Tillson. Prowadził pan śledztwo do czasu, gdy na scenie pojawił się Billy Sowell, później pan zniknął. To zwróciło moją uwagę, więc korzystając z komputera, połączyłem się z bazą danych National Credit Information Network i podałem pańskie nazwisko oraz zawód. Półtorej minuty później miałem wszystkie dane osobowe z nagłówka formularza, jaki w 1979 roku wypełnił pan, starając się o kartę kredytową. Ja...

— Co to, do cholery, są dane z nagłówka?

— Widzi pan, zgodnie z prawem przynajmniej, nie mogę poznać stanu pańskiego konta ani dokonanych transakcji — kiedy używał pan karty kredytowej, co pan kupował, jak dużo zapłacił i tak dalej. Cała reszta jednak, czyli dane z nagłówka, jest ogólnie dostępna — między innymi nazwisko, adres, numer telefonu. Kiedy zadzwoniłem do pana i nikogo nie zastałem, wprowadziłem pańskie dane do komputera i po sześciu minutach otrzymałem listę dwudziestu spośród pańskich najbliższych sąsiadów razem z ich adresami i numerami telefonów. Następnie chwyciłem za słuchawkę. Wie pan co, panie Kosinski? Jeden z sąsiadów cholernie pana nienawidzi. Powiedział mi, że praktycznie mieszka pan w tym barze.

Bell Kosinski, próbując strawić te informacje, poczuł jak jego mózg przestaje nagle pracować niczym odłączona od prądu maszyna. Nie potrafił zapanować nad myślami, które kłębiły się bezładnie jak cienie w gęstej mgłę. Nie potrafił zatrzymać ich wystarczająco długo, by przyjrzeć się im uważniej, nie mógł nawet zwolnić czy przyspieszyć ich biegu.

Kiedy dziwne uczucie minęło, jakby ktoś ponownie włączył prąd, Kosinski, który miał już podobne wypadki, zdał sobie sprawę, iż upłynęło sporo czasu, choć nie wiedział ile. Odpowiedź znalazł wypisaną na twarzy prywatnego detektywa. Blake (pamiętał nazwisko) wpatrywał się w niego oczekująco, lecz bez niepokoju, zatem nie mogło to trwać zbyt długo. Nie tym razem.

— Grzebałeś w moich aktach? — pytanie to było pierwszą spójną reakcją, jaką pamiętał.

Odczekał chwilę, lecz gdy Blake wciąż nie odpowiadał, dodał:

— A teraz tak zwyczajnie mówisz mi o tym, chwalisz się tym. Mam nadzieję, że się nie obrazisz, ale powinieneś chyba poprawić nieco swoje maniery.

— Widzi pan, Kosinski, po prostu znudziło mi się. Czterdzieści osiem godzin spędzonych na czytaniu zeznań złożonych przed ławą przysięgłych, akt policyjnych, raportów z sekcji zwłok? Każdego by to znudziło. Niektórzy ludzie odpoczywają przy kieliszku wódki, a inni przy komputerze. Ja należę do tych drugich, więc tak dla zabawy założyłem się z samym sobą, że namierzę pana w ciągu trzech godzin. Było wtedy wpół do ósmej, teraz mamy dziesiątą.

— Gratuluję.

— Dziękuję. Więc jak już powiedziałem, przyszedłem tutaj przez zwykłą zachciankę. Nie spodziewałem się, że zechce pan odpowiedzieć na moje pytania, ale nie oczekiwałem również, że potraktuje mnie pan jak gówno. W gruncie rzeczy, gdy zaczął pan machać paluszkami, udając łosia, miałem szczerą chęć połamać je panu.

Kosinski wziął do ręki szklankę i objął ją obiema dłońmi.

— Dobrze, że się powstrzymałeś. W takim barze? Miałbyś wiele szczęścia, gdybyś uszedł z życiem.

— Rzeczywiście, pomyślałem o tym — uśmiechnął się Blake. — Chce pan porozmawiać o Billym Sowellu?

— Skąd ci przyszło do głowy, że mógłbym o nim cokolwiek wiedzieć?

— Pan prowadził tamtą sprawę.

— Jedną z tysiąca w ciągu lat przepracowanych w policji.

— Opóźniony w rozwoju chłopak został wrobiony w morderstwo, którego nie mógł popełnić. Nie zapomina się czegoś takiego.

— Skąd przypuszczenie, że go wrobiono?

— Mam zacząć od samochodu?

— Pewnie.

— Krew w aucie była jedynie na tylnym siedzeniu pod ciałem ofiary, której poderżnięto gardło. Gdyby zginęła na przednim siedzeniu, a następnie została przeniesiona do tyłu, jak zeznał Sowell, całe wnętrze samochodu powinno być we krwi. Z tego wniosek, że do mercedesa włożono już martwą ofiarę. Oczywiście doskonale pan to wie, Kosinski, zgadza się? Wie pan również, że wokół samochodu nie znaleziono śladów krwi, co oznacza, że przyjechano nim już razem z ciałem. Billy Sowell nie potrafi prowadzić. Nie umie nawet wystarczająco dobrze czytać, by wypełnić formularz podania o prawo jazdy. Dlatego pozwoli pan, że jeszcze raz zapytam — czy chce pan porozmawiać o Williamie Sowellu?

— Nie wiem nic o Williamie Sowellu — Kosinski podniósł szklankę, wypił zawartość i odstawił z powrotem. — Nie było mnie, kiedy wszystko się zaczęło.

— Ale był pan obecny, gdy jego nazwisko padło po raz pierwszy. Zgodnie z raportem złożonym przez pana piętnastego grudnia razem z detektywem Branniganem znajdował się pan w pokoju operacyjnym, kiedy zadzwonił anonimowy telefon z informacją, iż Billy Sowell zabił Sondrę Tillson.

— Jak powiedziałeś? Że odebrałem telefon? — Kosinski starał się nie podnosić głosu, nie miał jednak powodu do radości, dowiedziawszy się, że bez pytania jego nazwiskiem podpisano fałszywy raport. A gdyby wezwano go do sądu? Małe krzywoprzysięstwo może być dobre dla ducha, ale nie gdy popełnia sieje wbrew własnej woli.

— Czy chce pan przez to powiedzieć, że nie odbierał żadnego telefonu?

— Nic nie chcę powiedzieć. To *ty* będziesz teraz odpowiadał na moje pytania. Na przykład kto cię wynajął? Kto ci płaci? À propos, czy masz może jakieś dokumenty? Wystarczy wizytówka.

Kosinski zauważył, że jego rozmówca przestał się już uśmiechać. Twarz Blake'a zrobiła się poważna i opanowana. Sprawiał wrażenie pewnego siebie.

— Pracuję dla adwokata Billy'ego Sowella, niejakiego Maxa Steinberga.

— Sądziłem, że chłopak zrzekł się prawa do apelacji.

— To mało istotna niedogodność — Blake wydobył z portfela wizytówkę i podał ją emerytowanemu policjantowi.

— Czy Max Steinberg to ten noszący spieprzoną perukę?

— Ten sam.

— Bardzo ciekawe. Powiedz mi, Blake, kto płaci Steinbergowi?

— Nikt. On pracuje z potrzeby serca.

— Słucham?

— Broni chłopaka za darmo. Twierdzi, że to kwestia sumienia.

Przez moment Kosinski wpatrywał się w swoje dłonie. Pomyślał, że nadszedł czas, aby się wynieść, pozbyć się prywatnego detektywa Martina Blake'a, zanim powie coś niewłaściwego i wpakuje się w jakieś niepotrzebne kłopoty. W końcu kim (lub czym) Billy Sowell był dla niego? Dlaczego miałby dbać o los bezdomnego półgłówka? Takie rzeczy zdarzają się, gdy pracuje się w policji, i jeżeli ktoś ma choć trochę oleju w głowie, przechodzi nad tym do porządku dziennego.

— Blake, powiedz mi, masz dużo doświadczenia w sprawach dotyczących przestępstw? — Kosinski spostrzegł rumieniec na twarzy Marty'ego i uśmiechnął się do siebie. — Tak myślałem. Wyglądasz na porządnego chłopaka, więc dam ci dobrą radę. Bez przerwy oglądaj się za siebie. Bez przerwy.

— Przyznaje pan, że Billy Sowell został wrobiony?

— Co, może to nagrywasz? Człowieku odstrzelę ci dupę jeszcze tu w barze — Kosinski poczuł lekkie drżenie karku oznaczające strach. Było to naprawdę dziwne, biorąc pod uwagę, że nie musiał się już obawiać o swoją emeryturę. Szczególnie że zamierzał zapisać się na śmierć, zanim zdąży się do niej przyzwyczaić.

Blake powoli rozpiął koszulę, ukazując swą włochatą klatkę piersiową.

— Nie mam żadnego magnetofonu, Kosinski — uśmiechnął się ponownie. — Tak jak mówiłem, przyszedłem tu, bo mi się nudziło.

— Naprawdę? Mam nadzieję, że przejażdżka poprawiła ci nastrój, ponieważ zamierzam właśnie zakończyć naszą rozmowę. Kiedy Brannigan zgarnął Sowella, byłem na urlopie. Sprawa trafiła do rąk prokuratury, jeszcze zanim wróciłem. Nie obchodzi mnie, co działo się w ciągu tego czasu. Ciebie też nie powinno.

— A Billy'ego Sowella? — Blake zamilkł na moment, a nie otrzymawszy odpowiedzi, kontynuował: — Mam z nim jutro spotkanie. Jeśli pan chce, mógłbym się go zapytać. Może *podoba* mu się w więzieniu.

7.

Kilka minut po północy Kosinski, pożegnawszy się z innymi stałymi bywalcami baru, wyszedł w panującą na zewnątrz ulewę. Zdumiony, na moment zatrzymał się w progu, pozwalając, by strugi zimnego deszczu obmyły mu twarz i ostatni raz odezwał się do Eda O'Leary'ego.

— Wiesz Ed, pogoda się zmienia. Niedługo się ochłodzi — dostrzegłszy wzruszenie ramion barmana, doszedł do wniosku, że dla niego pogoda nie miała większego znaczenia, ponieważ wierni klienci przychodzili zawsze, mimo huraganów i zamieci.

Ruszył w kierunku swojego mieszkania mieszczącego się na czternastej alei, nad publiczną pralnią. Rzadko pogrążał się w nostalgii, lecz tej nocy, za przyczyną spotkania z Martym, jego myśli powędrowały ku początkom służby w policji, ku pierwszym dniom po zakończonym miesiącu miodowym, ku czasom, gdy oczekiwali z żoną dziecka i kiedy nie zdarzało mu się być pijanym.

Ponownie ukazały mu się kolorowe neony oświetlające Nowy Jork, widziane przez szybę wozu patrolowego. Jego partner, Johnny Dedham, policjant z dziesięcioletnim stażem o sokolich oczach, klepnął go po ramieniu i odezwał się:

— Bell, sprawdź tych dwóch palantów na rogu. Tam przed wejściem do baru.

Kosinski wyteęzał wzrok, usiłując coś zobaczyć przez zalaną deszczem szybę. Mężczyźni w sprzeczce wymachiwali rękoma, popychając się wzajemnie.

— Bell, włącz syrenę, może uda się nam załatwić to bez wychodzenia z samochodu.

Obaj jednak nie zdawali sobie sprawy, że było już za późno.

Na tle jaskrawoczerwonego neonu słabo widzieli klócących się mężczyzn. Kiedy jeden z facetów poderżnął drugiemu gardło, światło neonu rozmazywane przez strugi deszczu oraz brudną szybę sprawiło, że tryskająca krew z daleka przypominała raczej chmurę czarnego dymu.

— Co do cholery?

— Zarżnął go. Zarżnął go, idioto. Jasny gwint! Nie ma wyjścia, muszę zmoknąć.

Kosinski ruszył w pościg, pozostawiając partnerowi zaopiekowanie się rannym. Dzięki podwyższonemu poziomowi adrenaliny biegł bez większego zmęczenia, ściskając w jednej dłoni rewolwer, w drugiej zaś podręczną latarkę. Pragnął, aby przestępca rzucił się na niego z nożem, dając mu w ten sposób prawo do użycia broni. Niestety, stało się inaczej. Kiedy wreszcie, dysząc ciężko, dotarł do ślepego zaułka, uciekinier zamiast skoczyć na niego ze schodów ewakuacyjnych, siedział oparty o zamknięte drzwi i płakał.

Gdy Bell Kosinski powrócił myślami do teraźniejszości, spostrzegł, że przypatra się własnemu odbiciu w witrynie zakładu fryzjerskiego. Deszcz niemal przykleił jego jasne włosy do okrągłej czaszki. Wyglądał, jakby ogolił sobie głowę.

Z tym nosem, pomyślał, przypominam teraz Kojaka.

Pochylając się, ruszył pod wiatr. Krople deszczu spadały prawie poziomo i mimo spuszczonej głowy wciskały mu się do ust oraz oczu. Właśnie dlatego nie zauważył postaci stojącej w drzwiach.

— Hej, Bell, szukałem cię.

Kosinski sięgnął pod pachę w poszukiwaniu broni, której nie nosił już przy sobie. Zmieszał się na moment, lecz po chwili rozpoznał swojego byłego partnera, Tommy'ego Brannigana. Na twarzy policjanta malował się ów przekłety uśmiešek, który pojawiał się zawsze, gdy czegoś chciał.

— Czy to wizyta towarzyska, Tommy? — Kosinski schronił się pod markizą chińskiej restauracji Cho. Deszcz uderzał w napięte płótno, przeciekając przez niewielkie rozdarcia.

— Rany, Bell, ty chyba nigdy się nie zmienisz. Jak zwykle jesteś wrogo nastawiony.

— Co ja poradzę? Taką już mam naturę.

— Więc jak ci leci?

— Wspaniale. Jestem na emeryturze dopiero kilka tygodni, a moje życie nabrało już nowego rytmu. A co u ciebie, Tommy? Słyszałem, że przenieśli cię do centrali i zrobili starszym detektywem. Jeśli zdasz teraz egzaminy na sierżanta, będziesz miał przed sobą prawdziwą karierę.

Uśmiech zniknął na chwilę z twarzy Brannigana, by następnie pojawić się na nowo.

— Słuchaj Bell, nie przyszedłem tu, żebyśmy sobie wzajemnie dogryzali. Ja...

— Szkoda. Dogryzanie to moja jedyna specjalność — Kosinski wpatrywał się w loki na głowie Brannigana, które deszcz jeszcze bardziej nastroszył, zamiast je rozplaszczyc. — Nienawidzę też twoich włosów.

— Co?

— Nic. Powiedz po prostu, czego chcesz, Tommy. Przemarzałem do szpiku kości.

Brannigan westchnął, po czym odpowiedział:

— Bell, pamiętasz głupka o nazwisku Billy Sowell?

— Sowell? Niech no pomyślę. A tak, pamiętam. Niedorozwinięty. Siedzi za morderstwo popełnione w okolicach Gramercy Park.

— Tak, to on.

— Nie miałem wiele wspólnego z jego sprawą Tommy. Jeśli sobie dobrze przypominam, miałem urlop, kiedy go zgarnąłeś.

— To prawda, nie mogę zaprzeczyć. Ale byliśmy partnerami podczas pierwszej fazy dochodzenia. Razem odebraliśmy donos.

Kosinski nie od razu odpowiedział. Wsłuchiwał się w odgłosy deszczu i obserwował krople spływające po szybie za głową Brannigana. Dziwne, kiedy przejeżdżały samochody, doskonale było słycać syk opon toczących się po mokrej nawierzchni, warkot silników natomiast, całkowicie zagłuszało dudnienie ulewy.

— Ktoś rozsiewa pogłoski o wznowieniu śledztwa — powiedział Brannigan. — Ludzie zaczną węszyć, zadawać pytania.

— Ludzie? Ktoś konkretny?

— Tak, słuchaj, muszę ci coś powiedzieć. Coś, o czym powinienem cię poinformować dawno temu.

— Chodzi ci o wpisanie mojego nazwiska na wyssany z palca raport? — Kosinski przerwał na chwilę, lecz Brannigan nie odważył się odpowiedzieć, jedynie uśmiech zniknął z jego twarzy. — Postąpiłeś naprawdę głupio, Tommy. Ale przecież inteligencja nigdy nie była twoją mocną stroną.

— Musiałem ochraniać informatora kapitana.

— Do diabła z informatorem. Osłaniałeś samego kapitana. Jak on się nazywał? Aha, Grogan. Chroniłeś kapitana Grogana i wciąż to robisz. Tyle że nie jest już kapitanem, zgadza się? — pałające wściekłością oczy Brannigana były potwierdzeniem jego słów. Kosinski roześmiał się nagłos. — A więc, Tommy, do czego doszedł? Do inspektora? Podkomisarza? Chyba nie został twoim zwierzchnikiem, a może jednak tak?

— Kosinski, jesteś moczymordą. Wstrętnym, pieprzonym pijakiem.

— Doskonale określenie, Tommy. Trafne jak cholera.

Kosinski nigdy nie widział, by cokolwiek poruszyło Brannigana, by odczuwał ból. Jednak nie czekałby godzinami na deszczu, gdyby ktoś nie napędził mu prawdziwego stracha.

— Próbowałem być miły, Bell. Wiedziałem, że to beznadziejne, ale próbowałem.

— Dzięki za starania — odparł Kosinski.

— Chciałem ci tylko kazać — *kazać*, a nie prosić — żebyś nie przekroczył granicy. Nie wolno ci zdradzić firmy. Pamiętaj, kim jesteś i postępuj jak należy.

Kosinski zamierzał już odpowiedzieć, że przeszedł na emeryturę i nie ma żadnych zobowiązań wobec policji, ale Tommy Brannigan nie czekając ruszył w stronę zaparkowanego przy krawężniku samochodu.

— Hej, Tommy, czy „jak należy” oznacza, że trzeba wsadzać do więzienia niewinnych głupków?

Brannigan odjechał, nie starając się nawet odpowiedzieć. Kosinski jeszcze przez jakiś czas patrzył na czerwone światła auta, zastanawiając się nad innymi możliwymi odpowiedziami. Potem poszedł do domu.

Mieszkanie Bella Kosinskiego składało się z ogromnego pokoju z małą kuchnią po jednej stronie i łazienką po drugiej. Na piętrze było jeszcze drugie takie mieszkanie, zajmowane przez właściciela pralni, Meksykanina Miguela Escobara, który oszczędzał, by sprowadzić do Nowego Jorku swoją rodzinę.

Kosinski przeszedł przez pokój obok niezaścielonego łóżka, zniszczonych foteli oraz stolika i dwóch rozpadających się krzeseł. Otworzył lodówkę i z zamrażalnika wyjął butelkę wódki. Poczul w dłoni przyjemne zimne szkło. Przyłożył butelkę do ust i pociągnął przezroczysty płyn. Pałaca wódka powoli spłynęła aż do wrzodu na żołądku, gdzie utworzyła żrącą kałużę.

Kosinski zignorował ból, licząc, że alkohol wkrótce go zlikwiduje. Właśnie dlatego pił tak dużo.

Wstał, podszedł do biurka, wyjął z szuflady swoją trzydziestkęósemkę i powrócił do stołu.

— Już dawno się tym nie bawiłem — wymamrotał — stęskniłem się.

Otworzył bębenek, pozwolił pociskom wypaść na rozpostartą dłoń, a następnie położył broń na blacie. W czasach, gdy był zawsze trzeźwy, darzył ją prawie miłością. Kryła się w niej moc, władza nad życiem i śmiercią. Już dawno nie miał okazji jej czuć.

— Może to dlatego — powiedział głośno do siebie — że nigdy nikogo nie zastrzeliłem. Gdybym kogoś zabił, zapewne byłoby inaczej.

Wiedział jednak, że rewolwer nadal posiada ową moc. To tylko on się zmienił.

Kosinski podniósł ze stołu trzy naboje i załadował co drugą komorę, a następnie zatrzasnął bębenek, by w końcu wetknąć lufę do ust. Przez moment rozkoszował się dobrze znanym smakiem oraz zapachem oliwy pokrywającej metal. Czas podjąć decyzję.

— Orzeł — mruknął — pomogę wydostać dzieciaka z więzienia. Reszka, przegrywam.

8.

Stojąc przed drzwiami mieszkania Marty'ego Blake'a, Bell Kosinski pomyślał sobie, że wygląda cholernie dobrze. Właśnie te słowa przysły mu do głowy — „cholernie dobrze”. Czemu nie? Spędził przecież cały ranek na doprowadzaniu się do porządku. Sterczał pod prysznicem, aż ściерpła mu skóra, dokładnie przejechał twarz maszynką, namydlił i ponownie ogolił. Nie omieszkiał wyrównać bokobrodów oraz przyciąć włosków w nosie i w uszach.

Szczęśliwym zbiegiem okoliczności jego najlepszy garnitur — brązowy, popelinowy cud zakupiony na wyprzedazy — czekał w szafie na wieszaku. W odróżnieniu od pozostałych dwóch garniturów rzuconych na podłogę obok podniszczonych butów, ten wciąż nakrywała foliowa torba z pralni chemicznej. Szczęście nie opuściło go również, gdy otworzył drugą szafę w poszukiwaniu białej, wykrochmalonej koszuli, niezaplamionego krawatu oraz jednej wypranej, choć naturalnie niewyprasowanej chusteczki i dwu stanowiących parę skarpetek.

Nic by mu się jednak nie udało, gdyby sobie trochę nie pomógł. Jego dłonie z pewnością nie przestałyby trząść się, by mógł zawiązać krawat, pozapinać guziki czy zasunąć przeklęty rozporek.

— Ale to już poza mną — odezwał się głośno do samego siebie — liczy się chwila obecna.

Nacisnął dzwonek i czekając, powtarzał w myśli przygotowaną wcześniej kwestię. Wiedział, co powie, jeżeli otworzy mu sam Blake, a co jeśli jego żona czy dziewczyna. Nie był jednak przygotowany na kobietę w średnim wieku z prawą dłonią tkwiącą we wnętrzu torebki. Nie wiedział, co powiedzieć na widok rewolweru Smith & Wesson w jej ręku.

— Czym mogę panu służyć?

Kosinski zamarł w bezruchu, lecz po chwili górę wzięło zdobyte niegdyś wykszolenie.

— Ma pani pozwolenie na tę broń?

— Jesteś gliną?

Pytanie zbiło go nieco z tropu.

— Niezupełnie — odparł w końcu. — Jestem na emeryturze. Nazywam się Kosinski.

— Naprawdę? Mój mąż, niech spoczywa w pokoju, także był policjantem. Ale nie należał do tych glin, którzy sądzą, że ich żony są zbyt delikatne, by opowiadać im o swojej pracy. On mówił mi o wszystkim, o krwi i ofiarach, o gwałtach i gwałcicielach. I myślę, że zapadło mi to głęboko w pamięć, bo odkąd jestem sama, stałam się bardzo ostrożna. Niech mi pan pokaże jakiś dowód tożsamości.

Bell Kosinski wydobyl z kieszeni legitymację ze zdjęciem, w której było napisane, że jest emerytowanym funkcjonariuszem policji. Unosząc ją do góry, uśmiechnął się i odezwał:

— Wie pani, wciąż mam prawo aresztować.

Kobieta obejrzała legitymację, skinęła głową i schowała rewolwer do torebki.

— Gdyby chciał pan kogoś aresztować, pozostałby pan na służbie. Czy przyszedł pan zobaczyć się z moim synem?

— Jeśli pani syn nazywa się Marty Blake, to tak.

Kobieta cofnęła się.

— Proszę wejść, Marty bierze prysznic.

Gdy Bell Kosinski przeszedł obok pani Blake, otworzyły się drzwi na drugim końcu korytarza i stanął w nich Marty. Miał na sobie szlafrok frotte — prezent od Rebeki Webber, która wkładała go podczas niemal każdej swojej wizyty. Blake w miękkim materiale wciąż wyczuwał zapach jej pudru i właśnie rozkoszował się nim, gdy ujrzał Kosinskiego stojącego u boku jego matki.

— Przyszedł pan do mnie? — odezwał się z nosem ciągle jeszcze tkwiącym w rękawie szlafroka.

— Nie spędziłem dwóch godzin w autobusie, tylko dlatego, że podoba mi się okolica.

Blake dostrzegłszy opuchniętą wargę Kosinskiego, z trudem opanował narastający w nim gniew.

— Jeśli przyszedł pan, by mnie ostrzec, niech pan sobie daruje.

— Przyszedłem, żeby pomóc.

— Pomóc?

— Pan Kosinski pracował w policji przez dwadzieścia dwa lata — odezwała się Dora Blake. — Okaż mu trochę szacunku. Choćby ze względu na swojego ojca.

Marty zamierzał odpowiedzieć, lecz w ostatniej chwili zmienił zdanie. Nie lubił walczyć z wiatrakami, uważał, że o wiele lepiej jest odczekać, aż ktoś zakończy swe próżne gadanie.

— Mamo, wiesz co, może zajęłabyś się panem Kosinskim, a ja w tym czasie włożę coś na siebie. Poczęstuj go kawą, bajgłem — Blake odszedł, nie czekając na odpowiedź. Kosinski popatrzył w stronę, gdzie znikł młody detektyw, po czym wzruszając ramionami, odwrócił się.

— Nie sądzę, aby pani syn zbyt często za mną przepadał.

— Chce pan przez to powiedzieć, że istnieje cokolwiek, za czym by przepadał? Nie licząc siebie samego?

Poprowadziła go do niewielkiej kuchni, posadziła i naleła filiżankę kawy.

— Proszę mówić do mnie Dora.

— Do mnie mów Bell — wyciągnąwszy z kieszeni piersiówkę ze smirnoffem, dołał alkohol do kawy. Przecież wolno mi, do cholery, pomyślał.

— Mój mąż, niech jego dusza spoczywa w pokoju, zapił się na śmierć — Dora napełniła sobie filiżankę, a następnie usiadła naprzeciwko Kosinskiego. — Co się

takiego dzieje z policjantami, że gdy odchodzą ze służby, ich życie rozpada się na kawałki?

— Tak naprawdę to moje rozpadło się wcześniej. Właśnie dlatego wysłali mnie na emeryturę — Kosinski pociągnął łyk swojej wzmocnionej kawy i przyjrzał się rozmówczyni. Podobnie jak jej syn miała gęste, kręcone włosy, lecz wyraz jej twarzy nie był głupkowaty jak u Marty'ego. Niebieskie oczy otoczone ciemnymi zmarszczkami, wyrażały żywość i pewność siebie. Idealnie pasowały do dużego nosa, ostro zarysowanych ust oraz całego zadbanego ciała.

— Teraz zapewne opowiesz jakąś smutną historyjkę. Każdy z was ma swoje wytłumaczenie, zarówno policjanci, jak i przestępcy.

Bell Kosinski wzdygnął się, słysząc te słowa.

— To jakby porównywać rybaka do ryby. Całkowicie bez sensu.

— Według ciebie jest jakiś sens w picciu wódki o ósmej rano? To coś nowego.

Ubierając się Marty Blake słyszał, jak jego matka strofuje byłego policjanta. Przez głowę przemknęło mu kilka utartych powiedzeń — trafiła kosa na kamień; jak sobie pościelesz, tak się wyśpisz. Każde z nich stanowiłoby godny rewanż za udawanie łosia. Jednak mimo przyjemności, jaką sprawił mu atak matki na Kosinskiego, Blake nie przestawał zastanawiać się nad prawdziwym celem jego wizyty. Co tu robił i jak tu trafił? Blake uważał go za beznadziejnego pijaka i tylko dlatego potrafił w barze opanować swoje nerwy. Dwanaście godzin później ów moczymor-da znalazł się w jego kuchni.

Marty włożył białą koszulkę z krótkimi rękawami, granatowe spodnie, zapiał wąski, szary pasek, po czym przejrzał się w lustrze. Oczywiście koszulka była zbyt ciasna — efekt korzystania z pralni chemicznej — więc rękawom w każdej chwili groziło rozerwanie przez napięte bicepsy. Wybierał się do więzienia na widzenie z niedorozwiniętym skazańcem i dlatego pragnął przybrać swego rodzaju ojcowski wygląd, by nie przypominać mu policjantów znanych z dotychczasowych przesłuchań.

Zamiast przebierać się, Blake postanowił włożyć dodatkowo kurtkę, którą kupił w sklepie z odzieżą o nietypowych rozmiarach. Była o wiele za droga oraz zbyt wytworna, w jego mniemaniu, jak na wizytę w więzieniu, ale nie miał wyboru. Jego garnitury wyglądały zaledwie elegancko, natomiast bawełniana kurtka w paski, w której wygląda jak kompletny kretyn, a która pasowałaby doskonale, niestety znajdowała się w pralni.

Podjąwszy decyzję co do ubioru, Blake ponownie skupił się na Kosinskim, a mianowicie na jego tanim garniturze i jeszcze gorszym krawacie. Stary pijak próbował upodobnić się do człowieka, ale na Martym nie zrobiło to wrażenia. Nie dawał się nabrać na ciuchy kupione z wyprzedazy. Pijak to pijak, śmieć to śmieć, ćpun to ćpun.

Kierując się w stronę kuchni, usłyszał głos Kosinskiego:

— Pracowałem niemal wszędzie. W wydziale zabójstw, w ochronie mienia, w zorganizowanej przestępczości, w narkotykach. Jedyne wyjątki stanowił wydział spraw wewnętrznych. To byłoby już za dużo. Kiedy bierze się pensję, wykonuje się swoją robotę, ale istnieją pewne granice.

Dora Blake chciała już odpowiedzieć, lecz zobaczyła zbliżającego się syna.

— Myślę, że czas już na mnie, Bell. Trzeba iść do domu.

— A nie mieszkaś tutaj? — szczerze zdumiał się Kosinski.

— Nie, ale w tym samym bloku. Trzy piętra wyżej — odsunęła krzesło i zaczęła się zbierać do wyjścia.

— Mamo, posiedź jeszcze trochę. Potrzebuję świadka — Blake był przekonany, że Kosinski przyszedł, aby go w jakiś sposób zastraszyć. Pomysł ów wydawał się równie przerażający co zabawny. Przynajmniej tak to odbierał, podejrzewając, że wpakował się w coś o wiele większego, niż się początkowo spodziewał. Czuł, jak z podekscytowania jeżą mu się włosy na karku.

— Dobra Kosinski, wysłuchajmy pańskich złych wieści.

Bell Kosinski spojrział na Blake'a. Kiedyś połamałby pałkę na głowie takiego kretyna, a teraz przychodzi do niego jak żebrak. Nie, nie żebrak, raczej kupiec, gdyż przyszedł tu w celach handlowych.

— Pamiętasz tę piątkę, o której mówiłeś mi wczoraj? — zapytał.

— Piątkę?

— Chodzi mu o raport znajdujący się w aktach — wtrąciła się Dora Blake. — Zgadza się, Bell?

— Tak. Ten z moim podpisem, mówiący o telefonicznym donosie wskazującym na Williama Sowell'a jako mordercę Sondry Tillson.

Blake, nie wiedząc do czego zmierza jego rozmówca, zdobył się jedynie na wstrzemięźliwe stwierdzenie:

— Tak, pamiętam i co z tego?

— No więc wszystko odbyło się zupełnie inaczej — Kosinski uniósł filizankę, pociągnął duży łyk, po czym uśmiechnął się triumfalnie.

Nastąpiła długa cisza. Marty Blake pomyślał, że nienawidzi Bella Kosinskiego.

— W rzeczywistości informacja pochodziła od kapitana Aloysiusa Grogana. Detektyw Tommy Brannigan i ja otrzymaliśmy ją od informatora kapitana na parkingu w Queens. Nie wiem, kto podpisał tamtą piątkę, ale to nie byłem ja.

Marty Blake usiadł, złożył ręce i oparł się o blat stołu.

— Czy jest pan gotów zeznać to pod przysięgą?

— Może.

— Może?

— No cóż, chciałbym czegoś w zamian.

— Czego, pieniędzy?

Kosinski potrząsając głową, zwrócił się do matki Blake'a:

— Wiesz Doro, nie chciałbym cię krytykować, ale nie wychowałeś swojego chłopaka na zbyt grzecznego.

Dora Blake uśmiechnęła się złośliwie, lecz jej oczy przeczyły ustom.

— Mówisz tu o handlowaniu informacjami, które mogłyby wydostać z więzienia niewinnego chłopca. To nieładnie, Bell, dlatego nie powinieneś spodziewać się grzeczności.

— Czy wspominałem o pieniądzach? — Kosinski spojrzął na dno pustej filiżanki i walczył z pokusą, by napełnić ją zawartością butelki, którą trzymał w kieszeni. — Pieniądze nie mają z tym nic wspólnego. Chciałbym pracować nad tą sprawą. Jako swego rodzaju asystent. I nie sądzę, bym był zupełnie bezużyteczny, ponieważ, jak zdążyłem się zorientować, twój syn nie ma zielonego pojęcia o prowadzeniu śledztwa na ulicy. Na dodatek mam kontakty w policji, przyjaciół, którzy na przykład wyciągnęli dla mnie akta Martina Blake'a i powiedzieli mi, gdzie mieszka. Ci sami przyjaciele poinformowali mnie, że właśnie dobiegło końca jego roczne zawieszenie za założenie podsłuchu w pewnym mieszkaniu. Od nich też wiem, że dotychczasowa praca Marty'ego Blake'a polegała na ściganiu osób działających na szkodę różnych firm.

Kosinski zamilkł w pół słowa. Spuścił wzrok na swoje dłonie, wolałby znajdować się gdziekolwiek indziej, byle nie siedzieć za tym stołem. Żałował, że nie poszedł do Cryders, gdzie przy pełnej szklaneczce spokojnie oglądałby sobie CNN.

— Chwileczkę.

Kosinski podniósł oczy. Blake odwracał się, by wyjść do sypialni. Dora wnikliwie wpatrywała się w niego.

— Blake, idziesz zadzwonić do prawnika? — odezwał się. — Zamierzasz złożyć raport swojemu szefowi?

Marty przez moment zawahał się, lecz nie zmienił zdania. Gdy znalazł się już w pokoju, doleciał go głos Kosinskiego.

— Powiedz mu, że mam dowody na poparcie swoich słów. Przekaż, że mogę mu je podać jak na tacy.

Blake zawsze szczycił się swoim obiektywizmem. Wykonywana praca niejednokrotnie zmuszała go do obcowania z ludźmi, których nie mógł ścierpieć. Część z nich, a nawet większość, stanowili płacący klienci, innych na ogół potrzebował w jakimś celu. Doskonale pamiętał noc spędzoną przy wódce w towarzystwie faceta, który mówił o kobietach jak o psach. We wszystkich barach, do których wchodzili, niemalże rozbierał każdą napotkaną kobietę, opowiadając szczegółowo, co pragnąłby z nimi robić na oczach ich matek.

— Wiesz, Blake, jeśli stara cipa będzie mnie błagać, może jej także poświęcę chwilkę, podczas gdy córka zajmie się lizaniem mojej dupy. Co o tym sądzisz?

Człowiek ów był wtyczką Blake'a i miał mu pomóc ujawnić pewien szwindel

dotyczący pół tuzina nowojorskich firm budowlanych, w którym w grę wchodziło kilkaset tysięcy dolarów. Podczas procesu stał się on kluczowym świadkiem oskarżenia, do czego nie doszłoby, gdyby Blake nie słuchał go wytrwale, nie rechotał we właściwych momentach i nie stawiał drinków.

Marty wyjął z portfela wizytówkę Maxa Steinberga i wystukał numer telefonu. Kobieta, która odebrała, poinformowała go, że adwokat uczestniczy obecnie w konferencji.

— Pan Steinberg oddzwoni do pana jak tylko będzie to możliwe.

— Muszę porozmawiać z nim natychmiast. Zaczekam.

— To może chwilkę potrwać, panie Blake.

— Po prostu niech go pani zawoła — wykrzyknął. — Niech mu pani przerwie i powie, że muszę podjąć pewną decyzję i nie mogę czekać.

— Chwileczkę.

Chwileczka okazała się znacznie dłuższa, niż się spodziewał. Blake zaczął już nawet żałować, że w ogóle zadzwonił, że nie poddał się impulsowi i nie zrzucił pijanego Bella Kosinskiego ze schodów.

— Blake, krótko i do rzeczy.

Marty zaczerpnął głęboki oddech, wyobrażając sobie, jak sławna peruka zsuwa się na czoło prawnika.

— W porządku. Zgodnie z oficjalnym raportem nazwisko Williama Sowell'a podczas dochodzenia po raz pierwszy pojawiło się za sprawą anonimowego telefonu. Detektyw, który odebrał ten telefon oraz podpisał raport nazywa się Bell Kosinski. Nadążasz za mną, Max?

— Tak, mów dalej.

— W tej chwili Bell Kosinski, który jest już na emeryturze, siedzi w mojej kuchni. Twierdzi, że informacja pochodziła od kapitana o nazwisku Grogan. Mówi też, że nigdy nie podpisywał tamtego raportu.

Zaległa martwa cisza, którą pierwszy przerwał Steinberg.

— Zalewasz, prawda? To jakiś żart?

— Żaden żart, Max. I nie prosz mnie, żebym ci wyjaśnił, dlaczego Bell Kosinski gotów jest zeznawać pod przysięgą. Twierdzi, że potrafi wszystko udowodnić. Mówi również, że nie wiedział nic o tamtym raporcie, dopóki mu wczoraj nie powiedziałem. Mój problem polega na tym, że nie wiem, jak ważna jest ta informacja i czy powinienem zapłacić cenę, jakiej żąda.

— Cenę? Czy rzeczywiście żąda forszy?

— Nie chodzi o pieniądze. Chce zostać moim asystentem i razem ze mną prowadzić sprawę.

— Pieprzysz?

— Na dodatek facet jest nałogowym alkoholikiem, pijakiem o wstrętnej gębie.

— Witamy w klubie.

— To wcale nie jest śmieszne. Widzisz, Kosinski twierdzi, że miał urlop, kiedy zgarnięto Sowell'a, dobito targu zanim wrócił. Nie może powiedzieć nam jak to właściwie było...

- Blake, zapomnij o tym. Chcę go widzieć jutro w moim biurze. Jakiego rodzaju pijakiem jest ten facet? Przewraca się? Zarzyguje? Mów.
- Skąd mogę wiedzieć? Poznałem go dopiero wczoraj.
- Czy dało się z nim gadać?
- Tak. Przykry w obyciu, ale można go zrozumieć.
- Dobrze. Ani na moment nie spuszcza go z oczu, ponieważ mam przeczucie, że jeśli to zrobisz, zniknie na zawsze. Utop go w alkoholu, żeby nie zaczął się niecierpliwic. Pozwól mu schlać się w trupa, słuchaj o jego problemach i trzymaj głębę na kłódkę. Nie możesz mieć pewności, iż rzeczywiście wyjechał wtedy na urlop. A nawet jeżeli to prawda, nie wiadomo, czy nie dogadał się z kumplami po powrocie. W zasadzie to nie wiesz niczego, masz tylko doprowadzić jutro Bella Kosinskiego do mojego biura. Życzę miłego dnia.
- Słuchaj, Max...
- I jeszcze jedno, panie Blake, powinien pan wiedzieć, jak postąpić, nawet bez zasięgania mojej rady.

9.

Jadąc swoim taurusem na północ w kierunku Zakładu Karnego Columbia, Marty Blake postanowił zignorować radę Steinberga. Nie chodziło wcale o jego sarkastyczne uwagi czy rozkazujący ton adwokata. Doskonale pamiętał swojego ojca oraz dzieciństwo bez reszty wypełnione uwielbieniem dla jego osoby. Zawsze pragnął stać się tak samo silny i jednocześnie delikatny, jak ojciec.

Kiedy Marty skończył dwadzieścia lat, wszystko zawaliło się na jego oczach. Po przejściu na emeryturę ojciec, który nigdy dotąd nie pijał więcej niż jedno piwo do obiadu, stał się zwykłym moczymordą. Nie sposób nazwać tego inaczej. Nie chodziło tu o powolny proces staczania się człowieka, którego czekały lata bezczynności — gdyby był to jedyny problem, Matthew Blake mógłby po prostu znaleźć sobie jakąś pracę. Niestety, wszystko wydarzyło się niespodziewanie szybko. Wspaniały i pewny siebie sierżant Blake w niespełna miesiąc później był już tylko zwykłym panem Blakiem, na klęczkach obejmującym miskę klozetową.

Kiedy ojciec zaczął się staczać, Blake studiował na pierwszym roku w kolegium imienia Johna Jaya. Rok później robił specjalizację z informatyki na nowojorskim uniwersytecie stanowym. A będąc już na ostatnim roku, poznał dziewczynę z mieszkaniem i w ogóle przestał przychodzić do domu.

Najgorsza jego zdaniem była słabość ojca oraz zachowanie matki, która udawała, że nic się nie stało. Wyglądało to tak, jakby pragnęła go zabić albo jeszcze lepiej asystować przy jego samobójstwie niczym lekarz dokonujący eutanazji. Tyle że tata nie cierpiał na postępującą sklerozę, raka czy inną nieuleczalną chorobę. Przynajmniej nie na taką którą dałoby się jednoznacznie sklasyfikować.

Dopiero gdy zobaczył matkę rozpaczającą nad grobem, Marty zrozumiał, iż tragedia, która rozegrała się, w rzeczywistości była o wiele bardziej skomplikowana. W owym czasie już dawno nie utrzymywał stosunków z tamtą dziewczyną a mieszkanie wynajmował na swoje nazwisko. Matka bez żadnych wyjaśnień zaczęła regularnie wpadać do niego na poranną filiżankę kawy. W rozmowach nigdy nie wspominali o ojcu.

— Zdrowie.

Blake obejrzał się. Kosinski szczyrzył do niego zęby, w prawej dłoni trzymając półlitrowkę smirnoffa.

— Marty, nie zachwyca cię ten wspaniały dzień? — zatoczył butelką łuk, wskazując okoliczny krajobraz. — Czy istnieje coś równie pięknego jak czerwcowy dzień? Może tylko pogodny sierpień w Nowym Jorku. Jest tam wtedy cholernie ślicznie.

Kosinski z powrotem odwrócił się, by podziwiać okolicę. Na łące u podnóża pagórka pasło się kilka krów. Na tle błękitnego nieba wydawały się Kosinskiemu

niemal tak egzotyczne, jak Indianom Kolumb i jego towarzysze, gdy przybyli po raz pierwszy.— Chciałem tylko zaznaczyć, że nasza współpraca jest dla mnie prawie wyzwoleniem — schował butelkę do kieszeni marynarki i zerknąwszy na Blake'a doszedł do wniosku, iż jest w tym chłopcu jakaś cecha, która zachęca do wy-targania go za włosy.

— Wyzwoleniem? Od czego?

— Od przemykania oczu. Od pieprzonej roboty. Od kłamstw i kręctw. Ze-szłego wieczoru, kiedy mnie zostawiłeś, zacząłem zastanawiać się, ile to razy od-wracałem głowę. Ile razy widziałem, jak pieniądze ze sprzedaży narkotyków wę-drują do czyjejs kieszeni. Ile razy przyglądałem się policjantom okradającym nie-boszczyków. Blake, słyszałeś o glinach obrabiających umarłaków? Słyszałeś o tym?

Blake potrząsnął głową, mając na uwadze, że słuchanie Kosinskiego stało się jednym z jego zadań. Klient ma zawsze rację, a przynajmniej dopóty, dopóki płaci.

— Okradanie zmarłych nie należy do sfery moich zainteresowań, Kosinski. Chętnie cię posłucham.

— W porządku, przypuścimy, że jesteś zwykłym posterunkowym, który przyj-muje zlecenia w kolejności, w jakiej nadchodzą. Otrzymujesz polecenie, by poje-chać pod podany adres — nic szczególnego, a jednak na miejscu zastajesz martwe-go starego pryka. To nie zabójstwo; po prostu znajdujesz ciało, które leży już od dwóch dni. Niesamowity smród, wokół oczu i w uszach kłębią się białe robaczki. Policjanci powinni wycofać się i zawiadomić sierżanta. Tak przynajmniej zaleca regulamin.

Zazwyczaj bywa jednak inaczej. Na ogół jeden lub obaj policjanci, którzy otrzymali zlecenie, przetrząsają całe mieszkanie. Wiesz, szukają za szafkami, pod szufladami, za rezerwuarem. Z jakiegoś niezrozumiałego powodu starsi ludzie — szczególnie, gdy prowadzą skromne życie — nie ufają bankom. Podobno ma to coś wspólnego z Wielkim Kryzysem, ale nie znam się na tym dokładnie. Wiem nato-miast, że znalezione pieniądze trafiają zwykle do czyjejs kieszeni. A pamiętaj, że nawet drobna sumka mogłaby zapewnić im godziwy grób.

Jeśli chodzi o mnie, to nigdy nie wziąłem nawet centa. Przez ponad dwadzie-ścia lat nigdy nie sięgnąłem po cudzą własność, ale nieraz odwracałem głowę, uda-jąc, że nie widzę. Tak to jest z uczciwymi glinami. Nigdy też nie poszedłem z dono-sem do sierżanta czy kapitana. Przyzwalałem na to i na wiele jeszcze gorszych rzeczy. Widywałem facetów zakutych w kajdanki i niemal katowanych tylko dlate-go, że jakiś policjant lubił zadawać innym ból. Wiele razy byłem świadkiem, jak wypuszczano na wolność prawdziwych skurwieli, ponieważ ktoś wziął łapówkę

i „zawieruszyły się” dowody. Wiedziałem również, że ten chłopak, Sowell, poszedł do więzienia za przestępstwo, którego nie popełnił.

Obecnie, Marty, odszedłem z policji i już nigdy do niej nie wrócę. Zeszłej nocy zadałem sobie pytanie: „Bell, czy do końca życia zawsze będziesz przymykać na coś oczy?”. Nie potrafię siebie zrozumieć, bo nie chodzi tu o honor. Przecież to żadna zasługa ochraniać zepsucie i dlatego właśnie postanowiłem dopomóc w wydostaniu Billy'ego z więzienia.

Blake nie raczył nawet skinąć głową. Niech sobie pijak pogdera, pomyślał. Jutro się okaże, czy się na coś przyda, czy będzie po nim, a najlepiej — niech pomoże i potem spływa.

Mimo pogardy dla Kosinskiego, Blake nie potrafił powstrzymać się od porównywania jego opowieści z tym, co dwa dni temu mówił Max Steinberg. Ku swemu zdumieniu spostrzegł, że tęskni za przestępcami gospodarczymi, z jakimi dotychczas miał do czynienia, noszącymi garnitury od Paula Stuarta, eleganckie płaszcze oraz pantofle Ferragamo. Dochodził do wniosku, iż jego ojciec przez całe swoje życie był otoczony brzydotą, wśród której znalazł się teraz Marty i która go przytłaczała.

Mijali właśnie łagodne wzgórza porośnięte kukurydzą. Tego lata często padało i dlatego długie łodygi rosnące w gęstych rzędach, niespełna metr od drogi, ugiwały się pod ciężarem dojrzałych już kolb. Taurus Blake'a objechał wzgórze i za rozciągającymi się wokół polami, łąkami oraz sadami ich oczom ukazały się szare mury Zakładu Karnego Columbia odległego o niespełna półtora kilometra. Dwunastometrowej wysokości ściana z wieżyczkami strażniczymi na rogach przypominała ponury miraż. Wydawało się, że nie mogli jeszcze być tak blisko, że to pomyłka i należy zerknąć na mapę, ustawić kompas.

— Jezu Chryste — wyszeptał Blake. — Witamy w piekle — odwracając się dostrzegł, że jego towarzysz siedzi wyprostowany, uśmiechając się pod nosem. — Bawi cię to?

— Wspominam dawne przeżycia — odpowiedział Kosinski. Wydobył smirnoffa, pociągnął duży łyk, po czym wetknął butelkę pod siedzenie. — Prawie jak wjazd do Rikers, tyle że tam nie ma murów. Wszystkie te zbiry w jednym miejscu. To się czuje nawet z zamkniętymi oczyma.

— Czuje się co?

Kosinski zamierzał już odpowiedzieć, lecz rozmyślił się.

— Zorientujesz się, jak wejdziemy do środka.

Blake odchrząknął.

— Być może nie będzie żadnego „my”. Steinberg załatwił przepustkę dla jednej osoby. Postaram się, żeby cię wpuścili, ale...

— No cóż — wymamrotał Kosinski. — Słuchaj, czy mogę ci zadać jedno pytanie?

— Czy to ważne?
— Do licha, Blake. Przestań zgrywać takiego twardziela. To bez sensu. Chcę ci pomóc.

— Kosinski, po prostu wykrztuś z siebie, co masz do powiedzenia.

— Dobrze. Po drodze zastanawiałem się, co ty tu właściwie robisz. Wiem, że wypada odwiedzić swojego klienta i tak dalej, ale obaj doskonale wiemy, że chłopak nic złego nie zrobił. Czy chodzi tu o winę lub niewinność? Nie, prawda? Możesz mi wierzyć, Blake, ponieważ mam wiele doświadczenia w podobnych sprawach; naprawdę ważne jest, by wiedzieć, czego się oczekuje od takiego spotkania, *zanim* się na nie dojedzie.

Blake nie zdejmował rąk z kierownicy i patrzył przed siebie.

— Mój cel i moje oczekiwania to trzy setki, które otrzymam po powrocie, plus zwrot kosztów.

— Więc nie sądzisz, by dzieciak mógł ci w czymś pomóc?

— Słuchaj, gdyby Sowell potrafił zapewnić sobie alibi, zrobiłby to już dawno.

— Tak, to prawda. W takim razie powiedz mi, dlaczego adwokat przysłał cię tutaj? Chyba nie po to, by wydać te trzysta dolarów.

Blake nie odpowiedział. Znajdowali się już około stu metrów od głównej bramy wjazdowej. Kiedy samochód zatrzymał się, strażnik podszedł do okna od strony Blake'a i zażądał podania nazwiska oraz celu wizyty.

— Nazywam się Blake, a to mój współpracownik, Kosinski. Przyjechaliśmy zobaczyć się z więźniem, Williamem Sowellem.

— Zgadza się. Proszę okazać dokumenty.

Blake wydobyl świeżo odzyskaną licencję prywatnego detektywa, wziął od swego towarzysza jego legitymację policyjną i podał strażnikowi. Ten zabrawszy dokumenty, wszedł do wartowni, by skorzystać z telefonu. Po upływie minuty żołnierz powrócił.

— Czy któryś z panów ma przy sobie broń?

Blake spojrzął na Kosinskiego, policjant potrząsnął głową:

— Nie.

— Gdy otworzę zewnętrzną bramę, proszę podjechać do wewnętrznej i opuścić samochód.

Blake popatrzył na odchodzącego strażnika, a potem na rozsuwające się stalowe drzwi bramy wjazdowej. Zgodnie z otrzymaną instrukcją ruszył, starając się opanować narastające napięcie. Kiedy jego oczom ukazała się grupa więźniów pracujących na dziedzińcu, po plecach przebiegły mu ciarki. Dopiero teraz dotarło do niego, iż Zakład Karny Columbia był więzieniem stanowym o zaostrowym rygorze — nie zamykano w nim pospolitych złodziejaszków.

— Nazywają to atmosferą — zarechotał Kosinski.

Z budki mieszczącej się za ogrodzeniem z siatki wyłonił się kolejny wartownik.

Przeszukał bagażnik, zajrzał pod maskę, sprawdził wnętrze samochodu, znalazł ukrytą pod siedzeniem butelkę.

— To kontrabanda, proszę pana. Zmuszony jestem to skonfiskować.

— Ale odzyskam ją, kiedy będę wychodził? — uśmiech Kosinskiego znikł w jednej chwili.

— Obawiam się, że nie...

Kosinski szybkim krokiem podszedł do strażnika, wyrwał mu z ręki butelkę, odkręcił, dwoma łykami opróżnił jej zawartość, po czym oddając pustą wartyńnikowi, powiedział:

— Niech pan pamięta, że to surowiec wtórny — dla dobra Ameryki.

10.

Blake i Kosinski nie dostali się do samego środka więzienia, do cel, warsztatów, sali gimnastycznej. Kiedy rozwścieczony klawisz otworzył im w końcu bramę, wjechali na parking przed budynkiem administracyjnym. Stamtąd skierowano ich do biura zastępcy naczelnika Paula Sheridan. Wszędzie dookoła pracowali więźniowie — pisali na maszynach, porządkowali kartoteki, odbierali telefony — byli to jednak ci najgrzeczniejsi spośród grzecznych, którzy wpierw musieli wykazać się umiejętnością opanowywania swych porywczych charakterów (zadowolającą dla administracji więzienia, lecz nie dla komisji do spraw zwolnień warunkowych). Wszyscy pracowali w milczeniu, wydawali się pogrążeni we własnych myślach. Nikt nie spoglądał w stronę innych, nikt się nie uśmiechał, nikt nie plotkował.

Kosinski, który nie raz już był w takiej sytuacji, z radością dostrzegł zmieszanie Blake'a. Napawając się owym uczuciem, doszedł do wniosku, iż właśnie to stanowiło różnicę między policjantem a zwykłym obywatelem. Nawet najdoskonalszy komputer nie może przygotować człowieka do stawienia czoła owej niesamowitej mieszaninie przemocy i niedoli charakterystycznej dla świata przestępczego. Taka atmosfera jest w stanie przytłoczyć każdego nowicjusza. Także Martina Blake'a.

Zastępca naczelnika ponownie sprawdził dowody tożsamości obu mężczyzn, zapytał o ewentualną broń oraz poinformował o rozporządzeniach dotyczących magnetofonów i kamer. Kosinski obserwował Blake'a odpowiadającego przecząco na wszystkie zadawane pytania. Kiedy na moment zostali sami, podszedł do niego i powiedział:

— Magnetofon na nic się nie przyda, jeśli nie wiadomo, co chciałoby się nagrać.

— Wiesz za co byłbym ci najbardziej wdzięczny? — odparł Blake. Mówił kątem ust, jakby obawiając się, że ktoś mógłby ich podsłuchać. — Gdybyś raczył trzymać swoją pijacką gębę na kłódkę.

Kosinski zamierzał już odpowiedzieć, lecz po chwili namysłu w milczeniu wsadził ręce do kieszeni. Nie czuł się pijany, odczuwał tylko przyjemne rozluźnienie oraz ulgę, tak jak ryba, której udało się zerwać z haczyka.

Po krótkiej nieobecności zastępca naczelnika, Sheridan, poprowadził ich (oczywiście pierwszy szedł Blake; Kosinski za nim) do małego, położonego na uboczu pokoiku przeznaczanego do spotkań więźniów z ich adwokatami. Pomieszczenie sprawiało ponure wrażenie — wyblakła farba na ścianach, ciemna terakota, rozpadające się, metalowe krzesła i stoliki.

Blake, który wspomniał gabinet Joanny Bardo pełen rzekomych antyków, do-
kładnie wytarł krzesło, zanim usiadł. Natomiast dla Bella Kosinskiego miejsce to
wydawało się niemal luksusowe w porównaniu z podobnymi pokojami na niektó-
rych posterunkach. Tutaj przynajmniej nikt nie nasikał w rogach, co było ulubioną
rozrywką policjantów uważających adwokatów za stworzenia podlejsze niż prze-
stępcy, których bronią.

W milczeniu oczekiwali na przybycie Billy'ego Sowell'a i chociaż żaden z nich
nie liczył minut, czas dłużył się im niemiłosiernie.

Blake z zalem myślał, że popełnił błąd, przyjmując propozycję Joanny Bardo.
Zastanawiał się, czy nie lepiej było poszukać sobie czegoś z dziedziny przestępstw
gospodarczych, ponieważ obecne zajęcie nie przypadło mu do gustu. Nie pasowała
mu ta sprawa, nie miał żadnych pomysłów. Oczywiście wystarczająco dobrze znał
się na różnych procedurach, lecz opuścił go ów szósty zmysł, który zawsze mu
pomagał podczas tajnych akcji w działach informatycznych różnych przedsię-
wzięciach.

Nagle pojawienie się Billy'ego Sowell'a nie rozwiało wątpliwości piętrzących się
w umyśle Blake'a. Drobna postać, niespełna metr siedemdziesiąt wzrostu i nie
więcej niż sześćdziesiąt pięć kilogramów wagi, przez moment zawahała się, po
czym wyszła z cienia, podnosząc głowę. Ktoś, być może jakiś klawisz, a może sam
Sowell, w ostatniej chwili próbował usunąć makijaż z twarzy więźnia. Był to da-
remny trud, gdyż końcowy efekt — błękitne smugi oraz tłuste ślady czarnego tuszu
na obu policzkach — sprawiał wrażenie o wiele bardziej niesamowite, niż gdyby
nie zrobiono niczego.

Marty nie wyciągnął jednak niemal automatycznie nasuwających się wniosków,
nie zdecydował się nazwać Sowell'a homoseksualistą, pedałem czy punkiem. Nie
odwrócił głowy z niesmakiem, lecz przyjrzał się sylwetce więźnia, koszuli w kolorze
khaki o mistrzowsko skróconych rękawach oraz obcisłym spodniom uwydatniają-
cym pośladki Billy'ego — dwie doskonałe półkule uniesione do góry, przypomina-
jące miękką piłkę.

— Cześć Billy. Mogę mówić do ciebie po imieniu? Nazywam się Bell. Bell Ko-
sinski.

Blake przyglądał się, jak Kosinski wstaje i robi krok do przodu. Zobaczył
uśmiech na jego twarzy oraz wyciągniętą dłoń prowadzącą Billy'ego Sowell'a w
kierunku krzesła. Następnie spostrzegł, że policjant wyjmuje z kieszeni tabliczkę
czekolady — z tej samej, w której wcześniej trzymał butelkę smirnoffa — i podaje
ją do sprawdzenia stojącemu w drzwiach strażnikowi.

— Czy mogę? — zaczął na potwierdzenie klawisza, po czym dał prezent So-
wellowi. — Billy, to jest mój przyjaciel, Marty Blake. Przyszliśmy tu, aby pomóc ci
wydostać się z więzienia.

— Cześć.

Miękka dłoń Billy'ego Sowellę wyciągnięta w stronę Blake'a miała paznokcie pomalowane na różowo. Marty, opierając się obrzydzeniu, uściśnął ją krótko, a potem opuścił własną rękę na kolana. Pragnął czuć złość — na Kosinskiego, który przejął dowodzenie, na Joannę, że wpakowała go w całą tę sprawę, na Billy'ego Sowellę, lecz w żaden sposób nie mógł. Odretywiłał siedział w milczeniu.

— Billy, czy jest ci tu ciężko? — Kosinski pochyłał się na krzesło, swoją osobą ograniczając pole widzenia Sowellę. — Czy jest ci ciężko siedzieć w więzieniu?

Billy skinął głową.

— Czy możecie mnie stąd szybko wydostać?

— Nie, Billy. Niezbyt szybko. Musisz jeszcze trochę poczekać — Kosinski ujął dłoń Sowellę i pogłaskał. — Billy, czy pamiętasz mężczyznę o nazwisku Kamal Collars?

— Kamala? Pewnie. Był moim jedynym przyjacielem. To znaczy po śmierci mamy.

— Jak go poznałeś?

— Razem zbieraliśmy pieniądze. Byliśmy partnerami — odpowiedział z dumą, podnosząc głowę, by spojrzeć Kosinskiemu w oczy. — Także razem piliśmy. Skąd znasz Kamala?

— Spotkałem go kiedyś, dawno temu. Powiedział mi wtedy, że wie, gdzie przebywał w tę noc, kiedy zabito Sondrę Tillson. Billy, ty nie pamiętasz, gdzie wówczas byłeś, zgadza się?

— Nie, ja próbowałem, naprawdę próbowałem. Od czasu gdy się tu znalazłem próbowałem jeszcze bardziej. Ale oni nie pytali mnie od razu. Nie pytali mnie przez dwa tygodnie, więc nie pamiętałem.

— Rozumiem. Dlatego właśnie chciałbym zapytać się twojego przyjaciela, Kamala. Chciałbym spytać go, gdzie wtedy przebywał, ale nie wiem, jak go odnaleźć i potrzebuję twojej pomocy — Kosinski puścił dłoń Billy'ego, po czym wyjął mały notes oraz pióro. — Czy widziałeś się z Kamalem odkąd tu trafiłeś?

— Nie, ale chciałbym.

Kosinski uśmiechnął się.

— Z pewnością mu to przekażę. A teraz chciałbym, żebyś mi powiedział, gdzie kiedyś mieszkaliście, dokąd chadzaliście, jakich mieliście wspólnych znajomych i tak dalej.

Pierwszą reakcją Blake'a był gniew — Kosinski nie postąpił wobec niego zupełnie szczerze; powinien był wspomnieć o Kamalu Collarsie. Później jednak, Marty przypomniał sobie polecenie Steinberga, by wpompować w Kosinskiego, ile się tylko da. Zignorował otrzymaną radę. Prawnik miał rację, a on Popęcił błąd i tyle.

Powiniennem wreszcie, pomyślał, podjąć jakąś decyzję. Może babranie się w gnoju to nie dla mnie. Może nie jestem twardzielem. Nie ma w tym nic wstydlivego. Wstydzic należy się niezdecydowania. Oczywiście mogę popracować jeszcze

ze Steinbergiem, dopóki nie znajdę czegoś lepszego. Zapewni mi to dopływ gotówki. Ale wszystko muszę zrobić jak należy, nie mogę się z tym ciągle pieprzyć; nie wolno mi się wahać.

— Wracam właśnie z urlopu i mam takiego kaca, że chce mi się jednocześnie srać i rzygać. Nie wiem jeszcze nic o Billym Sowellu, wiem natomiast, że sprawa Sondry Tillson jest już zamknięta. No więc siedzę sobie za biurkiem, kiedy nagle wchodzi ten olbrzym. Ma chyba ze dwa metry i waży ponad setkę, jest czarny jak węgiel, w brudnej kurtce włożonej na co najmniej sześć warstw koszul i bielizny. Wierz mi Blake, na jego widok panienki z dobrych domów sikają ze strachu. Pewnie dlatego go zapamiętałem.

Tak się składa, że jestem jedynym detektywem w pokoju operacyjnym, więc żaden z nas nie ma wielkiego wyboru. Podchodzi do mojego biurka, mówi mi, że nazywa się Kamal Collars (nie zapomina się takiego nazwiska) i pyta mnie o mojego partnera, Tommy'ego Brannigana. Ja naturalnie chcę się wpierw dowiedzieć, po co mu Brannigan, a on na to, że dzwonił do niego w sprawie śmierci Sondry Tillson i tamten kazał mu stawić się na posterunku. Twierdzi, że wie, iż Billy Sowell nie zabił, ponieważ był z nim w tym czasie. To nie moja sprawa, nie ja ją prowadzę, dlatego informuję go, że Brannigan jest u porucznika i za chwilę wróci. Jeśli chce, może sobie usiąść przy biurku mojego partnera i zaczekać.

Jechali na południe po Taconic Parkway. Kosinskiemu zaczynała ciążyć głowa i pocił się, mimo działającej klimatyzacji. Potrzebował się napić, ale z wyrazu twarzy Blake'a, jego zaciśniętych zębów wnioskował, iż nieprędko będzie mógł to zrobić.

- Słuchasz mnie, Blake?
- Tak, pewnie.
- Chcesz, żebym ci powiedział co myślę?
- Zamieniam się w słuch.
- Zdajesz sobie sprawę, że wykorzystują tego chłopaka, zgadza się?
- Możesz powtórzyć?
- Wykorzystują go. Znaczy się, więźniowie. Taki drobnutki chłopaczek? Nie jest w stanie im się oprzeć, nawet gdyby miał choć odrobinę rozumu. Dali mu więc do wyboru: nałóż makijaż i podaruj nam swoją dupę albo zginiesz.
- Kosinski, skąd możesz wiedzieć, że on tego nie lubi?
- To proste. Gdyby Billy Sowell był pedałem, nie mógłby zabić Sondry Tillson z powodu pociągu seksualnego. To znaczy, nie mogło chodzić o nieudaną próbę gwałtu. Homoseksualizm stanowiłby całkiem niezłą linię obrony.
- A może on lubi tak i tak.
- Faceci, którzy noszą makijaż nie są biseksami, Marty. Powinieneś o tym wiedzieć.

11.

Właśnie minęła czwarta, kiedy Marty Blake wysadził Kosinskiego pod Cryders, a sam odjechał w poszukiwaniu budki telefonicznej. Był piątek, zdawał więc sobie sprawę, że nie pozostało mu już zbyt wiele czasu. Kiedy w końcu udało mu się znaleźć automat na College Point Boulevard, zadzwonił do jednego ze swych starych znajomych.

Numer nieaktualny na terenie Nowego Jorku. Sprawdź w książce telefonicznej i spróbuj jeszcze raz. Numer nieaktualny...

Nie był zbyt zaskoczony. Przez cały miniony okres, o którym lubił myśleć jako o swoim wygnaniu, uparcie opierał się pokusie skalkulowania poniesionych strat, wiedząc, że staną się oczywiste natychmiast po powrocie do dawnej pracy.

— Czas skorzystać z usług Joanny — mruknął do siebie, wystukując numer Manhattan Executive.

— Manhattan Executive, słucham.

— Cynthia? Tu Marty Blake.

— Cześć Marty. Joanna pytała o ciebie. Chciałaby, żebyś pozostawał w kontakcie.

— Tak, skontaktuję się z nią innym razem. Teraz jednak muszę porozmawiać z Conradem Angionisem. Jeśli wciąż jeszcze pracuje dla Joanny.

— Conrad praktycznie tu mieszka. Joanna nigdy nie pozwoliłaby mu odejść.

— Powiniennem być wiedzieć. Słuchaj, spiesz mi się trochę, czy mogłabyś mnie połączyć?

Chwilę później odezwał się szorstki, zachrypnięty głos:

— Słucham?

— Conrad, nie zmieniłeś się ani odrobinę. — Blake wyobraził sobie Greka, dwumetrowego olbrzyma, przycupniętego na stołeczku przed swoim komputerem. Siedząc za stojącym na piętnastocentymetrowym podwyższeniu biurkiem, jako szef działu komputerów górował nad kolegami. Swoje sztywne, czarne włosy Conrad związywał w długi koński ogon; jego twarz porastała gęsta broda rozpoczynająca się tuż pod oczami i sięgająca aż do zawiązanego pod szyją krawatu.

— Marty Blake, czy to ty?

— Tak Conrad, to ja. Zastanawiam się nad próbą odzyskania mojej dawnej posady — Blake kierował działem informatycznym, zanim otrzymał licencję i przeszedł do zadań w terenie.

— Tak? Aha, a Joanna zamierza uczynić mnie pełnoprawnym partnerem. Co mogę dla ciebie zrobić?

— Widzisz, mam pewien problem. Muszę kogoś odnaleźć.

— I to ma być problem?

— Dla mnie tak. Minął już rok i straciłem swoje kontakty. A przynajmniej jeden z nich, na którym mi teraz zależy. Poza tym spieszy mi się.

— Czy znasz numer jego ubezpieczenia?

— Nie, ale to i tak nie na wiele by się zdało. Mężczyzna, którego szukam jest bezdomny. Potrzebuję wglądu w kartotekę Biura Ewidencji Ludności. Opieka medyczna, talony na żarcie, zapomogi, renty inwalidzkie i tym podobne. Może znają tam jego adres.

— Skoro jest bezdomny, skąd może mieć jakiś adres?

— Conrad, gdzie się podział twój spryt? Facet nazywa się Kamal Collars. Dwa lata temu mieszkał na ulicy. Od tamtego czasu mógł pójść do przytułku, znaleźć pracę lub zamieszkać z krewnymi. Żeby otrzymywać zapomogę, musi mieć jakiś adres, nawet jeśli to tylko post restante. Jeżeli korzysta z opieki medycznej, być może dysponują informacją, w jakiej klinice leczył się ostatnio. Słuchaj, jest piątek po południu, nie mamy więc czasu na duperele. Zadzwoń do swojego człowieka w biurze ewidencji. Chcę dostać wszelkie informacje, jakie posiadają, łącznie z numerem polisy ubezpieczeniowej Collarsa. I pamiętaj, jestem teraz klientem.

— Tak też powiedziała mi Joanna. A więc jak mam zaksięgować tę usługę?

Blake zastanowił się chwilę. Zdawał sobie sprawę, że ich postępowanie jest całkowicie nielegalne, lecz bynajmniej nie oznaczało to, że klient zostanie zwolniony z opłaty.

— Zapisz to jako poszukiwanie zakończone negatywnym rezultatem. No i nie zapomnij o niższe.

Otwierając drzwi swojego mieszkania w Forest Hills, Marty Blake odczuwał czyste znużenie. Było to jednak inne uczucie niż to, które ogarniało go po dwunastogodzinnej zmianie za kierownicą taksówki. Być może brało się z przekonania (niewątpliwie fałszywego), iż pogodził się z Bellem Kosinskim; być może z faktu, że Kosinski zasnął po dwudziestu minutach powrotnej jazdy z więzienia; w końcu może chodziło po prostu o odbytą przed chwilą rozmowę z Conradem Angionisem, pierwsze sensowne posunięcie w kierunku zamknięcia sprawy. Angionis należał do szaleńców, którzy nie wyjdą z pracy, dopóki nie sprawdzą wszystkich możliwości. Teraz Blake'owi pozostawało już tylko czekać pod telefonem.

Przekraczając próg, nadal zastanawiał się nad rezultatami tego dnia. Nie była to wnikliwa analiza, jako że odczuwał zbyt silne zmęczenie oraz głód. Jego umysł przeskakiwał od jednej myśli do drugiej. Mimo to, słysząc warkot silniczka i tupot biegnących stóp, szybko zorientował się, co oznaczają owe dźwięki, choć w pierwszej chwili dziwny hałas zmieszał go nieco. Potem zrozumiał, że w jego mieszkaniu jest ktoś, kto używa jego automatycznej ścieżki do biegania i że może to być tylko Rebeka Webber.

Blake wszedłszy po cichu do sypialni, zastał Rebeke odwróconą do niego plecami, biegnącą równym tempem. Trenowała już zapewne dosyć długo, bowiem jej bawełniana koszulka i jedwabne majteczki zdążyły przesiąknąć potem.

To dla mnie, pomyślał. Żeby mi zrobić przyjemność.

Blake obserwował krople potu odrywające się od koniuszków jej równomiernie zroszonych jasnych włosów. Teraz były splątane niczym mokre liany, ale następnego ranka zostaną uczesane za dwieście dolarów w luksusowym salonie fryzjerskim. Patrzył, jak strużki spływają po jej połyskującej szyi, by zniknąć pod koszulką przyklejoną do gładkiego karku. Oczy Marty'ego powędrowały w dół wzdłuż kręgosłupa aż do jej małych, krągłych pośladków, gdzie mokry jedwab majteczek stanowił jedynie nikłą osłonę.

Nie mógł już wytrzymać, jego usta pragnęły zanurzyć się w ciemnych czeluściach u zbiegu ud. W pośpiechu zdjął z siebie ubranie i złożył je starannie. Wiedział, że Rebece nie odwróciłaby się, nawet gdyby zdawała sobie sprawę, że za nią stoi, gdyż lubiła prowadzoną przez nich grę. Wyciągnął wtyczkę z kontaktu.

Kiedy automat stanął, dziewczyna powoli odwróciła się w stronę Marty'ego, jej oczy błyszczały pożądaniem i zarazem triumfem.

Wyciągnęła ramiona w jego kierunku, jej nozdrza falowały, a na ustach czaił się szyderczy uśmiech. Blake obrócił Rebeke, prawą ręką chwycił za oba nadgarstki i wykręcił tak, że krzyknęła, pochylając się jednocześnie, by uniknąć bólu.

— Nie rób mi krzywdy — powiedziała.

— Gdzieżbym mógł.

Popchnął ją do przodu i opierając talię dziewczyny o barierkę automatu, przysunął się do jej pośladków. Z zamkniętymi oczyma, przy pierwszym zetknięciu z jej spoconym ciałem, poczuł, jak otwiera się przed nim.

— Cieszę się, że już wróciłeś — powiedziała, kiedy odsuwał na bok przesłaniający krocze pasek materiału i wchodził w nią. — Nie mam zbyt wiele czasu.

Po wszystkim, gdy Rebece poszła wziąć prysznic, Blake wciąż nagi i spocony, usiadł na klozecie i przyglądał się majteczkom wyrzuconym do stojącego nie opodal kosza.

— Dior — powiedziała, zdejmując je.

Zastanawiał się, ile kosztowały. Dwieście? Może trzysta w komplecie ze staniczkim i pasem do pończoch? Ich także się pozbędzie, wyrzuci je lub odda swojej pokojówce. Kiedy ja idę do biura, biorę parę skarpetek, slipy i koszulkę po prostu z wierzchu. Rebece doбира swoją bieliznę, jakby miała odstawić striptiz przed ginekologiem.

Trzykrotnie zdarzyło mu się obserwować ją kiedy spędzał noc w jej domu w East-Side, stojącego pomiędzy ambasadami Wielkiej Brytanii i Republiki Południowej Afryki, przy siedemdziesiątej ósmej wschodniej ulicy, niedaleko piątej

alei. Rankiem, po tym jak służąca przyniosła kawę, Rebeka wykladała swoją garderobę na rzeźbionej sofie w stylu empire — pończochy, majtki, stanik, pas, spódniczkę, bluzkę, sweter, buty, naszyjnik, bransoletkę, kolczyki, zegarek. Następnie odsuwała się nieco, by przyjrzeć się całemu zestawowi. Jeżeli którykolwiek z elementów został odrzucony, cała reszta także wędrowała z powrotem do szafy. Oczywiście to nie Rebeka odnosiła je na miejsce, było to zadaniem Sary — osobistej pokojówki, którą dostała na swoje dziesiąte urodziny.

Szum płynącej pod prysznicem wody ustał i zza zasłony wynurzyła się ręka Rebeki. Blake wstał, by podać ręcznik. Jego nagrodą był widok Rebeki Webber z rękoma uniesionymi do góry, by osuszyć włosy ręcznikiem, wynurzającej się z mgły niczym królowa haremu.

— Chciałam cię poinformować— odezwała się, przesuwając ręcznik po szyi w kierunku piersi i ocierając zebraną na nich wilgoć — że razem z Williamem wyjeżdżamy za granicę w sprawie posiadłości. Nie będzie nas przez jakiś czas.

Posiadłość ową stanowiło dziesięć tysięcy akrów gdzieś w byłym NRD. Nosiła ona dwie niemożliwe do wymówienia nazwy. Marty nie pamiętał żadnej z nich, ale wiedział, że jedna odnosiła się do siedemnastowiecznego dworku, który należał do rodziny Williama (poprzednio Wilhelma) Webbera przez ponad trzysta lat. Było tak aż do 1944 roku, kiedy strach przed zbliżającą się Armią Czerwoną sprawił, że rodzina uciekła na zachód. William był przekonany, że odzyskanie zagrabionej własności sprowadza się do wręczenia odpowiedniej łapówki odpowiedniemu, niegdyś komunistycznemu, biurokracie. W tym celu wynajął nowojorskiego adwokata, by ten wynajął adwokata w Waszyngtonie, który wynajmie prawnika w Berlinie, by tamten z kolei znalazł owego właściwego człowieka.

— Kiedy wyjeżdżacie?

— W niedzielę rano.

— Ładnie z twojej strony, że mi powiedziałaś.

— Po to tu przyszłam. Sprawy potoczyły się nadszpodziewanie szybko i William obawia się, że jeśli nie zacznie natychmiast działać, straci najlepszą szansę.

— A cóż to ma wspólnego z tobą?

— Proszę cię Marty, nie nudź. To twoja jedyna wada.

— Nie zmieniaj tematu, Rebeko. Ty i William żyjecie niezależnie od siebie już od dziesięciu lat. Tak więc cóż wspólnego z tobą ma podróż w celu odzyskania rodzowego majątku?

Oparłszy stopę o brzeg muszli klozetowej, zaczęła wycierać wewnętrzną stronę lewego uda. Nie patrzyła na Marty'ego, a kiedy przemówiła jej głos wydawał się miękki, pełen tęsknoty.

— Zawsze lubiłam stary kontynent — odparła, jakby to cokolwiek wyjaśniało.

12.

— Widzisz Bell, moje kłopoty z diecezją zaczęły się od tego, że publicznie wyraziłem swój pogląd na świętego Pawła — powiedział ksiądz Tim. — Facet przecież był lizusem, nieprawdą? Kolaborujący Żyd posiadający prawo aresztowania każdego innego Żyda wzywającego imię Jezusa? Bardziej nie można się już stoczyć, prawdziwe bagno. Czyż nie mam racji?

— Tak, ma ksiądz rację — Bell Kosinski tylko jednym uchem słuchał jego wywodu. Czuł się wspaniale, już od wielu miesięcy nie było mu tak dobrze. Powodem takiego samopoczucia była świadomość, że dzisiejszej nocy nie będzie zabawiał się bronią. Nie będzie jej czyścił, dotykał, a nawet patrzył na nią.

— W porządku, a więc podróżuje sobie przez pustynię — ten Szaweł, który potem zostaje Pawłem, ten Żyd, który staje się Grekiem — i doznaje cudownego nawrócenia. Wiesz, najpierw oślepiony, na co być może zasługiwał, a następnie uzdrowiony. W tydzień później jest już przywódcą wszystkich chrześcijan. Jeśli się zastanowić, to wszystko jest bez sensu — przecież Paweł w ogóle nie znał Jezusa, a jednak w krótkim czasie sprawił, że apostołowie zajęli się nawracaniem pogan. Mówię ci Bell, gdyby nie ten kolaborant, chrześcijaństwo pozostałoby religią Żydów.

— I to właśnie powiedział ksiądz publicznie? — Kosinski pociągnął łyk oraz podrapał się w nogę. Jego pytanie było czysto retoryczne. Ksiądz Tim, emerytowany stały bywalec baru Cryders, miał obsesję na punkcie swoich stosunków z kurią. Szczególnie po trzeciej kolejce.

— I wiesz co, kolego, jeśli chodzi o kaplicę na uniwersytecie, to naprawdę udało mi się przykuć uwagę studentów. Piękno pracy z nimi polega na tym, że oni nie boją się myśleć.

— Czy uwierzysz, że kiedyś spowiadałam się u tego faceta? — wtrąciła się Emily Caruso, potrząsając ze zdumieniem głową. — Musiałam chyba do reszty zgłupieć.

Ksiądz Tim skrzywił się, słysząc bluźnierstwo dotyczące jego osoby, dalej jednak mówił do byłego policjanta.

— Tak więc po kilku podobnych wykładach otrzymuję wiadomość, że Monsignor Cabella oczekuje mnie w swoim gabinecie następnego dnia o dziewiątej. Wielebny okazuje się być kurduplem o dziobatej twarzy. Pyta mnie: „Co ty opowiadasz tym dzieciakom?”. Ale nie proponuje mi kawy, a ja akurat mam takiego kaca, że czuję się, jakby ktoś kroił mi mózg za pomocą rozżarzonego metalu. Wiesz, o co mi chodzi? Bell, miałeś kiedyś takiego kaca?

— Miewałem już wszystkie istniejące rodzaje, proszę księdza.

— I będziesz miał jeszcze inne — powiedziała Emily Caruso. Zaczekała, aż Kosinski odwróci się w jej stronę, po czym szepnęła: — Opowiadałam temu palantowi swoje najgłębsze sekrety. Co niedziela spowiadałam się nawet z tego, że mycie cycków pod prysznicem sprawia mi przyjemność. A on jest zwykłym pijakiem. Na Boga, Kosinski, w swoim życiu narobiłam wiele głupstw, ale żeby spowiadać się z grzechów... Hej, a kogóż to lichy niesie, naszego faceta od piwa dla łosi...

Kosinski podniósł wzrok z zainteresowaniem. Był piątkowy wieczór i bar wypełniali robotnicy pragnący pozbyć się części otrzymanych właśnie wypłat, zanim wrócą do domów, gdzie czekają na nich żony i dzieci.

Przychodzili z pobliskich zakładów i tuzina różnych firm budowlanych. Ci spośród nich, którzy jeszcze byli kawalerami przyprowadzali ze sobą młodziutkie panienki w wytartych dżinsach oraz kolorowych body. Wszystkie obecne w barze kobiety (oprócz Emily Caruso) trzymały się w małych grupkach, wyraźnie Świądome swego niższego statusu w tym lokalu.

Kręgielnia, podobnie jak niedawno zreperowana szafa grająca, przeżywała istne obłędzenie. Młodzież kręciła się wokoło, popychała nawzajem, żartowała, podczas gdy stali bywalcy zajęci swoimi kieliszkami udawali, że jest wtorek. Bell Kosinski lubił jednak panujący tam gwar i napięcie. Przypominały mu one pierwsze lata w policji, kiedy patrolował Times Square, gdzie diabeł nigdy nie zasypiał. W dzień i w nocy — narkotyki, seks, gwałty. Apokalipsa przybierała tam najprzeróżniejsze postacie: zakrwawionego człowieka ślaniającym krokiem zbliżającego się do karetki; wymalowanej dziwki w majtkach z rozporkiem jeżdżącej brzytwą po gębie swojego alfonsa; leżącego na chodniku wychudłego dziada o pożółkłej twarzy noszącej ślady nadchodzącej śmierci.

— Więc posłuchaj, Bell — ksiądz Tim chwycił Kosinskiego za ramię, próbując obrócić go w swoją stronę. Nie udało mu się, ale ciągnął dalej, mówiąc do pleców byłego policjanta. — Wiem, że powinienem był odpowiedzieć coś wielebnemu Włochowi, ale przez tego kaca nie mogłem się skoncentrować. Nie strzeliłem sobie wcześniej klina, więc ręce trzęsły mi się tak bardzo, że musiałem schować je do kieszeni. Dlatego właśnie powiedziałem pierwszą rzecz, jaka przyszła mi do głowy. „Czy wielebny pamięta kazanie na Górze, w którym Jezus nakazuje kochać nieprzyjaciół? Jezus kazał ludziom kochać swoich wrogów przed dwoma tysiącami lat, więc dlaczego obecnie, po tylu latach, nie znam nikogo, kto przynajmniej *lubiłby* swoich nieprzyjaciół? Wydaje się to dosyć dziwne, dopóki człowiek się nad tym głębiej nie zastanowi. Jeśli jednak pomyśleć, wszystko staje się zupełnie jasne. Jezus mówi tłumowi *coma* robić, ale nie wyjaśnia *jak*. Nie, On nie tłumaczy niczego *tłumowi*, ponieważ tamci ludzie nie zostali wybrani, a to, w jaki sposób można kochać swoich wrogów, stanowi sekret zarezerwowany tylko dla wybranych. Dlatego właśnie Jezus miał apostołów. Żeby mógł powierzać im swoje sekrety. Co, w moim mniemaniu, pozostawia świętego Pawła na uboczu; czyni z niego działacza, którego zadaniem jest przekształcenie Europy w jeden wielki tłum. Wszyscy dowiadują się *co*, ale nikt nie *wie jak*”.

Kosinski automatycznie przytaknął.

— Emily, powiedz mi, gdzie widziałś tego chłopaczka? Nie mogę go namierzyć.

— Za oknem. O, właśnie wchodzi.

W otwartych drzwiach, jakby na rozkaz Emily, pojawiła się skrzywiona twarz Marty'ego Blake'a. Kosinski spostrzegł, że ramiona chłopaka ledwie mieszczą się w futrynie.

— Bell...

— Nie teraz, proszę księdza. Muszę załatwić pewną sprawę — skinął na Eda O'Leary'ego, by napełnił szklaneczkę księdza, a po namyśle dołączył także należącą do Emily Caruso, po czym pomachał w kierunku Blake'a. — Hej, Marty, tutaj — przyglądał się, jak Marty przeciska się przez tłum, mruczając „Przepraszam... przepraszam”, i myślał sobie, że lepiej ostrzec tego chłopca, iż w basenie, do którego skacze, nie ma wody. Powinien wiedzieć, że głową nie da się przebić muru.

— Kosinski, czy mógłbyś poświęcić mi chwilę?

— Pewnie Marty. Czy to sprawa prywatna? Chcesz wyjść na zewnątrz?

— Tak.

Kosinski, chwytając z blatu swoją szklanekę, podążył za Blakiem. Znalazłszy się na dworze, rozejrzał się dookoła i zauważył kilku facetów popijających na świeżym powietrzu. Za wyjątkiem dwóch osobników, ich twarze nie były mu znane. Do owych wyjątków należał miejscowy chuligan i stały bywalec baru Tony Loest oraz przychodzący tu głównie w weekendy, kiedy miał zbyt na swój towar, handlarz kokainą i prochami Candy Packert.

Kosinski nie zadzierał nigdy z Tonym Loestem, choć parę razy zdarzyło mu się uratować niedoszłe ofiary łobuziaka. Wiedział, że Loest z pewnością nie obawia się fizycznej siły Kosinskiego, lecz jako miejscowy chłopak jest wystarczająco bystry, by szanować odznakę policjanta — odznakę, której Kosinski już nie posiadał. Packert natomiast należał do szumowin, jakie Bell pralby po mordzie bez zastanowienia. Z chęcią wypędziłby go z Whitestone.

— Hej, zasnąłeś czy co?

Kosinski spojrział za siebie, słysząc głos Blake'a i zobaczył, że tamten opiera się łokciem o dach błękitnego pontiaca transama, rocznik 1979. Wtedy do jego uszu doleciał niski pomruk, podobny do tego, jaki wydaje byk, zanim ruszy do ataku.

— Hej Marty, na twoim miejscu odwróciłbym się.

Było za późno. Loest, znajdujący się już w powietrzu, spadł na kark Blake'a nierzadym pantera broniąca swoich młodych.

Kosinski wskazał palcem na Candy'ego Packerta i krzyknął:

— Nie ruszaj się z miejsca, do cholery — po czym ruszył w kierunku swojego partnera. Niepotrzebnie jednak się trudził. Tony Loest osunął się po potężnym

grzbiecie Marty'ego i uderzył twarzą w maskę pontiaca, zanim policjant zdążył zrobić pierwszy krok.

— Jezus, Marty, co to było? Judo? — Kosinski stanął pomiędzy nim a Loestem na wypadek, gdyby ten ostatni miał jeszcze chęć do walki.

— Zapasy — odparł Blake. Cofnął się kilka kroków i stanął za plecami Bella. — Ten chwyt nazywa się przełożenie lub potocznie przerzut. Co to za kretyn?

— Nazywa się Tony Loest. Pracuje na budowie, więc oczywiście wydaje mu się, że jest twardzielem — Kosinski uśmiechnął się drwiąco, mimo że Loest nie mógł zobaczyć tego z powodu krwi zalewającej mu oczy. — Tony, wejdź do środka, umyj twarz i napij się. Powiedz Edowi, żeby wpisał to na mój rachunek.

— Pieprz się, Kosinski. Nie boję się ciebie.

W odpowiedzi były policjant uderzył pięścią w klatkę piersiową Loesta. Tony, który nie zdążył nawet dostrzec zbliżającego się ciosu, skulił się i zaczął wymiotować.

— Packert, słyszysz mnie? — Kosinski nie spuszczał z oczu Loesta, spodziewając się, że tamten otrząśnie się i może znów zaatakować.

— Słyszę — głos Candy'ego Packerta był obojętny, lecz nie zdradzał braku szacunku.

— Zaprowadź go do baru i pilnuj, żeby nie popadł w kłopoty. Jeśli tego nie zrobisz, będę zmuszony szepnąć słówko ludziom od narkotyków ze sto pierwszego posterunku. Powiem im, co razem z Tonym robicie w Cryders.

— Nie ma sprawy, już idziemy.

Kosinski zaczekał, aż Loest i Packert zniknęli w barze, i wzięwszy Blake'a pod rękę, poprowadził go wzdłuż ulicy.

— Marty, byłeś wspaniały. Jestem pod wrażeniem. Naprawdę, nie zalewam. Myślałem, że jesteś intelektualistą wiesz — komputery i tak dalej.

— Przestań pieprzyć — odparł Blake — nie przyszedłem tu, żeby wysłuchiwać pochwał od pijaka.

— A po co przyszedłeś? Przecież jutro mamy się spotkać w biurze adwokata.

— Chciałem cię poinformować, że zdobyłem adres Kamala Collarsa i zamierzam go odwiedzić, zanim spotkamy się ze Steinbergiem.

Kosinski miał już odpowiedzieć, lecz zawahał się. Pomyślał, iż ten chłopak rzeczywiście mu zaimponował. W pewnym sensie był z niego dumny.

— Zrobiłeś to za pomocą komputera?

— Tak, posłużyłem się komputerem znajomego.

— Tak, czym?

— Nie twoja sprawa, Kosinski. Słuchaj, Collars jest na zasiłku. Z powodu kalectwa. Dwa tygodnie temu pracownik opieki socjalnej złożył mu wizytę w hotelu Chatham na dwudziestej dziewiątej zachodniej. Chcę, żebyś poszedł tam ze mną.

— Wspaniale, Marty. Doskonale rozplanowanie czasu. W większości z tych hoteli-przytułków jeżeli nie stawisz się do dwudziestej pierwszej, tracisz łóżko — Kosinski poczuł, jak ogarnia go fala wdzięczności. Podniósł dłoń do policzka i czując ciepło, pomyślał, żeby się przypadkiem nie zaczerwienił, a przynajmniej, żeby Blake nie zauważył tego w ciemności.

— Potrzebne mi twoje doświadczenie oraz odznaka — powiedział Blake.

— Z tym może być pewien problem. Jestem na emeryturze i niestety nie posiadam już odznaki.

— Kosinski, wyglądasz jak glina, mówisz jak glina, ubierasz się jak glina, nawet śmierdzisz jak glina. Jeżeli zrobisz właściwą minę, w ogóle nie będziesz musiał pokazywać żadnej odznaki.

— W porządku, Marty, to mi odpowiada. Co byś powiedział na to, żeby wpaść na chwilę do mnie po moją trzydziestkęósemkę?

— A co, zamierzasz kogoś zastrzelić?

— Nie chodzi o to, by od razu do kogoś strzelać — chyba, że ktoś będzie strzelał do mnie, pomyślał Kosinski — ale nic nie jest bardziej w policyjnym stylu niż kabura pod tanim garniturem. Należy tylko nie dopinać marynarki, żeby było widać trzydziestkęósemkę. Zwykły obywatel mógłby poprosić o okazanie blachy, lecz ludzie ulicy uważają to za brak szacunku, zapewne dlatego, że nieraz obrywali po mordzie za podobne zachowanie. Pamiętaj tylko, że nakłonienie kogoś do otwarcia gęby, nie oznacza jeszcze, iż popłynie z niej sama prawda. Niektórzy z nich kłamanie glinom uznają za punkt honoru.

13.

— Wiesz Marty, mam nadzieję, że ten świadek rzeczywiście może zapewnić Sowellowi alibi, bo w przeciwnym razie czeka nas cholerna robota.

— Dlaczego? — Przejeżdżali właśnie przez most Triborough i Blake podziwiał wspaniały widok wieżowców na Manhattanie. Noc była bezchmurna, więc światła w oknach drapaczy chmur, przypominające Blake'owi diamenty z drogich naszyjników Rebeki Webber, sprawiały, że zarysy budynków ostro odcinały się od ciemnego nieba. Za kilka godzin Rebeka będzie tam w górze, w samolocie. Opuści go bez odrobiny żalu. Właściwie dlaczego miałaby traktować go inaczej, skoro on zachowuje się niczym pies gotowy na każde wezwanie swojej pani?

— Marty, to powinno być dla ciebie oczywiste. Dziwię się, że nie wiesz.

Blake, odwróciwszy się w stronę Kosinskiego, spostrzegł butelkę smirnoffa w jego ręku — stawało się to już tradycją.

— Zaczynam mieć dosyć tego gadania, co powinienem wiedzieć.

— Ktoś musi to robić, ponieważ ty nie masz zielonego pojęcia o wielu sprawach.

W głosie Kosinskiego nie było sarkazmu; mówił po ojcowsku, z przejęciem i szczerze, co jeszcze bardziej pogarszało sytuację. Blake czuł, że powinien być wkurzony, lecz zachowywał spokój. Zapewne Rebeka pakowała teraz swój bagaż, układając różne zestawy i zastanawiając się jak wiele zdoła upchnąć do kompletu walizek od Luisa Vuittona. Nie wiadomo, kiedy wróci, i czy nadal będzie nim zainteresowana. Może przecież znaleźć sobie jakiegoś Bawarczyka o jasnych włosach z całą kolekcją biczy i łańcuchów; może zostać w Europie, podbić kontynent. Te rozważania przyniosły Blake'owi ulgę.

— Kosinski, chcesz wiedzieć, dlaczego nie piję? — zapytał Blake.

— Pewnie powiesz mi, że nie jesteś alkoholikiem.

— Po pierwsze, tak naprawdę to pijam. W tej robocie zdarzają się przypadki, iż nie sposób odmówić ze względów towarzyskich. Ale to jedyna okazja, gdy pozwalałam sobie wypić jednego drinka, którego trzymam w ręku tak długo, aż stopnieje lód. Widzisz, kiedy miałem dwadzieścia lat piłem dużo i często. Trwało to przez jakieś pięć lat. Niemal każdego wieczoru oraz we wszystkie weekendy robiłem sceny w barach na Upper West Side. Po paru głębszych rozglądałem się za ludźmi, którym można by dokopać. Jeżeli nie znalazłem nikogo właściwego, piłem dalej, dopóki nie przestało się to liczyć. Byłem prawdziwym palantem i szczyliłem się tym. Myślałem, że jestem najgorszym skurwielem w całym Nowym Jorku. Pewnego razu jednak wybrałem niewłaściwy bar, trafiłem na zgraną paczkę bokserów i dostałem łomot. Następnego tydzień spędziłem w szpitalu, zastanawiając się

nad swoim losem. Gdy moje rany zagoiły się na tyle, bym mógł zacząć chodzić o kulach, doszedłem do wniosku, że jestem kretynem oraz że pod wpływem alkoholu tracę nad sobą kontrolę. Nadażasz za mną?

— Pewnie.

— Zadałem sobie wówczas pytanie, czy powinienem wyciągnąć wnioski z popełnionych błędów, czy może powrócić do dotychczasowego trybu życia i tym razem dać się zabić? Zgadnij, co wybrałem?

— No cóż, wydaje mi się, że nawet na trzeźwo jesteś dosyć zadziorny. Chyba nie zaczęłeś się szprycować, co?

— Bardzo śmieszne.

— Słuchaj Marty, nie mówię, że jesteś słaby czy głupi, ale parę rzeczy powinienś zrozumieć. Przypomnij sobie, co ci powiedziałem wcześniej. O zapewnieniu dzieciakowi alibi. Co się stanie, jeżeli nam się to *nie uda*?

— Już o tym pomyślałem — Blake prowadził taurusa objazdem wokół budowy w pobliżu Drive. Żałował, iż nie pojechał przez Midtown Tunnel. Chciał zmienić pas, ale taksówka jadąca po jego lewej stronie nie chciała za nic go puścić.

— I doszedłeś do jakichś wniosków?

— Nie — Blake wślizgnął się za taksówkę i w żółwym tempie posuwał się do przodu — nie licząc rzeczy oczywistych.

— To znaczy?

— To znaczy, że otrzymuję trzysta dolarów dziennie plus zwrot poniesionych kosztów, których część naturalnie zawyżam — Blake uśmiechnął się, lecz natychmiast zorientował się, że Kosinski nie da się tak zbyć. Nie tym razem. — Jeżeli nie udowodnimy, że w chwili gdy popełniono zbrodnię był gdzieś indziej — kontynuował obojętnym tonem — trzeba będzie odnaleźć prawdziwego mordercę.

— I nie niepokoi cię to? Biorąc pod uwagę fakt, iż „prawdziwy morderca” ma wpływy w Nowojorskim Departamencie Policji, w gabinecie prokuratora i być może w nowojorskim Sądzie Najwyższym oraz adwokaturze, dzięki którym mógł wsadzić do więzienia niewinnego człowieka?

— Niepokoiłoby, gdybym sądził, że rzeczywiście do tego dojdzie. Upłynie co najmniej miesiąc, zanim będę zmuszony przyznać, iż nie potrafię zapewnić Sowellowi alibi, a do tego czasu Steinberg już będzie gotów, by stanąć przed sądem z twoim zeznaniem. Na dodatek obrzydnie mu już wydawanie dwóch tysięcy tygodniowo na moje honorarium. Nie zapominaj, że płaci z własnej kieszeni. Nie, Kosinski, nie obawiam się zadarcia z policją, ponieważ to się nigdy nie wydarzy.

Resztę drogi pokonali (przynajmniej z punktu widzenia Marty'ego) w błogosławionej ciszy. Był piątek, wokół kręcili się ludzie, choć w tej części Manhattanu, leżącej między Times Square na północy a Greenwich Village na południu, nie skupiało się nowojorskie życie nocne. Blake skierował się w dwudziestą dziewiątą ulicę, przezornie omijając Penn Station oraz sąsiadującą z nią Madison Square

Garden. Choć wiedział, iż Garden, gdzie odbywają się mecze Rangersów i Knicksów, latem stoi zwykle pusta, nie chciał ryzykować wpakowania się na zjazd Kościoła Adwentystów Dnia Siódmego czy Świadków Jehowy.

Droga prowadziła przez zamożne Murray Hill, obok świeżo wyremontowanych, niskich budynków biurowych przy Park Avenue South, przez dzielnicę podupadających ostatnio hurtowni kwiatowych i w końcu prawdziwe slumsy.

Hotel Chatham, leżący niecałą przecznicę od rzeki Hudson, okazał się sześciopiętrowym budynkiem z czerwonej cegły z obu stron otoczonym identycznymi domami. Stanowił świadectwo upadku tej niegdyś dumnej z siebie okolicy. Gdzieś na przelomie wieków właściciel stał zapewne u boku inżyniera i z zadowoleniem podziwiał ukończone właśnie dzieło. Wszystkie trzy budynki zostały wyposażone w ozdobne gzymsy oraz gargulce wieńczące narożniki. Znajdujące się pod wysokimi oknami parapety ozdabiała płaskorzeźby w kształcie kiści winogron, a szerokie schody prowadzące do drzwi frontowych ograniczała balustrada z kutego żelaza. Powstałe dzieło wydawało się dobre, solidne i trwałe.

Duma dawno już jednak przeminęła, podobnie jak właściciele, którzy niegdyś tu mieszkali. Budynki po obu stronach hotelu Chatham stały porzucone, ich okna zabezpieczono blachą, a drzwi zamurowano. Również wygląd hotelu zdradzał, iż podobnie jak sąsiednie domy wkrótce stanie się ruderą. Zaprawa między rzędami cegieł wykruszyła się tak, że w słabym świetle jedynej działającej latarni zdawało się, iż unoszą się one w powietrzu. Powybijane szyby, resztki gzymsów, grupki łachmaniarzy popijających tanie wino, dziwki w jaskrawych ubraniach, handlarze narkotyków i ich klienci.

Blake poczuł się nieco zdezorientowany, tak jak wtedy, gdy zbliżał się do Zakładu Karnego Columbia. Kosinski zdążył już opuścić samochód i rozkoszował się bryzą wiejącą znad poletka tulipanów zamiast znad rzeki Hudson.

— Jakże cudowna jest noc, ach, jakże cudowna jest noc — zanucił radośnie.

Wysiadając z taurusa, Blake popatrzył na pierzchające nocne ptaszki. Zachowując opanowanie, znikali w najróżniejszych kątach.

— Szacunek dla odznaki — odezwał się głośno Kosinski. — Nic takiego nie istnieje. Cwaniaczki doskonale wiedzą, że nie *po nich* przychodzimy. Mimo to rozplývają się w ciemnościach niczym umykający mordercy. Czy jesteśmy gotowi, detektywie Blake?

Hol hotelowy, jak można się było spodziewać, znajdował się w oplakanyim stanie. Choć Blake'owi wydawał się i tak dość czysty, śmierdział wódką, moczem, wymiocinami, jakby odór ten stanowił nieodłączną część oddechu tutejszych mieszkańców. Oczywiście nie było żadnej recepcji ani chłopców do noszenia bagażu — jedynie dwaj umundurowani strażnicy siedzący za ustawionym na środku stolikiem.

— Panowie — Kosinski podszedł do strażników i pochylił się nad stołem, pozwalając, aby poły jego marynarki rozchyliły się.

— Czego pan chce? — odezwał się łysiejący, siwawy mężczyzna w średnim wieku. Według przypiętego do piersi identyfikatora nazywał się Jackson. Jego kolega, o wiele młodszy, nie raczył nawet podnieść wzroku znad gazety. Nazwisko drugiego strażnika brzmiało Peterson.

— No cóż, po pierwsze chciałbym się dowiedzieć, czy któryś z was jest może na warunkowym.

Blake wadząc, jak obie głowy unoszą się z uwagą, uśmiechnął się pod nosem na myśl, że sam nie miałby tu najmniejszych szans.

— Dlaczego się pan nas czepia, panie oficerze? — mruknął Jackson. — Przecież nic panu nie zrobiliśmy.

— Mam naturę prawdziwej bestii — odparł Kosinski — która nie lubi, gdy się ją znieważa.

— A to ciekawe — Peterson starannie złożył gazetę, po czym położył ją na kolanach. — Ponieważ nie jestem na zwolnieniu warunkowym oraz w żaden sposób pana nie znieważylem.

— Emil, zamknij natychmiast tę swoją studencką gębę — odezwał się w pośpiechu Jackson. — Poradzę sobie bez twojej gównianej pomocy. Rozumiesz, co do ciebie mówię? — zaczął, aż Peterson ponownie zajmie się swoją gazetą, a następnie powiedział: — Czym mogę panom służyć?

— Panie Jackson, szukamy faceta o nazwisku Kamal Collars — powiedział Blake. — Podobno wynajmuje tutaj pokój.

— Nie, proszę pana — zaprzeczył Jackson. — W Chatham nie mieszka żaden Kamal Collars.

— Niech pan posłucha, wiemy, że niespełna miesiąc temu odwiedzał go tu pracownik opieki społecznej. Rozumiem, że chce go pan chronić, ale Collars nie jest o nic podejrzany. My...

— Nieważne dlaczego chcecie go znaleźć, taki tu po prostu nie mieszka.

— Czy to jest skrzynka pocztowa Collarsa? — spytał spokojnie Kosinski.

— Co pan ma na myśli?

Kosinski sięgnął ponad stołem, wyrwał gazetę z rąk Petersona i rzucił ją na podłogę. Peterson spojrzął na nią, a następnie zaczął się podnosić. Blake, zauważywszy uśmiezek na twarzy policjanta, zrobił krok do przodu.

— Nie chcemy mieć tu żadnych kłopotów — odezwał się Kosinski. — Zależy nam jedynie na waszej współpracy. Jako porządni Amerykanie, przynajmniej tyle jesteście nam winni. Zgadza się czy nie?

Jackson powstrzymując ręką swojego kolegę odpowiedział:

— Proszę posłuchać, panie oficerze, nie wygrzebię panu faceta, skoro go tu nie ma. Może mi pan wierzyć. Gdybym go tu miał, wywłóklbym go i podałem panu na tacy.

— To niedobrze, Jackson, gdyż będę zmuszony otworzyć każde drzwi znajdujące się w tej melinie. Przepędzić wszystkie zarabiające tu dziwki, przerwać odbywające się transakcje narkotykowe, a ze swoich odkryć złożyć raport w pomocy społecznej. Zanim skończę, ten hotel będzie do złudzenia przypominać sąsiadujące z nim budynki.

— Do licha, panie oficerze, po co się gorączkować. Pan Boazman, kierownik, przyjeżdża tu jutro rano, on wam powie wszystko, czego będziecie się chcieli dowiedzieć.

— Miło mi to słyszeć, Jackson, ale na razie mamy jeszcze dzisiejszą noc, a ty łżesz mi prosto w oczy.

— Nie...

— Spróbuj spojrzeć na to z mojego punktu widzenia. Ja wiem, że ty znasz Kamala Collarsa, że potrafisz go znaleźć na wypadek, gdyby jego opiekun zjawił się bez zapowiedzi. Wiem, że ty wiesz, iż Kamal Collars musi posiadać jakiś adres, aby otrzymywać zasilek i że oddaje on twojemu szefowi część z otrzymywanych pieniędzy w zamian za prawo używania adresu tej speluny jako swojego oficjalnego miejsca pobytu. Czas powiedzieć prawdę, Jackson, nie podnieca mnie nękanie byłych skazańców próbujących wejść na dobrą drogę. Nie, mój kochany, gdyby był tu pan Boazman, w ogóle bym z wami nie rozmawiał; poszedłbym od razu do niego, rozumiesz? Ale pana Boazmana nie ma, a ja nie mogę czekać do jutra, więc jeśli zaraz nie zaczniesz śpiewać na temat Kamala Collarsa, zmuszony będę przetrząsnąć tu każdy kąt.

Wzrok Jacksona po raz pierwszy spotkał się ze spojrzeniem Kosinskiego. Trafił swój na swego; Blake czuł to w uśmiešku błakającym się na wąskich ustach policjanta oraz pozbawionej wyrazu twarzy Jacksona promieniującej nienawiścią do glin. Każdy z nich wart był drugiego.

— Jackson, niech pan posłucha — odezwał się Blake — jak już panu mówiłem, Kamal Collars nie jest poszukiwany. Nie popełnił żadnego przestępstwa, o którym byśmy cokolwiek wiedzieli. Proszę nam pomóc, a natychmiast sobie pójdziemy. To bardzo proste.

Jackson zerknął na swojego partnera.

— Student, spływaj. Muszę porozmawiać na osobności.

14.

— Widzicie panowie — odezwał się Jackson, kiedy jego kolega znalazł się za drzwiami — mam problem. Nie twierdzę, że nie chcę wam pomóc, ale jest pewien problem.

Blake westchnął, potrząsnął głową i powtórzył:

— Nie zamierzamy aresztować Kamala Collarsa. Proszę nam wierzyć. Collars byłby panu *wdzięczny*.

— Nie chodzi o Kamala — odparł z naciskiem. — Stary Kamal już się kończy. Załatwiła go ulica. Ma gruzlicę, rozumiecie mnie? Tego typu nikt nie potrafi wyleczyć.

Kosinski obszedł stół i usiadł na krześle Petersona. Wydobył z kieszeni smirnoffa, pociągnął łyk, a następnie podał strażnikowi.

— Dziękuję panu — Jackson zmierzył Kosinskiego wzrokiem, westchnął z zadowoleniem i po starannym wytarciu rękawem szyjki oddał butelkę właścicielowi. — Widzicie, problem polega na tym, że ja i mój partner — nie mówię tu o tym studentyku — mamy pewien interes, który nie jest za bardzo w porządku. Nie popełniamy żadnego przestępstwa, ale gdyby dowiedział się mój szef, wdepnęlibyśmy w niezłe gówno.

— Zabierasz dziwkom dole, Jackson?

— Dziewczynki odpalą nam czasami jakiś napiwek, żebyśmy pilnowali im tyłków, ale nie o to chodzi.

Stojący z boku Blake pomyślał, że wypadł z gry. Jeżeli w ogóle choć przez moment w niej był. Dotychczasowa nienawiść ulotniła się gdzieś z oczu Jacksona, z głosu i postawy Kosinskiego zniknęło zniecierpliwienie. Blake przeoczył moment przemiany i czuł się nieco zdezorientowany, jakby opuścił rozdział w powieści szpiegowskiej.

— Cóż, Jackson, robi się trochę późno, a mój partner potrzebuje snu, by nie stracić urody.

— W porządku, już dochodzę do sedna. Razem z moim kumplem ustawiliśmy w piwnicy czterdzieści połówek. Bierzemy po dwa dolce za noc i pozwalamy ludziom tam spać. Zapewniamy im bezpieczeństwo, rozumiecie, o co mi chodzi? Nie wpuszczamy tu żadnych rozrabiaków. Nie pozwalamy na bójki, złodziejstwo i pieprzenie. Mężczyźni i kobiety mogą spokojnie spać, ponieważ mają pewność, że kiedy się obudzą, znajdą swoje rzeczy tam, gdzie je zostawili. Na dodatek, w ziemie mają ciepło.

— Wydaje się, że to uczciwy interes. Czy Kamal śpi tam na dole?

— Tak, przychodzi do nas prawie co noc.

— A ty obawiasz się szefa — jak on się nazywa? Boazman, tak? Boisz się, że odkryje twój interes i ci go zamknie?

— Nie, proszę pana. Martwię się, że gdy Boazman się dowie, przyciśnie mnie, żebym oddawał mu dolę. On nie jest właścicielem, rozumiecie? Właściciel nie zbliża się do tego budynku; boi się, że mogą go zamknąć za wszystkie niezreperowane usterki. Dlatego zarządzanie pozostawia Boazmanowi. Nie jestem chciwy. Dzielić się po równo, to moje hasło. Ale Boazman bierze już dolę od dziwek i nie dzieli się z nikim. Więc dlaczego miałbym zarabiać dla niego forszę?

— Rzeczywiście nie widzę powodu — odrzekł Kosinski. — Nie ma również powodu, bym ja albo mój partner musiał w ogóle rozmawiać z tym Boazmanem, skoro on nic nie wie o interesie, który prowadzicie na dole. Zaprowadzisz nas tam teraz?

— Tak — Jackson podniósł się, przeciągnął i chwycił leżącą na stole latarkę. — Patrzcie pod nogi.

Przeszli przez hol, a następnie zeszli w dół po wąskich, kręconych schodach. Dwie małej mocy żarówki pod sufitem zapewniały trochę światła, lecz zbyt mało, by Blake był w stanie dostrzec na czym stawia stopy.

— Czy to jedyne wyjście? — spytał, wyobrażając sobie jednocześnie pożar i ludzi stłoczonych w wąskim przejściu, piekących się niczym świnię na ruszcie.

— Są jeszcze drzwi na tyłach budynku — głos Jacksona doleciał ponad głową Kosinkiego — ale już się nie otwierają. Zaklinowała je rdza i na dodatek Boazman założył kłódkę. Hej, Śrubsztak, chodź no tu. Mam dwóch gości.

Schodząc z ostatniego stopnia, Blake potknął się. W korytarzu nie było żadnego światła, nie licząc niewielkiego kółeczka rzucanego przez latarkę Jacksona. Nagle usłyszał drapanie pazurów i pisk przestraszonego szczura, a następnie stłumione chrapanie, pomrukiwania, kaszel, płacz. Spróbował wyobrazić sobie rzeczywisty wygląd pomieszczenia, mężczyzn i kobiety leżące na polowych łózkach, i nie potrafił zrozumieć, co u licha mogło nakłonić ich do zapłacenia za przywilej spania w takim piekle.

— Jackson? — w rzucany przez latarkę krąg światła wszedł umundurowany strażnik. Na ramieniu trzymał aluminiowy kij baseballowy.

— Tak, Śrubsztak, to ja. Ci panowie chcą się widzieć z Kamalem Collarsem. Przyrowadź go do kotłowni. Tam przynajmniej jest światło.

— Co to za ludzie, Jackson? Czego chcą od Kamala?

— Nieważne. Mamy go im przyprować i nic więcej nas nie obchodzi. Po prostu idź i dostarcz tu jego dupę.

Śrubsztak skrzywił się z niezadowoleniem. Jego oczy zwięzły się prowokująco, lecz nie wszczął kłótni, choć posiadał niewątpliwy atut w postaci kija baseballowego. Odwróciwszy się na pięcie, zniknął w ciemności.

— Proszę tędy, panowie oficerowie — Jackson poprowadził ich do niewielkiego pomieszczenia, w którym zapalił światło. Wewnątrz było zupełnie pusto; po trzymanym tam niegdyś węgłu nie pozostał nawet ślad, a piec zdemontowano zapewne już w odległej przeszłości, dlatego oczom przybyłych ukazała się gola, betonowa podłoga, otynkowane ściany oraz drewniany sufit. — To jedyne wolne pomieszczenie tu na dole. Moglibyście załatwić swoją sprawę na górze, ale tam przeszkadzaliby wam wchodzący i wychodzący ludzie. Nie jestem w stanie temu zapobiec.

— To miejsce nadaje się doskonale — odparł Kosinski. — Zostaw latarkę, kiedy będziesz wychodził.

Blake, który sam za nic nie wyszedłby stąd po ciemku, spodziewał się, iż strażnik spróbuje się stawiać, lecz tamten bez słowa oddał latarkę Kosinskiemu, po czym wyszedł.

— Wszystko w porządku, Marty?

— Nigdy nie było lepiej, Kosinski. Jak myślisz, czy mógłbym pociągnąć łyka twojej wódki?

— Tylko jeśli przyrzekniesz, że nie skopiesz mi dupy.

— Mogę ci przyrzec, że skopię, jeśli nie poczęstujesz mnie łykiem.

— To niezbyt mądre tak mówić, Marty — Kosinski podał mu butelkę. — Weź pod uwagę, że jestem uzbrojony i boję się ciebie.

Usłyszeli Kamala Collarsa, jeszcze zanim go zobaczyli. Do ich uszu dobiegł suchy kaszel oraz szuranie stóp. Blake zerknął na swojego partnera i wzdygnął się. Było już za późno, lecz mimo wszystko żałował, iż nie ma ze sobą maski do nurkowania i butli tlenowej, albo że nie pozwolił, by Kosinski sam załatwił całą sprawę. Działanie wódki dotarło do jego mózgu dokładnie w chwili, gdy Kamal Collars pojawił się w progu.

Swego czasu musiał to być potężny mężczyzna, teraz jednak pozostały z niego jedynie skóra i kości. Brudna kurtka zwisała mu na ramionach, opierała się na zapadniętej klatce piersiowej; spodnie, przepasane sznurkiem, wydawały się o kilka rozmiarów za duże. Na ustach miał krople krwi, a na trzymanej w dłoni chusteczce widniały wielkie, czerwone plamy.

— Panowie chcieli się ze mną widzieć?

— Chodzi o Billy'ego Sowellę — odezwał się Blake. — Pracuję dla niego.

— Billy'ego? — na ustach Collarsa pojawił się uśmiech. — Ile to już czasu? Chyba z rok.

— Ponad dwa — Blake zerknął na Kosinkiego, który skinął z aprobatą. — Panie Collars, nazywam się Blake. Jestem prywatnym detektywem — wydobyl swoje papiery i podał bezdomnemu, który potrząsnął jedynie głową. — Zostałem wynajęty przez adwokata Billy'ego, by pomóc wydostać go z więzienia. Rozumiem, że dobrze go pan znał.

— Byliśmy partnerami. Wszystko oprócz pieprzenia robiliśmy wspólnie —

głos Collarsa był tak niski, iż z trudem odróżniało się go od jego ciężkiego oddechu.

— Partnerami w czym? Czy mógłby pan wyjaśnić nam bliżej?

— Billy był najlepszym żebrakiem, jakiego kiedykolwiek spotkałem. Ludzie nie potrafili przejść obok niego obojętnie. Ja zaś byłem wielkim, czarnym Amerykaninem. Biali robili w gacie na sam mój widok. Dobrze dla Billy'ego, źle dla mnie — tak to chyba wygląda. Ale Billy również miał swoje problemy — Collars sięgnął do kieszeni i wyjął butelkę taniego wina. Pociągnął długi łyk i skrzywił się. — Nie sądzę, żebyście chcieli się poczęstować — gdy Blake potrząsnął przecząco głową, roześmiał się, a potem jego śmiech przeszedł w atak kaszlu. — O rany, niezły ubaw, prawda?

Blake opanował zniecierpliwienie, przypominając sobie, że ma przecież zadanie do wykonania.

— Śmiech jest dobry na wszystko, to moja maksyma. A więc mówiliśmy o pańskiej współpracy z Billym Sowellem.

— Tak, chodziło o to, że Billy nie potrafił utrzymać zarobionych przez siebie pieniędzy. Wszystkie korzystne przy zbieraniu datków cechy obracały się później przeciwko niemu. Był mały, opóźniony w rozwoju, nie miał zielonego pojęcia o życiu na ulicy, nie miał w sobie ani odrobiny agresji. Nic dziwnego, że obrabiano go dwa, trzy razy w tygodniu. Ja, choć widziałem, co się dzieje, nigdy nie kiwnąłem palcem. Czułem po prostu, że to nie moja sprawa, po spędzeniu połowy życia w więzieniu człowiek przestaje zwracać uwagę na cokolwiek. Kiedy zareagowałem po raz pierwszy, w gruncie rzeczy wcale nie chodziło o jakąś sympatię do Billy'ego, po prostu miałem już dość wybierania ze śmieci aluminiowych puszek.

Był styczeń, więc rozpaliliśmy sobie w becze ogień. Przy Drive prowadzili jakąś budowę i sprowadzili mnóstwo desek. Już pierwszej nocy razem z chłopakami wycieliśmy dziurę w płocie; stamtąd mieliśmy drewno na opał. Pamiętam, że siedziało nas wokół ognia pięciu czy sześciu, popijaliśmy i kłóciliśmy się, czy należy pozwolić mu zgasnąć, zanim przyjadą gliny. Było bardzo zimno, z autostrady nad nami zwisały sople, rzeka zamarzała i wiał silny wiatr. Gdyby nie ten ogień, wszyscy musielibyśmy pójść do przytułku i zostawić nasz dobytek bez opieki, co nie podobało się nikomu.

W każdym razie, stoję przy becze, próbując ogrzać sobie stopy, i widzę zbliżającego się Billy'ego. Kiedy jest już jakieś pięćdziesiąt metrów od nas, ten kretyn Kilo Williamson rzuca się na niego z tyłu. Billy od razu oddaje mu pieniądze, ale tamtemu jeszcze mało. Zaczyna zdzierać z chłopaka kurtkę, więc ja łapię za leżącą deskę, podbiegam do Kila i walę go nią prosto w mordę. Nigdy nie lubiłem tego skurwiela. Kiedy pada na ziemię, ja wciąż go młocę. Walilem tak, aż zaczął błagać, żebym przestał. Potem zabrałem mu forszę i oddałem Billy'emu.

„Zadrzesz z Billym, to jakbyś zadarł ze mną”, mówię mu i zdaje się, że to do niego dotarło. Potem podniósł się i poszedł do lecznicy, gdzie założyli mu parę tuzinów szwów. Ja natomiast poczekałem, aż zniknie za rogiem, wziąłem Billy'ego

na bok powiedziałem mu: „Słuchaj Billy, sam na ulicy nie dasz sobie rady. To nie twoja wina, ale tak już jest. Potrzebujesz partnera i ja jestem właściwym człowiekiem. Będę przy tobie przez cały dzień, nauczę cię wszystkiego, co potrzeba, by przetrwać na ulicy i przypilnuję ci w nocy tyłka. Będziemy się dzielić po połowie”.

Wiecie, Billy może jest niedorozwinięty, ale nie głupi. Kiedy mu wyjaśniłem, co oznacza po połowie, natychmiast się zgodził. Zaczęliśmy od razu, podzieliliśmy się forszą i kupiliśmy butelkę wina.

Odtąd byliśmy zawsze razem. Załatwiłem mu jego pierwszą kobietę, nazywała się Tonna, pracowała w noclegowni na dwudziestej trzeciej ulicy. Poszła z nim za darmo, twierdziła, że jeszcze nigdy nie spała z prawiczką. Ja niestety musiałem płacić.

Próbowałem też nauczyć go czytać i pisać, ale nie bardzo mógł to pojąć. Billy uwielbiał historię, jeśli tylko opowiadałem mu ją jak bajkę na dobranoc, która musiała mieć szczęśliwe zakończenie. Matematyka okazała się zbyt trudna dla niego, ale nauczyłem go liczyć pieniądze, co zawsze mu się przyda. Zabierałem go do najlepszych jadłodajni, pokazałem mu, gdzie może dostać używane ciuchy, wziąć prysznic, znaleźć czystą toaletę. Po...

Cierpliwość Blake'a wyczerpała się, przerwał więc mówiącemu:

— Wie pan, panie Collars, cieszą nas pańskie dobre stosunki z Billym, ale...

— Wiem, czego chcecie. Przyszliście w sprawie alibi — wyraz twarzy Kamala Collarsa nie zmienił się ani odrobinę — wciąż był opanowany, odległy, pozbawiony życia. — Chciałbym jednak, żebyście usłyszeli to wszystko i wyjaśnili Billy'emu. Nikomu jeszcze nie opowiadałem tej historii i wygląda na to, że nie będę już więcej miał okazji. Chcę, żebyście przekazali Billy'emu, że kochałem go i chcę, byście wierzyli, że to prawda. To nie potrwa długo.

Blake spojrzął na Kosinskiego, spodziewając się niezadowolenia z jego strony. Były policjant stał jednak oparty o ścianę, ze złożonymi rękoma i butelką w dłoni.

— Proszę nam opowiadać, jak pan chce — włączył się Kosinski. — Tylko niech pan nie zapomina, że Billy siedzi w więzieniu i pewni ludzie chcą go stamtąd wydostać. Pan sam tam był, więc wie, co z nim tam robią. Jestem pewien, iż z radością usłyszysz, że pamięta pan o nim, ucieszy się jednak znacznie bardziej, jeśli pomoże mu pan wyjść z kicia.

Kamal Collars nie dał po sobie poznać, czy usłyszał słowa Kosinskiego. Pociągnął tylko łyk wina i kontynuował swoją opowieść.

— Kiedy byłem małym chłopcem — miałem trzy, może cztery latka — mama przyniosła mi szczeniaczka i powiedziała, że nazywa się Nefertiti. To śmieszne, żeby kundlowi nadawać imię królowej, ale moja matka zawsze miała upodobanie do wielkich słów. W każdym razie od tamtej chwili nigdy nie rozstawałem się z Nefertiti. Nie miałem rodzeństwa, mieszkałem tylko z mamą i babcią. Babcia była wykształconą kobietą, ukończyła college dla czarnych w Karolinie Południowej i postanowiła nauczyć mnie mówić po angielsku „poprawnie”, co wcale nie było

takie fajne. Ale tak się złożyło — mama przynosiła do domu bekon i ustanawiała zasady, babcia gderала, bym nie był „ignorantem”, „bezwartościowy”, „niezaradny”... Do licha, jej życie pełne było pułapek i zdaje się, że przez lata nie omieszkałem wpaść w każdą z nich. Nefertiti została moją przyjaciółką.

Wiecie jak to jest z dziećmiakami; potrafią ożywić zwykłą wypchaną lalkę, szczególnie jeżeli mieszkają w okolicy, gdzie nie mogą po prostu wyjść na dwór i pobawić się oraz gdy mają babcie, które sądzą, że dzieci sąsiadów nie stanowią odpowiedniego towarzystwa dla ich wnuków. Nefertiti zastępowała mi to wszystko, jak gdyby rozumiała moją samotność i postanowiła dzielić ją razem ze mną. W nocy przychodziła do mnie do łóżka i nikt, nawet mama ani babcia, nie mógł wchodzić wtedy do mojego pokoju. Mama raz spróbowała i została ugryziona w kostkę. Od-tąd jeśli czegoś chciała, wołała stojąc w progu.

Było tak przez ponad rok. Któregoś dnia mama zabrała mnie i Nefertiti na plac zabaw. Rada miejska wyremontowała go i wszyscy szli na uroczyste otwarcie. Nie byłem przyzwyczajony do obecności wielu ludzi, więc czułem się nieco nieswojo. Nie bawiłem się na huśtawkach, lecz zostałem razem z Nefertiti na brzegu piaskownicy. Wtedy nadszedł ten chłopiec. Był ode mnie starszy, ale nie potrafię powiedzieć jak dużo. Usiadł na ziemi i spytał czy Nefertiti jest moim psem, a ja odpowiedziałem, że tak, że jest moją przyjaciółką.

Chłopiec popatrzył na mnie przez chwilę; nie odezwał się więcej, po prostu się gapił. Potem wyciągnął nóż, dźgnął Nefertiti prosto w pierś i zaczął się śmiać. Później dźgnął ją jeszcze raz. Nefertiti nie piszczała, lecz przewróciła się na bok, spojrziała na mnie wzrokiem, jakim pies patrzy, gdy stara się coś zrozumieć. Wiedziałem, że prosiła mnie o pomoc, ale ja stałem jak wryty. Nie zrobiłem nic, tylko patrzyłem się.

Byłem zrozpaczony, nie mogłem sobie darować, że nic nie zrobiłem, by powstrzymać tego chłopaka. Nieważne było, co mama powiedziała mi o tamtym chłopcu: że był szalony, już wcześniej sprawiał problemy i nigdy nie powinno się go wypuszczać samego. Z upływem czasu doszedłem do wniosku, że gdybym rzeczywiście kochał Nefertiti, własnym ciałem zasłoniłbym ją przed zbliżającym się nożem. A powodem mojej bierności był fakt, że nie zasługiwałem na jej miłość.

Moglibyście pewnie powiedzieć, że kiedy dzieciak uczepi się jakiejś myśli, nie sposób go przekonać, trzeba się z tym po prostu pogodzić. Chodzi jednak o to, że podobnie postąpiłem w przypadku Billy'ego. Jakbym kiedyś w swoim życiu wybrał niewłaściwą drogę, a teraz nie mógł już zawrócić.

Kamal Collars przerwał i spojrział na Kosinskiego, jakby w oczekiwaniu na potwierdzenie. Pociągnął z butelki kolejny łyk, nie spiesząc się, niemal z namaszczeniem. Następnie wziął głęboki oddech, zakaszał, przykładając do ust chusteczkę, przez moment patrzył na jasnoczerwoną krew.

— To było tak — kontynuował Collars. — Kiedy wsadzili Billy'ego, poszedłem na policję i rozmawiałem z dwoma gliniarzami, białym o nazwisku Brannigan

i czarnym, który nazywał się Cobb. Powiedziałem im dokładnie to samo, co zamierzam wam teraz powiedzieć. W noc, kiedy zabito tę kobietę, razem z Billym wpakowaliśmy się w sam środek zamieszek w Tompkins Square Park. Z założenia demonstracja miała być upomnieniem się o interesy bezdomnych śpiących w parku, lecz przekształciła się w pojedynek między policją a anarchistami. Zaczęło się od wyzwisk ze strony anarchistów pod adresem policji, potem poszły w ruch butelki i cegły. Wtedy gliny pozaklejały sobie czarną taśmą numery identyfikacyjne i ruszyły rozbijając lby demonstrantom. Pamiętacie zapewne, że wydarzenia te prasa nazwała policyjnymi zamieszkami i całą winę przypisano glinom.

Oczywiście obaj policjanci, Brannigan i Cobb, nie uwierzyli mi. Można się było spodziewać. Kto miałby uwierzyć bezdomnemu pijakowi z więzienną przeszłością?

„Słuchajcie”, powiedziałem im, „potrafię udowodnić, że Billy był na tych zamieszkach. Kiedy rozpętało się to gówno, ja i Billy próbowaliśmy się wydostać. Nie darzyliśmy sympatią ani anarchistów i punków, ani glin. To nas po prostu nie dotyczyło, wiecie, o co mi chodzi. Jednak gdziekolwiek się skierowaliśmy, zmuszeni byliśmy zawracać, ponieważ wszędzie byli gliniarze. Billy i ja staliśmy przy sklepie, gdzie sprzedają alkohol w pobliżu jedenastej ulicy, kiedy policjanci dorwali tego kolesia Hare Krishna, rąbnęli nim o chodnik i zaczęli go kopać. Myślałem, że go zakatrupią i zapewne tak by się stało, lecz nagle podbiegł reporter i zaczął robić zdjęcia. Kiedy gliniarze to spostrzegli, podnieśli Hare Krishna i skuli go. Fotograf stał na ulicy, a ja i Billy znajdowaliśmy się za policjantami, więc Billy musi być na tych zdjęciach. Trzeba ich tylko poszukać”.

Na to Brannigan spytał mnie, czy wiem, dla jakiej gazety pracował ten reporter. Powiedziałem mu, że nie, ale facet z całą pewnością nosił przypiętą do płaszcza akredytację prasową. Właśnie dlatego gliny nie skopały mu dupy.

„W porządku”, mówi Brannigan, „sprawdzimy to. Gdzie możemy cię znaleźć?”. Powiedziałem mu, że mieszkam nad rzeką i wyszedłem. Prosto z posterunku zamierzałem pójść do Billy'ego. Nie przeszedłem nawet jednej przecznicy, kiedy z tyłu rzucił się na mnie Brannigan, wciągnął mnie na policyjny parking i uderzył w twarz kolbą. Nie mówiąc ani słowa, po prostu zaczął mnie bić. Chowalem głowę najlepiej jak potrafiłem, ale nie próbowałem się bronić. Pomyślałem sobie, że muszę to znieść i tyle. Potem usłyszałem szczęknięcie zamka i spojrzałem prosto w lufę odbezpieczonej broni. Pamiętam, to był rewolwer, taki jakiego noszą gliny, w tym jednak kolbę i spust oklejono taśmą.

Kiedy zacząłem go błagać, żeby mnie nie zabijał, Brannigan uśmiechnął się obrzydliwie. Prawdziwy skurwiel. „Czarnuchu”, powiedział, „nie chcę już więcej oglądać twojej wstrętnej, czarnej mordy. Nigdy więcej. Słyszysz, co do ciebie mówię, czarnuchu? Jeszcze raz zobaczę twoją gębę, a będziesz mógł oddychać przez swoje pieprzone czoło”.

Myślicie pewnie, że mogłem przecież pójść do adwokata Billy'ego. Chciałem to zrobić, kiedy minął już strach. Ale wtedy przyszło mi do głowy, że skoro Brannigan nie bał się wyciągnąć gnata na policyjnym parkingu i stłuc mnie kolbą w biały dzień, nie zawaha się przed niczym. Dlatego postanowiłem trzymać się z dala od całej sprawy. Pozwoliłem, by wsadzili Billy'ego. Tak jak pozwoliłem, by zginęła Nefertiti. A teraz sam się wykańczam. Sprawiedliwość musi być, zgadza się?

15.

W swoim śnie Blake szukał Rebeki Webber. Miał jej coś do powiedzenia, coś ważnego i w miarę jak bezskuteczne poszukiwanie przedłużało się; narastał w nim niepokój, aż w końcu ogarnęła go panika.

Najpierw szukał Rebeki w domu, pośród należącej do Williama Webbera kolekcji secesyjnych mebli i postimpresjonistycznych malowideł oraz nowoczesnych rzeźb, a następnie w piwnicach hotelu Chatham. Blake wykrzykiwał jej imię, potykając się na wąskich, ciemnych schodach, nasłuchiwał jej głosu oraz krótkiego, szyderczego śmiechu. Chwilami wydawało mu się, że słyszy odpowiedź, lecz głos dziewczyny zagłuszany ziewaniem, chrapaniem i szuraniem stóp był zbyt słaby, by rozpoznać, z której strony dobiegał. Być może stąd, może stamtąd, a może stanowił jedynie owoc jego wyobraźni.

Po drodze wpadał na Kosinskiego, Jacksona, Kamala Collarsa, Billy'ego Sowellą, Maxa Steinberga. Znał ich wszystkich i prosił o pomoc, lecz każdy z nich tylko się wykręcał.

— Chłopie, jesteś jednym z nas — stwierdził Jackson. — Powinieneś się do tego przyzwyczać. Rozumiesz, co mówię?

Kosinski poczęstował go czystą wódką; Sowell złożył nieprzyzwoitą propozycję dodając:

— Jestem ładniejszy od tej suki i o *wiele* bardziej wierny.

Kamal Collars zaoferował mu wymianę Rebeki za królową Nefertiti:

— Uczciwy interes, uczciwy interes — powtarzał.

Blake pozostawił ich wszystkich w tyle. Znalazł się w przestrzeni, gdzie nie istniały dźwięki czy światło, a jedyną miarą jego istnienia pozostała świadomość. Wiedział, że nie znajdzie Rebeki, ponieważ nie istniało tam nic prócz jego osoby. Potem wpadł na zamknięte drzwi, szarpnął je i otworzył, a wtedy oślepił go niespodziewany blask.

— Marty, obudź się. Marty, Marty. Wstawaj.

Wciąż w półśnie Blake otworzył oczy i chociaż na tle okna widział postać Rebeki, zorientował się, że to jego matka. Serce zamarło mu, kiedy ostatnie okrucy snu przeminęły.

— Czy nie masz dziś przypadkiem spotkania z prawnikiem? Już prawie dziesiąta.

Blake podniósł się, nie schodząc z łóżka i wymamrotał coś o pracy do późna.

— Cóż, kawa gotowa — rzekła Dora Blake. — Nie wchodziłabym, ale jest coś, o czym chciałabym ci powiedzieć, zanim wyjdiesz.

— Dobra, dobra, jaką mamy dziś pogodę?

— Gorąco. Nie będziesz potrzebował kurtki.

Dwadzieścia minut później Blake, wciąż z mokrą głową, włożył bawełniane spodnie, zapiał koszulę z błękitnego jedwabiu i wsunął mokasy na cienkich podszwach. Opuścił łazienkę bez spoglądania w lustro.

— Więc co to za wielka sprawa, mamó? I gdzie jest ta kawa?

— Kawa stoi na kuchence. A to, co chciałam ci powiedzieć, to żadna wielka sprawa. Po prostu coś, o czym, jak sądzę, powinieneś usłyszeć.

Blake spokojnie nalał sobie filiżankę kawy, wiedząc, że jego matka nie będzie się spieszyć; usiadł przy kuchennym stole i wsypawszy łyżeczkę cukru, zaczął mieszać czarny płyn.

— Sprawdziłam tego glinę.

— Słucham?

— Bella Kosinskiego, sprawdziłam go za pośrednictwem wujka Patricka. Pomyslałam sobie, że chciałbyś go poznać, zanim wasza współpraca się rozwinie.

— Mamó, on nie jest moim partnerem. Nie powinnaś była zwracać głowy wujkowi Patowi.

Patrick Blake był kapitanem w nowojorskiej policji, wybrańcem pośród wybrańców, pracującym w dziale personalnym komendy głównej policji.

— W takim razie, kim jest?

— Tymczasową niedogodnością, tak próbuję go traktować.

— Udawanie mądrali nic ci nie da, Marty. Wiem o tym, ponieważ zasięgnęłam także języka na temat zabójstwa Sondry Tillson.

— Wujek Patrick wiedział o Sondrze Tillson?

— Niezupełnie. Zadzwoiłam do niego wczoraj rano, a on oddzwonił do mnie późnym wieczorem. Widocznie nie było to takie trudne do sprawdzenia.

Blake opróżnił filiżankę i zerknął na zegarek.

— Mamó nie mam zbyt wiele czasu.

Dora Blake usiadła obok syna. Ująwszy swoją filiżankę w obie ręce, obracała ją.

— Kosinski był dobrym gliną. Uczciwy, trzeźwy, prawdziwy wzór. Zdobył stopień starszego detektywa, jeszcze zanim skończył trzydzieści pięć lat.

Przez następne sześć czy siedem lat wszystko było w porządku, a potem coś się wydarzyło w jego domu. Wtedy zaczął pić. Patrick twierdzi jednak, że nie wpłynęło to na jego skuteczność, która nawet podwyższyła się nieco. W rzeczywistości, gdyby nie zaczął upijać się w czasie pracy, nikt by nawet niczego nie zauważył. Na razie zaproponowali mu, by na jakiś czas wyjechał, odsapnął trochę, odzyskał nad sobą kontrolę. Kiedy odmówił, grzecznie poprosili go, żeby przeszedł na emeryturę. I po krzyku.

— Czy to wszystko?

— Tak, Marty. Porządny i uczciwy — to wszystko — Dora Blake była wyraźnie zdenerwowana. — Powiedz mi, mój jedyny synu, czy kiedykolwiek przyszło ci do głowy, że być może Kosinski został na ciebie nasłany.

- To ja go znalazłem, mamó, a nie odwrotnie.
- Tak, a następnego ranka zjawił się pod twoimi drzwiami.

Blake potrząsnął głową ze zdecydowaniem.

— Moje zdanie się nie liczy. Adwokat kazał się nim posłużyć, a to on płaci rachunki. Poza tym, jeśli go na mnie nasłano, to nie wybrano najlepszego człowieka. Bez jego pomocy nie byłbym w stanie zejść tak daleko.

— Cieszę się, że zdajesz sobie z tego sprawę.

— Nie jestem idiotą, bez względu na to, co o mnie myślisz. A może opowiedziałabyś mi teraz o Sondrze Tillson?

Dora Blake odstawiła filiżankę i zaczęła zbierać się do wyjścia, lecz po zastanowieniu rzekła:

— Patrick nie może pomóc ci w tej sprawie.

— Nie może czy nie chce?

— I jedno, i drugie. Słuchaj, tu chodzi o firmę. Patrick nie zamierza jej zdradzać, podobnie jak na jego miejscu zrobiłby każdy policjant. Pozwolił sobie tylko na przyznanie, że w sprawę była zamieszana policja.

— O tym już wiem — opowiedział jej o Kamalu Collarsie, jego alibi dla Sowellla i reakcji Brannigana.

— Marty, powinieneś zachować ostrożność — ujęła syna za rękę; gest ów był jednakowym zaskoczeniem dla obojga. — Te zbiry mają odznaki i broń. Nie poddadzą się bez walki.

Blake popatrzył na długie, kościste palce matki. Pragnął powiedzieć coś mądrego, lecz nie mógł niczego wymyślić.

— Nic mi się nie stanie — odezwał się, jednak nawet jemu ta odpowiedź wydała się jedynie pobożnym życzeniem. Ile razy już to powtarzał? — Czy uważasz, że powinienem odstąpić od tej sprawy? Uciekać dopóki jeszcze można?

Cofnęła się.

— Marty, musisz wykonać swoje zadanie. Podjąłeś się go i teraz musisz je wypełnić.

— Max, skąd bierzesz tych facetów? — Bell Kosinski, usadowiwszy się wygodnie w gabinecie Maxa Steinberga, delektował się zapachem drinka składającego się po połowie z wody i z brandy. Jego wzrok wędrował po całym biurze prawnika, zatrzymując się na licznych przedmiotach z południowego wschodu — posążkach, orlich piórach, glinianych garnkach, podniszczonych kocach, czaszce antylopy. — Chodzi mi o tych niewinnych. Dostajesz listy od skazańców, czy jak?

— Listy? — peruka podskoczyła, gdy Steinberg skrzywił usta w wyrazie najwyższego zdumienia. — Otrzymuję całe tony listów. Nie można im wierzyć.

„Drogi panie Steinberg! To nie byłem ja na tej kasecie wideo ze sklepu. Przyznaję, iż rabuś jest do mnie niezwykle podobny, lecz ja wówczas przebywałem w delegacji w Hongkongu”.

Kosinski zaśmiał się z uznaniem. Bukiet wspaniałego napoju był tak cudowny, że niemalże nie chciał go wypijać. Niemalże.

— A jak było z Sowellem? Jak go znalazłeś?

— Powiedziane jak przystało na prawdziwego policjanta — ton Steinberga pełen był podziwu; peruka nie drgnęła z miejsca. — Cóż, nie napisał do mnie listu. Co więcej, nawet nie przyszło mu do głowy, że go wrobiono. Po prostu stało się, tak właśnie patrzy na całe swoje życie.

— Po rozmowie z dzieciakiem w pełni doceniam twoje słowa. Biedak nie miał nawet czasu, by się zorientować, co go czeka.

Kosinski popatrzył na malowidło na blacie niewielkiego stolika stojącego pod oknem. Zastanawiał się, dlaczego artysta wybrał tak mały mebel, by wykonać na nim swoje dzieło, gdy nagle zauważył, że tworzywo stanowiły pokolorowane jaskrawo ziarenka piasku.

— Rany — odezwał się — nie otwieraj przypadkiem tego okna.

— Dlaczego? Zawsze przecież mogę zrobić drugie.

— Zrobiłeś to sam? — Kosinski podniósł się, by przyjrzeć się z bliska, wcześniej jednak opróżnił swoją szklaneczkę. Drink miał doskonały zapach, smakował jeszcze lepiej, a żołądek zaatakował z siłą z jaką chili działa na usta niemowlęcia. Przegryzł chrupkami, po czym ruszył w stronę stolika. — To jest naprawdę niesamowite. W jaki sposób udało ci się zapobiec zmieszaniu się kolorów?

— Trick polega na tym, Kosinski, by w czasie pracy nie mieć ciężkiego oddechu.

— Tak myślałem. Powiedz mi więc, jak wpadłeś na ślad Billy'ego Sowell'a?

— Joanna Bardo, wiesz kto to?

— Ho, ho.

— Poprzednia pracodawczyni Blake'a. Założyła Manhattan Executive Security. Fantastyczna kobieta, błyskotliwa, ambitna, wykształcona... bardzo nowojorska, jeśli wiesz, o ci mi chodzi. Joanna zdybała mnie na przyjęciu dobroczynnym na rzecz muzeum Guggenheima. Wprowadziła mnie w całą sprawę. Kazałem adwokaturze przesłać sobie akta, przeczytałem je i tyle. Dzieciak został wrobiony; nie prowadziłem akurat żadnego przypadku, więc się podjąłem.

Kiedy prawnik skończył opowiadać, Kosinski pokiwał głową. Zauważył, że peruka ani na moment nie zmieniła swojego położenia, a to dobry znak. Najprawdopodobniej Steinberg mówił prawdę.

— Skąd ta Joanna... jak jej tam? Bardo? Skąd ona wiedziała o Sowellu?

— Pozwól, że najpierw napelnię ci szklanę. Wspaniały koniak. Hennessy. W tygodniu nigdy nie pijam, w soboty i niedziele... no cóż, to już inna historia.

Kosinski podał szklanę i ponownie usiadł.

— Wiesz, że rzuciłeś się na głęboką wodę, zgadza się? Pytanie tylko *jak* głęboką?

Twarz Steinberga zastygła, jego dolna warga zaczęła unosić się, aż w końcu do tknęła nosa. W osobie adwokata zaszła zadziwiająca przemiana.

— Nie dbam o nic, nawet jeśli do spisku należy burmistrz — wykrzyknął. — Nawet gdyby chodziło o samego przekłętego prezydenta Steinberg nigdy się nie poddaje.

— Ale rozumiesz mnie, prawda?

— Tak, i co z tego?

— Ten dzieciak, Max. Blake jeszcze na to nie wpadł. Jak oni to dzisiaj nazywają? Nielaska? Chłopak popadł w nielaskę.

Twarz Steinberga rozluźniła się. Wzruszył ramionami i pociągnął łyk.

— W tej sprawie być może popełniłem błąd. Joanna dawała mi do zrozumienia, że Blake jest o wiele bardziej doświadczony. Widzisz, przede wszystkim chodziło mi o to, by nie zatrudniać byłych glin, ponieważ właśnie gliny wrobiły Sowelę. Nie było sposobu na odróżnienie, kto jest zamieszany, a kto nie.

— Nadal nie ma.

— Prawda.

— Więc w jakiej sytuacji stawia to moją osobę?

— Kosinski, twoim zadaniem jest złożenie pod przysięgą zeznania, iż przeciwko mojemu klientowi wykorzystano sfabrykowane dowody. Skoro zamierzam posłużyć się tym zeznaniem w celu przyzwożenia nowojorskiej policji, mówiąc ogólnie, a Tommy'ego Brannigana w szczególności, sądzę, że gdy już raz przekroczysz granicę, nie będziesz miał powrotu. Nie jest istotne, czy zdajesz sobie z tego sprawę, czy nie.

Kiedy piętnaście minut później zjawił się Marty Blake, Kosinski przeszedł do sąsiedniego pokoju. Zajął się przeglądaniem albumu ze zdjęciami, podczas gdy Blake składał raport swojemu zleceniodawcy — po cóż miałyby odbierać chłopakowi chwałę? Z tego właśnie powodu w swojej wcześniejszej rozmowie ze Steinbergiem ani słowem nie wspomniał o Kamalu Collarsie i unikał wszelkiej dyskusji na temat sprawy.

Zaskoczył go profesjonalizm Blake'a, który przedstawił wpierny skrót, zażądał zapłaty, a następnie przekazał szczegółowe sprawozdanie. Kosinski był niezwykle zadowolony ze swego partnera i z radości opróżnił swoją szklankę.

— Normalnie zażądałbym zaliczki — wyjaśniał Blake. — Nie zrobiłem tego, ponieważ zarekomendowała cię Joanna, teraz jednak zbliżam się już do rozwiązania łamigłówki. Dysponując dowodami, które ci dostarczyłem, mógłbyś dokończyć sprawę nawet beze mnie, więc...

Steinberg przeglądał wystawiony rachunek, wodząc koniuszkiem wypielęgowanego paznokcia wzdłuż długiej kolumny liczb. W miarę jak przesunął się w kierunku końca, jego peruka wędrowała do przodu powolnym, lecz

bezustannym ruchem. Kiedy przykrywała już górną część czoła, adwokat podniósł wzrok.

— Dwa tysiące dolarów? Chłopcze, ty chyba żartujesz.

Blake spokojnie pokręcił głową.

— Joanna nauczyła mnie, by nigdy nie żartować, gdy w grę wchodzi pieniądze. Uważam, że rachunek jest wystarczająco przejrzysty. Obciążyłem cię za mój czas, moje wydatki oraz czas mojego współpracownika.

— Twojego współpracownika? Ten Kosinski jest teraz twoim współpracownikiem?

— Bez niego nie zaszedłbym tak daleko. Dlaczego nie miałby otrzymać zapłaty? Max, spójrz na to z innej strony. Bez Kosinskiego śledztwo mogłoby ciągnąć się całymi tygodniami, a przy trzystu dolarach za każdy dzień plus wydatki... wydaje mi się, że i tak ci się upiekło.

16.

Blake nigdy nie wątpił, że uda mu się odnaleźć właściwe zdjęcie, był pewien, że Collars mówił prawdę, nie dopuszczał myśli, że to zdjęcie może nie istnieć. Przyjąwszy od Steinberga czek, powiedział:

— Max, teraz powinienes wziąć do ręki telefon. Wszystkie gazety prowadzą archiwa i ja będę musiał dostać się do nich. Pójdzie mi znacznie szybciej, jeśli pociągniesz za parę sznurków.

Po przeczytaniu raportu Blake'a, Steinberg przystał na to z ochotą. Jako licząca się w Nowym Jorku osobistość twierdził, że zna prawie wszystkich.

— Jeśli uda ci się zdobyć to zdjęcie — rzekł — powiadomię prasę. Trzeba przygotować nieco pole bitwy.

— Są ludzie, którym się to nie spodoba — wtrącił się Kosinski. — Być może lepiej byłoby załatwić wszystko po cichu. Nie warto robić więcej szumu niż to konieczne.

— Steinberg nigdy się nie poddaje.

— W porządku, Max. Oczywiście fajnie zgrywać bohatera, ale spójrz na nasz problem z drugiej strony — jeśli Billy Sowell nie zabił Sondry Tillson, ludzie zaczną się zastanawiać, kto był prawdziwym mordercą. Jeżeli załatwimy sprawę po cichu, pewni ludzie mogą darować sobie Billy'ego i po prostu o wszystkim zapomnieć. Jeśli jednak narobimy hałasu, gliny zmuszone będą wznowić śledztwo. Jest oczywiste, że stanie się to problemem dla osoby, która zabiła Sondrę Tillson. W podobnej sytuacji znajdują się również ci, którzy pomogli zatuszować sprawę.

Blake niemal nie zwracał uwagi na toczącą się dyskusję. W myślach układał już plan ofensywy. Oprócz czterech wielkich dzienników, w Nowym Jorku ukazywało się kilkanaście tygodników, z których część miała jedynie lokalny zasięg. Do tego należało dodać sześć stacji telewizyjnych, kilka magazynów oraz mało prawdopodobną, lecz niepokojącą możliwość, iż fotoreporter zapamiętany przez Collarsa był jednym z niezależnych dziennikarzy nowojorskich, wolnym strzelcem poszukującym sensacji. W tej sytuacji stawało się jasne, że należało opracować rzetelny plan działania.

W swoich poszukiwaniach Blake jak zwykle zamierzał posłużyć się komputerem, czy też raczej skorzystać z komputera Joanny Bardo. O ile się orientował, nie istniała żadna baza danych dotycząca fotoreporterów, ale gdyby udało mu się zdobyć różne artykuły opublikowane nazajutrz po zamieszkach, być może dowiedziałby się, przedstawiciele których gazet znajdowali się na miejscu wydarzeń. Collars zapamiętał jednego fotografa robiącego zdjęcie Billy'emu, ale w rzeczywistości Billy Sowell może występować w tle jakiegokolwiek fotografii wykonanej tamtego wieczoru.

— Muszę już iść — podniósł się nagle Blake. — Max, zadzwoń do mnie, kiedy wszystko pozalätwiasz. Jeśli nie będzie mnie w domu, zostaw wiadomość na sekretarce. Zamierzam za pomocą komputera sprawdzić parę rzeczy. Nie obawiaj się — mamy sobotę i jestem w doskonałym nastroju, więc nie będzie cię to nic kosztowało.

— Bell — zwrócił się następnie do Kosinskiego — było mi niezwykle miło. Dam ci pieniądze, jak tylko zrealizuję czek Maxa — Marty dostrzegł zdziwienie w oczach Kosinskiego. Było mu naprawdę przykro, bowiem zdążył już polubić byłego policjanta i mógłby skorzystać z jego pomocy na tysiąc sposobów, gdyby tamten nie był beznadziejnym alkoholikiem.

— Tak, wspaniale — wymamrotał Kosinski. — Wiesz, gdzie mnie szukać.

Blake nie zdziwił się, zastawszy w sobotni poranek Conrada Angionisa przy komputerze w Manhattan Executive. Cynthia Barret nie przesadzała, twierdząc, iż Conrad „praktycznie tu mieszka”. Niemniej jednak obecność Joanny Bardo stanowiła całkowite zaskoczenie. Joanna, niestrudzona promotorka własnej firmy, weekendy spędzała zwykle w Hamptons lub w Connecticut, nagabując byłych, obecnych albo przyszłych klientów.

— Marty, miło cię znowu widzieć. Dawno u nas nie byłeś — siedziała na krześle Cynthii Barret, a uśmiech miała równie złośliwy jak ton głosu.

— Przyszedłeś tylko po to, żeby się ze mną spotkać? Nie sądziłem, że jestem tak ważny — Blake, choć mógł załatwić wszystko z własnego domu za pomocą modemu, przyjechał jednak osobiście, zadzwoniwszy wcześniej, by upewnić się, że zostanie Conrada. Ten zaś, widocznie zgodnie z otrzymanym poleceniem, zawiadomił Joannę.

— Skoro Mahomet nie chce przyjść do góry...

— Byłem zajęty.

— Zbyt zajęty, żeby zadzwonić?

— Nie jesteś klientką, Joanno. Max Steinberg jest zadowolony z mojej pracy, nawet jeśli nie podoba mu się moje honorarium.

— Lubię, gdy informuje się mnie na bieżąco, Marty. Dobrze jest wiedzieć, co się dzieje.

Tak? W takim razie niewątpliwie zawiedziesz się, ponieważ nie powiem ci nic, prócz tego, że najprawdopodobniej za kilka dni powinienem zamknąć całą sprawę. Jeśli potrzebujesz czegoś więcej, zadzwoń do Steinberga. On lubi chrzanić, a teraz siedzi i popija hennessy.

Prawa ręka Joanny uniosła się do ust, jak gdyby paliła nieistniejącego papierosa. Blake uśmiechnęła się, wspominając, że jego była pracodawczyni nazwała niegdyś nałóg wypalania dwóch paczek dziennie swoją jedyną słabością.

- Przypominam, że w przyszłości mogę ci się jeszcze przydać.
 - Joanno, tu chodzi o etykę zawodową. Zaufanie klienta do mnie jest podstawą tej przeklętej profesji, więc proszę, nie bierz tego do siebie.
- Joanna wstała, zdobywając się na nikły uśmiech.
- Masz rację. W końcu to nie ja wypłacam ci honorarium. Czy rzeczywiście sądzisz, że uporasz się z tą sprawą tak szybko?
 - Bardzo szybko.
 - W takim razie powinnam zacząć szukać ci czegoś następnego.
- Miała na sobie fioletową bluzkę oraz obcisłe, bawełniane spodnie. Kiedy odwróciła się, Blake zauważył, iż nastąpiła w niej jakaś odmiana. Zdażyła już niemal opuścić pokój, zanim zorientował się, na czym ona polegała.
- Joanno — zawołał. — Co się stało z twoim tyłeczkiem?
 - Z czym? — obróciła się w jego stronę.
 - Twoim tyłeczkiem. Została z niego połowa.
 - Liposuction, Marty. W końcu się zdecydowałam. Co o tym sądzisz?
 - Moim zdaniem, teraz jesteś wreszcie idealna.

Blake zastał Conrada Angionisa siedzącego na jego tronie w pomieszczeniu komputerowym. Wystarczyło jedno spojrzenie, by stwierdzić, że Conrad nie zamierzał przeproszać za poinformowanie szefowej. Jego uwielbienie dla komputerów i ich możliwości rozciągało się na Manhattan Executive oraz Joannę Bardo.

- Conrad, pracujesz dzisiaj czy tylko się bawisz? — zapytał Blake.
 - Jedno i drugie. Uczę Maggie, jak na podstawie numeru ubezpieczalni przeszukiwać wszystkie dostępne bazy danych, począwszy od najbardziej oczywistych, a skończywszy na niemal nieosiągalnych. Problem polega na tym, która jest jaka.
 - Czy to przypadkiem nie kosztuje zbyt wiele? Kto za to zapłaci?
- Conrad westchnął, założył nogę na nogę i skrzyżował ramiona.
- Kiedyś może się to nam przydać. Gdy nadejdzie ten dzień, będziemy przygotowani. Poza tym, Maggie lubi się uczyć.
 - Maggie lubi się uczyć? Chłopie, z tobą naprawdę nie jest dobrze.
 - Marty, ty nigdy nie potrafiłeś tego zrozumieć. Dlatego właśnie poszedłeś pracować w terenie. To nie twoja wina, wierz mi, po prostu tak już jest. W każdym razie, przyszedłeś tu pracować czy naśmiewać się ze mnie?

Blake zaznajomił go ze sprawą, przekazując jedynie niezbędne informacje. Podał Conradowi datę, dwudziesty ósmy listopada, rok oraz hasło „zamieszki”. Później Blake miał sam przeanalizować otrzymany wydruk oraz odgadnąć, które gazety miały swoich reporterów na miejscu wydarzeń, a które starały się jedynie nie pozostać w tyle.

Wyraziwszy swoje zadowolenie z prostoty powierzonego mu zadania, Conrad natychmiast przystąpił do pracy. Blake, usadowiwszy się wygodnie, obserwował długie palce przyjaciela poruszające się z gracją po klawiaturze i od czasu do czasu korzystające z myszy. Nareszcie miał okazję oderwać się od ponurych wydarzeń minionych kilku dni. Z pomocą Kosinskiego (nie sposób było się tego wyprzeć) przeszedł swój chrzest bojowy i bez wątpienia osiągnął zwycięstwo. Pozostało jedynie kilka zabiegów kosmetycznych.

Myśli Blake'a z wolna powędrowały ku Billy'emu Sowellowi znajdującemu się w swojej celi. Wyobrażał sobie jego dotychczasowe życie i doszedł do wniosku, iż po raz pierwszy zdarzyło mu się ochraniać człowieka. Do tej pory zajmował się jedynie ochroną dóbr i to najczęściej należących do wielkich korporacji, które nie były wcale lepsze od osób, zamierzających je okraść.

Zastanawiał się, co stanie się z Sowellem po wyjściu z więzienia. Po drugiej stronie bramy nie czekało go nic, co choć trochę przypominałoby prawdziwą wolność. Niedorozwinięty chłopak nie miał żadnych możliwości ani przyjaciół. Cóż mógł zdziałać? Wrócić do Kamala Collarsa? Znaleźć innego olbrzyma, który zechciałby go chronić?

Nie ma innego wyjścia, postanowił Blake, muszę przycisnąć Steinberga, żeby wyszukał chłopakowi miejsce do życia. Z pewnością istnieje gdzieś jakiś uczciwy program rehabilitacyjny i nie spocznę, dopóki Billy Sowell tam nie trafi.

— Martin, słyszysz mnie?

— Hmm? A tak, Conrad. Oczywiście. Masz coś?

— *New York Times*. Następnym jest *Daily News*.

Blake przejrzał stosunkowo niewielki artykuł zamieszczony w *Timesie*, ale odrzucił go z niesmakiem. Według dziennika policja „twierdziła”, iż zachowanie demonstrantów wymagało reakcji, niezbędnej do utrzymania porządku. Demonstranci „twierdzili”, że gliny pozaklejały czarną taśmą swoje dystynkcje oraz numery identyfikacyjne i przystąpiły do realizacji przygotowanego z góry planu „ukarania bezdomnych”. Okoliczni mieszkańcy „twierdzili”, że policja bez wyraźnej przyczyny zaatakowała osoby, które pragnęły rozejść się do domów. Artykuł zajmował drugą stronę działu miejskiego i ani jedno słowo nie wskazywało na obecność reportera gazety na miejscu wydarzeń.

Doniesienia *Daily News* wydawały się o wiele bardziej obiecujące. Reporter Brad Cooper pisał, iż policjanci popchnęli go na sklepową wystawę. Termin „policyjne zamieszki” pojawiał się kilkakrotnie w całym artykule.

Relacja *New York Post* wydawała się krótka, ale to jeszcze o niczym nie świadczyło, gdyż jego specjalność stanowiły fotoreportaż. Kilku akapitom tekstu często towarzyszyło nawet pół tuzina zdjęć. *Newsday*, jak się tego można było spodziewać, zapewniał najbardziej wnikliwą analizę. Publikował dwa artykuły dotyczące

zamieszek, oddzielne sprawozdanie na temat długotrwałego konfliktu między policją a anarchistami oraz historię bezdomnych koczujących w Tompkins Square Park.

— Coś jeszcze, Marty?

Conrad był wyraźnie znudzony. Rozciągnął się na swoim krześle, wypił z kubka łyk herbaty i uniósł głowę do góry. Blake zdał sobie sprawę, że powinien się wycofać, gdyż nic nie usprawiedliwiałoby dalszych kosztów, jakie byłby zmuszony ponieść. Problem polega na tym, pomyślał, że jest sobota, godzina czternasta, a ja nie mam nic do roboty. Cóż, może przejdę się później na siłownię, poświęcę troszkę i pogadam ze stałymi bywalcami. Muszę się nieco rozluźnić.

— Wiesz co, Conrad? Przejrzyj jeszcze doniesienia powiedzmy z następnych dziesięciu dni. Zobaczmy, jakie były reakcje. Zdobądź mi również odpowiednie wydania *Village Voice*, *East Village Other* i *Soho Spirit*. Zobaczmy, co napisali. Przez ten czas zadzwonię do swojego klienta.

Steinberga nie było w biurze, ale na automatycznej sekretarce Blake'a pozostał następująca wiadomość:

„Mówi Steinberg. Słuchaj, mieliśmy prawdziwe szczęście. Gazety nie przechowują zdjęć, jeśli nie zostały one wydrukowane, ale w tym przypadku prokuratura zamierzała przeprowadzić śledztwo przeciwko policji (co jednak nigdy nie doszło do skutku) i zebrała wszystkie zdjęcia oraz każdy centymetr taśmy nakręcony podczas zamieszek. Jutro rano wybierz się do biura zastępcy prokuratora, by spotkać się z niejakim Bennym Greenem. To mój stary przyjaciel. Przygotuje dla ciebie materiały”.

Część druga

Prolog

Billy Sowell leży na swojej pryczy. Próbuje podjąć decyzję, lecz postanowienia nie przychodzą mu łatwo. Podnosi się i rozgląda po celi, zauważając gołe, betonowe ściany. Czuje, że powinny być jakoś udekorowane, podobnie jak w innych celiach, choć nie pozawieszałby fotografii rozkraczonych kobiet. W otwartych ustach, wyeksponowanych pochwach, uniesionych nogach kryje się coś, co wzbudza niepokój Billy'ego.

Wszystko to stanowi dla niego zbyt wielki ciężar. Na przykład seks. Nigdzie nie widział zdjęć nagich mężczyzn, nawet jednego. Dlaczego więc przychodzą do niego, by uprawiać z nim seks? Dlaczego przychodzą do chłopca, skoro chcieliby kochać się z kobietą?

A może on jest kobietą? Teraz, kiedy nauczył się nakładać cienie do powiek, tusz do rzęs, szminkę; kiedy wie, co należy robić, by mężczyźni szybko załatwili sprawę? Tylko kobieta mogłaby to wiedzieć.

Billy słyszy zbliżającego się strażnika. Ów klawisz nazywa się Tompkins, poznał go po niezwykle ciężkich krokach. Łup, łup, łup — nie jak więźniowie, którzy przemykają się niczym duchy czy koty.

— Sowell?

— Tak — Billy nauczył się, że na strażników można spoglądać, jeśli tylko nie patrzy się im prosto w oczy.

— Zamierzasz pozostać w celi aż do apelu?

— Tak, nie będę wychodzić — pomija fakt, iż w rzeczywistości nie wolno mu opuszczać celi, choćby chciał pójść na dziedziniec czy do kina. Jackie Gee zabronił mu ruszać się z miejsca, chyba że na posiłki, do pracy czy do kapelana, który przychodzi w każdą środę. Jackie Gee jest alfonsem Billy'ego. Billy stanowi jego własność.

Sowell przez jakiś czas wsłuchuje się w oddalające się kroki strażnika Tompkinsa, po czym powraca do swoich rozmyślań. Obrazki z *Biblii dla dzieci* idealnie pasowałyby do ozdobienia ścian. Nie ma tylko pewności, czy ksiądz Squires, który mu ją podarował, nie będzie na niego zły, że powycinał niektóre strony. Dla Billy'ego stanowi to ogromny problem.

Kapelana podarował mu tę książkę i powiedział, że nie będzie musiał jej oddawać, że od tej pory to *jego* książka. Skoro należy do niego, powinien móc zrobić z nią, cokolwiek zechce. Zgadza się?

A jednak to nie takie proste. W swoim życiu Billy popełnił już zbyt wiele błędów. Nie potrafi przewidzieć rezultatów nawet najprostszej czynności.

Billy spogląda na otwartą księgę, przesuwa palec po jej grzbiecie. Dwunastu

apostołów tłoczy się w małej łódce. Wiatr podarł na strzępy jej niewielki żagiel i nawet Billy wie, że drobne, brodate postaci zostały rzucone na łaskę i niełaskę sztormu. Morze burzy się, ogromne fale przewalają się nad nimi, gotowe przygnieść ich swoim ciężarem.

Kapelan Squires powiedział mu, że apostołowie zamierzali skorzystać z przewodnictwa gwiazd, ale nadeszły chmury i zgubili się.

Właśnie tak się czuł, gdy umarła mu matka, kiedy oddali go do przytułku. Był zagubiony. Wszystko zdawało się większe i silniejsze niż on sam. Nie wiedział, co robić ani dokąd pójść. Kiedy opuścił schronisko i zaczął pić, jego sytuacja jeszcze bardziej się pogorszyła. Ludzie zabierali mu pieniądze, ubranie, wino, a on nie potrafił się temu przeciwstawić. Był bezradny niczym apostołowie w swojej małej łódce.

Potem spotkał Kamala.

Billy pamięta, że w rozmowie z kapelanem porównywał kiedyś Kamala do Jezusa. Tyle tylko, że tak naprawdę Kamal nie był Jezusem, ponieważ nie mógł mu pomóc, kiedy przyszli policjanci.

Wbrew obawom Billy'ego ksiądz Squires wcale się nie wściekł. „Prawdziwy Jezus nigdy cię nie opuszcza”, wyjaśniał. „Gdy raz wkroczy do twego serca, zostaje tam na zawsze. Musisz Go jednak zaprosić, Billy. Jezus nie może do ciebie przyjść, jeżeli tego nie chcesz. Musisz otworzyć Mu swoje serce i przygotować dla Niego miejsce”.

Billy otwiera oczy i jeszcze raz spogląda na otwartą książkę. Jezus w białej szacie, otoczony blaskiem, zbliża się do apostołów ściśniętych w łódce. Tak naprawdę to nie idzie po wodzie, jak mówił kapelan. Raczej unosi się tuż nad nią, jakby nie chciał zamoczyć sobie stóp. Jedną ręką wskazuje na serce, a drugą na niebo.

Apostołowie patrzą na Jezusa, ale — o ile Billy potrafi czytać z ich twarzy — wciąż jeszcze się boją. To nie ma sensu. Dlaczego się nie cieszą? Przecież za chwilę zostaną ocaleni.

Billy odkłada książkę i wyciąga się na pryczy. Wariat znowu zaczął swój koncert. „Ty dziwko, ty pieprzona suko, zabiję cię, zobaczysz, że cię zabiję”.

Jackie Gee twierdzi, że to tylko kwestia czasu, że strażnicy zabiorą Wariata do oddziału dla obłąkanych. Mówi również, że jeśli Billy zacznie skarżyć się klawiszom, to jego też tam zabiorą. Śmieszne, przecież strażnicy i tak musieli się zorientować po jego makijażu oraz sposobie, w jaki porusza się po więzieniu. Nie jest jednak zabawne to, że Jackie Gee powiedział, iż wychodząc na zwolnienie warunkowe, sprzeda Billy'ego temu, kto zechce dać najwięcej.

Spoza drzwi celi dobiegł odgłos kroków. Delikatnych. Billy zaczął się zastanawiać, czy to Jackie Gee przyszedł po niego. Na widok stojącego w drzwiach strażnika nie potrafił ukryć swojego zdziwienia.

— Cześć Billy, pamiętasz mnie?

Billy po raz pierwszy od dwóch lat spogląda wprosi na twarz klawisza. Odkąd nie miewa okazji do picia, jego pamięć znacznie się poprawiła, dlatego bez trudu rozpoznaje oficera Brannigana. Właściwie nic się nie zmienił, tyle tylko, że teraz ma na sobie mundur strażnika.

— Tak, pamiętam pana — odpowiada. — Czego pan chce?

— Zamierzam cię stąd zabrać. Wiem, że nie zabiłeś tamtej kobiety.

— Ja również o tym wiem — Billy nie wierzy, że policjant przyszedł, by mu pomóc, choć nie ma pojęcia, czego mógłby od niego chcieć.

— Twój adwokat mnie do ciebie przysłał.

— Pan Steinberg?

— Właśnie on.

— Rozmawiałem z nim dzisiaj przez telefon. Powiedział mi, że jeszcze przez jakiś czas będą musiał tu pozostać.

— Boisz się mnie? Czy ja cię kiedykolwiek skrzywdziłem? — Brannigan wchodzi do środka celi, siada obok Billy'ego i obejmuje go ramieniem.

Zamiast odpowiedzieć, Billy zamyka oczy. Pragnie otworzyć swe serce dla Jezusa, stara się ze wszystkich sił. Kiedy jednak nie następuje żaden cud, zaczyna w myślach wzywać Kamala Collarsa, a następnie Jackie'go Gee. Z oddali dobiega go przerażony krzyk Wariata. Zapewne przyszedł po niego, tak jak ten policjant przyszedł po Billy'ego. W jakiś tajemniczy sposób wszystko zdaje się układać w jedną całość.

— Billy, słyszysz mnie?

— Tak.

— Mam dla ciebie lekarstwo. Żeby ci ulżyć.

— Ale ja nie jestem chory.

— Wiem, Billy. Nie chodzi mi o chorobę. Chcę tylko, żeby twój umysł mógł nieco odpocząć. Zamierzałem podać ci je trochę później, lecz doszedłem do wniosku, że lepiej będzie, gdy zrobię to teraz.

— Ja nie chcę — Billy próbuje odsunąć się od policjanta. Wstaje, zastanawiając się, czy powinien wybiec na korytarz. A może zawołać pomoc? Wie, co spotyka więźniów, którzy nie wypełniają poleceń strażników, widywał już bezlitosne katorżanie za najdrobniejsze nieposłuszeństwo. Ale czy glina jest klawiszem? Czy policjant może wejść do więzienia bez zgody strażników?

Nie potrafi podjąć decyzji. Wciąż ten sam problem, zawsze trzeba wybierać. Decyzje, decyzje, decyzje.

— Jezu, pomóż mi — szepcze, ale to nie Jezus obraca go. To nie Jezus rzuca go na prycę.

— Cholera — odzywa się głośno Tommy Brannigan. — Tyle zachodu z takim pieprzonym głupkiem — przez rękaw wbija igłę w ramię Billy'ego Sowell i naciska tłoczek strzykawki. — To powinno uspokoić trochę twoją pedalską dupę.

Spokojnie przygląda się, jak oczy chłopca zachodzą mgłą, pozwala mu upaść w nadziei, że sam zdechnie, choć nie tak miała wyglądać jego śmierć. Ale nie, po chwili Billy zbiera się w sobie i siada.

— Posłuchaj mnie teraz. Pójdziemy na mały spacer. Tylko we dwoje. Rozumiesz mnie?

Brannigan nie czeka na odpowiedź. Chwyta Sowellę pod rękę, wbijając palce w jego ciało, przypominając sobie jednocześnie, że nie musi tu być. Przecież sam tego chciał, zgłosił się z własnej woli, ponieważ zamierzał dobrze się ubawić.

— Wstawaj, skurwielu.

Ruszyli wzdłuż korytarza, w dół po schodach, przez drugie i pierwsze piętro, w kierunku bloku C. Ponieważ było dosyć ciepło, większość więźniów znajdowała się na dziedzińcu. Nieliczni, którzy pozostali w celach, nie raczyli nawet spojrzeć na przechodzących. Brannigan już się nie odzywał; nie miało to sensu, gdyż Sowell był całkowicie oszołomiony i pozwalał się prowadzić niczym cielę. Kiedy dotarli do wąskiego łącznika pomiędzy głównym kompleksem a blokiem C, Brannigan na moment przystanął.

— Dokąd idziemy?

Do piekła, chciał odpowiedzieć policjant. Spoglądając na Billy'ego, ze zdumieniem potrząsnął głową, nie potrafiąc zrozumieć, dlaczego Steinberg zdecydował się choćby kiwnąć palcem dla takiego głupka. Co skłoniło Bella Kosinskiego, by wystąpić przeciwko firmie, przeciwko całemu dotychczasowemu życiu.

Cóż, postępowanie Kosinskiego tłumaczy fakt, że jest beznadziejnym pijakiem, a Steinberg robi to dlatego, że jest Żydem. Tym razem jednak dobre serce nie wyjdzie im na zdrowie, raczej obróci się przeciwko nim.

— Zabieram cię stąd, Billy. Wybierasz się w daleką podróż.

Brannigan rusza wzdłuż łącznika, a gdy Sowell ociąga się, uderza go w twarz.

— Jezu — odzywa się do siebie — to echo jest niesamowite. Powinienem o tym pamiętać.

Po chwili znowu zaczyna iść, chwytając dłonią za włosy Billy'ego. W zasięgu wzroku nie widać żywego ducha, wszystko zgodnie z planem. Po drugiej stronie, sto metrów dalej, za dwoma zakrętami znajdują się trzej strażnicy. Jeszcze przez następne dziesięć minut będą trzymać z daleka wszystkich ewentualnych przechodniów. Branniganowi pozostało mnóstwo czasu na wykonanie swojego zadania.

Doszedłszy do drzwi pomieszczenia służbowego numer dwa, zatrzymuje się na moment, nasłuchuje, po czym przekręca klamkę. Pokój tonie w ciemnościach, ale to go nie dziwi. Wpycha Sowellę do środka, zamyka drzwi, a następnie zapala światło.

— No cóż, *señor* Brannigan, znowu się spotykamy. Jak się panu podoba mój świat?

— Daruj sobie, Hinjosa. Nie mamy zbyt wiele czasu.

Hinjosa śmieje się, a potem wierzchem dłoni ociera usta.

— Nie ma czasu? Mam go *mucho*, panie oficerze. Czeka mnie od piętnastu lat do dożywocia.

I całkowicie na to zasługujesz, myśli Brannigan, który wie, że Hinjosa — były sierżant nowojorskiej policji — zamordował swoją żonę i to nie z powodu zazdrości, lecz dla pieniędzy z ubezpieczenia. Przyznanie się do winy i tak łagodziło mu wyrok o dziesięć lat.

— Powiedz mi Hinjosa, czy inni skazańcy wiedzą, że byłeś kiedyś gliną?

— My nazywamy się przestępcami, a nie skazańcami — śmieje się Hinjosa. — Powinieneś zapomnieć o zamierzchłej przeszłości, palancie.

Brannigan wzdryga się, słysząc obelgę, lecz postanawia ją zignorować.

— Więc w jaki sposób udało ci się przetrwać? Większość glin odsiaduje wyroki na specjalnych oddziałach.

Hinjosa unosi do góry cegłę.

— Żadnych odcisków palców — uderza cegłą w głowę Billy'ego. — Bez litości. Właśnie tak przetrwałem, oficerze Brannigan.

— Tak? — Brannigan nie ustępuje. — Cóż, na twoim miejscu uważałbym na jego krew. Ten pedał z pewnością ma AIDS.

Hinjosa szarpie koszulę Sowell. Oderwane metalowe guziki rozsypują się po betonowej podłodze. Kawalki materiału w kolorze khaki z wolna spadają na ziemię. Zadowolony z siebie popycha ciało Billy'ego, opiera je o stół, wypinając jednocześnie pośladki chłopca.

— Trzeba upozorować, że przeleciało go kilka osób, oficerze Brannigan. Żeby wszystko wyglądało wiarygodnie. Jeśli nie ma pan na to ochoty, proponuję, by pan stąd spływał.

1.

— Wiesz, Bell, ten chłopak nie potrafi panować nad swoimi uczuciami. Znałem jego starego bardzo dobrze i wiem, jak Tony Loest został wychowany — kiedy w życiu napotkasz problem, wal go prosto w mordę. Ty, Bell, upokorzyłeś biedaka i on teraz nie może o tym zapomnieć. Na twoim miejscu uważałbym na siebie.

Kosinski skinął głową, udając zamyślenie. Heinrich Werther był jednym z regularnych klientów baru Cryders i dlatego należała mu się odrobina szacunku. Miał nawet prawo odgrywać rolę psychiatry, mimo że większość życia przepracował na wózku widłowym w dawno już zlikwidowanych magazynach na Long Island.

— Heinrich, więc cóż według ciebie powinienem zrobić? — Kosinski zerknął na drugi koniec baru znajdujący się w pobliżu wejścia. Tony Loest mierzył go wzrokiem ponad bandażami spowijającymi jego nos. Było to tuż po tym, jak powiedział do Eda O'Leary'ego, iż zamierza „dokopać w dupę pieprzonemu glinie”.

Brwi Werthera uniosły się, tworząc szerokie, siwe łuki. Jednym długim łykiem wlał w siebie ósme piwo, po czym zaczął swoje kolejne wyjaśnienie:

— Zdaje się, że najprostsze rozwiązanie, to dać się sprać Loestowi, co powinno nieco podreperować jego godność.

— A co z moją godnością? — zapytał Kosinski, wsuwając dłoń do kieszeni i macając palcami kaburę, którą nosił od czasu, gdy razem z Blakiem był w hotelu Chatham. Po wyjściu z gabinetu Maxa Steinberga swoją trzydziestkęosemkę odłożył do szafy na półkę, zastawiając pudełkiem dawno nieużywanych lampek choinkowych. Zapomniał jednak o kaburze.

Po prostu muszę być szybszy, pomyślał Kosinski. Zgnoić gówniarza, jak tylko zacznie bluzgać. Na pewno zacznie się od obelg. Tony zawsze najpierw piłuje mordę, a dopiero potem używa pięści. Mogę to wykorzystać. Udam, że się go boję, a następnie policzę mu jego cholerne żebra.

— Nie powinieneś zniżać się do jego poziomu. Jesteś lepszy niż Tony. Poza tym nie przyniosłoby ci to nic dobrego. Przecież Tony musi odzyskać swój honor, a za jedyną skuteczną metodę uważa przemoc. Jeśli jeszcze raz go ponizysz, podsyćisz tylko jego nienawiść.

Kosinski opróżnił swoją szklaneczkę i odwrócił się w stronę stojącego za barem Eda.

— A ty Ed, jak myślisz? Czy sądzisz, że jeśli skopię Loestowi dupę, rozpętam wojnę atomową?

— Nie obawiaj się, Bell, on nie spróbuje niczego w moim barze. Zamieniłem już z nim słówko na ten temat.

— Wspaniale, Ed — Kosinski podobnie jak każdy inny stały bywalec baru Cryders wiedział, iż O'Leary pod ladą tuż obok skrzynki z cytrynami trzymał obrzyn oraz kij baseballowy. — Ale co będzie, gdy wyjdę na zewnątrz?

O'Leary błysnął szyderczym uśmiechem.

— Bell, zawsze przecież możesz wezwać policję. To znaczy jeśli się rzeczywiście boisz.

— Widzisz Bell? Zawsze tylko taka gadka-szmatka. Oni wszyscy są niczym innym jak tylko małpami tłukącymi się o banana. To jedyne, co potrafią.

— Może jeszcze jedno piwko, profesorze? — spytał O'Leary. — Żeby zaostrzyć twój zmysł psychologiczny.

Heinrich zdobył się na krótkie burknięcie, po czym skinął przyzwalająco.

Powiniennem coś wymyślić, zastanawiał się Kosinski. Posiedzę tu trochę i będę pił, niech Tony spróbuje mi dorównać. Zanim wyjdziemy na zewnątrz, będzie miał wiele szczęścia, jeżeli w ogóle ustoi na nogach.

W głębi serca Bell Kosinski żywił jeszcze nadzieję, iż pojawi się Candy Packert i rozładuje sytuację. Tyle że było raczej mało prawdopodobne, by Packert przyszedł tu w tygodniu, kiedy bar zdominowany był przez pijaków. Candy był biznesmemem, a jego interes stanowiła kokaina — teraz zapewne można go zastać gdzieś w okolicach Bayside, w nocnych klubach na Bell Boulevard, Forest Hills czy Queens Boulevard. Wszędzie tylko nie w Cryders.

Kosinski zerknął na Loesta, a następnie na otwierające się drzwi, w których zamiast Packerta stanął Marty Blake. Zobaczył, jak spojrzenia mężczyzn krzyżują się, z twarzy Tony'ego z wolna znika nieopanowana wściekłość, a na jej miejsce pojawia się strach. Zwężone oczy Loesta stopniowo rozszerzyły się, po czym powoli opuścił głowę i cały obrócił się na stołku w stronę stojącego za barem Eda.

— Gotowy do następnej kolejki, panie Loest?

Blake z błyszczącymi oczyma podszedł do byłego policjanta, obrzucił pogardliwym spojrzeniem Heinricha Werthera, po czym odezwał się:

— Kosinski, muszę z tobą porozmawiać.

— Marty — odparł zdziwiony Kosinski — upiłeś się?

— Do cholery, nie sądzę, aby cię to powinno interesować.

— Tak, Marty, masz rację. Chcesz przenieść się do stolika?

— Nie, możemy pogadać tutaj — Blake usadowił się na stołku opuszczonym przez Heinricha Werthera, wyciągnął z kieszeni kilka pomiętych kartek i rzucił je na mokry blat.

— Przejrzyj to sobie. Mam tu parę naprawdę interesujących zdjęć.

Kosinski rozprostował wycinki, starając się obejrzieć je, zanim rozpląną się od wilgoci. Były tam cztery fotografie z zamieszek koło Tompkins Square Park.

Ukazywały policjantów wymachujących pałkami, punków rzucających butelkami i kamieniami, zwykłych obywateli próbujących wydostać się z opałów. Na każdej z nich w tle widoczny był Kamal Collars ciągnący za rękę oszołomionego Billy'ego Sowella.

— Jak uważasz, Kosinski, znakomity dowód, nieprawdaż? Nie mógł tej samej nocy przebywać w dwóch różnych miejscach, zgadza się?

Kosinski spojrział na Blake'a, zastanawiając się, czy Marty przyszedł tylko po to, by się pochwalić.

— Moim zdaniem nadszedł wreszcie czas na gratulacje. Wygląda na to, że dzieciak wkrótce będzie mógł wyjść.

— Dzieciak już wyszedł. Niesamowite, prawda? — Blake przybliżył twarz do Kosinskiego. — Właśnie teraz, kiedy my sobie rozmawiamy, Billy Sowell leży na stole w kostnicy. Zdaniem władz jest kolejną ofiarą napastowania seksualnego, które po prostu przekroczyło pewną granicę. Zabito go ciosem w głowę, zadany za pomocą zwyczajnej cegły. Jak sądzisz, Kosinski, czy właśnie na tym polegał problem Billy'ego? Czy chodziło tylko o to, że był zbyt zwyczajny?

— Uspokój się, Marty — odparł Kosinski, starając się nadać swemu głosowi szczególnie miękkie brzmienie. Czynił tak zawsze, gdy przekazywał złą wiadomość rodzinie ofiary. — W zasadzie można się było tego spodziewać.

— Nie mów. Spodziewałeś się czegoś takiego?

— Wiedziałem, że coś musi nastąpić. Właśnie to przez cały czas chciałem ci uświadomić. Ludzie, którzy kryją się za tym — nie twierdzą oczywiście, że wiem, kim oni są — nie poddadzą się bez walki — westchnął Kosinski. Marty był rzeczywiście nieprzewidywalny. Do tej pory twierdził, że uwolnienie Billy'ego Sowella jest dla niego po prostu zwyczajną sprawą, a liczy się jedynie podpis Maxa Steinberga złożony na czeku.

— W takim razie powiedz mi wspaniały detektywie — zażądał Blake — skąd wiesz, że śmierć Sowella ma coś wspólnego z naszym śledztwem? — umilkł na moment, lecz po chwili kontynuował, nie czekając na odpowiedź Kosinskiego. — Właściwie to nieważne. Ktokolwiek wsadził Billy'ego do więzienia, jest również odpowiedzialny za jego śmierć, zgadza się?

— Nie ma najmniejszej wątpliwości — Kosinski opróżnił swoją szklanę, po czym skinął na barmana. — I bardzo dobrze, że to rozumiesz, ponieważ nigdy nie uda nam się dostać do tamtego więzienia, żeby dowiedzieć się, co się wydarzyło naprawdę.

— Właśnie to samo powiedziałem Maxowi, ale nie udało mi się go przekonać. Bell, jeszcze nigdy nie widziałem go tak wkurzonego. Myśli, że... — Blake przerwał niespodziewanie. — Dlaczego się głupio uśmiechasz?

— Uśmiechałem się? Przepraszam, nie zdawałem sobie sprawy. Mów dalej — Kosinski nie potrafiłby wytłumaczyć, dlaczego sprawiło mu niezwykłą

przyjemność, że Blake zwrócił się do niego po imieniu.

— Tak? No cóż, lepiej opanuj się i uważaj, Kosinski. Max Steinberg pała żądzą zemsty i chce, żebyśmy my dwaj pomogli mu, a istnieje tylko jedna metoda, by się zrewanżować — dokładnie to, przed czym mnie ostrzegalesz. Steinberg postanowił odnaleźć prawdziwego zabójcę Sondry Tillson.

— A ty, Marty? Czego właściwie chcesz?

Blake wzdrygnął się, słysząc pytanie. Właściwie nie zaskoczyło to Kosinskiego, który przyzwyczał się już, iż ludzie często nie potrafili odpowiedzieć nawet na najprostsze pytania dotyczące bezpośrednio ich samych. Wcale nie chodziło tu o jakąś nieuczciwość. Blake zwyczajnie nie dostrzegał pewnych sprzeczności.

— No cóż, wiesz...

— Ja nie wiem, Marty. Na dodatek ja — czy raczej my — nie mamy zbyt wiele czasu na zastanowienie. Musisz być za albo przeciw. Pamiętaj, skoro byli w stanie załatwić Billy'ego w więzieniu, dłaczegóż mieliby się zawahać przed zaatakowaniem kóregoś z nas?

— Skąd wiesz, że to oni zabili Sowellę? Może władze więzienne mają rację, twierdząc, że jest ofiarą napastowania seksualnego.

— Marty, jestem najzupełniej pewien, podobnie jak wtedy, gdy twierdziłem, iż makijaż na twarzy Billy'ego nie oznacza jeszcze, że jest homoseksualistą. Wystarczy tylko pomyśleć. Sowell był więzienną prostytutką, wartościowym towarem. Cudzą własność się kradnie, a nie niszczy. Powiedziałaś, że zabito go za pomocą cegły. Dlaczego miałoby stać się coś takiego? Opierał się? Walczył o swój honor?

— Może morderca jest zwykłym sadystą, może...

— Nie. Po pierwsze, sadysta zrobiliby to powoli, za pomocą kosa własnej produkcji kroiliby go kawałek po kawałeczku. To zaś było zwyczajne morderstwo. Po drugie, alfons Billy'ego musiał mieć wystarczającą krzepę, żeby ochronić swoją własność; w końcu przecież właśnie takie jest zadanie alfonsa, wszystko jedno na ulicy czy za kratkami. Nie twierdę, że opisany przez ciebie przebieg wydarzeń jest zupełnie niemożliwy. Uważam po prostu — a możesz mi wierzyć, ponieważ znam się na tym — że powinieneś bardzo dobrze się zastanowić, zanim podejmiesz decyzję. Powinieneś dokładnie wiedzieć, jakich oczekujesz rezultatów. Powinieneś wiedzieć, jakie skutki sprawa Sowellę wywoła w twoim własnym życiu.

Bell Kosinski z pewnością nie mylił się przynajmniej w jednym — Marty Blake znacznie przekroczył swój limit jednego drinka. Nie miał jednak racji sądząc, że to alkohol był odpowiedzialny za jego wściekłość. Ku swemu zdziwieniu Marty czuł narastającą w sobie złość już w trakcie rozmowy ze Steinbergiem, który przez telefon donosił mu o tym, co się wydarzyło. Kiedy wreszcie odłożył słuchawkę, gotów był uderzyć w twarz każdego, kto nawinąłby mu się pod rękę. W jego umyśle

pojawiły się wizerunki Rebeki Webber, Billy'ego Sowell, Joanny Bardo, Matthew Blake'a, Bella Kosinskiego.

Uczucie wściekłości nieskupione na konkretnym obiekcie, nie było Blake'owi obce. Pragnął kogoś zranić, dać się pobić, marzył o prawdziwej barowej bijatyce z latającymi butelkami, krzesłami, połamanymi stolikami. Z takiej bójki człowiek zawsze wychodził z ponadrywanymi uszami i podbitymi oczami — mniejsze urazy stanowiły wręcz uszczerbek na honorze. Jeśli choć trochę nie oberwał, oznaczało to, że stracił czas na niegodnego siebie przeciwnika. Zmiażdżenie pluskwy nie przynosiło chwały.

Blake nie zamierzał marnować czasu na wizytę w którymś z barów w sąsiedztwie jego domu w Kew Gardens. Szkocka nie była w stanie rozźłościć go jeszcze więcej, sprawiła natomiast, że stał się bardziej skłonny do samoanalizy. Obecnie, siedząc razem z Kosinskim w gabinecie Maxa Steinberga, o wiele trzeźwiejszy, lecz ani trochę spokojniejszy, brzydził się praktycznie wszystkim, co znajdowało się w zasięgu wzroku.

Kłown z końską mordą i pijak, pomyślał. Co ja tu robię, do cholery? Siedzę na krześle i gapię się na koszyk pełen pomalowanych tykw, wypłowiałych zwierzęcych czaszek, orlich piór. Za kogo, do cholery, on się uważa? Maxa Earpa? Rozmawiającego z Dzikim Bellem Hickokiem. A martwy Sowell to pewnie Billy the Kid. Cholera, aż mnie korci, żeby podejść do tamtego piaskowego malowidła i zdmuchnąć je niczym świece na urodzinowym torcie. Jeden podmuch, a potem wezwać sprzątaczkę z odkurzaczem. Ciekawe, co by ten kretyń powiedział.

Steinberg narzekał, że brak danych z Ministerstwa Sprawiedliwości.

— Powtarzają, że wciąż jeszcze prowadzą śledztwo. Reszta to nie moja sprawa. Powiadomili mnie tylko dlatego, że Billy nie posiadał żadnej rodziny i pragnęli dowiedzieć się, czy chce sfinansować pogrzeb chłopca, kiedy lekarz sądowy skończy już badać ciało. W przeciwnym wypadku zakopią go na cmentarzu dla niemających rodziny przestępców. Mówię ci, Bell, tak się wkurzyłem, że zadzwoniłem do znajomego reportera z *Newsday* i poprosiłem go, żeby napisał artykuł. Chciałem podać sprawę do publicznej wiadomości.

— A on ci odmówił, zgadza się? — Kosinski usadowiony wygodnie ze szklanceczką wódki w dłoni, zdawał się być całkowicie zadowolony z siebie.

— Tak. Martwy skazaniec o domniemywanej niewinności to jeszcze za mało na dobry temat. W ten sposób nie zdobędzie się nagrody Pulitzera. „Pokaż mi prawdziwego zabójcę”, powiedział. „A jeszcze lepiej upewnij się, że jest nim burmistrz, wtedy to dopiero będzie sensacja”.

— Więc co zamierzasz, Max? Znaleźć zabójcę?

— Zgadza się, do cholery. Steinberg nigdy się nie poddaje.

— A ty Marty, co chcesz zrobić?

— Co chcę zrobić? — skrzywił się Blake. — Chciałbym wetknąć sobie orle pióra we włosy i odstawić taniec wojenny.

- To nie wystarczy.
- No cóż, Kosinski, musi ci to wystarczyć, ponieważ to wszystko jeśli o mnie chodzi.

Kosinski skinął głową w zamyśleniu, po czym odwrócił się w stronę adwokata.

- Jak sądzisz, Max? Powinniśmy porozmawiać o naszej sprawie? — spytał były policjant.

2.

— Według mnie mamy tu do czynienia ze zwyczajną zbrodnią w afekcie — zaczął Kosinski. — Najpierw ona coś mówi; potem on, potem ona jeszcze raz swoje. Łup, łup, łup. Dwa ciosy, trzeci załatwia sprawę. Ostrze dosięga kości, wpierv jednak przecina żyłę i tętnicę szyjną, krtań, przełyk oraz tchawicę. Ona przewraca się, być może chwyta się za gardło, z całą pewnością wszystko dookoła obryzguje krew. Upada na plecy, a on zaczyna żałować. Żałuje tak bardzo, iż stara się naprawić jakoś swój uczynek. Rzuca się na kolana, chwyta za brzegi rany i próbuje złączyć je ze sobą niczym uzdrowiciel. To jednak, naturalnie, nie przywraca życia Sondrze Tillson, wręcz przeciwnie, powoduje zalenie płuc przez krew, której wystarczy, by utonęła, zanim się zdąży wykrwawić.

Kosinski przerwał, opróżnił szklanekę, zastanawiając się, czy zbyt nie koloryzuje. Następnie ponownie nalał whisky sobie, prawnikowi oraz Blake'owi mimo jego protestów.

— Teraz ogarnia go panika. Nie przywykł do zbrodni czy przemocy fizycznej. Nie należy do mafii, więc nie zna miejsca, gdzie pozbyłby się ciała. Nie może też tak po prostu wyjść, ponieważ zabił ją we własnym domu.

Zmywa podłogę, ściera większość krwi z ofiary, przebiera się, wynosi ją przez garaż i kładzie na tylnym siedzeniu należącego do niej samochodu. Wie tylko, że musi się jej pozbyć za wszelką cenę, zarówno dlatego, że zabił swoją ukochaną, jak i z uwagi na ogarniający go strach. I wiercie mi, on naprawdę ją kocha. Kocha zbyt mocno, by porzucić gdzieś w lesie czy na jakimś parkingu. Nie, zabójca przywozi ją na Manhattan i podejmując ogromne ryzyko, pozostawia zaledwie o dwie przecznice od mieszkania, które dzieliła ze swoim mężem. Zawozi ją do domu.

Steinberg kiwał głową w przód i w tył. Na jego ustach pojawił się nikły uśmiešek, błyszcząły mu oczy.

— Wybacz mi sceptycyzm, ale moim zdaniem, właśnie przez takie jednostronne potraktowanie zagadnienia do więzień trafiają niewinni ludzie. Przeczytałem akta sprawy od deski do deski i na ich podstawie potrafię ułożyć przynajmniej tuzin różnych scenariuszy. Ty natomiast faworyzujesz akurat ten, jakby był w czymkolwiek lepszy od innych.

— Max, to tylko roboczy opis — wtrącił się Blake. — Pamiętaj, że zadaniem Bella jest łapanie kryminalistów, twoim natomiast ratowanie ich przed stryczkiem.

Steinberg zareagował ostro, jego peruka gwałtownie skoczyła do przodu.

— O co ci chodzi, Marty? Nie podobają ci się obrońcy? Czy nienawidziłeś adwokatów również wówczas, gdy ważyły się losy twojego tyłka?

— Hej! Przestańcie się tak gorączkować — przyszedł z pomocą Kosinski. Spojrzał na Blake'a i pokiwał głową. — Max ma prawo wątpić w mój scenariusz, ponieważ nie ma go w aktach. Gdybym zamieścił w nich swoją własną teorię i okazałaby się błędna, jakiś obrońca, kolega Maxa Steinberga, załatwiłby mnie przez to na całego. Do akt trafiają jedynie fakty, teorie pozostawia się dla siebie.

— Więc prześledźmy wszystko jeszcze raz. Wiemy, że Sondra Tillson nie zginęła w samochodzie, ponieważ nie znaleziono w nim krwi, co wskazuje, że prawdopodobnie zamordowano ją w domku jednorodzinny. Jak w przeciwnym wypadku mógłby zanieść ciało do samochodu, pozostając niezauważonym? Nie sposób wyobrazić sobie, że ciągnął nagie ciało przez korytarz do windy. Niemożliwe również, by był w stanie posprzątać pokój hotelowy, więc to także nie wchodzi w rachubę.

Szyja Sondry Tillson była mocno posiniaczona. Na początku myślałem, że zabójca dusił ofiarę, potem jednak okazało się, iż zaistniałe urazy wykluczają próbę uduszenia. Sińce skupiały się na brzegach ran i były spowodowane prawdopodobnie jedynie koniuszkami palców. Widocznie sprawca próbował naprawić wyrządzoną krzywdę, z powrotem ją poskładać.

Wydaje się jednak, iż nie starał się zbyt mocno, ponieważ ciało zastygło dopiero na siedzeniu w samochodzie. Nie ubrał jej, a jedyne włókna znalezione na ciele ofiary pochodziły z jej własnego ubrania, co wskazuje na fakt, że w czasie drogi nie nakrywał zwłok prześcieradłem czy kocem. Nie musiał również przetransportować jej zbyt daleko. Lekarz sądowy znalazł na jej piętach zaledwie niewielkie ślady brudnego oleju silnikowego. Zabójca prawdopodobnie ciągnął zwłoki po garażowej podłodze.

Spróbujmy teraz podsumować — zabijają, próbuje ratować, nie może, kładzie ciało na tylnym siedzeniu zamiast w bagażniku. Panikuje, zastanawia się, co ma zrobić, gdzie pojechać, w jaki sposób się z tego wywinąć. Działa jak zwyczajny obywatel, który popełnił ogromny błąd. Potem jednak zachodzi coś niespodziewanego. Zamiast porzucić ciało na odludziu, gdzie nie odnaleziono by go do wiosny, zabójca odwozi swoją kochankę do domu. Pozostawiają w miejscu, gdzie z pewnością zostanie znaleziona, jeszcze nim rozpocznie się proces rozkładu. Jeśli chcecie, możecie powiedzieć, że to chore, proszę bardzo, ja jednak twierdzę, iż to wyraz miłości.

Steinberg wyprostował się i z entuzjazmem klasnął w rękę.

— Wspaniale, Bell, naprawdę wspaniale, ale posłuchaj tego. Zabójca prowadzi na Manhattanie jakiś interes. Zaprasza ślicznotkę na mały numer, jednak coś mu nie wychodzi i zabijają. Oczywiście, tak jak mówiliście, chce pozbyć się ciała, ma jednak jeszcze jeden problem. Samochód dziewczyny stoi zaparkowany przed siedzibą jego firmy. Dlatego robi to, co musi — na zakrwawione ubranie wkłada płaszcz, wpycha ją na tylne siedzenie jej własnego

samochoду i porzuca go wystarczająco blisko mieszkania ofiary, by rzucić podejrzenie na jej męża.

Bell Kosinski wzruszył ramionami.

— Chcesz umieścić ich w jakimś biurze, które na dodatek sąsiaduje z halą montażową, gdzie na podłodze można znaleźć olej. W porządku. Możesz posunąć się jeszcze o krok dalej i powiedzieć, że w chwili gdy padł śmiertelny cios, oboje byli nadzy. W ten sposób wyeliminujesz problem poplamionych krwią ubrań. Nie możesz jednak zaprzeczyć, iż ofiara знаła zabójcę, a on ją kochał. Nie obalisz twierdzenia, że gdybyśmy mieli do czynienia z bezwzględnym mordercą, zwłoki wylądowałyby w jakimś kanale. Powiedz mi, Max, w jaki sposób Grogan czy ktokolwiek inny zapoczątkował całą sprawę, jak zdobył nazwisko Billy'ego Sowella?

— Nie wiem — odparł Steinberg. — Mnie również to niepokoi.

— Marty, wiesz na czym polega problem? — Kosinski przeniósł wzrok na Blake'a. — Billy Sowell mieszkał w skrzyni na ulicy. Nie miał powiązań z żadną organizacją społeczną. Nie pobierał zasiłku, renty, kuponów żywnościowych. Skąd do cholery ktokolwiek wiedział o jego istnieniu i go wrobił?

— Bell, dlaczego nie zajmujemy się układaniem planu działania?

Głos Blake'a był beznamiętny. Skoro chce udawać całkowity brak zaangażowania, proszę bardzo, pomyślał Kosinski. W końcu i tak będzie musiał się odkryć, a wtedy...

— Hej, Bell, zasnąłeś? — odezwał się Steinberg.

Kosinski otworzył oczy i uśmiechnął się niewinnie.

— Zamyśliłem się — wyjaśnił. — Możecie to zwalić na wódę, ale ja zajmowałem się sprawą tylko przez parę dni, a potem wyjechałem na urlop. Razem z Tommym skrupulatnie przeszukaliśmy okolicę Gramercy Park, dwukrotnie rozmawialiśmy z mężem, przesłuchaliśmy tylu znajomych i przyjaciół, ilu tylko udało nam się zlokalizować. Sąsiedzi nic nie widzieli, nie licząc Melody Mitchell. Byłem jednak stuprocentowo pewny, że ona też nie była w stanie dokonać pozytywnej identyfikacji. Brannigan pokazał jej zdjęcia z kartoteki, ale twierdził, że stracił tylko czas.

Mąż, Johan, miał żelazne alibi. Kiedy zabijano jego żonę, znajdował się w samolocie, w połowie drogi między Sztokholmem a Manhattanem. Wraczał ze służbowego wyjazdu. Tillson Enterprises jest największym w kraju importerem skandynawskich mebli; Johan i Sondra wspólnie zarządzali firmą. Czekałem na niego na lotnisku, poinformowałem go o śmierci żony, starając się wyprowadzić go z równowagi. Chciałem zobaczyć, jak zareaguje, a on po prostu zemdłał. Zwyczajnie — rąbnął o podłogę niczym worek kartofli.

Zanim spotkałem się z nim po raz drugi, miałem już pewność, że Sondra Tillson nie zginęła z rąk zawodowca, lecz stała się ofiarą zbrodni pod wpływem impulsu. Tak więc zająłem się poszukiwaniem kochanka. „Jeśli pańska żona

puszczała się na prawo i lewo, muszę o tym wiedzieć”, powiedziałem Johanowi. Moje stwierdzenie zaskoczyło go i wiecie, co zrobił ten palant? Skłamał mi.

— Jesteś pewien? — zapytał stanowczo Steinberg. — A może to jedynie przypuszczenia?

— Jeśli chcesz, możesz to sobie nazwać przypuszczeniem. Sram na to. Sondra Tillson miała romans i Johan doskonale o tym wiedział. Podobnie jak jej przyjaciółki i krewni. Powiedzieć wam coś śmiesznego? Nikt — ani jedna osoba — nie przyznała się, że widziała ofiarę w ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin poprzedzających jej śmierć. Mówię ci Max, jeszcze kilka dni i zdobyłbym nazwisko kochanka, przycisnąłbym Johana Tillsona, lecz wtedy skierowali mnie na urlop i wyjechałem. Sądziłem, że dokończę sprawę po powrocie.

— Czy o czymś przypadkiem nie zapomniałeś? — spytał Blake. — Czy nie zapomniałeś o Groganie?

Kosinski próbował wzruszyć ramionami, wybuchnąć wściekłością, lecz nie zdołał. Wiedział, że Blake chciał uderzyć go w najczulszy punkt, zdawał sobie sprawę, że na to zasługuje.

— Tak — przyznał — jeszcze Grogan.

— Naprawdę — kontynuował Blake — wrabianie rozpoczęło się jeszcze *przed* twoim urlopem. Faktem jest, że pozwoliłeś wykończyć Sowella.

— Widzisz, Marty...

— Widzę? Co? Zwłoki Billy'ego Sowella? Powiniennem może sprawdzić szerokość jego dupy?

— Na miłość boską, Marty, nie jestem twoim przeklętym ojcem — w pierwszej chwili Kosinski pragnął cofnąć wypowiedziane słowa, potem jednak postanowił stawić czoło wszelkim dalszym atakom. Marty ani mrugnął, nie poruszył nawet jednym mięśniem. — Słuchaj, co się stało, to się nie odstanie. Wiesz, jak to jest? Kiedy byłem gliną, mówiłem jak glina. Teraz zmieniłem czapkę i nie ma sensu więcej o tym mówić.

— On ma rację — potwierdził Steinberg. — Powinińście zachować te bzdury dla swoich psychoanalityków. Obaj — stuknął palcem wskazującym o stół. — Liczy się tylko fakt, że to Max Steinberg regulować będzie wszystkie rachunki. Ja tu jestem kasjerem i nie zamierzam finansować dramatu psychologicznego. Pytanie brzmi, co zamierzamy zrobić w sprawie Billy'ego Sowella i Sondry Tillson?

— To aż dwa pytania — odezwał się Kosinski. — Zakładam się o całą swoją emeryturę, że facet, który zabił Sondrę Tillson, nie miał nic wspólnego z Sowellem.

3.

Blake przyglądał się swojemu nienapoczętemu drinkowi, jednym uchem słuchał toczącej się rozmowy, jednocześnie zastanawiając się nad upływem czasu. Nie był już zdenerwowany ani pijany. W jego sercu coś pękło. W przeszłości zdarzyło mu się to już kilkakrotnie — kiedy wyprowadził się z domu, by unikać ojca pijaka; kiedy Joanna Bardo przyjęła go do Manhattan Executive; kiedy porzucił pracownię komputerową, by przejść do pracy w terenie. Dotychczasowy przebieg wydarzeń odbierał jako coś nieuniknionego, po prostu tak się stało. Nic więcej jak tylko szereg przypadkowych zdarzeń, które wywoływały u niego określone reakcje.

Blake ponownie zaczął przysłuchiwać się trwającej dyskusji. Klócili się o cel przedsięwzięcia, czy powinni zadowolić się znalezieniem zabójcy Billy'ego Sowella, czy może również pomóc Sondrę Tillson.

— Przepraszam, że to mówię — nalegał Kosinski — ale nie ty oglądałaś ciało Sondry Tillson.

— Wielka mi sprawa — odparł adwokat. — Zwłok Billy'ego Sowella także nie widziałem. Chcesz pooglądać sobie trochę obrazków? Mam całą szafkę wypchaną zdjęciami z miejsc zbrodni. Mówię wam, gdy chodzi o morderstwo, czarno-białe są o wiele gorsze niż kolorowe.

Z zaczerwienionymi od alkoholu policzkami i błyszczącymi złośliwie oczami, Steinberg zwrócił się do Blake'a:

— A pan co o tym sądzi, panie Blake? Czy kiedykolwiek widziałeś zwłoki?

Marty uśmiechnął się, w myślach cofnął się do dnia pogrzebu ojca, wyobraził sobie, jak stoi nad otwartą trumną spoglądając na zamknięte oczy ojca.

— Zdaje się, że nie, Max. Nie powiem, żebym dostał tego zaszczytu.

— Cóż, nie masz czego żałować — włączył się Kosinski. Podniósł pustą butelkę po hennessy, zmarszczył brwi, po czym zerknął na Maxa Steinberga. — Chyba nadszedł czas, by wziąć się do roboty, zgadza się?

— Zgadza się — odparł Steinberg. — Czas najwyższy.

Kosinski odstawił butelkę na biurko i popatrzył na nietkniętą szklankę Blake'a.

— Powinniśmy zacząć od ludzi. Sondra Tillson zginęła, Billy Sowell został wrobiony. Oboje znajdują się w samym centrum, podobnie jak wszystkie ofiary. Wokół nich mamy męża — Johana, świadka — Melody Mitchell, pierwszego obrońcę Sowella, którego nie znamy nawet z nazwiska...

— David Ferretti — wtrącił się Steinberg. — Obecnie zajmuje się sporządzaniem testamentów. Na Brooklynie.

— Do tego szanowny John McGuire, który wydał wyrok, detektyw Tommy Brannigan, który prowadził śledztwo, kapitan Aloysius Grogan, który nagrał Branniganowi Sowella. O tych dwóch możemy zapomnieć, gdyż nie uda nam się

ich rozgryźć. Jeśli chodzi o adwokata Ferrettiego, możliwe, iż był zwyczajnym osłem i uważał, że ugoda, jaką załatwił Sowellowi, i tak przekraczała wszelkie oczekiwania. Podobnie rzecz się ma z Melody Mitchell. Gdyby zamierzali ją przekupić, nie zwracaliby sobie głowy żadną hipnozą, która mogła jedynie zaszkodzić. Tak więc, Johan Tillson wiedział, że Billy nie zabił jego żony. Czy pozwoliliby, żeby niewinny chłopak poszedł do więzienia, gdyby nie otrzymał czegoś w zamian? Wątpię, ale nawet jeżeli pozwolił zrobić Sowella tylko dlatego, że wstydził się przyznać, iż jego żona miała romans, to i tak wie, kim jest prawdziwy morderca. Nie ma natomiast cienia wątpliwości, że sumienie sędziego McGuire'a nie jest czyste. Doskonale wiedział, co się święci, mógł się sprzeciwić, a jednak przyznał oczy. To proste.

Steinberg powstrzymał Kosinskiego machnięciem ręki.

— W porządku, jak na razie nie trzeba być wielkim geniuszem. Mąż i sędzia. Co zamierzasz zrobić? Wymusić zeznania przemocą?

— Marty, twoja kolej — Kosinski nie będąc w stanie się opanować, sięgnął po szklanekę Blake'a.

— To niezbyt skomplikowane, Max y Blake popchnął szklaneczkę w stronę Kosinskiego. — W pierwszym tygodniu przeprowadzę dokładną inwigilację obu podejrzanych — konta bankowe i kredyty, akta prawne i hipoteki, zeznania podatkowe i tak dalej. Będę szukał czegokolwiek, co pomogłoby nam wywołać panikę. Przez ten czas Bell sprawdzi ich domy i biura, poszuka najłatwiejszych sposobów dostania się do środka, dowie się, kto ma alarm, żonę, psa. Następnym krokiem będzie założenie podsłuchów. Później Bell po kolei złoży im wizyty, rzuci im fakty prosto w twarz. Osobiście nie sądzę, żebyśmy mieli problemy z odnalezieniem winowajców. Pytanie brzmi — co zrobić ze zdobytymi dowodami? Ale to już twoja działka, Max. Musisz wykorzystać swoje powiązania z prasą.

Twarz Steinberga poczerwieniała. Jego oczy oraz usta zacisnęły się, nos zmarszczył. Przez moment Blake sądził, że prawnik się rozplacze, co wcale by go nie dziwiło. Łatwo jest odgrywać bohatera, pomyślał, gdy heroizm ogranicza się jedynie do napisania listu czy wypełnienia czeku.

— Czy wiesz, do ilu przestępstw mnie nakłaniasz? — spytał prawnik. — Federalnych i stanowych?

— Prawdę mówiąc, nie liczyłem. Próbowałem, ale zabrakło mi palców u rąk i nóg.

Kosinski zachichotał po cichu.

— Martin, nie bądź złośliwy — odezwał się. — Jest na to za wcześnie.

— A cóż to miało oznaczać? — zapytał stanowczo Steinberg.

— To znaczy, że nie zrezygnowałeś ze współpracy z nami. Jeszcze. Steinberg załamał ręce.

— Przez to, co proponujecie, mogą mnie wyrzucić ze stowarzyszenia prawników oraz wsadzić do więzienia. Musi istnieć jakiś inny sposób. Zgodny z prawem.

— Zawsze możemy o wszystkim zapomnieć — odrzekł Marty. — Przecież jesteś obrońcą. Całe życie poświęciłeś ratowaniu kryminalistów przed strykiem. Może zabójcę Sowellę powinieneś potraktować jako kolejne nacięcie na starej strzelbie.

— Tego już za wiele, Marty.

Blake zerknął na Kosinskiego, dostrzegł jego przymrużone oczy oraz grymas niezadowolenia na ustach.

— Tak, pewnie masz rację — przyznał.

— Widzisz, Max — odezwał się Kosinski — bez odznak nie mamy szans załatwić sprawy za pomocą legalnych środków. Nigdy nie zdobędziemy zezwolenia sądowego na założenie podsłuchu, nigdy nie pozwolą nam przeglądać danych dotyczących sytuacji finansowej obu podejrzanych. Albo załatwimy wszystko sposobem Martina, albo powinniśmy sobie darować. Jeśli chodzi o mnie, to choć jestem beznadziejnym pijakiem, nie lubię się poddawać.

— Max, pozwól, że coś wyjaśnię — wtrącił się Blake. — Ty zostaniesz czysty, masz tylko dostarczać pieniądze. Przynajmniej na początku. Ja i Bell zajmiemy się wszystkim. Gdy zdobędziemy dowody, wycofamy sprzęt. Dowcip polega jednak na tym, by dostać się do środka, a następnie ewakuować, zanim ktokolwiek zorientuje się, co się stało. Naturalnie to Bell będzie zadawać pytania i to jemu dobrać się do tyłka, jeżeli coś nam nie wyjdzie. Twoim zadaniem jest wybranie właściwego dziennikarza, upewnienie się, że zachowa w tajemnicy tożsamość swojego źródła informacji. Chodzi nam przecież o to, by zmusić gliny do wszczęcia śledztwa przeciwko innym glinom, a to tak jakby prosić polityków o mówienie prawdy.

Z zaciśniętymi ustami Steinberg odsunął krzesło od biurka, po czym przeszedł przez pokój w kierunku dębowej szafki z trzema szufladami. Otworzywszy najwyższą z nich, wy dobył pistolet automatyczny, kaliber 32.

— Dwa lub trzy lata temu — powiedział — miałem pewnego klienta. Prawdziwy szalenciec. Mówił do siebie, słyszał głosy, lecz był również całkiem bystry. Przebiegły to właściwie lepsze słowo. Przekonałem ławę przysięgłych, że mordując żonę i dwoje dzieci, nie był przy zdrowych zmysłach, co uratowało go przed wieloletnim wyrokiem — przynajmniej jeśli chodzi o więzienie. Jakoś nie udało mi się uzmysłwić mu, że orzeczenie ławy przysięgłych — „niewinny” — oznaczało, iż zamiast do więzienia pójdzie do wariatkowa. On uważał, że wyjdzie z sądu jako wolny człowiek. Kiedy zrozumiał, co go czeka, odbiło mu kompletnie i zagroził, że poderżnie mi gardło. Przyznaję, że kretyń naprawdę był przerażający, ale ponieważ już nieraz mi grożono, zignorowałem go. Zmieniłem zdanie dopiero, gdy w drodze do zakładu uciekł. Dwadzieścia cztery godziny później kupiłem ten pistolet i nosiłem go w kieszeni płaszcza; byłem pewien, że przyjdzie mnie załatwić, że w każdej chwili może rzucić się na mnie z siekierą. Jak się później okazało, udał się na północ i nigdy więcej nie zbliżył się do Manhattanu.

Nauczyło mnie to jednak, by nigdy przypadkiem nie przekraczać pewnych granic. Przestałem przyjmować od klientów zapłatę w gotówce, składałem w urzędzie podatkowym zeznania ze wszystkich swoich dochodów, nie namawiałem już więcej świadków do krzywoprzysięstwa. Postanowiłem, że nikt nigdy nie będzie na mnie polował — ani żaden obywatel, ani władze. A teraz chcecie, żebym ryzykował pójście do więzienia?

Steinberg zamilkł i przyjrzał się pistoletowi.

— Niezbyt groźna broń, to prawda. Piętnastoletni chłopcy z gangów nie chcieliby nawet na nią splunąć. Ale dla mnie nie ma większej różnicy — ucichł ponownie. — Widzicie, to się tylko łatwo mówi: „Sprawdzimy podejrzanych, założymy podsłuchy, zabierzemy sprzęt”. Jeśli odniesiemy sukces, nie będziemy się martwić. To oczywiste. Co jednak będzie, gdy poniesiemy klęskę? Jeśli złapią was na próbie włamania, znajdą pluskwy? Jak już wam powiedziałem, Steinberg nigdy się nie poddaje, ale nie oznacza to, że Steinberg jest idiotą. Marty, wspominałeś coś o pieniądzach. Jak dużo potrzebujesz i co zamierzasz z nimi zrobić?

Blake odebrał zadane pytanie jak rozkaz, zgodnie zresztą z jego rzeczywistym charakterem, dlatego odpowiedział spokojnie:

— Jakieś pięć, może dziesięć tysięcy. Informacje kosztują. To nie jest jak na filmach, gdzie dziesięcioletni chłopcy włamują się do dowolnych komputerów na całym świecie. Jeśli pragniesz się dostać na przykład do komputera urzędu podatkowego, musisz opłacić czas osoby, która posiada odpowiednie uprawnienia. A tak jak w każdej innej czarnorynkowej transakcji, nielegalny czas jest znacznie droższy od legalnego. Taka sama zasada obowiązuje w przypadku sprzętu. Będę musiał kupić go na czarnym rynku, ponieważ jeśli zrobię to legalnie, w razie wpadki numery seryjne zaprowadzą policję wprost pod moje drzwi.

— Wystarczy — Steinberg machnął pistoletem niczym dyrygent batutą. — Zrobimy tak. Po pierwsze, wypiszę czek na siedem i pół tysiąca dolarów. Po drugie, sporządzisz mi dokładne zestawienie wszystkich swoich wydatków, łącznie z dotychczasowymi. Po trzecie, obaj zajmiecie się swoimi zadaniami. Kiedy załatwicie sprawę i wszystkie pluskwy znajdą się z powrotem u was, wróćcie tutaj. Wtedy zapłacę wam za poświęcony czas, ocenię uzyskane materiały i postanowię, co będzie dalej — przerwał na moment, a po chwili uśmiechnął się. — A przy okazji, chłopcy, nie zapominajcie, że być może w tej sprawie odegram jakąś inną rolę niż tylko bankiera. Na przykład, gdybyście przypadkiem dali się aresztować, potrzebny wam będzie obrońca, a ja niewątpliwie jestem najlepszy.

4.

— Mam do rozwiązania ciekawą zagadkę — wyjaśniał Blake, kiedy razem z Kosinskim jechali do mieszczącego się w Soho biura Manhattan Executive. W innej porze roku ten kilometr po prostu przeszliby piechotą, lecz bezlitosne sierpniowe słońce sprawiło, iż każdy przemykał tylko z jednego klimatyzowanego pomieszczenia do drugiego. — Steinberg twierdzi, że o Billym Sowellu po raz pierwszy usłyszał od Joanny Bardo. Ciekawe kto powiedział o nim Joannie.

— Zdaje się, że jej nie ufasz.

Kosinski jak zwykle potrzebował się napić. Nie widział żadnego specjalnego powodu, by opierać się owej pokusie, prócz faktu, że choć obecnie samochód prowadził Marty, zapewne w końcu przyjdzie czas również na niego. Jeżeli więc kiedyś będzie musiał jeździć, to powinien ograniczyć nieco ilość wypijanego alkoholu, by nie pozabijać połowy nowojorskich pieszych.

W zasadzie nie miał pewności, czy byłby w stanie wytrzymać bez wódki, co było dosyć śmieszne, ponieważ ani chwili nie wątpił, iż uda mu się spełnić oczekiwania przyjaciół. Kosinski zaczął już dochodzić do wniosku, iż jego praca z Martinem być może nie jest jedynie tymczasowym układem. Może to dopiero początek dłuższej współpracy, pod warunkiem, że wszystkiego nie spieprzy — nie da się zabić lub nie zmasakruje grupki przedszkolaków stojącej na przystanku autobusowym.

— Życie nie rozpieszczało Joanny. Kiedy miała siedem lat, umarła jej matka, zostawiając jej wychowanie trzech młodszych sióstr. Musiała jeszcze znosić ojca, który lubił robić użytek z pięści. Teraz w końcu do czegoś doszła i dlatego sędzę, że prawdopodobnie prędzej poświęciłaby mnie niż Manhattan Executive.

— Prawdopodobnie?

— Nie mogę mieć stuprocentowej pewności, Bell. Może wpadła na trop zupełnie przypadkowo. Wtedy byłoby to obojętne.

Kosinski przytaknął, zamknął oczy i pozwolił swojej głowie opaść do tyłu. Przypomniawszy sobie pierwsze dni pracy w wydziale zabójstw oraz zasadę czterdziestu ośmiu godzin. Mówiła ona, że jeśli w ciągu tego czasu nie uda ci się rozwiązać sprawy, prawdopodobnie już nigdy tego nie dokonasz. W praktyce oznaczało to, że należało wyrobić w sobie prawdziwie wilczy instynkt. Nie można było działać powoli, nastawiać się na długie śledztwo, myśleć o jedzeniu czy odpoczynku. Należało natychmiast przesłuchać ewentualnych świadków, podążać za każdym tropem z uporem maniaka, nieustannie zawęzać krąg podejrzanych, niejednokrotnie myśląc się całkowicie.

Kosinski dostrzegł, iż większość spośród powyższych warunków zupełnie nie przystawała do sprawy ciągnącej się już ponad dwa lata. Niemniej jednak zapach krwi zawsze pozostawał zapachem krwi, a dla wygłodniałego wilka nie liczyło się nic innego. Przypomniła mu się jego pierwsza wakacyjna praca — sprzątanie małego, rojącego się od szcurków magazynu we Flushing. Właściciel kupił wtedy trzy młode foksteriery i w ciągu dnia trzymał je zawsze wewnątrz magazynu. Od czasu do czasu otwierał drzwi i wrzucał im martwego lub zdychającego szczura. „Żeby wiedziały, co mają robić”, mawiał. Sześć miesięcy później w pomieszczeniu nie pozostał ani jeden gryzoń.

— Kosinski, jesteś tu jeszcze?

— Tak, rozmyślałem właśnie o tym, co przed chwilą mówiłeś. Dlaczego musisz cokolwiek przekazywać Joannie Bardo? Sądziłem, że prowadzisz własną firmę.

Blake uśmiechnął się, po czym odwrócił głowę w stronę Kosinskiego. Znajdowali się na Greene Street, nie opodal Spring, stali na czerwonym świetle.

— Bell, czy zawsze pracowałeś z partnerem?

— Prawie zawsze.

— No cóż, ja *nigdy* nie miałem partnera, więc musisz dać mi trochę czasu na przyzwyczajenie się. Uważam, że sugestia Steinberga, żeby zbadać męża ofiary oraz sędziego, który nie podważył przyznania się Sowella do winy, jest całkiem sensowna. Zdaniem Maxa John McGuire był prawdziwym liberałem, a jednak sprzeniewierzył się swoim zasadom, zezwalając na wsadzenie Billy'ego za kratki. Może uda się nam zaapelować do jego sumienia, użyć go jako dodatkowego atutu. Oczywiście wpierv musimy mieć jakiś punkt wyjścia. Jeśli chodzi o Johana Tillsona, biorąc pod uwagę twoje słowa, z pewnością wie, że Billy Sowell nie zabił jego żony. Dlaczego więc przez wszystkie te lata milczał? Dlaczego nie chciał rozmawiać z Maxem Steinbergiem? Wierz mi, Bell, jeżeli pieniądze przechodziły z rąk do rąk, na pewno dowiem się o tym.

Kosinski zdobył się na uśmiech, wyjrzał przez okno na prawie bezludne ulice. Słyszał szum pracujących klimatyzatorów, czuł ciepło unoszące się ponad chodnikami. Był taki czas, że patrolował podobne ulice — zlany potem, żywiący nadzieję, iż nie przyjdzie mu ganiać po podwórkach jakiegoś piętnastolatka.

— Czy rzeczywiście sądzisz, że trzeba będzie posunąć się aż tak daleko? Konta w bankach na Karaibach? To dla mnie za dużo.

Blake patrzył przed siebie; kiedy odezwał się, jego głos nie zdradzał żadnych uczuć.

— Prawdopodobnie masz rację, lecz powinniśmy podążać za każdym śladem, bez względu na to, dokąd nas zaprowadzi. Nie szukamy przecież jakiegoś zwykłego rzezimieszka. Najważniejsze by dopóki nie zabierzemy z powrotem sprzętu, utrzymać nasze poczynania w tajemnicy. Sposób inwigilacji, jakim zamierzamy się

posłużyć, jest łatwy do wykrycia, jeśli się go akurat szuka. Jest również nielegalny, ale jeżeli uda nam się wycofać sprzęt, zanim ktokolwiek się zorientuje, stanie się przestępstwem prawie niemożliwym do udowodnienia. A przy okazji, może powinieneś złożyć podanie o licencję prywatnego detektywa. Razem z policyjną legitymacją znacznie podniosłaby twoją wiarygodność.

— No cóż, prawdę mówiąc... — ku swemu zdumieniu Kosinski zaczerwienił się, jednocześnie próbując uzmysłowić sobie, kiedy po raz ostatni czuł się zawstydzony. — Prawdę mówiąc, już to zrobiłem — przyznał.

— Nie żyje? Tak po prostu? — Joanna Bardo przycupnęła na brzegu krzesła niczym drapieżny ptak wypatrujący myszy. — Niektórzy ludzie mają w życiu prawdziwego pecha. Zapewne zabrzmiało to trochę gruboskórnie.

— Tak, „gruboskórnie” to właściwe słowo — odparł łagodnie Blake.

— Ale to prawda, zgadza się? Czy tobie tak się nie wydaje? — jej okrągłe oczy rozszerzyły się, a na małych ustach pojawił się grymas. W jakiś niezwykle sposób potrafiła jednocześnie wyglądać na obrażoną i oburzoną. — To jedyna rzecz, jakiej zawsze pragnęłam uniknąć. Wolałabym zginąć, niż stać się ofiarą losu. Billy Sowell w zasadzie nie miał własnego prawdziwego życia. Prowadzono go niczym psa na smyczy. Zapewne nie można winić psa za to, że jego pan jest sadystą, ale skoro pies nigdy nie próbuje się odgryźć? Nigdy nie warczy i nie szczeka?

— Billy Sowell nie miał zębów, żeby móc gryźć. Już na samym początku pozabawiono go kłów — Blake uśmiechnął się, a następnie machnął ręką. — W każdym razie jest już po wszystkim. Muszę jeszcze załatwić parę drobnostek — adwokat chce uzyskać dla Billy'ego pośmiertną rehabilitację — niemniej jednak znowu poszukuję pracy, więc jeśli coś by się znalazło...

Joanna złożyła ręce i oparła je na biurku. Zdaniem Kosinskiego wyglądała jak prawdziwa kobieta interesu. Zdawało się, że kiedy skończyli rozmawiać na temat Sowella, odetchnęła z ulgą. Blake nie spieszył się, jak zawsze traktował sprawę z sarkazmem oraz pewną obojętnością wobec Sowella jako istoty ludzkiej.

— Prawdę mówiąc — powiedziała Joanna — mam pewną małą robotkę, jeśli ją zechcesz wziąć. Wiceprezes firmy Bower i Bower uważa, że jest oszukiwany przez żonę. Poprosił mnie, żebym przez jakiś tydzień miała na nią oko, a następnie przygotowała szczegółowy raport. Nie chodzi mu o rozwód, więc nagrania wideo ani zdjęcia nie będą potrzebne; chce po prostu wiedzieć, czym zajmuje się jego żona. To właściwie pestka, ale nasz klient jest bardzo bogaty i zgadza się na płacenie dziennej stawki jak za standardową inwigilację. Upewnij się tylko, że zatrudnisz porządnego obserwatora, ponieważ klient ma sześćdziesiąt dziewięć lat, a jego żona sześćdziesiąt siedem. Być może mamy tu do czynienia z przedwczesnym uwiądaniem starczym.

— Po Maxie Steinbergu — zażartował Blake — nie zaszkodzi mi odrobina starczego uwiądania.

— To tylko pozory — stwierdziła Joanna. — Steinberg doskonale wie, co robi. Przez całe życie wyciągał swoich klientów nawet z najgorszych sytuacji. To znaczy, jeśli się weźmie pod uwagę jego wygląd. Pewnie dlatego zaczął urządzić te swoje krucjaty.

— Ale dlaczego Billy Sowell? — potrząsnął głową Blake. — To jedyne pytanie, które zapomniałem mu zadać.

— No cóż, to dosyć proste. Jak zapewne wiesz, jestem członkinią wielu organizacji charytatywnych. Oczywiście chodzi mi tylko o interesy. W zarządach tych organizacji jest pełno potencjalnych klientów, z którymi mogę nieformalnie porozmawiać podczas dorocznych przyjęć dobroczynnych. Tak się złożyło, że wielbny Abner Squires wygłaszał przemówienie na spotkaniu Osmond Society, które zajmuje się reformą więziennictwa, i to właśnie on opowiedział mi, co przytrafiło się Sowellowi. Squires jest protestanckim kapłanem w Zakładzie Karnym Columbia. Wcześniej zaś poznałam Steinberga i wiedziałam o jego krucjacie na rzecz niewinnych, więc pomogłam im obu. Przysługa za przysługę — taki miałam motyw.

Bell Kosinski wpatrywał się w swojego świeżo nalanego drinka i przysłuchiwał się trzaskom pękających kostek lodu. W pewnym sensie oczekiwanie sprawiało tyle samo przyjemności, co rzeczywiste picie. Kiedyś alkohol pomagał mu pozbyć się dokuczliwych myśli, teraz pił, żeby w ogóle móc myśleć. Pociągnął łyk wódki, poczuł, jak coś wewnątrz jego czaszki otwiera się, wreszcie opróżnił szklanekę do końca.

— Nie ma jak terazniejszość — mruknął.

— Słucham?

Była już prawie piąta, a Kosinski, regularny bywalec baru Cryders, nadal pozostawał trzeźwy. Ksiądz Tim, na przykład, nie odczuwał już żadnego bólu.

— Nie ma jak terazniejszość — powtórzył Kosinski.

Popatrzył na Eda O'Leary'ego wrzucającego kostkę lodu, a następnie napelniającego jego szklanekę.

— Zaczynasz udziwniać — odezwał się barman. — Chodzi mi o ten lód i w ogóle. Wkrótce poprosisz mnie o oliwkę.

— Mam okazję do świętowania.

— Tak? — skrzywił się złośliwie O'Leary, przechylając głowę na bok. — Ciekawe, nie wiedziałem, że masz coś do uczczenia.

— Świętuję nadchodzący koniec — Kosinski uniósł szklaneczkę. — Ostatni drink tego wieczoru.

Barman otworzył usta ze zdziwienia.

— Mam nadzieję, że nie zamierzasz popełnić jakiegoś głupstwa — na przykład zostać abstynentem. Cholera, Bell, nie stać mnie na utratę takiego klienta.

— No cóż, nie chodzi mi o całkowitą abstynencję, ale może będę zmuszony posiedzieć przez jakiś czas za kółkiem — przetrwanie tej informacji zajęło O’Leary’emu parę chwil. Zamierzał już coś powiedzieć, lecz zrezygnował i odszedł.

— Ed jest człowiekiem interesu — odezwał się ksiądz Tim. — Rządzi nim prądo zysków i strat.

— Nie, księżo Timie, jego prześladowają zyski i straty — Kosinski posmakował zawartość szklaneczki. Jeszcze jedna kolejka, a potem do łóżka? Nie wydawało się to możliwe. — Ed lubi się martwić na zapas.

— Wartościowe spostrzeżenie — ksiądz Tim pociągnął za wiszący na jego szyi krzyż — całkowicie zasłużone. A o co chodzi z tą abstynencją?

— Nic wielkiego. Muszę prowadzić samochód i nie mogę robić tego po pijanemu.

— I uważasz, że potrafisz zrobić to na trzeźwo?

— Czas pokaże — Kosinski rozejrzał się dookoła, dostrzegając obdrapane, poplamione ściany oraz kurz pokrywający każdą niezagospodarowaną powierzchnię. Wiedział, że wystarczyłoby jeszcze kilka kolejek, a Cryders przeszłoby cudowną transformację. Bar nabrałby cech, jakie większości ludzi kojarzą się z domem, stałby się niezwykle przyjemny.

— Księżo Timie, czy mogę zadać teologiczne pytanie?

— Oczywiście — twarz księdza pojaśniała. — Nie twierdzą, że jestem Tomaszem z Akwinu, ale postaram się udzielić ci jak najlepszej odpowiedzi.

— Samobójstwo jest grzechem śmiertelnym, zgadza się?

— Masz rację. Odbieranie życia nie leży w gestii człowieka. Za wyjątkiem obrony własnej lub na wojnie. Albo jeśli przypiekasz jakiegoś parszywego mordercę.

— Ale samobójstwo nigdy, prawda?

— Nigdy. Przynajmniej nie w kościele katolickim.

— Dobrze, przypuśćmy jednak, że postanawiam przez każdą ulicę przechodzić bez rozglądania się. Nie dbam o to, czy jest zielone, czy może czerwone światło; nie dbam o ruch uliczny. Kiedy dochodzę do skrzyżowania, po prostu nie zatrzymuję się. Czy to również jest samobójstwo?

Ksiądz Tim uśmiechnął się.

— Bell — odpowiedział — nie musisz się tym zbytnio przejmować. Nawet gdyby to rzeczywiście było samobójstwo, prawdziwi szaleńcy zawsze uzyskują przebaczenie. Kiedy spotkasz się ze świętym Piotrem, po prostu powiedz, że jesteś niepełna rozumu.

5.

Marty Blake zatrzymał swojego forda taurusa na parkingu przy Liberty Avenue, na wprost Eternal Memorials Incorporated, lecz zamiast zgasić silnik, ustawił klimatyzację na maksimum i wygodnie się oparł. W przeszłości wielokrotnie odwiedzał Eternal Memorials, zarówno(w zimie, jak i w lecie, i zawsze siedziba firmy wydawała mu się szczególna, kpiąca ze zmian pogody czy otaczających ją zewsząd slumsów. Być może wyróżniały ją granity, marmurowe posadzki, posągi przedstawiające aniołów, szare krzyże, motywy roślinne. Miejsce to miało w sobie coś równie wiecznego jak sama jego nazwa.

Ostatnia szansa, pomyślał Blake, ostatnia szansa, by się rozmyślić. Zwrócić Steinbergowi pieniądze i zająć się przedstawioną mu przez Joannę sprawą cudzołóżnicy. Do licha, to nawet mogłoby być całkiem ciekawe. Może ta sześćdziesięciosiedmioletnia żona przedsiębiorcy ukrywa w mieszkaniu trójkę kulturystów? Może jest członkinią jakiegoś gangu?

Najgorsza była świadomość, że naraża życie Bella Kosinskiego. Jego własna kariera nie liczyła się. Szanse na uniknięcie kłopotów z policją zależały głównie od tego, czy Blake zdoła się nie ujawnić. Kosinski nie przesadzał, mówiąc o grożącym im niebezpieczeństwie. Ten, kto poświęcił życie Billy'ego Sowell dla dobra prawdziwego zabójcy Sondry Tillson, nie zawaha się przed kolejnym zabójstwem. Ktokolwiek kryje się za tym, nie ma nic do stracenia.

Najważniejsze pytanie, zastanawiał się dalej, padło z ust Kosinskiego: „Jakich korzyści spodziewa się Marty Blake?”. Pewnie, Billy'emu Sowellowi odebrano życie, jeśli w ogóle można to nazwać życiem. Ale gdy się człowiek rozejrzy i zobaczy ogrom wyrządzanych wokół krzywd, życie i śmierć Billy'ego Sowell wydadzą się jedynie błahostką.

Marty Blake nie zajmował się dotąd ściganiem przestępców, wykrywał jedynie fakty. Teraz jednak zdał sobie sprawę, iż okrucieństwo jego przeciwnika było równie ważne jak cała reszta. Przypomniał mu się film, w którym młody wojownik z plemienia Masajów udowadniał swoją męskość, stawiając czoło lwu uzbrojony tylko we włócznię. Po jego twarzy było widać, że umiera ze strachu, ale wykonał zadanie i przeżył. Już po wszystkim stanął przed kamerą i z dumą prezentował skórę zabitej bestii oraz cztery równoległe blizny biegnące w poprzek klatki piersiowej.

Blake szybko przebiegł przez ulicę, pragnął jak najszybciej znaleźć się w klimatyzowanym pomieszczeniu. Miał na sobie swoją najlepszą, białą marynarkę oraz ciemnoszarą jedwabną koszulę, których w żadnym wypadku nie chciał zapociec.

— Czym mogę panu służyć?

Szary mężczyzna w szarym, trzyczęściowym garniturze idealnie pasował do wystroju wnętrza. Nazywał się Regis Dodd i był dokładnie tym, na kogo wyglądał. Jak Blake zdążył się z czasem dowiedzieć, rzeczywiście sprzedawał płyty nagrobkowe. Nie brał udziału w drugim rodzaju usług zapewnianych przez Eternal Memorials.

— Nie pamiętasz mnie?

— Słucham? Czy my się znamy? — sprzedawca pochylił się i przez moment przyglądał się Blake'owi. — Ach tak, pan Blake. Miło pana znowu widzieć. Dawno pana u nas nie było. Chyba nie przyszedł pan w sprawie nagrobka?

Blake potrząsnął głową.

— Przykro mi, że muszę cię rozczarować, Regis, ale moja ukochana cieszy się jeszcze doskonałym zdrowiem. Może innym razem.

— Rozumiem — wyraz twarzy Regisa Dodda nigdy się nie zmieniał. Jego niedokrwniona, biała skóra pasowała do przywiedłych ust oraz bladych, szklistych oczu. Wyglądał jak żywy trup. — Pan Patel znajduje się tam, gdzie zwykle. Przejdźcie przez warsztat. Zakładam, że jest pan umówiony.

— Dobrze zakładasz.

Przechodząc przez magazyn Eternal Memorials, Blake szybko przygotował się psychicznie na spotkanie z wielkim człowiekiem. Prawdziwym geniuszem. Na temat Gurpreeta Patela krążyła pewna plotka, która była już na tyle stara, iż zdążyła nabrać cech prawdy. Według niej Patel zdołał przetrwać tak długo, ponieważ CIA, FBI, Departament Stanu, Departament Sprawiedliwości korzystały z jego usług przy wykonywaniu operacji zbyt nielegalnych, aby mogły posłużyć się własnymi komputerami. W zamian za współpracę i dyskrecję, ochraniały go i udostępniały niemal wszelkie informacje.

Blake nie wiedział, ile w tym było prawdy i świadomie unikał jakichkolwiek osądów, gdyż i tak nie istniał sposób na uzyskanie stuprocentowej pewności. Niewątpliwie jednak nikt (a przynajmniej nikt ze znajomych Blake'a) nie potrafił zdobyć dowolnych informacji równie szybko jak Gurpreet Patel. Nie posługiwał się on zwykłymi liniami telefonicznymi dostępnymi dla wszystkich hackerów; twierdził, że w każdej chwili mógł podłączyć się do specjalnych sieci udostępnianych przez firmy telekomunikacyjne na usługi przemysłowych gigantów oraz agencji rządowych. Ponadto znał rzekomo kody dostępu do wszystkich większych baz danych na całej zachodniej półkuli oraz do pokaźnej części baz dalekowschodnich.

Naturalnie, zdaniem Blake'a, w pewnym stopniu były to jedynie przechwałki. Mimo wszystko Gurpreet Patel nigdy jeszcze go nie zawiódł. Oczywiście jeśli w ogóle przyjął zlecenie. W przypadku Gurpreeta Patela stanowiło to oddzielny problem, który zawsze należało mieć na uwadze. Wyznawał on bowiem specyficzną etykę zawodową. Odrzucał tyle samo zleceń, ile przyjmował i nie sposób było przewidzieć jego reakcji. Pozostawało jedynie podlizywać się,

podawać szczegóły i z nadzieją oczekiwać na odpowiedź. Blake wziął głęboki oddech i zapukał.

— Tak? — pojedyncza sylaba zabrzmiała głośno i czysto nawet przez zamknięte drzwi.

— To ja, Gulp, Marty Blake.

— Podaj, proszę, hasło.

Blake sięgnął dłonią w kierunku klamki, lecz cofnął ją, gdyż wiedział, że drzwi są zamknięte. Jeszcze raz głęboko odetchnął żalując, iż nie wybrał drugiej możliwości i nie skorzystał z usług Vinniego Cappolino, łowcy głów pracującego dawniej dla Joanny. Vinnie posiadał liczne kontakty, lecz brakowało mu cierpliwości oraz subtelności niezbędnych w przypadku sprawdzania transakcji finansowych.

— Nie przyszedłem po nagrobek — krzyknął. — Potrzebuję całego cholernego mauzoleum.

Bzzzzzzzzzz. Drzwi otworzyły się i Blake wszedł do sanktuarium Gurpreeta Patela. Wszystkie cztery ściany pozbawionego okien pomieszczenia pokryte były malowidłem przedstawiającym miasto po atomowym holokauście. Artysta, zgodnie z życzeniem Patela, namalował wszystko tak, jakby pokój znajdował się dokładnie w centrum miasta. Z niezliczonych pożarów ku niebu unosił się dym; z popękanych rur tryskała woda; na ulicach leżały zwęglone zwłoki. Na suficie widniały obłoczki unoszące się ponad tuzinem sępów krążących po błękitnym niebie. Podłogę pokrywała przypominająca trawę, zielona wykładzina, a na środku pokoju stało wielkie biurko z czarnego marmuru.

— Marty Blake, witaj. Szklaneczkę śliwkowego wina?

Gurpreet Patel był tak stary, iż wydawał się wieczny. Jego długie, śnieżnobiałe włosy okalały gęstą, równie białą brodę. Ponad zarostem na czole i policzkach można było dostrzec mahoniową skórę oraz wielkie ciemne oczy.

— Nie Gulp, dziękuję za wino. Pracuję.

— Więc może kawy z ekspresu? Naturalnie świeżej.

— Dobrze, poproszę kawę — Blake popatrzył w ślad za Patelem znikającym w drzwiach tak doskonale wkomponowanych w wystrój wnętrza, że były niezauważalne, dopóki się ich nie otworzyło. Należący do Patela IBM R/6000, pięćdziesiąt tysięcy zainwestowane w pamięć oraz moc obliczeniową, stał przy ścianie na stoliku. Blake nie miał okazji popracować na równie potężnej maszynie od skończenia college'u, dlatego widząc ją odczuwał specyficzną zazdrość.

— Widzisz? Nie trwało to wcale długo — Patel pojawił się w drzwiach, niosąc tacę z dwiema maleńkimi filiżankami na spodeczkach, równie małą cukiernicą oraz parującym dzbankiem.

— Nie powinno, bo widziałeś mnie, jeszcze zanim tu wszedłem. Zainstalowane kamery wideo ukazują ci każdy centymetr tego budynku.

Patel zmarszczył brwi.

— Zauważyłeś je?

— Nie musiałem. Bywałem tu niegdyś wystarczająco często, by poznać twój charakter.

— Ha! Cholernie dobrze powiedziane, Martinie Blake'u — Patel nappełnił obie filiżanki, bez pytania dodając cukru. — Wypijmy za sukces naszego przedsięwzięcia.

Blake napił się, a następnie uśmiechnął.

— Sukces mojego przedsięwzięcia zależy od ciebie, Gurp.

— Przykro mi to słyszeć, Marty. Nie powinieneś wkładać wszystkich jajek do jednego koszyka.

Blake zamierzał poprawić emigranta z Indii, lecz dostrzegłszy uśmiech na jego twarzy, rozmyślił się.

— Nie chodzi mi o informacje, Gurp. Sam mógłbym je zdobyć, lecz zajęłoby mi to ze trzy miesiące.

— *Ars longa, vita brevis*, jak to mawiają.

— „Życie jest krótkie, sztuka długa” — przetłumaczył posłusznie Blake. — Podsumowanie ludzkiej egzystencji w wydaniu Hipokratesa.

— Tak więc, zgodnie z tą niewątpliwą prawdą, powinniśmy natychmiast zabrać się do pracy. Opowiedz mi, proszę, swoją historię.

Blake nie spieszył się, szczegółowo opisując życie i losy Billy'ego Sowell, zanim przedstawił swoje zamiary. Patel słuchał uważnie, kilkakrotnie marszczył brwi i wreszcie chrząknął, kiedy Blake wspomniał o śmierci Sowell.

— Podłość — odezwał się, kiedy Marty zamilkł. — Wiesz co, Blake? Nigdy dotąd nie pracowałem nad morderstwem. Wręcz nie mogę się już doczekać i dlatego odpowiednio obniżę moje honorarium. Policzę tylko dziesięć tysięcy dolarów.

— Trzy.

— Niebawem — oczy Patela rozszerzyły się i błysnęły złowrogo. — Obrażasz mnie tą swoją cholerną, zachodnią arogancją. Prawdę mówiąc, niezbyt mądrze robisz.

— Przecież to łatwe zadanie — odparł Blake, nie zrażając się. — Na twoim komputerze wszystko zajęłoby mi zaledwie kilka godzin, oczywiście gdybym znał kody.

Patel przez moment spoglądał ze złością, po czym jego mina stała się nieco mniej surowa.

— No cóż, rzeczywiście nie jest to takie trudne. Przekazanie łapówek musiało nastąpić niedługo po morderstwie, co ogranicza zasięg poszukiwań. Niemniej jednak jeżeli posłużono się czymś innym niż pieniędzmi, możemy się nieźle namęczyć, zanim zdołamy cokolwiek znaleźć. Wykonam zlecenie za dziewięć tysięcy.

— Gulp, czy kiedykolwiek targowałem się z tobą?
— Tak, Marty. Targowałeś się za każdym razem. I to bezlitośnie.
— Ale zawsze tylko dla zabawy — Blake pociągnął łyk kawy, delektując się jej goryczą. — Tym razem jest jednak zupełnie inaczej. Nie ma bogatej korporacji, która wyłożyłaby forszę, a ja przez rok nie pracowałem, więc jestem całkowicie splukany. Wszystkie pieniądze pochodzą od adwokata, a jego kieszenie też nie są bez dna. Wierz mi, Gulp, sprawdziłem dokładnie. Konto Maxa Steinberga wygląda znacznie gorzej niż Saddama Hussejna.

— Osiem tysięcy i zrobię to jak przystało na prawdziwego skauta, dla dobrego uczynku.

— Za dobre uczynki nie bierze się pieniędzy.

— Proszę, Marty. Nie należę do kultury judeochrześcijańskiej, więc nie zwracaj mi głowy waszą etyką.

Blake odchylił się do tyłu na krześle, splatając palce rąk na karku.

— Gulp, weź trzy tysiące. O reszcie porozmawiamy już po poszukiwaniach.

— A jeśli nic nie znajdę? Czy wtedy przyjdiesz i spłacisz dług?

— Wiesz, że tak. Będę musiał, ponieważ w przeciwnym razie zadrę z tobą, a ja nie mogę sobie na to pozwolić.

Patel zastanowił się przez chwilę, po czym skinął głową.

— Dobra, w porządku. Zrobię to specjalnie dla ciebie. Trzy tysiące potraktuję jako zaliczkę. Powiedziałeś mi, że przez rok nie pracowałeś. Chyba miałeś cholernie ważny powód, ponieważ obaj doskonale wiemy, że jesteś uzależniony od działania. Przyniosę ciasteczka i o wszystkim mi opowiesz.

6.

Maszyneria ruszyła — to była dobra wiadomość. Gurp Patel zaglądał pod podszewkę życia finansowego Johna McGuire'a, sędziego sądu apelacyjnego, oraz Johana Tillsona, pogrążonego w żałobie męża ofiary. Kosinski, podobnie jak Patel, z zaangażowaniem wykonywał swoje zadanie w terenie, przygotowując część drugą operacji. Dotychczas wszystko przebiegało zgodnie z planem.

Problem polegał na tym, że dopóki Patel nie zakończy swoich poszukiwań, Blake'owi nie pozostawało nic, jak tylko siedzieć z założonymi rękoma i czekać, co samo w sobie było praktycznie niemożliwe. Jak Patel o nim powiedział? Że jest uzależniony od działania? Siedząc samotnie w swoim mieszkaniu, pomyślał o Rebecce Webber, lecz szybko doszedł do wniosku, iż jedyna część jego osoby, jaka tęskni do niej, kryje się pod slipami. Źle. W pewnym sensie czułby się o wiele szczęśliwszy, gdyby wspomnienia nie dawały mu spokoju.

Jutro pójdzie pobiegać, odwiedzi siłownię i będzie ćwiczył do upadłego. Wieczorem będzie przechadzać się po pokoju, żałując, że to nie on siedzi przy komputerze Gurpa Patela. Do końca tygodnia będzie bliski szaleństwa.

Przymus — zdaje się, że tak nazywają to psychiatrzy. Przez cały czas muszą działać, nawet jeśli oznacza to podejmowanie zbędnego ryzyka. Lepszą nazwą byłby syndrom niespokojnego umysłu. Gdyby nam się udało namierzyć zabójcę, osobę, która wrobiła Sowella — wszystko jedno jak go nazwać — zanim zdobędziemy coś na temat McGuire'a czy Tillsona... Gdybyśmy zdołali założyć podsłuch na jego telefon, zobaczyć, dokąd najpierw zadzwoni...

Blake zdjął z siebie spodenki sportowe, włożył slipy oraz świeżo wyprane spodnie. Przez chwilę zastanawiał się nad czterema tysiącami pięciuset dolarami, które mu jeszcze pozostały z pieniędzy Steinberga. Wykorzysta je na zakup sprzętu niezbędnego do podsłuchu, ponieważ tak naprawdę (o czym nie raczył poinformować Bella Kosinskiego ani Maxa Steinberga) nie posiadał własnego wyposażenia, a nie mógłby pożyczyć go z Manhattan Executive, nie zwracając jednocześnie uwagi Joanny Bardo. Oczywiście piekło rozpęta się dopiero wówczas, gdy Gurp Patel wystawi mu rachunek, a on pójdzie z nim do Maxa Steinberga.

Dziesięć minut później Blake siedział przy kuchennym stole w mieszkaniu matki, wpatrując się w popękana politurę.

— O co chodzi z tym albumem, mamó? Kiedy wchodziłem, widziałem, że leży otwarty na krześle. To nie w twoim stylu.

Dora Blake wzruszyła ramionami, nie przestając kroić sernika z truskawkami.

— Czasem czuję się samotna. Cóż mogę powiedzieć? Nie przydarza mi się to codziennie, ale gdy już nastąpi, wspominam stare, dobre dzieje — zawahała się i

ponownie wzruszyła ramionami. — Zastanawiam się, jak wielu ludzi może spojrzeć wstecz na swoje życie i powiedzieć: „Było dokładnie tak, jak miało być. Właśnie tak wszystko zaplanowałam”.

— Chryste, mam, mówisz, jakby stuknęła ci osiemdziesiątka, a nie pięćdziesiątka. Nie ponosisz winy za to, co stało się z tatą.

— Skąd możesz o tym wiedzieć?

Blake nie odpowiedział od razu. Przyjął podany mu talerzyk, zebrał truskawki znajdujące się na wierzchu ciasta, po czym wpatrzył się w zdumione oczy matki.

— Nie przyszedłem, żeby o tym rozmawiać — powiedział, zdając sobie sprawę, że i tak nie uda mu się zmienić tematu.

— Zawsze myślałam, że kiedyś zadasz mi to pytanie — spojrzała w dół na swoje dłonie. — Ale ty tego nie zrobisz. Jesteś uparty jak osioł. A czuję się wystarczająco źle, by i ciebie zarazić swoim nastrojem. To takie proste.

— Właśnie tego się obawiałem.

— Jesteś zbyt wygadany — pochyliła się do przodu. — Uzależniony od taniego, niezasłużonego cynizmu.

— Cholera — odciął się Blake — a ja myślałem, że jestem uzależniony od działania. Zapewne coś przeoczyłem. Posłuchaj mnie, mam. Przyszedłem, żeby poprosić cię o przysługę. Chciałbym, żeby wujek Patrick zrobił coś dla mnie, coś o czym nie zechce nawet rozmawiać i dlatego miałem nadzieję, że uda ci się go tutaj zaprosić. Żeby odmawiając, musiał patrzeć mi prosto w oczy — Blake odchylił się do tyłu, założył nogę na nogę i odłożył widelczyk. Za wszelką cenę próbował ukryć fakt, że serce wali mu jak opętane.

— Twój ojciec kilka ostatnich lat przed odejściem na emeryturę przepracował w wydziale zabójstw w Queens. Wiesz o tym, prawda?

— To było dosyć dawno, ale skoro o tym wspominasz... Rzeczywiście, pamiętam.

— Pamiętasz, że był dobry w swoim zawodzie? Że w ciągu ostatniego roku odznaczono go dwukrotnie?

— Nie bardzo wiem, do czego zmierzasz, mam. Ojciec dobrze wypełniał swoje obowiązki, ale kiedy odszedł z policji, załamał się całkowicie. Przynajmniej tak mi kazano wierzyć.

— Ty chciałeś w to wierzyć. Nic takiego ci nie mówiono.

— W ogóle nic mi nie mówiono.

— A ty nigdy nie pytałeś — machnęła ręką, powstrzymując go od udzielenia odpowiedzi. — Twój ojciec przeprowadzał rutynową kontrolę. Tak więc, puka do drzwi i otwiera mu młoda kobieta. Matty zamierza właśnie zacząć zadawać pytania, kiedy nagle spostrzega — lub tylko tak twierdzi — wielką torbę kokainy, kilogram jak się później okazuje, leżącą na stole. Myśli sobie, że to prawdziwy dar niebios, cudowny przypadek, dlatego z miejsca aresztuje ową kobietę — jej nazwisko brzmi Chantel McKendrick. Zabierają na posterunek, załatwia sprawę

papierkowe i odsyła do aresztu głównego. Pamiętam, że tak właśnie opowiadał mi po powrocie do domu tamtego wieczoru. Śmiał się.

Naturalnie, byłam zdziwiona. Kilogram kokainy to trochę za dużo, żeby trzymać po prostu na stole, ale Matty twierdził, że dziewczynę tak zamurowało, iż omal nie zapomniała własnego nazwiska. Zapewne towar nie należał do niej, tylko jakiś handlarz wykorzystywał jej mieszkanie jako tymczasową przechowalnię, a ona przy okazji próbowała uszczknąć coś dla siebie.

Dwa dni później obrońca Chantel McKendrick — nie zwyczajny adwokat z urzędu, lecz twój nowy przyjaciel, niejaki Maxwell Steinberg — opowiedział zupełnie inną historię. Według niego Matty wtargnął do mieszkania jego klientki, znalazł kokainę i zaproponował, że o wszystkim zapomni, jeśli Chantel zgodzi się uprawiać z nim seks. Kiedy odmówiła, zrobił to siłą, a następnie i tak aresztował.

Blake zdenerwowany potrząsnął głową.

— To bzdury, mamó. W policji nie ma detektywa, któremu w ciągu kariery nie zdarzyłoby się choć raz zostać o coś oskarżonym. Tak już po prostu jest.

— Być może, Marty, lecz gdy oskarża Max Steinberg, ważniacy na górze słuchają i wcale nie dlatego, że mu wierzą. Słuchają, ponieważ potrafi przedstawić policję w naprawdę złym świetle.

— W końcu przekazano śledztwo wydziałowi spraw wewnętrznych — ciągnęła Dora Blake. — Tamci zaczęli węszyć, przesłuchali kobiety, które twój ojciec aresztował, kiedy pracował jeszcze w obyczajówce i uzyskali tuzin oskarżeń. Powinieneś zrozumieć, Marty, że sama ułożyłam tę historię z drobnych kawałków najlepiej jak potrafiłam, ponieważ od chwili wszczęcia przeciwko niemu postępowania, Matty w ogóle nie chciał o tym rozmawiać. Twierdził, że to nie ma sensu, gdyż i tak niczego nie zmieni i w zasadzie miał rację. Policjanci otrzymują różne propozycje i niejednen korzysta z nich.

Oczywiście najgorsze było oskarżenie o użycie siły. Przez to sprawa stawała się poważna. Jeśli rzeczywiście był winny. Nikt dokładnie nie wie, w jaki sposób prowadzono śledztwo. Możliwe, że naciskano na tamte kobiety...

Blake odepchnął od stołu swoje krzesło i wstał. Nie zamierzał jeszcze wychodzić, chciał jednak sobie trochę pospacerować.

— Wiem, jak to się dzieje — odezwał się. — Jeśli chcą cię pogrążyć, zrobią to. Nie można nic poradzić.

— Czy chcesz powiedzieć, że oni uwzięli się na twój ojca?

Pytanie zbiło Marty'ego z tropu. Oparł się o blat stołu. Pragnął odpowiedzieć: „Oczywiście, że tak. Tata nie zrobiłby czegoś takiego. Mój ojciec nie był gwałcicielem...”. Słowa zamarły mu na ustach.

— Nie można mieć stuprocentowej pewności — przyznał w końcu.

— Zgadza się, Marty. Nigdy nie wiadomo, dlaczego akurat tak postępują. Nie sposób odgadnąć, kto pociąga za sznurki — odetchnęła głęboko. — Posiadali

jednak pewne dowody. Jednej z pięciu oskarżających go kobiet w dwa dni po aresztowaniu udzielono pomocy lekarskiej z powodu licznych siniaków i zadrapań. Wpierw twierdziła, że są skutkiem więziennej bójki, jednak gdy skontaktował się z nią wydział spraw wewnętrznych, opowiedziała zupełnie inną historię. Twierdziła, że Matthew Blake pobił ją, zgwałcił, a następnie zagroził, iż każe ją zabić, jeżeli komukolwiek się poskarży.

— To żaden dowód — rzekł Marty. — Dowodem jest zgodność DNA pobranego z nasienia, dowodem jest obiektywny świadek...

— Masz rację. Nie było dowodów. Nigdy nie przebadano Chantel McKendrick. Lecz wcale nie chodziło o dowody. W pewnym sensie byłoby lepiej, gdyby o sprawie zaczęto pisać w gazetach. Firma broniliby Matthew jako swojego człowieka. Stało się jednak inaczej i zaproponowano mu wcześniejsze przejście w stan spoczynku lub rozprawę grożącą całkowitą utratą emerytury. Matty wybrał to pierwsze.

— A potem załamał się całkowicie?

Dora Blake skinęła głową, zabrała puste naczynia syna i odwróciła się do zlewu.

— Nie była to wyłącznie jego wina — dodała rzeczowo.

— To znaczy?

— To znaczy, że większość dotychczasowych kumpli z policji przestała go odwiedzać. Nie zapraszano go na spotkania Emerald Society, ani śniadania w Holy Name Society. To znaczy, że jego żona nigdy nie była do końca przekonana o niewinności męża, że nie potrafiła oprzeć się własnym wątpliwościom.

7.

Bell Kosinski nie pamiętał, by równie głupie postępowanie przyniosło mu kiedykolwiek aż tyle szczęścia. Siedział w samochodzie zaparkowanym na dwudziestej piątej ulicy u zbiegu z Madison Avenue, wpatrując się w główne wejście do budynku Nowojorskiego Sądu Apelacyjnego. Była dziewiąta trzydzieści i aby zdobyć zajmowane miejsce musiał wprawdzie uporać się z ogromnym o tej porze ruchem ulicznym. Niewątpliwie głupotą było sądzić, iż zacy sędziowie choćby na chwilę pojawiają się na Manhattanie w upalny sierpniowy dzień. Budynek był zamknięty na cztery spusty; podczas lata posiedzenia nie odbywały się.

To jednak niewiele zmieniało, ponieważ Marty Blake, pomimo całej swojej arogancji, nie zamierzał zakładać podsłuchu w gabinecie sędziego McGuire'a. Byłoby to może wykonalne pośród chaosu panującego w zwykłym sądzie kryminalnym, gdzie zawsze kręci się mnóstwo prawników, oskarżonych, świadków, urzędników, reporterów i publiczności... Bezustannie zmieniająca się mieszanina najdziwniejszych typów (takich jak Max Steinberg) zapewniała niezbędny kamuflaż.

Sąd Apelacyjny wyglądał zupełnie inaczej — oskarżeni pojawiali się rzadko; świadków niemalże nie wzywano; publika bardzo szybko zrozumiała, że rozprawy apelacyjne mogą zanudzić na śmierć. Strażnicy zatrzymaliby Blake'a natychmiast po wejściu.

Kosinski pociągnął łyk smirnoffa, po czym przez jakiś czas podziwiał niewielki dwupiętrowy budynek, na którym architekt upakował ogromną ilość ornamentów. Po obu stronach szerokich schodów prowadzących do głównych drzwi stały dwa marmurowe posągi. Jeden z nich przedstawiał zakapturzoną postać ze Starego Testamentu, czytającą wielką księgę, drugi — rzymskiego wojownika w zbroi, trzymającego w ręku miecz i złowrogo spoglądającego na przechodniów. Ogólny zamysł, zdaniem Kosinskiego, polegał na tym, że jeśli nie dosięgnie cię osobnik z prawej strony, zrobi to ten drugi z lewej.

Kosinski zasunął szybę, uruchomił silnik wynajętego przez siebie małego datsuna, a następnie włączył klimatyzację. Miasto nagrzewało się, absorbowало ciepło niczym glina w piecu. Do czasu gdy słońce znajdzie się w zenicie, maski zaparkowanych samochodów staną się tak gorące, że gdyby na nie splunąć, ślina natychmiast by wyparowała. Nawet alejki Central Parku świecić będą pustkami.

Rozległ się gwizdek.

Kosinski zerknął w lewo i zobaczył policjantkę z drogówki wykonującą złowrogo znaki dłonią. Jej usta poruszały się, jakby mówiła: „Rusz się, dupku”, co sprawiło, że Kosinski, jak wielu innych nowojorczyków, poczuł chęć zaatakowania

kierującego ruchem za pomocą dowolnego tępego narzędzia. Kiedy policjantka wyjęła bloczek mandatów, odjechał.

Następne wyznaczone miejsce postoju znajdowało się w Riverdale w Bronxie, okolicy, która kojarzyła się z czarnymi, narkotykami oraz przemocą. Johan Tillson przeprowadził się do Riverdale wkrótce po morderstwie jego żony. Kosinski miał za zadanie obserwować jego rezydencję, dopóki nie dowie się, ile osób w niej mieszka. Mimo prostoty zadania nie dawała mu spokoju pewna sprawa, tak oczywiście, że już dawno powinien był ją dostrzec.

Znalazł budkę telefoniczną na Madison Avenue, wystukał numer i szczęśliwie natychmiast uzyskał połączenie.

— Dunne przy telefonie.

— Bobby?

— Czy to ty, Bell Kosinski? — spytał Robert Dunne. — Czy dobrze rozpoznaję twój pijacki bełkot?

— W tej chwili wcale nie bełkot, Bobby. Tak naprawdę to jestem wręcz niebezpiecznie trzeźwy. Czy mógłbym wpaść do ciebie na moment? Chciałbym prosić cię o przysługę.

— Przysługę? Bell, proszę.

Kosinski wiedział, że sierżant Robert Dunne zareagował tak jak każdy były policjant, słysząc słowo przysługa. Wypowiadając je należy przynajmniej dać do zrozumienia, że zaoferuje się coś w zamian, w przeciwnym wypadku prośba staje się ewidentnym łamaniem obowiązującej etykiety. Kosinski postanowił zaoferować swoją osobę, jako że Robert Dunne lubił namawiać do abstynencji wszystkich policjantów - alkoholików, którzy tylko zgodzili się słuchać.

— Widzisz Bobby, próbuję zacząć nowe życie i przydałaby mi się mała pomoc. Nastąpiła chwila ciszy.

— Bell, czy aby na pewno jesteś trzeźwy? Nie nabierasz mnie?

— Niezupełnie trzeźwy, lecz również nie pijany. I nie żartuję, mówiąc o rozpoczynaniu nowego życia. Aktualnie pracuję dla prywatnego detektywa i jeżeli niczego nie spieprzę, może będzie to stała współpraca. Widzisz Bobby, nie jest łatwo człowiekowi, gdy codziennie budzi się z poczuciem beznadziejności.

— A więc między tobą i Ingrid wszystko skończone? Na dobre?

— Bobby, między nami już od dawna niczego nie było. Mówiłem ci to kilka lat temu.

— Nigdy nie porzucasz nadziei, Bell. Ona jest wieczna.

Kosinski zamilkł, pomyślał, że nigdy nie chciał się z nią spotkać; nie wiedział nawet, gdzie obecnie mieszka i co robi; co miesiąc potrącano mu z pensji alimenty i jego tęsknota za nią ograniczała się do przeczytania pokwitowania.

— Tak, zapewne masz rację. Dlatego mam nadzieję, że poświęcisz mi chwilkę, żebym mógł wyjaśnić ci, o jaką przysługę chciałem prosić.

— W porządku, chłopie. Słuchanie nie boli.

Pół godziny później Kosinski był w mieszkaniu Roberta Dunne'a w Washington Heights i próbował wyjaśnić koledze całą sprawę.

— Widzisz Bobby, właściwie nie zdecydowałem się jeszcze, by całkowicie przestać pić. Planuję to w późniejszym czasie, a teraz staram się rozpracować tego kapitana i dlatego myślę sobie, że jako skarbnik Emerald Society mógłbyś go sprawdzić, zdobyć dla mnie jakieś — że tak powiem — wskazówki.

Kosinski patrzył wprost w smutne, pełne współczucia oczy Roberta Dunne'a, jednocześnie próbując zapomnieć o tym, że w zasadzie nienawidzi wszelkiej litości, a szczególnie kiedy sam staje się jej obiektem. Szeroka, pełna twarz Dunne'a o masywnych kościach policzkowych promieniowała wewnętrzną pewnością siebie. Niewielki nos, oczy i usta rozmieszczone były w dużych odstępach, jak gdyby nie miały ze sobą nic wspólnego. Wydawało się, że osobowość mężczyzny doskonale wyraża się w kształcie jego czaszki, a poszczególne narządy stanowią jedynie swe-go rodzaju biologiczne dodatki.

— Bell, czy pomodliłbyś się razem ze mną?

— Właściwie nie o to mi chodziło. Może powinniśmy odłożyć to do czasu, kiedy rzeczywiście przestanę pić — Kosinski nie łudził się, że uda mu się przekonać Dunne'a, nie chciał jednak, by pojawiał się pod jego drzwiami z Biblią w dłoni. — Wiesz, zaczekajmy, aż podejmę ostateczną decyzję.

Dunne klęknął, więc Kosinski z niechęcią poszedł w jego ślady. Miał tylko nadzieję, że Bobby nie wyciągnie różańca, by ukarać go półgodzinnymi męczarniami.

— Panie — zaczął Dunne, wznosząc oczy do sufitu i składając ręce pod brodą — prosimy Cię, pobłogosław serce i duszę Bella Kosinskiego. Znam go od bardzo dawna, Panie, jeszcze z czasów zanim został pijakiem i mogę za niego zaświadczyć. Bell Kosinski jest dobrym człowiekiem, którego życie ciężko doświadczyło, a teraz błaga Cię pokornie o Twą pomoc. Módlmy się.

Po pięciu Zdrowaś Mario i jednym Ojcze Nasz Kosinski i Dunne siedzieli naprzeciwko siebie przy małym stolczku. Dunne wydawał się zrelaksowany, niemal promieniujący spokojem, podczas gdy Kosinskiemu zaczęły trząść się ręce. W prawym oku dokuczał mu ostry ból, domagając się natychmiastowej dawki „lekarstwa”. Pomyślał nawet o wyjściu do łazienki, lecz przypomniał sobie, że Dunne widywał już wszelkie istniejące objawy uzależnienia.

— Wyjmij ją, Bell. Zanim całkowicie padniesz.

— Hmm? — słowa kolegi zaskoczyły Kosinskiego.

— Kiedy zdecydujesz się skończyć z wodą, daj mi znać. Wyślę cię na kurację. W Albany jest ośrodek policyjny, w którym cię wyleczą nie zabijając jednocześnie. A przez ten czas... no cóż, wolałbym, żebyś nie próbował mnie oszukiwać.

Kosinski skinął głową wydobyl z kieszeni butelkę i pociągnął z umiarem.

— Nie żartowałem, mówiąc o znalezieniu pracy, Bobby — odezwał się po chwili. — To dla mnie ogromna szansa.

— Wiem o tym doskonale odparł z powagą Dunne. — Wierz mi, przeżyłem to wiele razy i zdaję sobie sprawę, że nie jesteś w stanie nad tym zapanować. Jeżeli nie będziesz zupełnie trzeźwy, wkrótce całkowicie się upijesz. A teraz powiedz mi, czego ode mnie chciałeś.

— Bobby, nienawidzę cię, kiedy masz rację — Kosinski zamilkł, oczekując odpowiedzi, lecz twarz Dunne'a nie zmieniła wyrazu. — W porządku, po pierwsze, wszystko, co ci powiem, musi pozostać między nami. Nawet jeżeli mi odmówisz.

— Zrozumiano.

— Mówię poważnie. Nic nie może wyjść poza ściany tego pokoju.

Dunne uśmiechnął się w końcu.

— Przysięgam ci na moją wiarę, Bell. Proszę cię tylko, nie wyznawaj mi przypadkiem, że popełniłeś morderstwo.

— Jeżeli ktokolwiek zginie, to z pewnością ja sam — Kosinski starał się mówić rzeczowo; uważał, że zapłacił już za przysługę i miał teraz absolutne prawo, by o nią prosić. — Próbuję rozpracować glinę o nazwisku Grogan. Dwa lata temu był kapitanem. Od tamtej pory pewnie awansował, obecnie może być nawet podinspektorem. Grogan to bez wątpienia irlandzkie nazwisko, więc powinien należeć do Emerald Society. Ponieważ jesteś tam skarbnikiem, pomyślałem, że mógłbyś namierzyć jego szefa.

— I to wszystko?

— Tak, to wszystko. Chcę wiedzieć, dla kogo pracuje Grogan.

— Cholera, Bell, sądziłem, że to będzie jakiś smakowity kąsek.

— Życie jest pełne zawodów.

— I nie możesz zdradzić mi nic więcej?

— Ani słowa.

Dunne potrząsnął głową.

— Prosisz mnie, żebym zwrócił się przeciwko firmie. Zdajesz sobie z tego sprawę, prawda?

Pytanie nie zdziwiło Bella Kosinskiego.

— Nie każę ci zeznawać przeciwko niemu. Chciałbym po prostu dowiedzieć się, na co — lub na kogo — się porywam. Jeżeli wyślesz mnie do diabła, zrozumiem, ale i tak znajdzie jakiś inny sposób.

Kosinski wyobraził sobie, jak w umyśle Dunne'a obracają się tryby. Instykt podpowiadał mu, by stanąć po stronie firmy, ale gdyby postąpił zgodnie z nim i odmówił pomocy Kosinskiemu, na zawsze zaprzepaściłby szansę na jego nawrócenie.

— Grogan to dość pospolite nazwisko, Bell. Czy przypadkiem nie mógłbyś powiedzieć o nim czegoś bliższego?

— Aloysius Grogan. Może to zawęzi nieco sprawę.

— Obawiałem się, że chodzi ci właśnie o niego.

— Znasz go?
— Zgadza się i miałeś całkowitą rację, Bell. Obecnie Grogan jest inspektorem.
— Dla kogo pracuje?
— Nie sądzę, by cię to zniechęciło, ale powiem ci, że rzucasz się na głębokie wody.

— Tonę już od wielu lat, Bobby, więc się nie boję.
— A powinieneś. Tym razem naprawdę powinieneś.
— Powiesz czy nie?
— Dobrze, Bell. W końcu to nie żaden sekret. Bezpośrednim przełożonym inspektora Aloysiusa Grogana jest nadinspektor Samuel Harrah.

— Czy jego nazwisko powinno być mi znajome? Nigdy o nim nie słyszałem.
Dunne wzruszył ramionami i uśmiechnął się.
— Właściwie to nie powinieneś. Przynajmniej jeżeli nie należysz do karierowiczów na tyle ambitnych, by interesować się osobistościami pracującymi w policji. Nadinspektor Harrah od dwudziestu pięciu lat jest szefem sekcji wywiadowczej w nowojorskiej policji. Przejął stanowisko po swoim ojcu, który przeszedł na emeryturę.

— Ile ma lat?
— Sześćdziesiąt pięć czy coś w tym rodzaju.
— Czyli już pięć lat temu przekroczył wiek emerytalny.
— Widzisz Bell, zapewne nikt nie odważył się zwrócić mu uwagi.

Kosinski chwilę się zastanowił. Kiedy wstąpił do policji, często mówiło się o wywiadzie. Były to czasy Armii Wyzwolenia Czarnych. Co miesiąc dokonywano zamachów na policjantów, strzelano do nich niemal codziennie, napięcie stawało się praktycznie nie do zniesienia. Kosinski, podobnie jak inni policjanci, uważał wtedy, że wkrótce państwo pogrąży się w wojnie domowej. Niemniej jednak wszystko w końcu ucichło, po prostu wygasło niczym ogień pozbawiony dopływu tlenu. Lata osiemdziesiąte upłynęły dosyć spokojnie — przynajmniej z punktu widzenia policji — więc wywiad powoli odszedł w cień.

— Czy kilka lat temu szpiedzy nie mieli przypadkiem kłopotów? — spytał wreszcie Kosinski.

— Tak, mieli. W związku z zainstalowaniem podsłuchu w radiostacji prowadzonej przez czarnych — Dunne wstał, dając Bellowi do zrozumienia, by zrobił to samo. — I to już wszystko, co mam do powiedzenia na temat twojej sprawy. Może jeszcze prócz rady, byś się głęboko zastanowił, Bell. Nadzieja w ludzkim sercu jest wieczna, ale tylko wtedy, gdy nie przestanie ono bić.

NIESTETY NASTĘPNA KARTKA ZOSTAŁA ROZERWANA W POŁOWIE

8.

Powitanie mieli już za sobą —całus dla D ty'ego: „Witaj, ile to już czasu, co porabiałeś”. Blake siedział przy kuchennym stole w mieszkaniu przy szklaneczkę szkockiej i uśmiechając się do brata, był rozpięty, krawat poluzowany, a marynarka blisko dwadzieścia kilogramów nadwagi oraz łysy człowiek odnoszącego umiarkowane sukcesy w s ię do wieku emerytalnego lub tragicznego w skutości, co nadejdzie pierwsze. Jak zazwyczaj miał wdział nadciśnieniu, a ponad paskiem oraz kołnierzy tłuszczu.

— A więc Marty, cóż to za złe wieści?

Marty spostrzegł, że w ciemnych oczach Patricka, spryt i przenikliwość. Mimo kolejnych awansów nigdy przetrwania, jakie przeszedł przed trzydziestu laty, pracując w szpitalu, Marty nie dostrzegł w nim żadnego słabego punktu, czy tak jest naprawdę.

— Jak dużo o moich poczynaniach opowiedziała ci mama?

Patrick Blake spojrział na marynarkę swojego munduru, a następnie na bratanka.

— Powiedziała mi, że próbujesz wyratować jakiegoś głupka, który zrobił, że go wrobiono.

— Czy to znaczy, że podobne rzeczy się nie zdarzają? Człowieka nie wrobić?

— Marty, oni wszyscy twierdzą, że są niewinni — gestem pulchnej powstrzymał reakcję bratanka, zachichotał, a następnie potrząsnął głową. Ci ludzie nie potrafią mówić prawdy, właśnie dlatego nazywa się ich kryminalistami.

— Tak jak na przykład mój ojciec, a twój brat, który również twierdził, że jest niewinny? Po prostu kolejny śmieć próbujący uratować własny tyłek

j zaciśniętą szczękę oraz sztuczny uśmie-
musiała się czuć Żydówka, która weszła
następnie z powrotem odwrócił się w stro-
m wszystko, by pomóc twojemu ojcu. Jed-
ą sprawę, nie ma sposobu na skontrolowa-

że uważasz, iż twój brat rzeczywiście był
swojemu głosowi urwać się. Wiedział do-
o Patrick Blake nie nazwałby Matthew Bla-
ci jego żony oraz syna. — Oczywiście, ja nie
ni to zrozumieć. Zdaje się, że twierdzisz, iż
Że żaden glina *nigdy* nie przekraczał pew-
ieć, jak możesz tak mówić, nie będąc jedno-
lasny brat był gwałcicielem.

ć kontrolę, co nie zdziwiło Marty'ego. Wujek
owodzić rodziną, podobnie jak czynił to ze swo-

ntynuował spokojnie Marty — tym razem chodzą
nością nie próbuje wymigać się od kary. Billy So
go w więzieniu,

j jakby wzdrygnął się. Udało mu się rozbić zbroję
tego sprawę. Nadszedł czas, by ruszyć do ataku,
łem chyba dziesięć czy jedenaście lat, kiedy po raz
upeji w policji. Działała wtedy komisja Knappa, więc
y pokazywano nieuczciwych policjantów. Wcześniej wie-
gliniarze są dobrzy i niezłomni, dosłownie uważałem ich za
ze miałem zbyt bujną wyobraźnię, ale byłem wystarczająco
pójść wprost do ojca i zapytać się, czy on również brał.
czywiście tak powiedziałeś? — Patrick Blake niemal wstał z krze-
arżyłeś własnego ojca?

kojnie, wujku. Miałem wtedy dziesięć lat i wcale go nie oskarża-
z mi, ostatnią rzeczą, jaką chciałem usłyszeć, była odpowiedź twier-
ajciekawsze, że w ogóle się nie zdenerwował. Ani trochę. Zaprowa-
e do mojego pokoju, posadził, a następnie wyjaśnił, jak to jest z poli-
i. Niektórzy nigdy nie biorą niczego; inni przyjmują drobiazgi jak gra-
obiady; jeszcze inni zgarniają wszystko, co tylko się da. Żaden glina
przynajmniej jeżeli nie stoczył się niżej niż przestępcy, których powie-
sztować, nie przymknie oka na gwałt czy morderstwo. Jest to granica,
przekroczyć nie wolno, gdyż przestaje się być policjantem. I tyle — Blake
lił się do tyłu i uśmiechnął do mocno już zdenerwowanego wuja. — Czyż-
powiadał mi same bzdury, wujku? Mówił to, co głupi dzieciak, akurat chciał
zeć?

— Marty, jesteś za bardzo wyszczekany. Twój ojciec powinien był sprać cię po pysku, zamiast dyskutować z tobą.

— Widziałem dowody, wujku, wszystkie przekłete akta. Billy Sowell nie zabił Sondry Tillson, a więc zrobił to ktoś inny i spokojnie chodzi sobie po ulicach. Czy to ci nie przeszkadza, wujku? Jeśli nie, po prostu powiedz, a sobie pójdę.

Patrick Blake spojrział na bratową. Marty nie miał pewności, czy jego wujek szukał w niej wsparcia, lecz jeżeli tak, to się zawiódł. Wyraz twarzy Dory Blake pozostawał niewzruszony, jakby nie interesowały ją żadne pytania czy wymówki.

— Słuchaj, Marty — odezwał się w końcu — nie zdajesz sobie sprawy, w co się pakujesz.

— Wiem o tym, wujku, dlatego właśnie chciałem, żebyś przyszedł i powiedział mi, na co się porywam. Żebyś opowiedział mi, na przykład, o kapitanie Aloysiusie Groganie. Co robi, kto jest jego przełożonym i tak dalej.

— I nie ma sposobu, by odwieść cię od twoich zamiarów?

— Nie.

Patrick Blake wziął głęboki oddech; jego policzki wydeły się, kiedy wypuszczał powietrze.

— W porządku, Marty. Podam ci informacje, które chciałeś uzyskać, ale potem nie licz na mnie. Nie oczekuj ode mnie żadnej pomocy, ponieważ nie zamierzam zniszczyć kariery mojego syna. Tego, który nosi imię po twoim ojcu, pamiętasz? Od pięciu lat pracuje w policji i jeżeli pragnie awansować, moja pomoc będzie mu niezbędna — poczekał, aż Marty skinie głową na znak zrozumienia, zanim na nowo zaczął mówić. — Opowiem ci wszystko tak, jak uważam za stosowne, i nie życzę sobie, żebyś mi przerywał. Kiedy skończę, będziesz wiedział tyle, ile potrzebujesz — przerwał, zaczął na kolejne skinienie, po czym ciągnął dalej. — Tydzień temu Aloysius Grogan — jest teraz inspektorem — niespodziewanie pojawił się w moim biurze. Nie wiedziałem, kim jest, ale kiedy składa ci wizytę inspektor, naturalnie przyjmujesz go. Zapytał mnie, czy jesteś moim bratankiem, czy jesteś synem detektywa Matthew Blake'a.

Kiedy potwierdziłem, zapytał wprost, czy mam jakikolwiek wpływ na ciebie.

„Jeżeli pan ma”, mówi, „niech go pan lepiej odwiedzie od powziętych zamiarów, kapitanie. Pański bratanek pracuje dla sprzedajnego adwokata, który chce zaszkodzić firmie. Pewnym ludziom nie podoba się to i nie będą dłużej siedzieć z założonymi rękami”.

Zanim udało mi się odezwać, facet po prostu wyszedł. Zrozum mnie dobrze, chociaż Grogan jest ode mnie wyższy rangą nie oznacza to jeszcze, iż może wpadać do mojego biura i rozkazywać. Obaj dobrze wiemy, że nie dostaje się nominacji do kwatery głównej, jeżeli nie ma się odpowiednio wysoko postawionych przyjaciół. Dlatego jedynym wytłumaczeniem jego zachowania może być fakt, że przyjaciele Grogana zajmują wyższe stanowiska niż moi i z tego powodu nie wyrzuciłem go, gdy tylko zaczął się szarogęścić.

Po jego wyjściu udałem się wprost do komputera — jak wiesz, pracuję w dziale

personalnym — i wystukałem nazwisko Grogana. Dowiedziałem się, że pracuje w wywiadzie. Jestem pewien, iż masz wystarczająco dużo lat, by pamiętać historię J. Edgara Hoovera, który rzekomo tak długo był dyrektorem FBI, ponieważ na każdego coś miał. Ta sama plotka dotyczy nadinspektora Samuela Harraha, przełożonego Grogana. Dowodził sekcją wywiadowczą pod pięcioma różnymi komisarzami, a co więcej mówi się, że nie można zostać komisarzem bez przyzwolenia Harraha.

Prawdę mówiąc, Marty, słyszałem tę plotkę już wiele lat temu, ale nigdy nie zwróciłem na nią specjalnej uwagi. Zazwyczaj wywiad ma mało wspólnego z resztą firmy. Zbierają informacje dotyczące grup wywrotowych, zorganizowanej przestępczości, lecz nie dokonują żadnych aresztowań. Kiedy Samuel Harrah i jego szpiedzy odkrywają coś istotnego, zgłaszają się bezpośrednio do komisarza, który przydziela sprawę odpowiedniemu wydziałowi. Moim zdaniem, na tym polega podstawowa różnica pomiędzy Samuelem Harrahem a J. Edgarem Hooverem. Hoover skupiał na sobie uwagę społeczeństwa, Harrah natomiast działa w całkowitej tajemnicy.

Wkrótce po dzisiejszym telefonie od twojej matki, wezwano mnie do gabinetu szefa, człowieka, który od dwudziestu lat wspiera mnie w mojej karierze. Kiedy wszedłem, szef rzucił na biurko akta twojego ojca i powiedział, iż w wydziale wewnętrznym zastanawiają się nad wznowieniem śledztwa. „Na miłość boską, Solly”, mówię mu, „ten człowiek już nie żyje”. „Ich to nie obchodzi”, odparł. „Przecież wdowa po nim wciąż otrzymuje rentę, a oni chcą jej ją odebrać”.

Patrick Blake odsunął krzesło i wstał.

— Doro — powiedział — przykro mi, że mówię ci to w taki sposób, lecz chciałbym zauważyć, iż twój syn ma bardzo złe maniery. On jest po prostu nikiem, małym karaluchem rzucającym się na lwa. Może przemówisz mu jakoś do rozsądku, zanim zostanie zdeptany.

Gdyby nie szybka reakcja matki zapewne rozmowa na tym by się zakończyła, bowiem Marty Blake, siedząc za stołem, nie mógł zapobiec wyjściu wuja. Dotychczas Dora milcząc stała w pobliżu zlewu, teraz jednak poruszyła się i zagroziła drogę szwagrowi.

— Ty natomiast, Patrick — odezwała się — powinieneś być porządnie wkurzyć się na Grogana. Ten człowiek wszedł do twojego gabinetu i po prostu napluł ci w twarz. A ty wyżywasz się na Martym, który nie zrobił ci nic złego. Gdybym nie znała cię tak dobrze, pomyślałabym, że nienawidzisz tego, kogo boisz się najmniej.

— Zaraz, chwileczkę...

— No właśnie — wtrącił się Marty — wszyscy zastanówmy się chwilę. Po pierwsze, z pewnością nie odbiorą renty po ojcu. W czasie pierwszego śledztwa żadne z oskarżeń nie zostało uznane za udowodnione i zaprotokołowane, a nieboszczyk nie może już bronić się przed oskarżycielami, co jest konstytucyjnym prawem wszystkich obywateli. Cała ta groźba jest zwyczajnym blefem, na dodatek

w kiepskim stylu, a to akurat bardzo mnie cieszy. Muszą być naprawdę przerażeni, ponieważ wiedzą, że to jest ich słaby punkt. Nie zmniejsza to ich możliwości, lecz z pewnością mogą popełnić jakiś błąd. Wujku, chciałbym poprosić cię o jeszcze jedną przysługę. Spotkaj się z inspektorem Groganem i poinformuj go, że rozmawiałeś ze mną, a ja powiedziałem ci, iż Steinberg postanowił się wycofać. Skoro Billy Sowell nie żyje, byłaby to dosyć rozsądna decyzja.

Patrick Blake nie przestawał wpatrywać się w swoją bratową, niemniej jednak odpowiedział bez chwili wahania.

— A dlaczego to miałbym wyświadczać ci kolejną przysługę?

— Właściwie są ku temu dwa powody. Po pierwsze, i tak niczego to nie zmieni. Renta po moim ojcu nie jest zagrożona. To raczej wam mogą zaszkodzić — tobie i twojemu synowi. Nikogo nie będzie obchodzić fakt po czyjej jesteś stronie. Twoim zadaniem jest powstrzymać mnie, a jeśli ci się nie uda, zostaniesz ukarany. To całkiem proste.

Kiedy Patrick Blake odwrócił się w stronę bratanka, jego twarz była purpurowa. Przemówił ledwie słyszalnym głosem:

— Powiedziałeś, że są dwa powody. Jaki jest drugi?

— Kiedy odetnie się głowę, umiera również ciało.

9.

— Wiesz Bell, że jestem facetem, który potrafi przyznać, że coś spieprzył, kiedy rzeczywiście coś spieprzył. Twój kumpel nie powinien był siadać na moim aucie, skoro akurat go nawoskowałem. Ale to jeszcze nie upoważnia mnie, żeby skakać mu na łeb, tak jak to zrobiłem.

Tony Loest potrząsnął głową, opuścił wzrok i zamrugał powiekami.

— Takie rzeczy zdarzają się czasem, Tony. Każdy może się przecież zdenerwować, nieprawdaż?

Kosinski starał się, by w jego słowach była choć odrobina uczucia. W końcu, zgoda to zgoda, przeprosiny to przeprosiny. Nieważne, że Tony Loest jest tak naprany, iż wyrzuca z siebie słowa poprzez zaciśnięte zęby.

— Tak — odparł Loest — ale dla mnie nerwy to prawdziwe przekleństwo. Przecież mogłem zostać kimś w życiu. Tylko że nigdzie nie ma dla mnie pracy, wiesz, o co mi chodzi? Stałem się przestępcą, żeby wyżywić rodzinę. Przez moje nerwy pewnego dnia przylałem tej cholernej suce od matmy, która uczepiła się mnie za żucie gumy. Możesz w to uwierzyć, Bell? Chciała przykładowo ukarać mnie przed całą klasą. Jak mógłbym znieść coś takiego, ja...

— Rany — przerwał mu Kosinski — nie wiem, jak potrafiłeś to znieść. To musiało być okropne — uwagę tę wypowiedział w nadziei, że sarkazm uspokoi nieco Loesta. Jednak na próżno.

— Okropne to nie najlepsze słowo, Bell. To było kompletnie popieprzone. Dlatego właśnie musiałem strzelić ją w twarz. Po prostu nie mógłbym więcej chodzić z podniesioną głową, gdybym się pohamował. To była zwyczajna, ludzka reakcja, nie?

— Tak, poczekaj chwilkę — Kosinski uniósł do góry szklaneczkę i skinął na Eda O'Leary'ego. Barman uśmiechnął się złośliwie.

— Co się stało, Bell? Może dolać ci do wódki więcej soku pomidorowego? Czy przyrządziłem zbyt mocny koktajl?

— Odwal się, Ed. Wszyscy się mnie czepiają, tylko dlatego, że zamówiłem Krwawą Mary? Powiem ci coś, zastanawiam się nad przeniesieniem do jakiegoś innego lokalu.

— Cholera? — wykrzyknął O'Leary. — Od czasu twojej przemiany przestałeś się dla mnie liczyć — pomimo całej swojej zuchwałości napełnił szklankę Kosinskiego pół na pół wódką i sokiem pomidorowym.

— Jednego nic mogę zrozumieć — zwrócił się Kosinski do Loesta. — Dlaczego facet o osobowości podwórzowego kundla w ogóle ma jakichś klientów. Dlaczego zawsze tu przychodzimy?

— Nie mam pojęcia — zgodził się Loest. — Słuchaj, muszę pójść do toalety. Sprawa nie cierpiąca zwłoki.

O'Leary popatrzył za wychodzącym Loestem, a następnie pochylił się nad barem.

— Jak sądzisz, Bell? Facet ma słaby pęcherz?

— Nie wiem, jak jest z jego pęcherzem, Ed, ale nosa na pewno nie ma mocnego.

Barman zaśmiał się i potrząsnął głową.

— Kiedyś takiego śmiecia przywitałbym swoim obrzynem, kazał mu spieprzać i nigdy nie wracać. Obecnie moi weekendowi klienci poszliby gdzieś indziej, gdyby nie mogli kupić tu kokainy. Oni jej potrzebują jakby stanowiła nieodzowną część życia.

— Czasy się zmieniają, Ed. Człowiek musi podążać za ich duchem.

— Może dlatego tak bardzo lubię pijaków. Facetów, do których należał niegdyś Bell Kosinski. Oni są prawdziwie przywiązani, nie w głowie im żadne nowe święstwa.

— Wypiję za to — Kosinski wznosił toast swoją Krwawą Mary i wtedy spostrzegł wchodzącego Blake'a. Opróżnił szklaneczkę i pospieszył w jego kierunku, dochodząc do wniosku, że lepiej wynieść się z Cryders, zanim powróci Tony Loest.

— Chodź Marty — odezwał się, biorąc go pod rękę — przespacerujemy się, w środku zrobiło się trochę za duszno — odczekał, aż zamkną się za nimi drzwi i powiedział: —Dobrze, że wpadłeś. Dowiedziałem się czegoś. Przeprowadziłem maleńkie śledztwo i wiem, dla kogo pracuje Grogan. Pomyślałem, że może się to nam przydać.

Kosinski pragnął przetestować swojego partnera. Przekroczył nieco zakres poleceń otrzymanych od Blake'a, być może nawet naraził ich obu, jeżeli rozmawiał z niewłaściwą osobą. Chciał jednak dowiedzieć się, czy Blake ufa jego osądowi.

— To śmieszne, Bell, ja zrobiłem dokładnie to samo. I dziwię się, że byliśmy na tyle głupi, by nie widzieć tego wcześniej.

— Tak? — Kosinski poczuł, jak czerwienieją mu policzki; miał nadzieję, że Blake tego nie widzi. — Ja osobiście zwałam wszystko na wódę, a ty?

Blake zdobył się na uśmiech, który znikł równie szybko, jak się pojawił.

— Więc może powiedz mi, co odkryłeś.

Szczegóły swojej rozmowy z sierżantem Dunnem Kosinski przedstawił wtedy, gdy znaleźli się wewnątrz należącego do Blake'a taurusa. Kiedy skończył, Marty przytaknął.

— Tak, to dla nas wielki problem. Naprawdę ogromny problem.

Kosinski, który nie bardzo zdawał sobie sprawę ze zmiany sytuacji spowodowanej ostatnimi rewelacjami odparł:

— Nie przeszkadza, gdy człowiek wie, przeciwko komu występuje.

— Prawdę powiedziawszy wolałbym, żeby chodziło o wydział zabójstw czy narkotyków. Coś zwyczajnego. Ale wywiad? Pozwól, że zadam ci pewne pytanie — czy kiedy dzwoniłeś do tego sierżanta, korzystałeś z własnego telefonu?

Kosinski poczuł, jak krew ponownie gromadzi się w okolicach policzków. Tym razem był pewny, że Blake to zauważy.

— Prawdę mówiąc, nie. Byłem akurat w drodze, kiedy przyszedł mi do głowy ten pomysł. Sądziś, że w naszych telefonach są podsłuchy?

— Inwigilacja to specjalność szpiegów. Nasza strategia polega na utrzymaniu sprawy w tajemnicy, dopóki się należycie nie przygotujemy. Jeżeli powiedzmy Grogan albo Brannigan zdążyli już ostrzec sędziego oraz męża, tracimy tylko czas. Tak więc twierdzisz, że nie rozmawiałeś ze swojego telefonu ani w swoim mieszkaniu. No to może mamy jednak nieco szczęścia, ponieważ ja również nie byłem u siebie. Pozostaje nam jeszcze jedno miejsce — biuro Maxa Steinberga.

Przez resztę drogi do mieszkania Kosinskiego Blake prowadził w milczeniu, lecz zamiast zatrzymać się przed samą pralnią, przejechał nie zwalniając.

— Bell, widzisz tamtą furgonetkę? — spytał Blake.

— Pewnie.

— Rozpoznajesz ją?

— Rozpoznaję? Marty, kto dziś zwraca uwagę na zaparkowane samochody?

— Mówię o widniejącej na niej nazwie firmy. Zakład hydrauliczny braci Packer. Słyszałeś kiedyś o takiej?

— Chcesz powiedzieć, że ta furgonetka jest pełna szpiegów? Nie sądziłem, że jesteście aż tak ważni.

Blake zatrzymał się w końcu dwie przecznice dalej.

— Powiem ci, co masz zrobić, Bell. Pójdiesz do swego mieszkania i włączysz radio lub telewizor. Ustaw je tak głośno, jak tylko się da. Kiedy ja się pojawię, po prostu podejmij temat, który narzucę. Mam pewien pomysł, a chodzi mi o rzecz, którą i tak zamierzałem z tobą omówić.

Kosinski dotarł do swojego mieszkania, nie patrząc w kierunku podejrzanej furgonetki. Włączył radio na cały regulator. Zanim Blake zapukał do drzwi, zdążył jeszcze wypić jednego drinka.

— Cześć Marty, co słyhać? Nie spodziewałem się, że cię jeszcze kiedyś zobaczę — czuł się niczym skończony idiota lub bohater kiepskiego filmu. — Co powiesz na jednego drinka? Znajdzie się jeszcze trochę wódki i lodu.

— Nie Bell, muszę jeszcze prowadzić samochód. Ale zrób mi małą przysługę, dobrze? Czy mógłbyś wyłączyć telewizor? Chciałbym porozmawiać z tobą o czymś.

Kosinski nie zdziwił się zbyt, kiedy Blake otworzył neseser i wydobyl z niego

urządzenie z wyglądu przypominające krótkofalówkę, jaką Kosinski posługiwał się niegdyś podczas patrolów. Nie zdumiał się również, gdy Blake włączył je, wysunął antenę i zaczął przesuwając ją wzdłuż ściany. Zaskoczyła go jednak historia, jaką Blake jednocześnie opowiadał. Mówił o swoim ojcu — policjancie, którego oskarżono o gwałt oraz roli, jaką w tej sprawie odegrał adwokat Max Steinberg. Były to dzieje powolnej degradacji porządnego gliny. Kosinski nie wypił jeszcze wystarczająco dużo, by pomylić ją ze swoimi własnymi losami, lecz owo staczenie się wydawało mu się na tyle bliskie, by przykuć jego uwagę.

— I dopiero teraz dowiedziałeś się o tym wszystkim? — spytał, kiedy Blake w końcu zamilkł.

— Tak. Moja matka miała któregoś dnia zły nastrój i opowiedziała mi tę historię. Być może sądziła, że uda się jej mną wstrząsnąć, ja jednak tylko żałuję, iż nie dowiedziałem się o wszystkim wcześniej, kiedy żył jeszcze mój ojciec i mogłem coś dla niego zrobić — przerwał, dając Kosinskiemu czas na chwilę zastanowienia. — Przez cały dzień starałem się przekonać samego siebie, iż mój ojciec nie był gwałciicielem, lecz nie potrafię poskładać tego do kupy — wskazał palcem maleńką dziurkę wywierconą w popękanej ścianie z płyty gipsowej, samymi ustami, bezgłośnie powiedział słowo „mikrofon”, a następnie przyklęknął. — W końcu który dzieciak tak naprawdę zna swojego ojca? Ojcowie są albo bohaterami, albo po prostu obcymi facetami. Lub jedno i drugie, tak jak w przypadku mojego staruszka — Blake powoli usuwał plastik maskujący połączenie płyt. — W każdym razie, Bell, postanowiłem, że muszę się dowiedzieć. Winny albo niewinny. I dlatego miałem nadzieję, że mi pomożesz. Chociaż odszedłeś na emeryturę, wciąż masz jeszcze kontakty w firmie. Poza tym, kiedy zadam pytanie Maxowi Steinbergowi, chcę mieć przy sobie obiektywnego świadka. Kogoś, kto mnie powstrzyma, gdybym dał się ponieść nerwom.

Kosinski widząc zminiaturyzowany mikrofon, poczuł, jakby cofnął się w czasie do swoich pierwszych dni w policji, kiedy potrafił jeszcze zdenerwować się podłością przestępców. Doskonale wiedział, do czego służyło znalezione przez nich małe, czarne pudełeczko, sam posługiwał się podobnymi, gdy pracował w wydziale do walki ze zorganizowaną przestępczością.

— Zrobię, co będę mógł — odparł. — Masz prawo poznać całą prawdę.

Blake z powrotem założył plastikową osłonę.

— Słuchaj, nie bierz tego do siebie, ale chciałbym jeszcze trochę porozmawiać, a twoje mieszkanie wydaje mi się nieco przygnębiające. Może pójdziemy gdzieś na jednego?

Dziesięć minut później siedzieli w samochodzie Blake'a i jechali w kierunku Manhattanu. Marty opowiadał o nadajnikach oraz mikrofonach parabolicznych, jak gdyby ich poprzednia rozmowa nigdy nie miała miejsca.

— Mamy trochę szczęścia, Bell. Biuro Steinberga znajduje się na dwudziestym piątym piętrze. Nie ma sposobu, by mogli wykorzystać nadajnik o małym

zasięgu, podobny do tego, jaki znaleźliśmy w twoim mieszkaniu. Najprawdopodobniej używają magnetofonu, co znaczy, że jeśli jeszcze nie zabrali kasety, wciąż mamy szansę. Osobiście...

— Chwileczkę — wtrącił się w końcu Kosinski. — Historia, którą opowiedziałeś o swoim ojcu była prawdziwa, czy po prostu wszystko zmyśliłeś? I nie próbuj przekonywać mnie, że ją wymyśliłeś, ponieważ mogę dojść do wniosku, iż mam do czynienia z osobą nie zrównoważoną psychicznie.

— Mówiłem szczerą prawdę.

— I nadal zamierzasz zrobić coś z tamtą sprawą? Chcesz dowiedzieć się, jak było naprawdę?

— Tak, ale nie od razu. Nie mam zamiaru zwracać się przeciwko Steinbergowi, dopóki nie przestanie być przydatny. Potrzebuję jego pieniędzy. Na razie jestem zbyt wkurzony, by myśleć o kimkolwiek innym niż Samuel Harrah. Ten facet uważa, że jest nietykalny, ale czasy się zmieniły. Dawniej jedynie gliny dysponowały wszelkim sprzętem, dziś nadeszła moja kolej.

10.

W pewnym sensie Steinberga należy podziwiać nie mniej niż Marty'ego Blake'a — pomyślał Kosinski. Podczas gdy Blake nie postawiłby nawet jednego kieliszka najgorszego świństwa, Maxwell Steinberg bez wahania dzieli się butelką hennessy wartą sześćdziesiąt dolarów. Całkowicie beztrojski.

Faktem było, że Steinberg ani na moment nie przestawał zadawać bezsensownych pytań — ku uciesze Kosinskiego, lecz jednocześnie rosnącemu zdenerwowaniu Blake'a. Max Bulldog nigdy się nie zniechęcał.

— Detektor CR? Czy ta nazwa w ogóle może być zrozumiała? Nie jestem technikiem. Czas świetności mojego pokolenia przypadła na lata pięćdziesiąte. Nie tylko nie potrafię zaprogramować magnetowidu, ale nawet czuję się onieśmielony, kiedy mam włączyć odtwarzanie. Dlatego wyjaśnij mi wszystko słowami, które będę w stanie zrozumieć.

Blake zdjął z uszu słuchawki, po czym odparł:

— Szukam nadajnika, Max.

— W takim razie twoje urządzenie powinno nazywać się „wykrywacz nadajników”. Każdej rzeczy należy nadawać nazwy zgodne z jej przeznaczeniem.

— W porządku, zgadzam się z tobą — Blake zaczął ponownie zakładać słuchawki, lecz spóźnił się odrobinę.

— Tak więc, proszę, powiedz mi, co oznacza CR?

— Częstotliwości radiowe.

Tym razem Blake zdołał założyć słuchawki, co zmusiło Steinberga do stuknięcia go w ramię.

— Słuchaj Max, nie mam czasu na te bzdury.

Przez chwilę Kosinski był niemal pewien, że Blake straci panowanie nad sobą. Ale nie, Marty, choć dolna warga zaczęła mu drżeć, a oczy zwężyły się w szparki, powoli zebrał się w sobie i zdobył nawet na niewielki uśmiech.

— Max, na miłość boską, twój oddech roztopia srebro w moich czujnikach.

— Nic dziwnego, jestem pijany, Marty. Nie spodziewałem się, że będę dziś jeszcze pracował, więc urządziłem sobie małą stypę po Billym Sowellu.

— To bardzo dobrze, że coś mówisz, gdyż głos uaktywnia pluskwy, ale mógłbyś pogadać sobie z moim współpracownikiem, panem Kosinskim. Śmiało. Spytaj go o wywiad i policję nowojorską.

Steinberg wyglądał na urażonego. Przez chwilę popatrzył na Blake'a, po czym powrócił do stojącej na biurku butelki.

— Zdaje się, że tylko ty pozostałeś mi do pogawędki.

— Wszystko na to wskazuje, Max.

— A więc, co wiesz o wywiadzie?

Kosinski napełnił swoją szklaneczkę, wznosił do góry i opróżnił ją.

— W latach trzydziestych, kiedy wywiad znany był pod nazwą Czerwony Oddział, zajmowali się śledzeniem komuchów. W latach czterdziestych ganiłi za nazistami; w pięćdziesiątych i sześćdziesiątych znowu śledzili komuchów; w siedemdziesiątych — czarnych bojówkarzy, portorykańskich nacjonalistów oraz białych rewolucjonistów. W latach osiemdziesiątych...? Któż to wie, Max.

Sprawy ucichły nieco i nie pamiętam, by ktokolwiek wspominał coś o wywiadzie, chyba że w związku ze zorganizowaną przestępczością. W każdym razie nie przypominam sobie niczego szczególnego.

Steinberg skinął głową.

— Może cię to zainteresuje, jeżeli powiem, że ów Czerwony Oddział wciąż jeszcze działa. Jeśli chodzi o mnie, to lubię posługiwać się tą nazwą ponieważ mój ojciec, który uważał się za socjalistę, w latach trzydziestych miał przez niego kłopoty. To jednak zupełnie inna historia. Teraz chciałbym opowiedzieć ci o pewnej sprawie z 1988 roku, związanej z klientem o nazwisku Boyd Harrison. Ów człowiek to prawdziwy arystokrata, zajmował stanowisko wiceprezesa w przedsiębiorstwie Smyth, Smyth i Paulson. Kiedy się na niego spojrzało, to jakbyś patrzyła na skały Gibraltaru.

— Znam ten typ ludzi — powiedział Kosinski. — Uwielbiałem zakładać kajdanki facetom, których garnitury kosztowały więcej niż mój samochód — odstawił szklanekę, pozwalając sobie na chwilę wspomnień. — Widzisz, kiedy zamykasz zwykłego cwaniaczka, zazwyczaj wygląda po prostu na zrezygnowanego. Goście w eleganckich garniturach przeżywają niemalże szok.

— To słowo doskonale określa sprawę Boyda Harrisona. Facet okazał się nałogowym hazardzistą, który przepuścił pół miliona dolarów. Niewinność w ogóle nie wchodziła w rachubę; mieli go na talerzu, a do mnie należało jedynie uzyskanie jak najniższego wyroku. Oczywiście wpierw skoncentrowałem się na poszukiwaniu sposobu, by nakłonić zastępcę prokuratora do jakichkolwiek negocjacji. Nie było to wcale proste, ponieważ od początku sprawa nie pozostawiała najmniejszych wątpliwości, a na dodatek ten osioł przyznał się do winy mundurowym, którzy go aresztowali.

Ja nie mam w zwyczaju chrzanić głupot swoim klientom, więc powiedziałem Harrisonowi co i jak i zapytałem, czy mógłby opowiedzieć mi o sobie jakiś szczegół, który nadawałby się do wykorzystania w sądzie. Na przykład, że trzy razy w tygodniu, na ochotnika, czyści toalety w przytułku dla bezdomnych.

Steinberg przerwał opowieść, kiedy Blake podszedł do biurka, odłożył jeden przyrząd, wziął drugi i bez słowa oddalił się.

— Bell, twój przyjaciel jest prawdziwym palantem.

— Zgadza się — odparł Kosinski — ale wykonuje doskonałą robotę. Kiedy adwokat nie odzywał się długo, Kosinski doszedł do wniosku, że podlicza on w

myślach wszystkie dotychczasowe rachunki wystawione przez Blake'a, zastanawiając się, czyjego usługi rzeczywiście są warte swojej ceny.

— W każdym razie — przerwał mi leżenie prawnik — historyjka, jaką opowiedział mi mój klient, a którą początkowo uważałem za stek kłamstw, wyglądała mniej więcej tak. Miesiąc przed aresztowaniem Boydowi Harrisonowi złożył wizytę glina, niejaki porucznik Anthony Carabone. Mój klient nie poprosił o okazanie legitymacji, rzucił jedynie okiem na odznakę, co samo w sobie nie stanowiło jeszcze żadnego dowodu. Ów Carabone przedstawił Harrisonowi całą jego przestępczą działalność, dokładny wykaz przywłaszczonych i przegranych aktywów, a następnie zażądał dziesięciu tysięcy dolarów w zamian za milczenie. Harrison przystał na tę propozycję, lecz oczywiście jako nałogowy hazardzista w wyznaczonym dniu nie miał ani grosza. Jakiś miesiąc później trafił za kratki.

Anthony Carabone — nazwisko kojarzyło się raczej z mafią, a nie policją lecz postanowiłem wszystko dokładnie sprawdzić, głównie dlatego, że nie miałem akurat żadnej innej sprawy. Naturalnie nie byłem taki głupi, by zgłosić próbę szantażu i czekać, aż gliny same przeprowadzą śledztwo. Nie, wpiery wykonałem kilka telefonów i odnalazłem pana porucznika Carabone... w wywiadzie. Oczywiście rozjuszyło mnie to, ponieważ przypomniało mi ojca, który nie mógł utrzymać się w żadnej pracy, gdyż za każdym razem pojawiał się facet w garniturze i szeptał słówko jego pracodawcy. Dlatego złożyłem wniosek o udostępnienie mi wszelkich posiadanych przez wywiad akt mojego klienta. Ma się rozumieć, spodziewałem się odpowiedzi, że takie akta w ogóle nie istnieją, zamiast tego jednak prokurator odmówił mi, powołując się na tajemnicę państwową i twierdząc, że ujawnienie tych akt mogłoby zagrozić interesom naszego kraju.

Sędzia, naturalnie, odłożył rozprawę wstępną, gdyż musiał zapoznać się z dokumentami. Oświadczył, że wszystko to zajmie mu od sześciu do dziewięciu miesięcy z powodu napiętego harmonogramu posiedzeń oraz pięciuset stron lektury, jakie dla niego przygotowałem. Bell, wierz mi, byłem w siódmym niebie. Udało mi się zabić im klina i miałem szczerzy zamiar dobić go do końca. Tak więc powiedziałem prokuratorowi: „Ubijmy interes, ale musisz się postarać, ponieważ rodzina mojego klienta jest wyjątkowo zamożna i gdyby przypadkiem sędzia orzekł werdykt przeciwko mnie (czego nie robi, gdyż Steinberg nigdy nie myli się w zagadnieniach proceduralnych), gotów jestem udać się do sądu federalnego”.

Kosinski potrząsnął głową, wspominając nienawiść, jaką żywił do obrońców, kiedy pracował jeszcze w policji.

— Zawieszenie kary, zgadza się? To ci zaoferowali?
— Mojemu klientowi, Bell. Ja nie byłem sądzony.
— I nie masz wyrzutów sumienia, że przestępca, który ukradł pół miliona dolarów, uniknął więzienia?

Steinberg założył ręce, a jego peruka przesunęła się do przodu.

— Na tym polega mój zawód — spojrział ze złością na Kosinskiego.
— Nikt ci nie kazał zostać obrońcą kryminalistów.

— Kosinski, nie spodziewałem się po tobie naiwności. Zadaniem adwokata jest reprezentować interesy swojego klienta. Nieważne czy jest on zwykłym obywatelem, czy wielką korporacją; nie liczy się, w jak złą popadł sytuację. obrońca ma sprawić, aby klient nawet z największych kłopotów wyszedł obronną ręką.

Zanim Kosinski zdołał odpowiedzieć, odezwał się Blake:

— Podejdźcie tu obaj. Znalazłem to — stał przy wiszącej na ścianie, wypchanej głowie bizona, wskazując na coś, czego w pierwszej chwili żaden z nich nie potrafił zlokalizować. — O, tutaj. Czarna kropka. To jest mikrofon.

— Wygląda jak dupa karalucha — skomentował Steinberg.

— Jeśli przyjrzyjecie się dokładnie, zauważycie przewód biegnący przez futro. Widzicie?

— Sukinsyny, założyli podsłuch w moim gabinecie. Zaklinam się, że całą tę sprawę zaczynam coraz bardziej brać do siebie. A kiedy Steinberg czuje się urażony, niech lepiej strzegą swoich tyłków.

— Bell, spróbujmy zdjąć głowę bez poruszenia przewodu. Chciałbym mieć pewność, że będzie biegł dokładnie tak samo, jak dotychczas.

Kiedy głowa bizona znalazła się na kanapie, wszystko stało się jasne. Magnetoфон umieszczony wewnątrz pustej czaszki włączał się na każdy dochodzący doń dźwięk.

— Trochę duży, co? — spytał Kosinski. — Spodziewałem się raczej czegoś wielkości karty kredytowej.

— Jak na magnetofon zdolny do nagrania dziesięciogodzinnej rozmowy, jest bardzo mały, wierz mi — Blake okręcił palce chusteczką, przewinał taśmę i zaczął przesłuchiwać. Ich uszu dobiegł głos Steinberga rozmawiającego przez telefon, wrzeszczącego na klientów, na sekretarkę, stękanie Steinberga z kobiecym głosem w tle wołającym: „Szybciej Maxwell, szybciej, szybciej, szybciej”.

— No cóż — odezwał się Steinberg, wyłączając magnetofon — moim jedynym grzechem jest to, że ona bierze dwieście dolarów, by niemal zamęczyć mnie na śmierć.

— Nie obawiaj się, Max — odparł Blake — nie zamierzamy cię potępiać. Ja i Bell zawsze bronimy interesów naszych klientów. Nie pamiętasz przypadkiem, kiedy odbyło się to nad wyraz miłe spotkanie?

— Dwa dni temu, po godzinach.

— Dobrze. Oznacza to, że nasza wczorajsza rozmowa również jest na tej taśmie. Przesłucham ją w całości w domu, żeby się upewnić — Blake wyjął kasety, włożył czystą, po czym odwrócił magnetofon. Posługując się powlekanym gumą śrubokrętem, otworzył obudowę. — Ważne, żeby nie było zarysowań — powiedział — ponieważ z pewnością będą szukać śladów czyjegoś majstrowania.

Odnalazł cienki, czerwony przewód biegnący od silniczka, a następnie koniuszkami palców obluźował go. Kiedy ponownie nacisnął start i nic się nie wydarzyło, uśmiechnął się i skomentował:

— Wadliwe wykonanie. Przekleństwo nieuczciwego szpiega. Mogą zgadywać,

lecz nigdy nie będą mieć całkowitej pewności.

Steinberg zerknął na swojego kolegę od kieliszka.

— W porządku — rzekł — chłopak naprawdę wykonuje kawał dobrej roboty. Drogo, ale dobrze.

— Podobnie jak tamta dziwka? Szybciej, Maxwell, szybciej, szybciej, szybciej — ton głosu Kosinskiego podniósł się o oktawę.

— Cóż mogę na to poradzić, Bell? Doktor każe mi zażywać więcej ruchu, a rowery treningowe są takie nudne.

Blake uniósł magnetofon do góry.

— Czy nie uważacie, że moglibyśmy omówić kilka spraw? — ponieważ nikt mu nie odpowiedział, kontynuował: — Od tej pory, jeśli nie zapewnię was, że jest inaczej, powinniście zakładać, iż wielki brat słyszy każde wasze słowo. Zrozumiano? — zaczął, aż obaj skinęli głowami na potwierdzenie. — Moim zdaniem Harrah nie może wykorzystać całego swojego potencjału. Właśnie dlatego nie mamy osobistych stróżów, a oni posługują się zaledwie jedną furgonetką ze sprzętem podsłuchowym. Max, ten szantaż, o którym opowiadałeś — w jaki sposób wywiad mógł odkryć, że twój klient dopuszczał się defraudacji, jeżeli nie byłby częścią jakiegoś większego śledztwa?

— Naturalnie pomyśleliśmy o takiej możliwości — odparł Steinberg. — Z początku wydawało się to nie mieć najmniejszego sensu — Harrison był konserwatywnym weteranem wojny wietnamskiej odznaczonym przez samego Ronalda Reagana. Jego żona była równie prawomyślna jak on, z tą różnicą, że więcej czasu poświęcała dobrowolnej pracy w dziecięcym ośrodku pomocy społecznej imienia Bedforda-Stuyvesana. Jej zdaniem ośrodek był jak najbardziej porządny, nie wiedziała, że jego zarządca, Ramon Tavares, został skazany za przechowywanie w piwnicy setki karabinów M16. Według policji Tavares należał do portorykańskiej organizacji terrorystycznej. Być może pani Harrison wraz z mężem po prostu znalazła się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwej porze i dlatego zostali namierzeni.

— Możliwe — odrzekł Blake — lecz gdzie tu miejsce na szantaż? Chyba że Samuel Harrah prowadzi na boku prywatny interesik. I właśnie dlatego nie sądzę, by mógł zaangażować przeciw nam wszelkie dostępne mu środki. Jeśli w wywiadzie pracuje choć jeden uczciwy glina, nie może tego zrobić.

— To byłoby zbyt drogie — przerwał Kosinski. — Żeby opłacać cały wydział. Zbyt drogie i zbyt niebezpieczne.

— Przepraszam — odezwał się Steinberg — lecz nie dostrzegam żadnego związku pomiędzy owym szantażem a wrobieniem Billy'ego Sowell. Według mnie w drugim przypadku mamy do czynienia ze zwyczajną łapówką.

Blake uniósł do góry obie dłonie.

— W tym momencie nie sprawia to większej różnicy. Piłka w grze i musimy za nią biegać gdziekolwiek się potoczy. Ale miło jest wiedzieć, iż nie mamy przeciwko sobie trzydziestu tysięcy policjantów. Bell, jutro rano w drodze do mnie

skorzystaj z autobusu. Będziemy jeździć razem.

— A co z moim samochodem?

— Zwróć go do wypożyczalni. Sprawdziłem swój wóz i był czysty, ale nie mogę mieć absolutnej pewności co do twojego, a nie chciałbym przeszukiwać go na ulicy. Słuchajcie, moim zdaniem Samuel Harrah traci grunt pod nogami. Czuje się zagrożony, a nie ma zielonego pojęcia o naszych zamiarach. Na dodatek jest śmiertelnie przerażony i dlatego nas obserwuje. Wierzcie mi, chłopcy, to tylko kwestia czasu, byśmy zdobyli dowody i pozbyli się go raz na zawsze. Chyba że wpierw nas pozabija.

Kosinski spojrzął w oczy Blake'a, dostrzegł uśmiech szaleńca. Zamierzał już powiedzieć coś o panowaniu nad sobą, kiedy Marty odezwał się ponownie:

— Ale nie obawiajcie się, załatwię wszystko tak, że nawet jeśli rzeczywiście nas zabiją, i tak pójda do więzienia.

11.

Siedząc w swoim samochodzie, Marty słuchał, jak krople deszczu uderzają o dach i jednocześnie spoglądał przez okno na drzwi prowadzące do Eternal Memorials. Nadszedł czas na refleksję, na podjęcie ostatecznej decyzji. Miał jeszcze szansę wycofać się, zmienić zdanie, uciec. Wuj Patrick wyraził się wystarczająco jasno. Kiedy pojawił się niespodziewanie przed drzwiami Marty'ego, Blake ostrzegł go gestem, a następnie zaprowadził do mieszkania matki.

— Podszuch? — spytał Patrick Blake. — Nie mogę w to uwierzyć.

— Wszystko, nawet telefon — Marty z trudnością zapanował nad wyrazem swojej twarzy.

— Jezu Chryste!

Z punktu widzenia Marty'ego ich rozmowa równie dobrze mogła się na tym zakończyć. Wuj Patrick przyszedł, by nakłonić bratanka do zamiany decyzji, „zanim będzie za późno”. Nalegał tak usilnie, niemal z desperacją, że w końcu Blake zaczął żywić pewne podejrzenia.

— Chyba mnie nie sprzedałeś, wujku? Nie położyłeś na szafocie głowy swojego bratanka?

Wypowiedziane oskarżenie sprawiło, że policjant ruszył w stronę drzwi. Jego zaciśnięte usta wyrażały oburzenie.

— Marty, powiedz mi tylko jedno. Co ty z tego będziesz miał? Czy ktokolwiek na tym zyska? — Patrick Blake zatrzymał się w otwartych drzwiach, wypełniając je sobą całkowicie. Ubrany we wspaniałą, kapitański mundur włożył na czoło służbową czapkę i wypowiedział swą ostatnią uwagę. — W tej grze nie będzie zwycięzców. Żadnych pochwał. Jeżeli załatwisz glinę — nawet skorumpowanego — będziesz za to płacił przez wszystkie następne dni życia spędzone w Nowym Jorku. Pamiętasz Serpico? Pamiętasz, że uczciwi policjanci również go nienawidzili?

Kiedy drzwi się zatrzasnęły (o wiele łagodniej niż Marty się tego spodziewał), Blake odwrócił się w stronę matki, oczekując poparcia. Mylił się. Dora Blake w milczeniu nałala dwa kubki kawy, a potem zaatakowała syna.

— Pamiętasz, co powiedziałam ci kilka dni temu o ojcu? O tym, że nie byłam pewna jego winy lub niewinności? To nie była prawda. Wiem, że on tego nie zrobił, nie mógł... — zawahała się, spojrzała w dół na swoje stopy. — Wiem, że twój ojciec, a mój mąż, nie był gwałcicielem, ale nie potrafiłam go o tym przekonać. Nic zdołałam do niego dotrzeć. On postanowił skończyć z sobą i spełnił swoje postanowienie.

Blake przez moment przyglądał się matce, dostrzegając jej zażenowanie. Nie miałby nic przeciwko niemu, jeżeli wreszcie usłyszałby całą prawdę. Zastanawiał się, czy przypadkiem niemożność dotarcia do męża nie była spowodowana tym, że matka za bardzo skupiła się na utrzymywaniu jego hańby w sekrecie.

— Ojciec poddał się — powiedział w końcu. — I jeśli okaże się, że nie mam racji, ja również się poddam. Obiecuję ci jednak, mamó, że kiedy skończę już z Samuelem Harrahem, zmuszę Maxa Steinberga do powiedzenia całej prawdy. Po wiadom mnie, jeżeli będziesz chciała ją usłyszeć.

Wrócił do swojego mieszkania i próbował zapomnieć na jakiś czas o Matthew Blake'u. Gdy wychodził, w skrzynce pocztowej znalazł list od Rebeki Webber.

Sprawy potoczyły się bardzo źle. Nie możemy nawet ruszyć się z hotelu, żeby jakiś obdartus nie nazywał nas „ausländer”. Schlafsitz des Rabes zostało bezpowrotnie stracone. Wracamy drugiego września.

REBEKA

Schlafsitz des Rabes? Nie było żadnego „kocham cię” czy „tęsknię za tobą”. Ani nawet „pragnę twojego ciała”. Jednak wiadomość była wystarczająco przejrzysta. Wracamy drugiego września. Bądź gotowy.

Na dworze lał deszcz. Marty pomyślał, że Rebeka jest mu potrzebna tak samo jak ta ulewa jego mokasynom. Do drugiego września został jeszcze ponad tydzień. Wystarczająco dużo czasu, by zakończyć śledztwo, rzucić wyzwanie Steinbergowi oraz przygotować się na powrót Rebeki. Może powinien pojechać do Bloomingtona i kupić jedwabną pidżamę z przyszytym z tyłu króliczym ogonkiem? Przynajmniej na tyle było go stać.

Najdziwniejsze, że w zawodowym życiu Blake'a wszystko układało się doskonale. Steinberg pomimo niezadowolenia podpisał pięciocyfrową kwotę na czeku; w domowym i służbowym telefonie Johana Tillsona znajdowały się podsłuchy; w podmiejskim domu sędziego McGuire'a było tyle pluskiew, iż Blake bez trudu mógł słyszeć jego śpiew pod prysznicem. W końcu odezwał się także Gurpreet Patel, wzywając Marty'ego do siebie za pomocą związłego, lecz pełnego samochwalstwa telegramu. Skontaktowała się również Joanna Bardo, która zawiadomiła Blake'a, iż ów starszy klient posiadający niedyskretną żonę w ostatniej chwili wycofał się, gdyż jego małżonka złożyła pozew o rozwód. Prawdopodobnie wymyślała się z domu na spotkania z adwokatem, a nie kochankiem.

Blake otworzył drzwi i wystawił na zewnątrz parasol. Po chodniku płynęły strumienie wody. Jeżeli postawi nogę przed zbliżającą się falą, z pewnością przeleje się ona wierzchem.

— Cholera — zaklął na głos — że też człowiek musi się tyle nacierpieć.

Nie docenił siły prądu płynącej wody. Fala, nie zadowolając się samym mokasynem, chlapanęła do góry, zalewając całą łydkę i sięgając kolana. Uczucie to, jak się okazało, nie było aż takie straszne. Ale mankiety u spodni będą ociekały wodą a mokasyny wydawały z siebie syczące dźwięki, dopóki nie wróci do domu i się nie

przebierze. Gulp Patel, oczywiście, zauważył to natychmiast.

— Wspaniale, Marty Blake. Zafundowałeś sobie wodospad z bąbelkami — powiedział, wskazując na nogi Blake'a — i cudownymi efektami dźwiękowymi.

— No cóż, po prostu byłem zbyt niecierpliwy, by przeczekać ulewę.

— To niemądrze. Należy ćwiczyć cierpliwość. Trzeba czekać jak modliszka czająca się w trawie. Powinieneś...

— Daruj sobie te bzdury. Nie jesteś Buddą.

Gulp Patel skubnął swoją brodę.

— Nie jestem nawet buddystą — przyznał. — A więc cóż, mój koniku polny. Tak jak pączek staje się różą, tak chłopiec zmienia się w mężczyznę.

— Proszę o fakty, Gulp.

— Fakty, fakty, zawsze te fakty. To właśnie największy problem z wami Amerykanami. Treść bez żadnego stylu. Fakty są tak... tak cholernie natrętne.

— Tak? No cóż, tobie płacą za twój styl — Blake zerknął na znajdujące się na suficie malowidło. — Wspierają cię w szaleństwie, do którego przywykłeś.

— Prawda — odparł Gulp Patel — a to sprowadza nas wprost do najważniejszego zagadnienia. Pieniądzy. Z pewnością zmartwisz się słysząc, że musisz zapłacić osiem tysięcy dolarów za coś, co z łatwością zrobiłbyś sam.

— Czy te osiem tysięcy jest dopłatą do trzech, które dałem ci wcześniej? — Blake zignorował złośliwą uwagę wyrażoną w ostatnim zdaniu. Powody, jakie miał, by nie dokonywać osobiście wstępnego rozpoznania, nie powinny obchodzić Patela.

— Od zadawania podobnych pytań spróchnieją ci kiedyś zęby.

— Rozumiem, że to potwierdzenie.

— Tak jakby.

— I nie zamierzasz przekazać mi zdobytych informacji, zanim ci nie zapłacę?

— Tak jakby.

— To za dużo, jak za coś, co zgodnie z twoją opinią z łatwością mogłem zrobić sam.

— Możesz potraktować to jako nauczkę. A jednak, choć z łatwością mogłeś zrobić wszystko sam, byłoby to niezwykle trudne oraz czasochłonne. Nic nie znajdowało się tam, gdzie powinno. Musiałem stać się prawdziwym detektywem.

— W przeciwieństwie do fałszywych detektywów?

— Tak jakby.

— Skąd mogę wiedzieć, że masz cokolwiek godnego uwagi?

— To jest w ogóle nieistotne, ponieważ płacisz za wysiłek, a nie za rezultaty.

— Za styl, a nie za treść?

— Tak jakby.

Blake jeszcze przez jakiś czas targował się, lecz doszedł do wniosku, że nie ma ochoty na dalszą zabawę. Jego myśli ulatywały ku Rebecce Webber, ku ich ciałom zaspokajającym wzajemne pożądanie, podczas gdy szpule magnetofonu ani na moment nie przestają się kręcić. Wyobrażenia podnieciły go, szczególnie ich finał, gdy Rebeka się dowie, iż przez cały czas ktoś ich podsłuchiwał. Czy zdenerwowała by się i wybiegła z jego mieszkania? Czy może zaśmiała by się, podekscytowała i zażądała kamer wideo?

— Słuchaj Gurp, na początku chciałeś siedem tysięcy i tylko tyle gotów jestem ci zapłacić. Nie powinienes być mi mówić, że mogłem się obejść bez twojej pomocy.

Patel wyprostował się i wypiął swój ogromny brzuch w stronę Blake'a.

— Byłem dla ciebie dobrym przyjacielem, Marty. Może zbyt dobrym. Powinienes pamiętać, że mogę stać się również wrogiem.

— W obecnej chwili nie ma to większego znaczenia — Blake założył ręce i kontynuował: — Nie martwię się tym, co nastąpi, kiedy skończę sprawę, ponieważ tak czy owak nie będę miał wtedy już nic do powiedzenia. Będzie po mnie i tyle.

— Czy masz na myśli stan, w którym człowiek nie potrzebuje już pieniędzy? W takim razie tym bardziej powinienes oddać mi wszystko, czym dysponujesz — pomimo złowrogiego tonu, wyraz twarzy Patela zmienił się. — Marty Blake, dlaczego to robisz? Czy chodzi o sprawiedliwość? Sądziłem, że znam cię bardzo dobrze, ale myliłem się. Nie jesteś zwyczajnym, amerykańskim cynikiem, za jakiego cię uważałem, teraz twierdzę, że jesteś wspaniałym, amerykańskim romantykiem. Nieważne, że twoja ofiara nie żyje. Robisz to dla zasady.

Blake nie zamierzał odpowiadać, lecz wbrew sobie postąpił inaczej. Wszyscy zadają mi wciąż to samo przekłete pytanie — pomyślał. Być może muszę znaleźć odpowiedź, która pozamyka im gęby.

— Nie chodzi o sprawiedliwość — odparł spokojnie — lecz o arogancję Samuela Harraha. O moją własną, jeszcze większą arogancję. Chcę dopaść Samuela Harraha, ponieważ zaszedł na sam szczyt.

Patel pomyślał chwilę, w końcu potrząsnął głową i uśmiechnął się.

— W takim razie zawiedziesz się, ponieważ nie znalazłem żadnego bezpośredniego powiązania między Samuelem Harrahem i Johnem McGuirem lub Johnem Tillsonem.

— Czy to oznacza, że godzisz się na te cztery patole?

— Czynię to z dobrego serca — Patel skromnie się uklonił, a następnie przyjął i przeliczył pieniądze. — W porządku. Tak więc zaczynam od kont bankowych Johana Tillsona sądząc, że taki bogaty człowiek musiał otrzymać pokaźną łapówkę, gdyż za parę groszy nie darowałby zabójcy swojej żony. Nie znajduję jednak nic, żadnych dużych wpłat, żadnej serii mniejszych. Podobnie jeśli chodzi o jego karty kredytowe — wszystko normalnie; co miesiąc wpłaca pieniądze zwykłym

czekiem. Ma sporo różnych akcji, lecz od dłuższego czasu w ogóle nimi nie obraca.

No cóż, myślę sobie, może Samuel Harrah posłużył się raczej kijem, a nie marchewką. Byłoby źle, ponieważ groźby nie pozostawiają śladów na papierze. Wciąż jednak nie poddaję się. Możliwe, że łapówka przyszła za pośrednictwem firmy Tillsona. Jeśli tak, to na szczęście jego przedsiębiorstwo jest w pełni skomputeryzowane. Gdybym musiał grzebać w jakichś szafkach...

Blake siedział na krześle wyprostowany, na jego twarzy malował się niewielki uśmiech.

— Gulp, czy zamierzasz mi powiedzieć, że włamałeś się do biura Johana Tillsona? — Marty nie potrafił oprzeć się pokusie wyobrażenia sobie Patela trzymającego się rynny i za pomocą kuli do gry w kręgle wybijającego szybę w oknie na drugim piętrze.

— Naturalnie nie osobiście — pochylił się do przodu, drapiąc się palcem wskazującym po nosie. — Wiesz, w swoim czasie, nazywano mnie azjatyckim Jamesem Bondem. Zapewniam cię, był ze mnie całkiem żwawy i odważny facet.

— Ale obecnie...?

— Obecnie mam inne zajęcia. Ale rozmawialiśmy o przedsiębiorstwie Tillsona. Początkowo zabieram się za szukanie dużych transakcji finansowych, którym nie odpowiada jednocześnie żadna zmiana w inwentarzu. Może faktura kupna od jakiejś fikcyjnej spółki. Niestety, wszystko wydaje się jak najbardziej w porządku, oprócz jednej pozycji. Pięć miesięcy po zabójstwie Sondry Tillson jej mąż kupił na Long Island magazyny, które wcześniej przez długi czas dzierżawił. Transakcja opiewała na kwotę dwustu tysięcy dolarów. Sprzedawca to Landsman Properties.

Nie jestem wprawdzie ekspertem w dziedzinie nieruchomości, ale powyższa suma nie wydała mi się zbyt wielka jak na czteropiętrowy budynek o powierzchni użytkowej prawie czterech tysięcy metrów kwadratowych. Co więcej pan Tillson płacił sześć tysięcy dolarów miesięcznie za prawo korzystania tylko z dwóch pięter. Dlatego szukam dalej i dowiaduję się, iż ta sama nieruchomość zmieniła właściciela dwa miesiące wcześniej, zanim kupił ją Johan Tillson. Wówczas zapłacono za nią osiemset tysięcy.

— No i proszę, mamy łapóweczkę jak na tacy. Wszystkie dane pochodzą z baz, do których dostęp jest otwarty, tak więc z łatwością mogłeś je zdobyć i bez mojej pomocy. Powiedz mi, Marty, w jaki sposób wytłumaczysz ten wydatek swojemu klientowi?

Blake zerknął na zegarek, postukał weń i przyłożył do ucha.

— Gulp, czas ucieka. Muszę się spieszyć, żeby w ciągu godziny zakończyć naszą rozmowę, a później wraz ze swoim współpracownikiem dojechać do Manhasset. A jeśli chodzi o klienta, no cóż... z twojego punktu widzenia to ja jestem klientem. Opowiedz mi teraz o Landsman Properties.

— Landsman Properties była spółką z Delaware...

— Powiedziałeś „była”?

— Tak, zgadza się. A teraz może wreszcie posłuchasz. Utworzono ją dokładnie na miesiąc przed zakupem magazynu, zlikwidowano w miesiąc po dokonaniu transakcji sprzedaży. Jedynym akcjonariuszem spółki był mężczyzna o nazwisku Alan Green, ojciec Edwarda Greena.

— Burmistrza Manhattanu? Tego Edwarda Greena? — chociaż powyższa informacja doskonale pasowała do całej układanki, Blake był zupełnie zaskoczony. Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebował, był kolejny potężny przeciwnik.

— Zgadza się, to on we własnej osobie. Nie dowodzi to jeszcze, że Edward Green był kochankiem i zabójcą Sondry Tillson. Być może winę ponosi staruszek. Co prawda Alan Green ma siedemdziesiąt osiem lat i jednostronny paraliż po wyławie, ale... — Patel przerwał w połowie zdania i zaczął, aż Blake uśmiechnie się do niego. — Edward Green jako burmistrz oczywiście nie może osobiście rozdawać łapówek. Zgodnie z prawem każdego roku zobowiązany jest składać zeznanie majątkowe; jakkolwiek wątpliwa transakcja z pewnością zostałaby poddana skrupulatnej kontroli. Jego ojciec natomiast nie ma takiego obowiązku. Staruszek przez prawie pięćdziesiąt lat był... komiwojażerem.

Blake skinął głową, w duchu podziwiając profesjonalizm Patela.

— Zakładam, że dysponujesz wydrukiem z odpowiednimi liczbami oraz datami.

— Zakładasz prawidłowo. A teraz zajmijmy się szanownym Johnem McGuirem, którego finanse nie zdradzają najmniejszej nieprawidłowości. Jego zasoby są niewielkie, posiada właściwie tylko dom wartości pięciuset pięćdziesięciu tysięcy dolarów, kupiony w 1971 roku. Mówię ci, Marty, w jego przypadku żadne pieniądze nie przechodziły z rąk do rąk.

— Może myliłem się co do niego — zastanawiał się Blake. — Może zbliżyły się wybory i postanowił, że dyskrekcja przyda mu się o wiele bardziej. W końcu Billy Sowell został oskarżony o zabicie białej kobiety. Wypuszczenie go na podstawie uchybień proceduralnych nie przysporzyłoby głosów McGuire'owi.

— Nie Marty, nie myliłeś się, lecz odpowiedzi nie należało szukać na koncie sędziego. Bez trudu znalazłbyś ją w gazetach, gdyby tylko chciało ci się poszukać. Jak donosił *The New York Times* na trzy miesiące przed rozprawą Billy'ego Sowell a syn Johna McGuire'a, Bradford, został aresztowany za próbę sprzedaży stu gramów kokainy policyjnemu agentowi. Było to trzecie aresztowanie Bradforda, za pierwszym razem sprawę zakwalifikowano jako wykroczenie, za drugim jako drobne przestępstwo. W obu przypadkach otrzymał wyroki w zawieszeniu, a teraz czekałoby go więzienie. W dwa dni po tym, jak sędzia John McGuire skazał Billy'ego Sowell a, oskarżenie przeciwko synowi zostało wycofane z braku dowodów. W niewyjaśniony sposób kokaina zniknęła z laboratorium.

Nie pozostało nic więcej do powiedzenia. Blake zaczął się już podnosić do wyjścia, na pożegnanie pochwalił Patela:

— Doskonała robota, Gulp. Teraz przyszedł czas, by rozpętać burzę. Najwyższy czas.

— Zanim wyjdiesz, proszę powiedz mi, jak twoim zdaniem wszystko się odbyło.

— To proste, Gulp. Edward Green zabił Sondrę Tillson, a Samuel Harrah pomógł mu zatuszować sprawę. Ja... Gulp, czy twoja ciekawość została wystarczająco pobudzona, byś poświęcił piętnaście minut na sprawdzenie aktu urodzenia Billy'ego Sowell?

— Zrobimy to w dziesięć.

Dwanaście minut później na monitorze ukazał się poszukiwany dokument. Sowell urodził się 16 marca 1973 roku w szpitalu Columbia Memorial. Ważył 2800 gramów, nazwisko matki brzmiało Barbara Sowell, jako ojca podano Edwarda Greena.

— Mamy powiązanie — stwierdził Blake. — To stąd Barbara Sowell miała pieniądze na mieszkanie oraz utrzymanie Billy'ego. Dlatego właśnie po jej śmierci fundusze nagle się wyczerpały. Informacje zawarte w akcie urodzenia pochodzą od matki. Green mógł wszystkiemu zaprzeczyć, lecz chciał i nadal chce być burmistrzem, dlatego zdecydował się jej płacić. Cholera, założę się, że płacił również Samuelowi Harrahowi. Widzisz, przez cały czas nurtowało mnie pytanie, jak to się stało, że wrobiono akurat Billy'ego Sowell. Skąd wiedzieli o istnieniu tego opóźnionego w rozwoju, bezdomnego chłopca? Teraz znam już odpowiedź — Edward Green zabił swoją kochankę, a następnie poświęcił własnego syna, aby za wszelką cenę pozostać burmistrzem Manhattanu, zamiast odsiadywać w nowojorskim więzieniu stanowym wyrok od dziesięciu lat do dożywocia — Blake nagle przerwał. — Wiesz, Gulp, co jest najśmieszniejsze w całej tej sprawie? Otóż Green oraz Harrah uważają, że są bezpieczni. Green liczy zdobyte głosy, a Harrah zarobione pieniądze. Ale to ja mam ich w ręku.

12.

— Mamy więc ostatni fragment układanki — powiedział do swojego partnera Blake. — Edward Green zarzyna swoją kochankę, a następnie udaje się do Samuela Harraha z prośbą o uratowanie mu tyłka. Green jest popularnym politykiem, więc być może zna Harraha wystarczająco dobrze, by móc do niego się zwrócić. Możliwe też, że Harrah przez cały czas szantażował Greena, a wrobień Sowell stanowiło prawdziwie niedźwiedzią przysługę. W każdym razie sprawę prowadzi nieugięty Bell Kosinski, ona dodatek wiadomo, że Tillson wszystko wyzna, jeżeli szybko nie znajdą kogoś. Ale kogo? Nie ma przecież tysiąca kandydatów czekających, by dać im szansę. Jeżeli wybiorą niewłaściwego człowieka, który zjawi się z adwokatem oraz alibi, znajdą się w jeszcze gorszej sytuacji niż na początku. Okazuje się jednak, że Edward Green ma w swojej rodzinie idealnego kozła ofiarnego. Jest nim bezdomy, nedorozwinięty pijak — Billy Sowell, mieszkający w skrzyni nad rzeką. Nieślubny syn pana burmistrza.

— Pasuje jak ulał, Marty — Kosinski dotknął kolby swojej trzydziestkiósemki. — I nie mam najmniejszych wątpliwości, że uda nam się znaleźć na wszystko dowody. Ale pozwól, że zadam ci jedno pytanie. Jak sądzisz, co Samuel Harrah robi z pieniędzmi zarobionymi przez te wszystkie lata na szantażu. Musi je gdzieś lokować, prawda?

— Prawda.

— W takim razie odnalezienie stosu forsy, której pochodzenia Harrah nie będzie potrafił wyjaśnić, stanowiłoby ostateczny dowód, niezbędny do wysłania go za kratki.

Blake przez moment stukał palcami w kierownicę, po czym znów odwrócił się do partnera.

— Pomyślałem już o tym, Bell. Prawdopodobnie konto Harraha mógłbym odnaleźć nawet sam, gdybym nie miał nic innego do roboty. Niestety, tak nie jest, a zapłaciłem już siedem tysięcy dolarów za dotychczas zdobyte informacje, więc nasz budżet stał się niezwykle skromny. Do tego czeka nas jeszcze usunięcie zainstalowanego sprzętu oraz dostarczenie właściwym ludziom nagranych kaset. Nie ma się co oszukiwać, jest nas tylko dwóch i nie damy rady zrobić wszystkiego. Jeżeli uderzymy w McGuire'a lub w Tillsona albo jeśli odkryją nasze podsłuchy, być może będziemy zmuszeni do zajęcia się samym Harrahem. Na razie jednak sądzę, że powinniśmy trzymać się tego, co już mamy

Siedzieli w wynajętej furgonetce zaparkowanej przed sklepem z napojami alkoholowymi na Northern Boulevard w Manhasset. Kosinski z zadowoleniem pociągał z butelki smirnoffa, w myśli porównując się do przekarmianego niemowlęcia kurczowo ściskającego rączką przystawioną do jego ust butelkę z mlekiem.

— Jeżeli stanie się tak, jak mówisz, będziemy niczym Dawid stający przeciw Goliatowi.

Marty Blake uruchomił silnik i ruszył. Jadąc powoli, zatrzymywał się często na czerwonych światłach i rozkoszował bliskością ostatecznego zamknięcia sprawy. Kosinski patrzył przed siebie. Na swój własny sposób, nie dając po sobie nic poznać, również przygotowywał się do dalszego działania. Myślał o szanownym Johnie McGuirze, liberalu, który poświęcił życie Billy'ego Sowell dla kilku lat życia swojego syna. Skazał niewinno, by ratować handlarza narkotyków.

— Nigdy o tym nie rozmawialiśmy — powiedział nagle. — W wydziale zabójstw. Nie mówiło się, na czym polega różnica. Zapewne w obyczajówce było tak samo, ale ja nigdy tam nie pracowałem. Chcę powiedzieć, że w wydziale zabójstw zawsze miało się ofiarę leżącą na stole w kostnicy. To coś zupełnie innego niż zamknięcie dziwek czy włóczęgów. Wiem, że nie powinno się im współczuć, ale kiedy zakłada się kajdanki pobitej prostytutce, to coś zupełnie innego niż gdy odczytuje się prawa jakiemuś mordercy. Każdy, kto pracował w zabójstwach, powie ci to samo. Najbardziej nienawidziłem tego, że nie wszystkie sprawy można było zamknąć.

Blake skręcił w lewo w Onderdonk Avenue. Liczne na Northern Boulevard centra handlowe ustąpiły miejsca prywatnym domom otoczonym gęstymi, zielonymi trawnikami oraz wypiełgnowanymi żywopłotami. Sierpniowe kwiaty — astry, lwie paszcze, dalie, malwy, cynie — kwitły ponad obwódkami z nagietek. Delikatna mgiełka tłumiała bogactwo barw, stapała je i mieszała ze sobą. Gęste listowie japońskich klonów niczym ceglany mur chroniło domy przed ciekawskimi spojrzeniami przejeżdżających.

Raj, pomyślał Marty Blake. Tak właśnie wygląda ta dzielnica. Prywatny raj, którego właściciele kontrolują wszystko oprócz swoich dzieci. W jakiś tajemniczy sposób, mimo wysokiego statusu zawodowego matek i ojców, niektóre z tych dzieci wyrastają na włóczęgów i handlarzy. Zawodzi tu cała gadanina o prawie i porządku. — Wysoki sędzie, to dobry chłopak. Proszę dać mu jeszcze jedną szansę. Wiem, że popieram jedynie tych sędziów, którzy orzekają dożywocie wszelkim łachudrom, ale proszę zlitować się nad moim dzieckiem. Wysoki sąd widzi przecież, że nie jest czarnuchem.

Blake zatrzymał samochód przy Andrew Street 2115. Na niemal półakrowej działce stał jeden z niewielu w okolicy domów, z wyglądu przypominających rancho. Był ogrodzony dwumetrowym, pomalowanym na czerwono, drewnianym płotem. Został on postawiony na żądanie lokalnej administracji oraz zakładu ubezpieczeniowego, by małe dzieci z sąsiedztwa nie mogły wpaść do znajdującego się na tyłach domu basenu.

Ów płot podczas poprzedniej wizyty Blake'a posłużył również do innego celu. Korzystając z jego osłony, mógł spokojnie uporać się z alarmem, bez wyważania otworzyć tylne drzwi, wejść do środka i wyjść, nie pozostawiając po sobie śladu. Pozwolił mu on także ukryć magnetofon wraz z odbiornikiem w donicy jednego z

kwiatów oraz upewnić się, czy działa, nie przejmując się sąsiadami, przechodniami czy wałęsającymi się psami. Blake, podobnie jak wszyscy włamywacze, uwielbiał wysokie płoty.

— Gotowy? — zapytał Marty.

— Tak — odpowiedział Kosinski. — Już od dawna.

— Cholera, szkoda, że to nie ja wchodzę.

Blake przeszedł na tył furgonetki, gdzie zajął się obsługą magnetofonu identycznego, jak ten schowany na podwórzu. Chciał mieć cokolwiek na wypadek, gdyby okazało się, że Harrah jest wystarczająco sprytny (albo przerażony), by sprawdzić dom sędziego w poszukiwaniu ewentualnego podsłuchu. Wiedział, że ta sama sztuczka nie uda się w przypadku Johana Tillsona, ponieważ mieszkał on na dziewiętnastym piętrze dobrze strzeżonego budynku. Blake zdołał podłączyć się w piwnicy do linii telefonicznych, lecz założenie podsłuchu w samym mieszkaniu stanowiło zbyt wielkie i nieopłacalne ryzyko.

— Wiem, jak się czujesz, Marty — Kosinski otworzył drzwi i jedną stopę postawił na asfalcie. — Dlatego uważam, że korzystając z okazji, powinieneś wypracować sobie własną technikę. Zastanów się, co byś sam powiedział, a następnie porównaj ze słowami mistrza.

— Dzięki, mistrzuniu, życzę szczęścia.

13.

Szczęście, zastanawiał się Kosinski, idąc w kierunku wejścia, nie ma z tym nic wspólnego. Kiedy wie się wszystko, co potrzeba, pozostaje jedynie nakłonić przestępcę do mówienia. Nie będzie to chyba takie trudne, ponieważ nie jestem policjantem i na dodatek nie oczekuję od niego przyznania się do winy.

Nacisnął dzwonek, następnie rozpiął marynarkę, by odsłonić schowany pod nią rewolwer. Kiedy minutę później drzwi otworzyły się, przyjął beznamiętny wyraz twarzy.

— Sędzia John McGuire?

— Tak?

— Nazywam się Bell Kosinski, jestem prywatnym detektywem — pokazał swoją legitymację i zaczął, aż sędzia przyjrzy się jej dokładnie. — Pracuję dla adwokata Maxwella Steinberga, który reprezentuje niejakiego Williama Sowella. Powinien pan pamiętać, że ów Sowell podczas prowadzonego przez pana procesu przyznał się do popełnienia zabójstwa pierwszego stopnia — zaczął na odpowiedź i z zadowoleniem przyjął skinienie głowy McGuire'a. — Panie sędzio, rzecz w tym, że istnieją poważne wątpliwości co do winy Sowella. Obecnie jestem na emeryturze, lecz wówczas byłem jednym z policjantów przydzielonych do prowadzenia śledztwa, dlatego znam sprawę i nie sądzę, by tamten chłopiec rzeczywiście ponosił winę.

— Czy przygotowujecie panowie apelację?

Szare oczy McGuire'a wyrażały równie mało, co pozbawiony emocji ton głosu. Pięćdziesięcioletni McGuire był tęgi, potężny brzuch zwisał mu ponad paskiem. Stał wyprostowany, z wyciągniętą szyją, gotowy do ataku.

— Uważamy, że adwokat Sowella wykazał się niekompetencją. Właśnie o tym chciałbym z panem porozmawiać, jeśli poświęci mi pan chwilkę — Kosinski dostrzegł wahanie sędziego. — Niech pan posłucha, panie sędzio, byłem detektywem przez piętnaście lat. Miałem do czynienia z najgorszymi szumowinami i po prostu wiem, że tamten chłopak nie zabił. Gdyby zechciał pan poświęcić mi kilka minut, byśmy mogli szczegółowo omówić całą sprawę, z pewnością zrozumiałby pan mój punkt widzenia. Kilka dni temu odwiedziłem Sowella w więzieniu i proszę mi wierzyć, że ten dzieciak bardzo cierpi. On jest zwyczajną ofiarą.

McGuire zaszurał nogami, po czym zerknął za siebie w głąb domu.

— No cóż, proszę, sądzę, że kilka minut rozmowy nikomu nic zaszkodzi, lecz musimy zachować ciszę, gdyż moja żona czuje się nie najlepiej. Odpoczywa właśnie w swoim pokoju. — Kosinski podążył za sędzią przez pusty salon do niewielkiego gabinetu na tyłach domu. Kiedy weszli do środka, McGuire zamknął za nimi drzwi i poprosił Kosinskiego, żeby usiadł.

— Widzi pan — odezwał się — przyznanie się Sowella przyjąłem z pewnymi oporami. Pozycja oskarżenia wydawała się dosyć słaba, a obrońca sprawiał wrażenie zbyt chętnego do zawarcia ugody. Niemniej jednak, miałem związane ręce. Ja...

— Niech pan to zachowa dla gazet, panie sędzio. Wkrótce przeczyta pan w nich swoje nazwisko.

McGuire'a spojrział na Kosinskiego, a następnie szybko przeniósł wzrok na blat biurka.

— Sądzę, że powinien mi pan to wytłumaczyć — zdołał zachować spokój na twarzy, lecz na końcu zdania załamał mu się głos.

— Skłamałem panu przy wejściu — odparł Kosinski. — Celowo. W przeciwnym wypadku nie wpuściłby mnie pan — przerwał, oczekując jakiejś reakcji. Ponieważ milczenie przeciągało się, doszedł do wniosku, iż McGuire walczy z nękającymi go wyrzutami sumienia. — Billy Sowell nie będzie się odwoływać. Wie pan dlaczego? Ponieważ martwi nie mają prawa do odwołań.

— Martwi?

— Tak, stracił życie w wyniku napastowania seksualnego. Lekarz sądowy stwierdził, iż napastnicy — podobno było ich kilku — nie zamierzali go zabić, po prostu uderzyli trochę zbyt mocno. Moim zdaniem na ten wypadek należy patrzeć całościowo — lej go w mordę, pieprz go w dupę, patrz jak jęczy, niech cię błaga, a potem skończ z nim.

McGuire obrócił się na krześle w stronę okna. Przez moment wpatrywał się w znajdujący się na tyłach domu basen, po czym ponownie usiadł twarzą do Kosinskiego.

— Zapewne to jeszcze nie wszystko?

— Zgadza się, panie sędzio, zostało jeszcze sporo. Nie sądzi pan chyba, że przyszedłem tu, by rozmawiać o adwokacie Billy'ego Sowella? — Kosinski przerwał, a po chwili ciągnął dalej, traktując milczenie McGuire'a jako potwierdzenie. — Proszę mi powiedzieć, panie sędzio, co Komisja Praw Obywatelskich sądzi na temat wyciągania zeznań od świadka za pomocą hipnozy? Czy jest to dopuszczalna metoda? Zdaje się, że był pan dosyć znanym liberałem? Obrońcą praw konstytucyjnych? Co więc stało się, że przyjął pan zeznanie Melody Mitchell uzyskane podczas hipnozy?

— Odbyliśmy specjalne posiedzenie w tej sprawie i stwierdziliśmy, że hipnoza nie miała wpływu na identyfikację dokonaną przez pannę Mitchell.

Głos McGuire'a stał się nieco silniejszy, jakby stopniowo przypominał sobie argumenty podawane podczas procesu. Być może przez dwa minione lata bez przerwy je sobie powtarzał, by oddalić od siebie prawdę. Kosinski uznał, że nie nadzedł jeszcze czas, by przedstawić przeciwnikowi wszystkie dowody, i gotów był podyskutować na temat winy Sowella. Wsiał, odsunął krzesło, a następnie oparł się o blat biurka.

— Zagrajmy w otwarte karty. To ja przesłuchiwałem Melody Mitchell kilka godzin po znalezieniu przez nią ciała. Nic nie widziała. Może mi pan wierzyć, ponieważ mam doświadczenie w tej dziedzinie. Manipulowano nią przez cały czas trwania śledztwa. A pan oczywiście wiedział o wszystkim doskonale. Widział pan zestaw identyfikacyjny i zdawał pan sobie sprawę z jego nieobiektywności.

Oglądał pan na wideo przebieg seansu hipnotycznego i wiedział, iż podczas konfrontacji Melody Mitchell szukała u podejrzanego bliźny, którą przypadkowo miał na twarzy Billy Sowell. Wiedział pan o wszystkim i przyzwolił pan na niesprawiedliwość, której mógł pan zapobiec, do cholery! — Kosinski wykrzykiwał ostatnie słowa, aż na szyi nabrzmiały mu od wysiłku żyły. Było to w pełni wytrenowane zachowanie. Jego twarz stała się czerwona, w kącikach ust zebrały się kropelki śliny, źrenice zwięzły się niczym u byka przygotowującego się do szarży.

McGuire z wściekłością odsunął krzesło, jakby brakowało mu miejsca.

— Było jeszcze szczegółowe zeznanie oraz przyznanie się do winy, niech pan o tym nie zapomina.

Kosinski uśmiechnął się, a następnie pozwolił zniknąć wszelkim objawom swego rzekomego zdenerwowania. Czuł, jak mięśnie znajdujące się na jego policzkach oraz czole rozluźniają się. Było jeszcze za wcześnie na ostateczne posunięcie, z drugiej jednak strony McGuire nie należał do zatwardziałych przestępców, nad którymi trzeba pracować znacznie dłużej.

Kosinski obszedł dookoła biurko i usiadł na jego brzegu.

— Ma pan nieczyste sumienie, panie sędzio. Powinien był pan wyrzucić mnie za drzwi — tak postąpiłby niewinny człowiek, ale pan pragnie się dowiedzieć, czy odkryłem zawarty przez pana układ. Chce pan się zorientować, co mam przeciwko panu.

— Zdaje się, że się już dosyć nasłuchałem.

— Panie sędzio— Kosinski całkowicie zignorował uwagę gospodarza i przybrał niemal serdeczny ton. — Ludzie o ilorazie inteligencji niewiele ponad sześćdziesiąt nie składają szczegółowych zeznań, ponieważ nie znają żadnych szczegółów, które mogliby podać. Ale o tym również pan wiedział, prawda? Podobnie jak zdawał pan sobie sprawę, że przeciwko Sowellowi nie istniał nawet cień dowodu. Nic. Wiadomo było panu także, iż chłopca przesłuchiowano przez siedemdziesiąt dwie godziny bez obecności adwokata — zaśmiał się na głos. — Jezu Chryste, prokurator musiał narobić w gacie, kiedy dowiedział się, że pan będzie przewodniczył rozprawie. John McGuire — najbardziej liberalny sędzia. John McGuire — marzenie każdego przestępcy. Do licha, wypuszczał pan morderców na ulice, ponieważ jakiś glina zapomniał przeczytać im, jakie mają prawa. Oskarżyciele prowadzący najbardziej oczywiste sprawy dostawali rozwolnienia, gdy mieli wkroczyć do pańskiej sali sądowej. Niech mi pan powie, panie sędzio, jak zareagowali pańscy koledzy, kiedy wysłał pan Billy'ego Sowellą wprost do piekła? McGuire sięgnął rękaw kierunku telefonu. Kosinski w odpowiedzi odchylił lewą połą marynarki. Wzrok sędziego powędrował w kierunku trzydziestkiósemki spoczywającej w kaburze pod pachą.

— Proszę się nie niepokoić, panie sędzio, nie będę strzelał. Ale chciałbym panu coś pokazać, na wypadek gdyby nadal miał pan jakieś wątpliwości — Kosinski wyjął z kieszeni marynarki wykonaną na ksero odbitkę, rozprostował ją, a następnie podał Johnowi McGuire'owi. — W pierwszej kolejności proszę zwrócić uwagę na datę na pierwszej stronie. Jest w górnym rogu, znalazł pan? Dwudziesty ósmy listopada, dzień po zabójstwie Sondry Tillson. A teraz proszę spojrzeć na fotografię. Widzi pan twarz, którą zakreśliłem? To twarz Billy'ego Sowell. Zdjęcie to wykonano mniej więcej w tym samym czasie, kiedy zamordowano Sondrę Tillson.

— W takim razie dlaczego o tym nie powiedział? — McGuire'a mówił miękko, prawie szeptem. Trzymany w rękach telefon przyciskał do brzucha.

— Widzi pan, panie sędzio, jakoś nie miałem okazji go zapytać, ale wydaje mi się, że są trzy podstawowe powody, dla których nie podał swojego alibi. Po pierwsze, o to gdzie był w chwili zbrodni, spytano go dopiero po dwóch tygodniach. Po drugie, był niedorozwinięty i w zasadzie nie pojmował upływu czasu. I po trzecie, był nałogowym alkoholikiem. Pojawiła się jednak osoba znająca prawdę — niejaki Kamal Collars. Kiedy przyszedł na posterunek, detektyw Brannigan przystawił mu do głowy spluwę i kazał więcej tam nie wracać.

— A pan uważa, że o tym wiedziałem? — McGuire odstawił telefon na podłogę, wyprostował się i zaczął zapinać sweter. — Jeżeli popełniłem błąd, przykro mi. Zawsze jednak może pan złożyć skargę w departamencie sprawiedliwości. Nie zdziwiłbym się, gdyby mnie ukarali, lecz...

— Proszę przestać. Łamie mi pan serce — Kosinski podniósł się. — Widzi pan, zaakceptowanie świadka oraz przyznania się oskarżonego do winy nie było pańskim największym grzechem. Natomiast prawdziwym świństwem było przyzwolenie na to, by Sowell rzekł się prawa do apelacji. W ten sposób pańskie orzeczenie stało się niejako wyrokiem śmierci — Kosinski zdjął marynarkę, a następnie rzucił za siebie. — Zanim jednak przejdziemy do najgorętszego tematu, chciałbym udowodnić panu, że nie mam przy sobie podsłuchu. W tym celu, zgodnie z powszechnie przyjętymi zaleceniami, muszę się rozebrać.

Zanim McGuire powstrzymał go gestem, Kosinski zdążył zdjąć z siebie uprząż na broń, krawat oraz koszulę.

— Wystarczy — odezwał się sędzia. — Wystarczy.

— Wystarczy? — mruknął do siebie Kosinski spokojnie wkładając zdjęte przed chwilą ubranie. Kiedy skończył, wyjął z kieszeni smirnoffa, pociągnął długi łyk, a potem poczęstował McGuire'a.

— Proszę, śmiało — powiedział. — Pański postępek nie był aż tak zły. Na pańskim miejscu być może zrobiłbym to samo. Zależała od tego przyszłość pańskiego dziecka.

Słyszając te słowa, McGuire raptownie obrócił głowę, wziął zaoferowaną butelkę, spróbował, a następnie przechylił do samego dna. Kosinski poczuł, jak ogarnia go niewysłowiona radość — dla niego było to równoznaczne z przyznaniem się sędziego do winy.

— Prokurator powiedział mi, że Sowell jest winny — odezwał się sędzia. — Nieformalnie. Wspomniiał również, iż kilku jego tajnych informatorów potwierdziło zeznania chłopca.

Kosinski ponownie przysiadł na brzegu biurka.

— Mógł panu tak powiedzieć, ale to jeszcze nie powód, by posyłać Billy'ego SOWella do więzienia.

— Nie twierdziłem przecież, że taki był powód — McGuire przez moment przyglądał się swojemu rozmówcy. — Ja naprawdę wierzyłem w winę SOWella. Wiem, że nie chce pan tego zaakceptować, ale tak było. Naturalnie, zdawałem sobie sprawę, iż jego winy nie da się dowieść, że jeśli odrzucę zeznania Melody Mitchell oraz przyznanie się oskarżonego, nie zostanie on skazany. Wcale nie zapomniałem o przysiędze na wierność konstytucjom Nowego Jorku oraz Stanów Zjednoczonych. Miałem świadomość ciężącej na mnie odpowiedzialności, lecz nie posłałem niewinnego człowieka do więzienia rozmyślnie.

— Mieli pana w ręku, prawda? Pańskiemu jedynakowi, Bradfordowi, groziła odsiadka. Takiemu chłopcu jak on cwaniaki w Attice już na dzień dobry przelecieliby tyłek. Cóż pan mógł poradzić? — Kosinski zawahał się przez chwilę, po czym gładko skłamał. Łatwość, z jaką to zrobił, sprawiła mu przyjemność. — Ja też mam syna, dziewiętnastoletniego. Jest całkiem dobry jak na nowojorskiego nastolatka, ale nie jest aniołkiem. Gdyby wpakował się w jakieś kłopoty? Gdyby groziło mu więzienie? Do licha, zrobiłbym wszystko, żeby go tylko wyciągnąć.

McGuire zaczerpnął głęboki oddech. Jego złożone ręce wciąż spoczywały na kolanach. Popatrzył na nie przez moment, a następnie podjął ostateczną decyzję. Kosinski, który niejednokrotnie widywał u przestępców podobne zachowanie, spodziewał się, że sędzia postanowi skończyć z udawaniem, mieć to już za sobą. Później, oczywiście, będzie żałował owej chwili słabości. Wszyscy tak robią.

— Mój syn Bradford... on nie jest złym chłopcem. Wymagał leczenia, a nie więzienia. Niestety, prokurator oskarżył go o sprzedaż narkotyków. Grozi za to od czterech lat pozbawienia wolności aż do dożywocia łącznie. Myśl, że Bradford miałby przesiedzieć cztery lata w Greenhaven, Attice czy Clinton... no cóż, byłem śmiertelnie przerażony, ponieważ zdawałem sobie sprawę, że gdyby tak się stało, mój syn byłby stracony już na zawsze — rozpiął sweter, zdjął, a następnie powiesił go na oparciu krzesła. — W swoim życiu przysporzyłem sobie wielu wrogów, szczególnie wśród funkcjonariuszy organów ścigania.

— Innymi słowy, gliny oraz prokuratorzy najchętniej wyrwaliby panu jaja.

— Doskonale pan to ujął, Kosinski. Praktycznie rzecz biorąc, wykroczenie Bradforda klasyfikowało się jako przestępstwo, za które grozi minimalny wyrok piętnastu lat. Prokurator proponował cztery lata w zamian za przyznanie się do winy. Sytuacja była beznadziejna. Nie mogłem kontaktować się z biurem prokuratora z oczywistych powodów, a moi przyjaciele w kręgach politycznych byli niechętni do pomocy, ponieważ aresztowanie Bradforda relacjonowały wszystkie media.

— Innymi słowy, był pan bezradny.
— Zgadza się.
— Potem jednak zstąpił do pana z nieba anioł i obiecał ratunek. Proszę mi powiedzieć, czy był to sam Samuel Harrah? Czy może posłał swojego giermka, Aloysiusa Grogana?

— Harrah zadzwonił do mnie. Powiedział, że może pomóc Bradfordowi, ale nie podał żadnych szczegółów. Następnego dnia zjawił się Grogan. Mówił bez ogródek — mój syn będzie wolny, jeśli zatwierdzę dowody i przyjmę zrzeczenie się przez Sowellę jego prawa do odwołania. Oskarżyciel — nazywał się Andrew Boyd — przyszedł wkrótce po Groganie. Nigdy nie wymienił nazwiska Harraha czy Grogana, lecz jego intencje wydawały się jasne. Boyd powiedział mi, że Sowell jest winny, twierdził, iż posiada pewne informacje, których jednak nie może przedstawić w sądzie. Pokazał zapis rozmowy odbytej rzekomo pomiędzy jakimś tajemnikiem a jego informatorem. Ów informator zeznał, iż Billy Sowell przyznał się do winy dzień po zabójstwie, chwalił mu się nawet zakrwawionym nożem oraz poplamionym ubraniem, a także pytał o najlepszy sposób pozbycia się ich.

— A pan w to uwierzył?
— Tak, wierzyłem, że Billy Sowell jest winny.
— Teraz jednak już pan nie wierzy? Teraz pan wie, że chłopak był niewinny?
— Tak.
— Pozostaje więc tylko jedno pytanie — co zamierza pan teraz zrobić? Jeśli w ogóle ma pan jakieś zamiary.

— Skoro nie żyje, nic już nie mogę poradzić.

— Może pan posłać Samuela Harraha i jego kumpli do więzienia.

Nagle otworzyły się drzwi i do środka weszła kobieta w średnim wieku, ubrana we flanelowy szlafrok narzucony na niebieską, jedwabną koszulę nocną. Jej siwe włosy sterczały we wszystkie strony, stanowiąc doskonały dodatek do rzucających wściekłe spojrzenia oczu oraz zaciśniętych pięści. Pasowały również do trzymanego w dłoni pistoletu.

— Ty głupi skurwielu — zawołała w stronę męża. — Mówiłam ci, żebyś zostawił Bradforda. Tłumaczyłam, że jest zwyczajnym, nic nie wartym ćpunem, że jest przegrany i nic na to nie poradzisz. I na co to wszystko? Nie wiesz, że Bradford gdzieś tam bierze sobie kokainę, podczas gdy nasze życie wisi na włosku? — zamilkła na chwilę wpatrzona w swego kajającego się męża, po czym zwróciła się do Kosinskiego: — Ma pan sześćdziesiąt sekund na wyniesienie się z mojego domu. Jeżeli pan tego nie zrobi, zabiję pana, powiem, że wzięłam pana za włamywacza i oddam się w ręce policji.

14.

Bell Kosinski uwinął się w trzydzieści sekund, wyszedł drzwiami, przebiegł przez podjazd, a następnie wskoczył do zaparkowanej furgonetki. Zamierzał właśnie przekręcić kluczyk w stacyjce, kiedy powstrzymał go znajomy głos.

— Sprawy zaszły już za daleko, Ann — powiedział sędzia McGuire. Jego słowa zniekształcone przez nie najlepszej jakości głośnik zdawały się dobiegać z odległości znacznie większej niż tył furgonetki. — Musimy pozwolić wypadkom potoczyć się własnym biegiem.

— Oszczędź mi tego dramatyzmu. Na Boga, ty chyba rzeczywiście wyrzekłeś się swej męskości na rzecz Samuela Harraha. Przehandlowałeś ją za chłopaka, który swojej nie miał od samego początku. Dlaczego mielibyśmy obawiać się tego zasranego detektywa albo jego przekłętogo klienta? Zadzwoń do nadinspektora Harraha, podaj mu wszystkie szczegóły i niech on zajmie się resztą. I tak nie możesz pogorszyć już swojej sytuacji.

Kosinski słuchał toczącej się rozmowy, myśląc jednocześnie, że Ann McGuire doskonale oceniła ich położenie. Powiadomienie Harraha było ostatnią nadzieją; nie mieli już nic do stracenia.

McGuire wciąż opierał się radom żony.

— Ann, Billy Sowell nie żyje. Wszystko to stało się przeze mnie. Gdyby nie ja, z pewnością nic by mu nie było.

— Masz rację, John. To rzeczywiście twoja wina, ale na pewno nie moja, rozumiesz? Nie zawiniłam niczemu i nie zamierzam pójść na dno razem z tobą. Zadzwoń do nadinspektora Harraha, a potem, jeśli chcesz, idź się wypowiadać. Biorąc pod uwagę wszystkie twoje cierpienia, Jezus z pewnością ci wybaczy.

Rozmowa małżonków toczyła się jeszcze przez kolejnych kilka minut. Ann McGuire przypominała mężowi, iż pierwotną decyzję podjął wbrew jej radom, że teraz Sowell nie żyje, więc nie można mu już pomóc, że jeśli nie podejmie żadnego działania, do ogólnego rachunku swoich grzechów doda jeszcze jedną ofiarę, a mianowicie ją samą.

Z telefonu McGuire'a zadzwoniono kilka sekund później. Po drugim sygnale słuchawkę podniósł mężczyzna i powiedział: „Wywiad, sierżant Caton”. Sędzia przedstawił się i poprosił o połączenie z Harrahem.

— Pospiesz się McGuire, mam posiedzenie.

Kosinski po raz pierwszy miał okazję, by przypisać mężczyźnie, którego ścigał, jakąś ludzką cechę. Ku swojemu zdziwieniu zorientował się, iż w rzeczywistości nie zna nawet wyglądu Harraha. Za każdym razem, gdy zamykał oczy, wyobrażał sobie swojego dawnego partnera Toma Brannigana lub Aloysiusa Grogana. Samuel Harrah pozostawał niedostępny jego wyobraźni.

McGuire podał posiadane informacje, nazwisko Kosinskiego, a następnie poprosił Harraha, by jak najszybciej podjął jakieś działanie. Jego głos wydawał się Kosinskiemu zdumiewająco silny, jak głos człowieka wypełniającego swój najświętszy obowiązek.

— Sprawdzę wszystko — odrzekł Harrah, kiedy McGuire skończył.

Rozległo się stuknięcie, a potem nastąpiła głucha cisza. Kosinski spojrzął za siebie na obsługującego odbiornik Blake'a.

— ... co prosiłaś. Proszę, zostaw mnie teraz samego.

— Żebyś mógł spokojnie rozmyślać nad swoimi grzechami?

— To naprawdę nie twoja sprawa, Ann.

— Masz rację.

Kosinski usłyszał skrzypnięcie zawiasów i trzaśnięcie drzwi. Ponownie zaległa cisza.

— Bell, ruszaj. Nic tu po nas.

— Chwileczkę, Marty. Chcę się dowiedzieć, jaki będzie koniec.

Koniec okazał się jasny kilka sekund później. Wewnątrz furgonetki rozległ się dobiegający z głośniczka huk wystrzału.

— Moim zdaniem — Kosinski zwrócił się do swojego partnera, gdy taurusem Blake'a jechali autostradą przez Long Island — nikt nie chce wziąć na siebie odpowiedzialności. Kimkolwiek by był. Łamię prawo, zostają aresztowani, ale nie chcą płacić. Nawet gdy przestępcą jest prezydent działający w interesie kraju, zawsze chodzi o to, by uratować własny tyłek. Na przykład Ronald Reagan sprzedający Iranowi broń? Czy powiedział: „Pieprzyć kongres; pieprzyć konstytucję. Zrobiłem, co musiałem zrobić, a teraz jestem gotów zapłacić każdą cenę”? A jak zareagował Clinton na oskarżenia Gennifer Flowers? Mówię ci, Marty, nikt nie chce brać na siebie odpowiedzialności, począwszy od zwykłego rzezimieszka, a skończywszy na prezydencie Stanów Zjednoczonych. Dlatego właśnie McGuire popełnił samobójstwo. Nie chciał odpowiadać za swoje czyny, a wiedział, że ja zmusiłbym go do tego.

Blake przytakiwał we właściwych miejscach, jednocześnie rozmyślając o McGuirze. Zeznanie sędziego miało być przecież podstawą jego całej strategii.

— Bell, skąd możesz wiedzieć, że on nie żyje? Skąd pewność, że nie zabił żony? — Blake spojrzął na twarz partnera.

— Nie, Marty, żona wyszła z pokoju. Sędzia na pewno nie przeżył, widziałem jego gnata. To był browning kaliber dziewięć milimetrów.

— Może w ostatniej chwili odsunął broń?

Kosinski chrząknął, potrząsnął głową i odrzekł, nie rozumiejąc intencji partnera:

— To nie twoja wina, Marty. Nie ty pociągnąłeś za spust. W swojej pracy nie miałeś okazji, by przyzwyczać się do obcowania ze śmiercią...

— Co ty pieprzysz, Kosinski? — Na autostradzie panował duży ruch, ale wciąż posuwali się do przodu. Jak zwykle różni bezmózgowcy wciskali się jeden przed drugim, stwarzając zagrożenie wymagające od Blake'a ciągłego skupienia. Teraz jakiś ford bronco, na zbyt dużych oponach, obwieszony światłami niczym choinka, bez przerwy trzymał się niespełna pół metra od ich tylnego zderzaka. Blake zerknął na odbijającą się w lusterku twarz kierowcy, dostrzegł krzaczaste brwi, przymrużone oczy oraz skrzywione usta. Ciekawe, czy facet jest naćpany, pomyślał. A może pijany? Albo po prostu szalony? Dlaczego ostatnio spotyka się tak wielu drogowych szaleńców? Kiedyś byli rzadkością obecnie stali się nieodłączną częścią nowojorskiego krajobrazu.

Blake dostrzegł lukę między pojazdami. Miał właśnie zamiar włączyć kierunkowskaz, kiedy bronco niespodziewanie zjechało na prawy pas i zajęło wolną przestrzeń. Kierowca wcisnął się przed taurusa, po czym wystawił przez okno rękę z wyprostowanym środkowym palcem.

— Nie rozumiem takich facetów — odezwał się Kosinski. — Wyzywa nas, nie mając zielonego pojęcia, z kim ma do czynienia. W końcu ja pod pachą trzymam trzydziestkęosemkę, ty swojego gnata i obaj mamy pozwolenia. Moglibyśmy go rozwalić.

— Sądzę, że jak na jeden dzień wystarczy już śmierci — Blake uderzył dłonią o kierownicę. — Chryste, Bell, nie zdobyliśmy praktycznie niczego. Harrah powiedział tylko, że wszystko sprawdzi. Do czego nam się to może przydać? Zapewne ktoś miał się zgłosić do sędziego — może Grogan, może twój dawny partner, Branigan. Musieliby się skontaktować, choćby tylko po to, żeby się upewnić, czy McGuire się nie załame. Teraz podsłuch w domu sędziego stał się zupełnie bezużyteczny. Co możemy zdobyć — nagranie z przygotowań do pogrzebu?

Słowa Blake'a zaskoczyły Kosinskiego.

— Ta kasetka, Marty, spowoduje, że reporterom z radości pospadają gacie. Myślałem, że właśnie o to nam chodziło.

— Tak, być może, ale pamiętasz zapewne, że mieliśmy dobrać się do policji, zmusić ją do przeprowadzenia wewnętrznego śledztwa. Skoro McGuire nie żyje... Sądzę, że popełniłem błąd, Bell. Chyba powinienem był spróbować założyć podsłuch w mieszkaniu Harraha. Nie było szans, by dostać się do jego biura, ale w mieszkaniu należało spróbować.

— Skąd wiesz, że swoimi sprawami zarządza akurat z domu?

— Nie wiem.

— Skąd wiesz, że nie sprawdza regularnie mieszkania pod kątem zainstalowanych pluskiew?

— Nie wiem.

— Marty, pozwól, że cię o coś spytam.

— Wal.

— Czy nie moglibyśmy zjechać z autostrady i znaleźć jakiś sklep, w którym sprzedają wódkę? Nie przywykłem do tego, żebyś wątpił w skuteczność swoich działań i dlatego denerwuję się.

15.

Godzinę później Kosinski i Blake siedzieli w samochodzie zaparkowanym naprzeciwko Oxford Arms — budynku, w którym znajdowało się mieszkanie Johana Tillsona. Obaj mężczyźni obserwowali dyżurującego przy wejściu konsjerża. Żaden z nich nie dał się zwieść jego uniformowi ani kwiatom ustawionym na biurku. Strażnik niewątpliwie był profesjonalistą, mieszkańców bloku witał skinieniem głowy, gościom rzucał wyzywające spojrzenie. Blake wchodził do środka tydzień temu i został skrupulatnie sprawdzony, chociaż był przebrany w kombinezon pracowników przedsiębiorstwa telekomunikacyjnego. Podał strażnikowi sfałszowaną legitymację i czekając, aż ten wpisze jego dane do specjalnego dziennika, zauważył monitory ukazujące obraz z kamer umieszczonych w garażu oraz przy bocznych wejściach. Złożył swój podpis, a następnie znów musiał zaczekać, podczas gdy strażnik porównywał go ze zdjęciem w legitymacji. W końcu pozwolono mu zejść do piwnicy, gdzie znajdowała się centralka telefoniczna.

Fakt ochrony budynku nie zaskoczył Blake'a. Riverdale w Bronxie — wąski passek ciągnący się wzdłuż Hudson River, należało do najbogatszych nowojorskich osiedli położonych poza Manhattanem. Podobnie jak wszystkie zamożne okolice, Riverdale (oraz sąsiadujące z nim, zamieszkane przez klasę średnią Kingsbridge) zewsząd otoczone było osiedlami składającymi się z wielkich mrówkowców, ponurymi slumsami (w każdym razie zdaniem mieszkańców Riverdale) rojącymi się od najgorszego elementu. To, iż Riverdale należało do okolic o szczególnie małej przestępczości, że nieustannie strzegły go liczne patrole policyjne oraz pół tuzina prywatnych agencji ochrony, praktycznie w żaden sposób nie wpływało na permanentny strach charakterystyczny dla wszystkich zamożnych nowojorczyków. Zgodnie z zasadami narzuconymi przez ową paranoję, zaledwie jednoosobowa straż w Oxford Arms stanowiła poważne narażenie bezpieczeństwa mieszkańców budynku.

— Czekamy czy ryzykujemy?

Według planu A, Bell Kosinski miał odbyć z Johanem Tillsonem rozmowę podobną do tej z sędzią Johnem McGuirem. Zjawić się pod drzwiami, zablokować je nogą jeżeli nie zostanie wpuszczony, oraz przedstawić Tillsonowi wszystkie znane im fakty. Niestety, jeśli najpierw Kosinski zostanie zaanonsowany przez strażnika, istniało duże prawdopodobieństwo, iż Tillson nie zechce się z nim widzieć, szczególnie jeżeli nadinspektor Harrah postanowił wszystkich ostrzec.

— Czekamy — odparł Blake. — Wcześniej czy później facet musi zrobić sobie przerwę. Być może uda ci się za kimś wejść.

Czas pokazał, że Blake miał rację. Po czterdziestu długich minutach z windy wysiadł ubrany w drogi sweter mężczyzna w średnim wieku i zmienił stojącego na straży twardziela, który oddalił się w poszukiwaniu toalety oraz odrobiny kawy.

— Jeden z mieszkańców — odezwał się Blake. — Spełnia swój obywatelski obowiązek.

— Spokojnie Marty, facet postępuje właściwie.

— Tak, a jak my powinniśmy teraz się zachować, Bell?

Kosinski przez moment zastanowił się nad różnymi możliwościami, pociągnął łyk z butelki i wzruszył ramionami.

— Moim zdaniem powinienem zaryzykować z amatorem, dopóki nie wróci zawodowiec. Jeżeli to nie wypali i nie dostanę się do Tillsona, spróbuję do niego zadzwonić. Jeżeli przez telefon również będzie nieosiągalny, napiszę do niego list. Moje rozumowanie wygląda tak: jeśli Tillson nie zechce ze mną rozmawiać, zapewne Harrah zdążył już napędzić mu stracha. Skoro Harrah do niego telefonował, wszystko się nagrało, a nam właśnie o to chodziło.

Zaczekał, aż Blake wyraził swą zgodę, wysiadł z samochodu i ruszył przez ulicę w stronę wejścia do budynku. Podobnie jak poprzednio, otwierając drzwi, nadał swojej twarzy całkowicie obojętny wyraz, po czym skierował się wprost do biurka konsjerża.

— W czym mogę panu pomóc?

Kosinski machnął mu przed oczami swoją legitymacją, zamknął ją i rzekł:

— Kosinski. Do pana Johana Tillsona.

— Johna Tillsona?

— Jak pan uważa.

— Czy jest pan umówiony?

— Skoro nie jest pan Tillsonem to nie pańska sprawa — Kosinski przerwał, uśmiechnął się. — A pan na pewno nie jest Tillsonem.

Spotkawszy się z bezpośrednim wyzwaniem, mężczyzna opuścił wzrok. Niefortunnie jednak zatrzymał się na rewolwerze tkwiącym pod pachą Kosinskiego.

— Zapowiem pana — odrzekł. — Czy mógłby pan powierzyć swoje nazwisko?

— Kosinski.

— A imię?

— Pan.

Mężczyzna podniósł słuchawkę i nacisnął przycisk na pulpicie.

— John, tu Augie. Ktoś chce się z panem widzieć. Mówi, że nazywa się Kosinski — przykrył słuchawkę dłonią. — Pan Tillson chce wiedzieć, jaki jest cel pańskiej wizyty.

Kosinski pochylił się nad biurkiem i wyrwał słuchawkę z rąk Augiego.

— Wyjaśnię mu osobiście. To o wiele skuteczniejszy sposób — odwrócił się do strażnika plecami i uśmiechnął się. Skoro zabrnął już tak daleko, miał pewność, że dostanie się na górę. Należało jedynie wywrzeć odpowiedni nacisk. — Nie wiem, czy mnie pan pamięta, panie Tillson. Jestem jednym z policjantów, którzy przesłuchiwali pana po śmierci żony. Przyszedłem do pana, ponieważ wyszły na jaw pewne nowe fakty i pragnąłbym omówić je z panem.

To znaczy, jako mąż ofiary powinien pan je poznać.

Kosinski wyobraził sobie niskiego, przysadzistego biznesmena o pełnej twarzy. Przypomniał sobie, jak powitał Tillsona na lotnisku Kennedy'ego w nocy, kiedy zamordowano jego żonę. Facet zemdlał, padając w ramiona funkcjonariusza ochrony lotniska. A jednak mimo swego żalu, odmówił podania nazwiska kochanka żony, choć nie rozmawiał jeszcze z Edwardem Greenem lub Samuelem Harrahem. Być może czuł się po prostu zakłopotany, albo fakt, iż Sondra Tillson, kobieta którą kochał, zginęła w sypialni innego mężczyzny, był zbyt bolesny, by o nim mówić.

— Nie sędzę, bym pragnął usłyszeć to, co ma mi pan do powiedzenia, panie Kosinski. Jeśli chodzi o mnie, jest już po wszystkim i nie zamierzam do tego wracać.

Kosinski ściszył głos do szeptu.

— Panie Johanie, naprawdę doceniam pańskie stanowisko, proszę mi wierzyć. Na pańskim miejscu także wolałbym nie poznawać całej prawdy. Niestety, ma pan do czynienia z wariatem — czyli ze mną — który zamierza podzielić się z panem posiadanymi informacjami bez względu na fakt, czy się to panu spodoba. Jeżeli nie zechce pan spotkać się ze mną w cztery oczy, zmuszony będę powiedzieć wszystko tutaj w holu. A będę mówił cholernie głośno. Przynajmniej tyle należy się staremu Augiemu. Ten baran tak mocno pochylił się nad biurkiem, że wkrótce przewróci się i zmiażdży sobie fiuta.

— Zazwyczaj nie ulegam pogrożkom — wymamrotał Tillson — ale skoro pan musi...

Kosinski zwrócił słuchawkę Augiemu, po czym ruszył w kierunku wind.

Teraz, kiedy koniec znajdował się już w zasięgu wzroku, czuł się podekscytowany. Najzabawniejszy zdawał się fakt, iż rozmowa z Tillsonem, która wkrótce miała nastąpić, była zupełnie niepotrzebna. Nie musiał go prowokować, by zatelefonował do Harraha, ponieważ z pewnością zdążyli już skontaktować się ze sobą. Mąż ofiary był zbyt spokojny i zbyt dobrze przygotowany na wizytę Kosinskiego.

Stojąc w windzie, Kosinski żałował, iż nie zna dokładnego położenia mieszkania numer 19E. Pragnął wyjść z windy i ruszyć wprost do drzwi Tillsona, a tak zmuszony będzie zerkać na każdy numer, zanim trafi pod właściwy.

Winda zatrzymała się gwałtownie. Kosinski spojrział na wyświetlacz, na którym widniała liczba 19, po czym odwrócił się i w drzwiach zobaczył swojego dawnego partnera Tommy'ego Brannigana. Policjant mierzył do niego z trzymanego w lewym ręku kolta kaliber 45.

Kosinski uśmiechnął się, by zamaskować swoje zdziwienie, zauważając jednocześnie, iż serce wali mu w piersi niczym młot kowalski, a krew uderza do głowy. Prerażenie — było to najlepsze słowo na określenie stanu, w jakim się znalazł. Dlaczego więc jego umysł pozostawał trzeźwy? Dlaczego czuł ulgę? Cóż takiego pamiętało jego ciało, o czym umysł dawno już zapomniał?

— Zapewne oznacza to, że Johan nie chce ze mną rozmawiać? Szkoda, Tommy. Nie mogłem się już doczekać, by zapytać go, czy o tym, że jego żona pieprzy

się z Edwardem Greenem, dowiedział się jeszcze przed czy już po tym, jak kochanek poderznął jej gardło.

Brannigan gestem nakazał Kosinskiemu cofnąć się w najdalszy koniec windy, wszedł do niej, po czym nacisnął guzik zamykający drzwi.

— Chryste, to naprawdę ogromna dziura — powiedział Kosinski, wskazując na czterdziestkępiątkę. — Mówię oczywiście o tej lufie. Imponująca — przyznaję — lecz czy dwudziestkadwójka nie wystarczyłaby w zupełności?

— Kosinski, jesteś chory. Potrzebujesz pomocy.

— Podzielim twoje zdanie, Tommy, ale muszę stwierdzić, że wybrałeś dosyć radykalną terapię. Na dodatek niezbyt skuteczną. Jak uważasz, co się stanie, kiedy pociągniesz za spust? Ile osób zadzwoni na policję w ciągu pierwszych trzydziestu sekund? Ci ludzie wierzą jeszcze, w prawo i porządek. Naturalnie tylko dlatego, że nie zdążyli cię poznać.

Brannigan potrząsnął głową i uśmiechnął się.

— Masz za swoje, Bell. Wygrzebałeś dawno zapomnianą sprawę. Nie mogę tylko pojąć *dłaczego*. Na pewno nie chodzi ci o pieniądze; ponieważ od nas mógłbyś dostać dziesięć razy więcej.

— No cóż, Tommy, sam nie mam całkowitej pewności, lecz wydaje mi się, że to swego rodzaju pokuta — przerwał, dając Branniganowi czas na zrozumienie aluzji. — Nie zamierzasz mnie chyba zabić, co?

— Nie tutaj — przyznał policjant — z tych powodów, które przed chwilą wymieniliśmy. Chciałem tylko pokazać ci spluwę, która załatwi sprawę — uniósł kolta do góry, by Kosinski mógł przyjrzeć się mu dokładnie. — Ładny, prawda? Przedwojenny. Byłby wart kupę forsy, gdyby miał numer seryjny.

— Tommy, próbujesz mnie może przestraszyć? — Kosinski żałował, że nie ma przy sobie podsłuchu. Razem z Blakiem zdecydowali, że obejdzie się bez tego. Okazało się to błędem, który jego partner z pewnością weźmie sobie do serca.

— Bell, przecież nie możesz mnie aresztować za straszenie, zgadza się? — uśmiech Brannigana zniknął. — Nie żartowałem poprzednio, mówiąc, że się doigrałeś. Muszę jednak przyznać, że podobnie jak inni nie doceniłem cię, wziąłem za beznadziejnego pijaka. Teraz, skoro jest już po wszystkim, skoro udowodniłeś, że wciąż należysz do najlepszych, dlaczego nie miałbyś sobie darować? Twój partner oraz twój szef są wystarczająco bystrzy, by pogodzić się z rzeczywistością. Blake błaga teraz swoją dawną szefową by rzuciła mu jakiś ochłap, Steinberg natomiast składa wnioski do gubernatora, by wyraził zgodę na pośmiertną rehabilitację Sowell. Lecz ty, Bell, wciąż nie przestajesz naciskać, jakbyś niszczył mnie, był w stanie przywrócić chłopakowi życie.

— Twierdzisz, że jeśli sobie daruję, Sammy Harrah po prostu o wszystkim zapomni? Chciałbym w to uwierzyć, biorąc pod uwagę fakt, że w każdej chwili mógłbym go zniszczyć. Ludzie pokroju Harraha nigdy nie godzą się, by nad głową wisiał im topór — szczególnie, że to oni przez wiele lat trzymali go nad innymi.

— Nikt z nas nie chce się na tobie zemścić. Jeżeli będziemy zmuszeni... uci-
szyć cię z powodu posiadanych przez ciebie informacji, to załatwimy także Blake'a
oraz Steinberga. Nie trzeba być geniuszem, by domyślić się, jakie byłyby skutki —
Brannigan wysiadł z windy, ale nogą blokował drzwi, by nie pozwolić im się za-
mknąć. — Nie chcę cię zabijać, w mojej naturze nie leży zabijanie glin, lecz nie
pozostawiasz mi wielkiego wyboru.

— Brak wyboru oznacza brak konieczności podejmowania decyzji. Powinie-
neś być mi wdzięczny. Poza tym dzięki za informację.

— Jaką znowu informację?

Kosinski założył ręce na piersi i oparł się o ścianę windy.

— Tommy, ilu gliniarzy pracuje w sekcji wywiadowczej? Czteryestu? Pięciuset?
— zrobił krok w kierunku Brannigana, jednocześnie opuszczając ręce. — Widzisz
trochę się obawiałem, że Harrah mógłby posłać przeciwko mnie całe swoje wojsko.
Powiedziałem *trochę*, ponieważ jest raczej mało prawdopodobne, by Harrah wta-
jemniczył wielu ludzi w swój interes. Teraz jednak wiem, że w ogóle nie muszę się
martwić, ponieważ nadinspektor Samuel Harrah, mimo że posiada armię ludzi,
zlecił zabicie człowieka takiemu kretynowi, jak Tommy Brannigan.

16.

— To naprawdę niesamowite, Marty. Gdy zobaczyłem spluwę, mój organizm zaczął wytwarzać adrenalinę. Serce omal nie wyskoczyło mi z klatki piersiowej. Dlaczego więc adrenalina nie wpłynęła również na pracę mojego mózgu? Przecież ta sama krew, która płynie do serca, dociera także do mózgu?

— To żadna zagadka — odparł Blake, zajęty prowadzeniem taurusa poprzez teren przeciągających się w nieskończoność prac remontowych na tranzytowej autostradzie przecinającej Bronx. Marty'ego dziwiła ogromna ilość zalegających dookoła śmieci. Nowy Jork od dawna już nie był oazą czystości, ale teraz znaczna część Bronxu sprawiała wrażenie całkowicie zaniedbanej.

— Więc może zechciałbyś mi to wyjaśnić — Kosinski wyciągnął rękę wprost przed twarz partnera. — Widzisz, wciąż jeszcze się trzęsę.

— To bariera chemiczna. Nic więcej. Kiedy alkohol dociera do twojego mózgu, stwarza barierę niwelującą działanie adrenaliny. Jak również każdą inną reakcją organizmu naturalną w przypadku, gdy ktoś przystawia ci do twarzy lufę. Myślałem, że wszyscy to wiedzą.

— A ja myślałem, że skończyłeś już z żartami na temat wódki.

Ku własnemu zdziwieniu, Blake potraktował serio uwagę partnera. Oczywiście jego stosunki z Bellem Kosinskim uległy radykalnej zmianie, stało się jednak również coś znacznie ważniejszego. W miarę jak rósł jego podziw dla porywczego Kosinskiego, malała złość na nieżyjącego ojca. Było to całkowicie niezależne od niego. Wiedział, iż gdyby spróbował wyjaśnić tę zmianę swojej matce (czego oczywiście nie zamierzał uczynić), nazwałaby to dojrzwaniem, a na dodatek wygłosiłaby pełne uszczypliwości kazanie.

— Byłeś po prostu niesamowity — zawołał Blake. — Z McGuirem uporałeś się wspaniale, choć nie powiem, żebym pragnął, by sędzia ze sobą skończył.

Kosinski nie skomentował wypowiedzi przyjaciela. Odegrał swoją rolę, bez względu na wszystko wywiązał się z obowiązku. Oczywiście nie znaczyło to wcale, iż nie czekają ich żadne konsekwencje. Czuł, jak napięcie opada i zastanawiał się jednocześnie, jaki najniższy poziom może osiągnąć.

— Co się dzieje, Marty?

— Słucham?

— Wybrałeś niewłaściwy zjazd. Powinniśmy byli pojechać w stronę Whitestone Bridge, a nie Thogs Neck.

— To zależy od celu podróży — Blake zerknął na Kosinskiego. Wyczuwał, iż szósty zmysł byłego policjanta zaczyna bić na alarm. Była to kolejna cecha wspólna dla Kosinskiego oraz ojca Marty'ego. Podczas gdy matkę zawsze udawało mu się oszukać, ojca nigdy nie potrafił zmylić.

— Powiedz mi, Bell. Wierzysz Branniganowi? Skąd możemy mieć pewność, że nie chodziło jedynie o zrobienie zasłony dymnej? — Blake zwalniając, sięgnął po żeton. — Przypuścimy, że znaleźli już podsłuch w piwnicy u Tillsona. Harrah musiałby się domyślić, że to nie ty go zainstalowałeś, więc nie jesteś dla niego jedynym problemem.

Kosinski opuścił szybę, wpuszczając do środka chłodne powietrze.

— Nie sądzę, by miało to jakieś znaczenie. Jeżeli Harrah zechce mnie zlikwidować, będzie zmuszony pozbyć się również ciebie oraz Maxa. Brannigan przyznał to wprost.

— Dlatego właśnie powinieneś zniknąć — Blake wrzucił żeton do otworu automatu, a następnie wjechał na most. — Harrah nie wykona żadnego ruchu przeciwko mnie czy Maxowi, zanim nie załatwi ciebie. Pamiętaj, potrzebuję jeszcze tylko kilku dni, by wszystko poskładać do kupy. Kiedy gazety opublikują nasze informacje, Harrah będzie mógł jedynie z pokorą znosić ataki. Rozmawiałem dziś rano ze Steinbergiem. Uważa, że istnieje spore prawdopodobieństwo, iż Harrah spróbuje skontaktować się z nim. Gdy to się stanie, Max przyrzeknie mu, że cię odwoła. Podsumowując, Bell — ty znikasz, Steinberg podlizuje się komuś i zyskujemy trochę niezbędnego czasu.

— Kiedy podjęliście wszystkie te decyzje?

— W większości wczoraj.

— I zrobiliście to pod moją nieobecność?

— Nie jest tak, jakby się mogło wydawać.

— A jakby się miało wydawać?

Blake spojrzął na partnera. Twarz Kosinskiego płonęła gniewem.

— Bell, byłeś napruty. Nie chciałem cię przygnębiać — zawahał się przez moment, po czym dodał: — Nie mogłem ryzykować.

— Ale zaryzykowałeś, Marty. Przecież zaryzykowałeś.

Kosinski miał oczywiście rację. Blake spodziewał się, że jego partner po prostu nie zechce się ukryć. Dla Bella Kosinskiego ostateczna konfrontacja stanowiła wyglądany z utęsknieniem cel. Cała reszta była tylko przygrywką.

Jeśli tak, pomyślał Blake, jeśli chce dotrzeć do końca, niech będzie. Ma do tego takie samo prawo jak ja.

Blake zjechał z autostrady Clearview przy Northern Boulevard, skręcił na światłach w lewo i skierował się na wschód. Kosinski siedział w milczeniu, czekając na dalszy rozwój wypadków. Odchodził na emeryturę z przekonaniem, że nie pozostało już nic, co mógłby utracić, późniejsze wydarzenia jednak przywróciły mu chęć do życia. Teraz najgorszy był fakt, że przecież ani razu się nie potknął, nikogo nie zawiódł. Blake kazał mu rozpętać burzę i tak się stało. Dlatego właśnie Tommy Brannigan przestraszył się tak bardzo, że w miejscu publicznym groził Kosinskiemu bronią.

— Dom, słodki dom — odezwał się Blake.

Kosinski rozejrzał się, podczas gdy Blake parkował taurusa na tyłach zajazdu Adriatic.

— Mogłeś przynajmniej wybrać jakiś motel z porządnymi kurewkami — odrzekł.

— Przykro mi, Bell, ale masz siedzieć cicho jak mysz pod miotłą. Pokój opłacony jest na trzy dni. Miejmy nadzieję, że nie potrwa to dłużej.

Blake poprowadził po schodach, a następnie wzdłuż piętra do numeru 9B. Otworzył drzwi, podał klucz partnerowi i wszedł do środka. Jednoosobowy pokój urządzone był w różnych odcieniach brązu. Czekoladowy dywan, beżowe ściany, żółto-brązowe okrycie łóżka, mahoniowa komoda.

Kosinski rozejrzał się, po czym potrząsnął głową.

— Mam niebieski garnitur — powiedział. — Nie pasuję do tego pokoju.

Blake w odpowiedzi wyjął z kieszeni plik banknotów, które rzucił na komodę.

— To z dobroci serca Maxa Steinberga. Jeżeli czegoś ci potrzeba — koszul, skarpetek, drugiego garnituru — po prostu przespaceruj się na Bell Boulevard — podszedł do tapczanu i usiadł. — Zrób coś dla mnie. Przygotuj dwa drinki. Butelki znajdziesz w łazience.

Kosinski bez słowa spełnił prośbę, przynosząc butelkę wódki oraz dwa plastikowe kubeczki i napełniając je po brzegi. Blake skosztował, pomyślał przez chwilę, a następnie wypił połowę. Odczekał, aż przyjemne ciepło z żołądka rozejdzie się po całym ciele i zaczął mówić.

— Nigdy przedtem nie miałem partnera. Moje zajęcia nigdy tego nie wymagały. Nie oznacza to, że nie pracowałem w zespole. Czasem zdarzało się, że sprawą zajmowało się nas siedmiu, a nawet ośmiu — detektywi, technicy, informatycy. Ale to nie to samo, co mieć partnera — przerwał, zerknął na Kosinskiego. — W każdym razie lubiłem uważać się za samotnego jeźdźca. Zapewne dlatego na początku tak mocno dałem ci się we znaki. Po prostu z nikim nie chciałem dzielić się chwałą.

— Nie zapominaj też o swoim ojcu — twarz Kosinskiego nie zdradzała najmniejszych emocji z wyjątkiem zwyczajnej ciekawości.

— Tak, dochodziło jeszcze to. Nie sądziłem, by...

— Pijak?

— Dlaczego mi wszystko utrudniasz, palancie?

Kosinski wybuchnął śmiechem, typowym pijackim rechotem. Po chwili przyłączył się Blake, dochodząc do wniosku, że nie ma nic lepszego niż śmiech, nawet w kłopotliwej sytuacji.

— Cokolwiek wcześniej myślałem, myliłem się — powiedział Blake. — Tylko to się teraz liczy. Wcale nie chcę ci się podlizywać, lecz nie zaszedłbym tak daleko bez twojej pomocy.

— A więc twierdzisz, że jestem ci potrzebny. Podobnie jak twój komputer oraz magnetofony — Kosinski napełnił swój kubek, po czym zaproponował partnerowi, lecz tamten odmówił. — Może po prostu będziesz trzymał mnie w szafie?

Blake potrząsnął głową.

— I tak powiem ci wszystko, co zamierzałem, więc lepiej daruj sobie te docinki. Widzisz, zdaje się, że robię się zbyt stary, by wciąż działać samotnie. Samotność staje się coraz trudniejsza do zniesienia, szczególnie jeśli nie pamięta się już jej przyczyn.

Kosinski wznosił kubek do góry.

— W tej sprawie przyznaję ci rację.

— Chodzi o to, że nie chcę cię utracić. Nie zamierzam pozwolić ci rozmyślnie wpakować się na jakąś kulę. Podkreślam — *rozmyślnie*. Ponieważ nie możesz zważyć tego na alkohol czy nadinspektora Harraha.

— Wiem, Marty. Ale może wziąłbyś pod uwagę, iż nie jestem nieuzbrojony. Brannigan sądzi, że narysuję sobie na czole tarczę, że będę po prostu stał z zamkniętymi oczyma. Z pewnością nie omieszka tego wykorzystać.

— Brannigan nie przyjdzie sam, Bell. Harrah nie przetrwałby tylu lat, gdyby był głupi. Słuchaj, nie proszę cię o poświęcenie całej reszty życia, daj mi tylko parę dni. Kiedy uporamy się z tą sprawą, zajmiemy się twoimi problemami.

— Moimi problemami? Jakoś nie bardzo mi się to podoba. Co ty zrobiłeś, sprawdzałeś mnie?

— Nie ja, Bell. Moja matka zrobiła to bez pytania. Poznałeś ją, więc wiesz, że nie zalewam.

Kosinski skinął głową w zamyśleniu.

— Za pierwszym razem, kiedy zobaczyłem twoją matkę, przywitała mnie trzydziestkąósemką. To zazwyczaj oznacza osobę, która ma swoje sposoby. A więc co odkryła? — Gwałtowne zmiany tematów stanowiły typową technikę śledczą, podobnie jak nieco zaostrzony ton. Kosinski nagle zorientował się, że jest zdenerwowany. Wydawało się to niedorzeczne, bowiem Blake pragnął go jedynie chronić.

— Na miłość boską, Bell, nie pokazała mi twoich akt.

— To nie jest odpowiedź.

Blake zaczerpnął głęboki oddech. Rozmowa zaczynała toczyć się w niewłaściwym kierunku, lecz nie mógł nic poradzić.

— Według wujka Patricka przez większą część swojej kariery byłeś dobrym gliną, potem miałeś jakieś osobiste problemy i zaczęłaś się staczać.

— To wszystko?

— Tak, to wszystko.

— Nie opowiedział ci o Reggim Warzywku? — Kosinski opróżnił swój plastikowy kubek, napełnił go, a następnie ponownie wypił trochę wódki. Skoro nie mógł mieć do siebie pretensji za irracjonalny gniew, zawsze mógł wszystko zważyć na alkohol. Wiedział, że gdy skończy opowiadać, będzie musiał coś obwinie, nie mógł przecież się przyznać, że pragnie zwierzyć się Marty'emu ze swoich kłopotów.

— Po pierwsze powinieneś wiedzieć, że pochodzę z pijackiej rodziny. Pili rodzice, różni wujkowie i ciotki, wszyscy, To tak jakby przyszło ci przez całe życie

tańczyć na krawędzi przepaści. Czy ci się to podoba czy nie, sprawiedliwe czy niesprawiedliwe, czeka cię nieuchronna katastrofa.

Mimo to uważano mnie za całkiem porządnego. Byłem bardzo religijny, należałem do ministrantów i tak dalej, dopóki nie zaczęły krążyć we mnie młodzieńcze soki. Pieprzyłem się już jako nastolatek, podobnie jak większość chłopaków z sąsiedztwa, lecz nigdy nie wdałem się w nic poważnego. Po skończeniu liceum wstąpiłem do armii i dwa lata stacjonowałem w Berlinie, co samo w sobie jest dosyć dziwne, ponieważ zaciągnąłem się, by pojechać do Wietnamu. Chyba dlatego sześć miesięcy po wyjściu z wojska wstąpiłem do policji. Skoro nie wykazałem się w Wietnamie, mogłem zrobić to na ulicy.

Ożeniłem się. Z Ingrid Horst, Niemką poznaną w Berlinie. Miło jest myśleć, że kiedy spotkałem japo raz pierwszy, nie była jeszcze szalona, lecz niestety nie mam pewności. Może dałem się zmylić językowi oraz obcej kulturze? A może po prostu byłem zbyt zajęty, żeby cokolwiek zauważyć, zbyt pochłonięty staraniem się o miano gliny stulecia. Na Boga, Marty, w pewnym momencie mój wskaźnik aresztowań przewyższał sumę wskaźników całego oddziału. Harowałem jak wół, cały swój czas poświęcałem miastu, przeczesując ulice nawet w wolne dni. Zanim zacząłem piąty rok służby, otrzymałem złotą odznakę, której pragnąłem od samego początku.

Hip hip hura, dla naszego bohatera, nieprawdaż? Szczególnie kiedy Ingrid po sześciu latach starań poinformowała mnie, że zaszła w ciążę. Pamiętam, że było to tuż przed niedzielną mszą u świętego Józefa, poprosiła mnie o dodatkową modlitwę za nasze dziecko. Oczywiście spełniłem tę prośbę, Marty. Przez następne dziewięć miesięcy modliłem się bardzo często, lecz tam na górze ktoś zapomniał mnie wysłuchać, ponieważ mój syn urodził się pozbawiony górnych partii mózgu. *Górnych partii mózgu*. Mógł oddychać, pić, gryźć, połykać, trawić, sikać i srać, ale nie widział, nie słyszał, nie czuł zapachów, smaku i nade wszystko nie myślał. Miłe, nieprawdaż?

Kosinski opowiadał o sobie, jakby recytował wyuczony na pamięć wiersz, stojąc przed śmiertelnie znudzoną klasą. Nie przestawał pić, traktując butelkę oraz kubek jak niezbędne rekwizyty. Jego głos był spokojny, choć powoli zaczynał cedzić poszczególne słowa.

— Lekarze — ciągnął dalej — sugerowali nam, by go oddać do przytułku prowadzonego przy Pilgrim State Hospital, gdzie opiekowali się takimi... zaraz, jak on to nazwał? Ach tak, ludźmi prowadzącymi „długotrwałą egzystencję wegetatywną”. Chyba właśnie wtedy przyszło mi do głowy tamto przezwisko.

Już wcześniej zdecydowaliśmy z Ingrid, by nazwać chłopca Reginald. Nienawidziłem tego imienia, lecz w zaistniałych okolicznościach nie upierałem się przy swoim. Gdybyś zobaczył to dziecko, wiedziałbyś co mam na myśli. Jego głowa zwyczajnie urywała się w połowie. Miał czaszkę płaską niczym kowadło.

Byłem zdruzgotany, Marty. Nie żartuję. Dziecko uzupełniłoby naszą idealną rodzinę, co znakomicie pasowałoby do roli idealnego policjanta. Kiedy jednak mój syn urodził się jako Reggie Warzywko, poczułem się jakby rozjechał mnie walec.

Widzisz, gdy przez połowę życia człowiek stara się zdobyć nad nim kontrolę — to jedyny sposób, by dziecko z rodziny alkoholików mogło przetrwać — beznadziejne sytuacje nie wydają mu się śmieszne. Nie twierdzą jednak, że kochałem mojego syna, jeżeli w ogóle cokolwiek w nim zasługiwało na miłość. Chłopak był prawdziwym monstrum.

Więc co zrobić, kiedy znalazłeś się w takiej sytuacji? Co należy uczynić?

Kosinski zamilkł niespodziewanie. Spojrzał w oczy Blake'a i wpatrywał się w niego, dopóki Marty nie zorientował się, że pytanie nie było retoryczne. Bell oczekiwał od niego odpowiedzi.

— No cóż, trzeba chyba pogodzić się z losem — odparł po namyśle. — Trzeba oddać dziecko... i żyć dalej.

— Tak? — zaśmiał się Kosinski, jego rechot rozległ się echem po pokoju. — Ingrid jednak była odmiennego zdania. Postanowiła rozwijać cały potencjał Reggiego. Uważała, że lekarze pomylili się, że modlitwa przewycięży naukę, a miłość upora się ze wszystkim. Próbowalem ją przekonywać, próbowali lekarze, pielęgniarki, nawet przekłety pracownik opieki socjalnej. Wciąż jeszcze mam ją przed oczyma leżącą w łóżku i trzymającą chłopca w ramionach, jednocześnie wpatrzoną gdzieś w dal. Pamiętasz te książeczki do nabożeństwa, które zakonnice rozdawały w podstawówce? Ingrid wyglądała jak jedna z męczennic na zamieszczonych w nich obrazkach. Wydawało się, że ma swój krzyż i nie zamierza się poddawać. Liczył się tylko krzyż.

Oczywiście pomyślałem o odejściu. Nie z powodu Reggiego. Chciałem ją zostawić, ponieważ wiedziałem, że jest szalona. Nie zrobiłem tego jednak. Po pierwsze, przez całe życie byłem religijny i kiedy przysięgałem „na dobre i na złe”, rzeczywiście tak myślałem. Drugim powodem były słowa lekarzy, którzy twierdzili, iż Reggie nie pożyje dłużej niż rok, a najprawdopodobniej umrze w ciągu kilku najbliższych miesięcy. Myślałem, że może potem uda nam się wszystko jakoś naprawić.

Mimo złych rokowań Reggie żył dziewięć lat, a ja przez cały czas spełniałem swój chrześcijański obowiązek. Nie piłem ani kropli, z rzadką jakieś piwo. Przestałem brać nadgodziny, by móc pomagać w domu Ingrid. Słuchałem, jak opowiada bajki na dobranoc stworzeniu o pojętności zwykłego karczocha. Właśnie stąd wzięło się przewisko. Reggie Warzywko. Przyszło mi pewnego dnia do głowy i nie mogłem go stamtąd wyrzucić.

Kosinski przerwał, zaczerpnął głęboki oddech i przez chwilę patrzył w trzymaną w dłoni kubek.

— Tak było przez dziewięć długich lat. W robocie pozostałem dobrym gliną, ale nie supergliną, którym zawsze pragnąłem zostać. W domu spełniałem rolę urzędów gospodarczych: odkurzacza, zmywarki do naczyń. Przysięgam ci, Marty, z czasem w naszym domu panował coraz większy chłód. Bez względu na pogodę na zewnątrz, w chwili gdy otwierałem drzwi, uderzał mnie powiew chłodu. Uważasz, że przesadzam? Poradziłbym ci, byś porozmawiał z naszymi przyjaciółmi, problem jednak w tym, że nie mieliśmy żadnych.

Ostatni akt rozpoczął się w dniu pogrzebu Reggiego. Kiedy odchodziliśmy od grobu, Ingrid powiedziała do mnie: „Zabiłeś go, Bell”. Tak po prostu, ze swoim wyraźnym niemieckim akcentem. Ale to nie wszystko. Jej zdaniem wiara uratowałaby Reggiego, zarzucała mi, że ja nie miałem wiary. Miłość mogłaby go ocalić, ale ja nie miałem miłości. Modlitwa mogłaby zdziałać cuda, ale ja nie chciałem się modlić. Jednym słowem Reggie Warzywko wyrósłby na drugiego Alberta Einsteina, gdybym go nie zawiódł.

Dwa tygodnie później adwokat Ingrid przysłał mi dokumenty rozwodowe oraz nakaz sądowy wyrzucający mnie z domu. Konta w bankach już wcześniej świeciły pustkami. Rok później, kiedy rozwód nabrał mocy prawnej, wyszła za mąż za listonosza z Howard Beach. Gdy ostatnio o nich słyszałem, mieli troje dzieci, dwie dziewczynki i chłopca.

Kosinski po raz pierwszy poczuł działanie wódki. Zerknął na prawie pustą butelkę. Już dawno nie wypił tyle, by doprowadzić się do stanu całkowitego zubożenia.

— Dlatego właśnie, Marty — odezwał się, starając się jak najszybciej wyrzucić z siebie wszystkie zamierzone słowa — rzuciłem się w tę przepaść, o której ci mówiłem. Ona zawsze była pod ręką, więc nie musiałem zbytnio się wysilać. Wystarczyło zamknąć oczy i skoczyć.

17.

Pierwsze przecucie, iż rozwój wypadków nie będzie przebiegał zgodnie z oczekiwaniami ogarnęło Blake'a o dziewiątej następnego ranka, kiedy wyglądając przez kuchenne okno, zauważył forda econoline zaparkowanego po drugiej stronie ulicy. Samochód nie wzbudziłby jego podejrzeń — wyglądał jak każdy inny spośród wszystkich pojazdów stojących po obu stronach ulicy — lecz opierający się o niego otyły mężczyzna w średnim wieku, o orlim nosie oraz krótko przyszyżonych włosach wyraźnie przypominał policjanta. Podobne wrażenie sprawiali ludzie siedzący w czarnym dodge'u zaparkowanym tuż za furgonetką.

Blake przez chwilę przyglądał się, popijając kawę i zastanawiając się nad sytuacją. Ku własnemu zdziwieniu nie odczuwał najmniejszych emocji, jego umysł skrupulatnie rozważał wszystkie możliwości. Glina — opierając się na opisie Kosinskiego, Marty przypuszczał, że był to, Aloysius Grogan — wcale się nie krył.

Na pierwszy rzut oka wydawało się, że chodzi jedynie o próbę zastraszenia; czekali na niego niczym łobuziaki na dziecko wychodzące do szkoły. Przyczynę takiego postępowania ze strony przeciwnika z pewnością stanowił strach.

Blake spróbował postawić się na miejscu swoich przeciwników. Na początku założył, iż Samuel Harrah — człowiek, którego nigdy nie widział i o którym nic nie wiedział — działając we własnym interesie, zachowa zimną krew. W takim razie nie da się nabrać, że Bell Kosinski działa na własną rękę. W grę wchodziła zbyt wysoka stawka. Jednocześnie, choć z nieco innych powodów, Harrah nie mógł po prostu rozkazać swoim ludziom, by zlikwidowali Blake'a oraz Steinberga. Max był zbyt znaną osobistością jego nagłe zniknięcie spowodowałoby wiele zamieszania. Z pewnością nikt by nie uwierzył, iż Blake i adwokat zajmowali się jedynie swoimi sprawami i że — jak twierdzili — postanowili się wycofać.

Należało jednak spojrzeć na sprawę również z drugiej strony, mianowicie oczami żadnego władcy policjanta, który od wielu lat kroczył własnymi, najczęściej nielegalnymi drogami. Blake wspomniał jeden z kursów, jakie wybrał na uniwersytecie. Jego grupa (podobnie jak wszystkie pozostałe, zdaniem wykładowcy Cynthii Williams) była zachwycona opisem kryminalisty-psychopaty. Pani profesor Williams po długiej dyskusji poradziła studentom, iż zachowanie psychopaty lub socjopaty najłatwiej zrozumieć jest w kategoriach panowania. Panowania nad życiem — ich własnym, a także innych ludzi. Kiedy owemu panowaniu cokolwiek zagraża, kiedy wszystko się wali, reakcją psychopaty zazwyczaj jest agresja, a nie bierność. Agresja połączona często z całkowitym brakiem zdrowego rozsądku.

Blake ponownie wyjrzał przez okno. Tylne drzwi furgonetki były otwarte, a ostrzyżony najeża policjant rozmawiał z kimś znajdującym się wewnątrz.

Zbyt wiele improwizacji, pomyślał Blake. Chcą mnie tylko nastraszyć, przypomnieć mi o sobie i obserwować. Może odkryli podsłuch w piwnicy bloku Tillsona albo nadajniki w domu McGuire'a. Nieważne, ponieważ i tak nic już to nie zmienia. Czas pracuje przeciwko nim.

Przeszedł do pokoju, znalazł płytę Johna Coltrane'a „*My Favourite Thing*”, włożył ją do odtwarzacza i ustawił na tyle głośno, by zagłuszyć swoje poczynania. Następnie wrzucił do nesesera wciąż niepowieloną kasetę z zeznaniem sędziego McGuire'a, pisemny raport Guipa Patela oraz detektor CR, po czym cicho otworzył drzwi i wymknął się na korytarz.

— Sprawiasz wrażenie, jakbyś uciekał z domu.

Blake skulił się, poczuł jak sztywnieją mu mięśnie.

— Chryste, mamo, ale mnie przestraszyłaś.

— Jest aż tak źle? — Dora Blake po raz pierwszy wykazała zaniepokojenie.

— Zależy od tego, czy pytasz moją korę mózgową czy podwzgórze. Zdaje się, że mają na ten temat sprzeczne opinie. — Idąc z matką na górę, do jej mieszkania, opowiedział jej szczegóły. Następnie przeczesał wszystkie pięć pomieszczeń w poszukiwaniu podsłuchu, lecz nie znalazł niczego. Mimo to włączył telewizor, ustawił głośność tak, aby zagłuszyć ich rozmowę i dopiero wtedy przekazał neseser w ręce matki.

— Chcę, żebyś zawiozła te materiały do mieszkania Sary Tannebaum i poprosiła ją o przechowanie. Nie zdążyłem jeszcze wykonać kopii kasety, więc bądź ostrożna — Blake przerwał, przypomniawszy sobie opowieść Kosinskiego. Poprzedniego wieczoru zamiast zajmować się czymś pożytecznym, raz po raz rozważał całą historię. Z jednej strony potępiał to, co odbierał jako jego słabość, z drugiej — rosło w nim przekonanie, iż od chwili gdy Kosinski podjął pierwszą i najważniejszą decyzję, by pozostać u boku żony, jego los był już przesądzony. Nie można go za nic winić, nie powinien obwiniać go nawet taki arcy-moralista jak Martin Blake.

Dora Blake wzięła walizeczkę z rąk syna i postawiła na podłodze.

— Czy powinnam skontaktować się z wujkiem Patrickiem? — spytała. — Gdyby wiedział, co się dzieje, musiałby coś zrobić.

— Na przykład co?

— Oszczędź mi swojego sarkazmu, Marty. Nie jestem ślepa. Widziałam, jak podskoczyłeś, kiedy odezwałam się do ciebie na schodach.

— Wcale sobie nie drwię. Nie sądzę, by wujek Patrick mógł cokolwiek dla mnie zrobić zakładając, że w ogóle chciałby kiwnąć palcem, co samo w sobie jest wątpliwe. Lecz jeśli chcesz do niego zadzwonić, nie mam nic przeciwko temu. Przekaż mu wszystko, o czym ci powiedziałem, poinformuj go, że mam dowody. Ale nie pozwól mu położyć łap na tej kasecie, żeby nie wiem co. Nie wspominaj mu nawet o jej istnieniu. Zakładaj, że telefon jest na podsłuchu, więc uważaj na swoje słowa. Nie chcę, byś stała się celem. Jeśli będziesz sprawiała wrażenie przerażonej

matki próbującej pomóc synowi, w porządku, ale jeżeli Harrah domyśli się, że masz jakiegokolwiek dowody przeciwko niemu, zmuszony będzie cię zlikwidować.

— Czy nie sprawdziłeś przed chwilą mojego mieszkania?

— Tak, i nie ma tu nadajników ani magnetofonów, lecz nie oznacza to jeszcze, iż ludzie Harraha nie podłączyli się do telefonu gdzieś na linii między twoim mieszkaniem a centralą. Do licha, mogą nawet siedzieć w którymś z mieszkań naprzeciwko z mikrofonem parabolicznym oraz kamerą z teleobiektywem. Lepiej ostrzeż swoich kochanków — Blake zerknął na zegarek. — Muszę już iść. Za godzinę mam spotkanie z Joanną Bardo i zapewne się spóźnię. Pamiętaj, wujek Patrick podlizywał się przez całe swoje życie, dzięki temu zdobył posadę w dziale personalnym. Nie oczekuj od niego zbyt wiele, a nie zawiedziesz się.

Dwadzieścia minut później Marty Blake wyszedł z klimatyzowanego budynku w słoneczny żar. Spojrzał na niebo niemal pozbawione koloru, wydające się stanowić jedynie przedłużenie gorejącej bieli.

— Hej, Blake, podejdź no tu.

Blake spojrział na stojącego po drugiej stronie ulicy krótko ostrzyżonego mężczyznę. Grogan trzymał się w cieniu, niemniej jednak po czole spływały mu kropelki potu. Sprawiał wrażenie, jakby wolał znajdować się gdzieś indziej.

— Słucham? — Blake, niczym aktor na planie filmowym, włożył okulary przeciwsłoneczne, położył rękę na piersi i odwrócił głowę. — Mówi pan do mnie?

Zamiast odpowiedzieć, Grogan przeszedł przez ulicę. Jednocześnie wysoki gлина o bujnej grzywce, niewątpliwie Tommy Brannigan, wysiadł z dodge'a i ruszył za nim.

— Co to za gra, hę? W co ty się, do cholery, zabawiasz?

Blake popatrzył na wykrzywioną twarz Aloysiusa Grogana myśląc, że miał rację, gdy spodziewał się irracjonalnej reakcji, lecz trafił na niewłaściwego psychopata. Starał się zachować ostrożność i sprawiać wrażenie tchórzliwego pacyfisty. Pod żadnym pozorem nie chciał stracić nad sobą kontroli.

— Nie zechcieliby panowie przypadkiem przedstawić się i poinformować mnie o swoich zamiarach?

Blake dostrzegł zbliżający się cios. Widział, jak Grogan zaciska prawą pięść, powoli podnosi ją na wysokość ramienia, a następnie gwałtownie wyrzuca do przodu. Był to cios grubego mężczyzny w średnim wieku, niemniej zdaniem Marty'ego przypominał raczej żaloszny przejaw hysterii sfrustrowanego dziecka. Mimo to trafił w lewy policzek Blake'a z siłą wystarczającą by rzucić go na ścianę budynku.

— Gdyby to ode mnie zależało, zabrałbym cię na posterunek i tam się z tobą policzył — Grogan wypluwał słowa przez zaciśnięte zęby. — Rozumiesz mnie? Zalałtwiłbym cię jak pospolitego rzezimieszka.

Przekazawszy ostrzeżenie, policjant odwrócił się na pięcie i poprowadził swoich dwóch o wiele groźniej wyglądających towarzyszy do pojazdów, którymi przybyli. Parę chwil później oba samochody odjechały.

Blake pozbiierał się, sprawdził, czyjego marynarka nie porwała się ani nie zabrudziła, unikał jednak dotykania opuchniętego policzka. Zgodnie z rozkładem powinien udać się teraz do Manhattan Executive, ponarzekać na brak pracy i poprosić Joannę, by podrzuciła mu jakieś zlecenie. Zachowanie pozorów wydawało się obecnie nawet ważniejsze niż poprzednio. Głównym zadaniem zajmował się Steinberg — szukał reportera, który zgodziłby się napisać artykuł. Miał nadzieję, iż uda mu się zainteresować sprawą dziennikarza z *Newsday*, Jacka Patchena, cieszącego się sławą pogromcy glin, lecz również istniały inne możliwości. Z pewnością opowieść o szantażu i morderstwie prowadząca od zwłok Sondry Tillson do burmistrza Manhattanu oraz szefa wywiadu w Nowojorskim Departamencie Policji, sędziego Sądu Apelacyjnego i wreszcie martwego, bezdomnego chłopca, który stał się kozłem ofiarnym, kwalifikowała się na temat dekady, jeśli nie stulecia. Na pewno ktoś zechce ją opublikować, to tylko kwestia czasu.

Pół godziny później Blake jechał autostradą przez Long Island, rozważając w myślach, jakby to było, gdyby zabrano go na posterunek i tam chciano go złamać. Grogan należał do glin starej daty, prawdopodobnie posłużyłby się raczej gumowym węzem niż elektrycznym pistoletem obezwładniającym. W ten sposób tortury trwałyby dłużej.

Praktycznie wszyscy wyprzedzali prowadzonego przez Blake'a taurusa, najczęściej po pokazaniu mu kilku niecenzuralnych gestów. Tylko z tego powodu zauważył kasztanowego buicka trzymającego się jakieś pięćdziesiąt metrów za nim. Wpierw zareagował złością — powinien był spostrzec, że ma ogon. Zjechał z autostrady przy Greenpoint Avenue, skręcił w lewo i jechał prosto, dopóki nie trafił na mały barek. Zaparkował wśród innych samochodów, wszedł do środka, kupił kawę, a następnie ruszył w dalszą drogę. Znajdował się właśnie przy wjeździe do Midtown Tunnel na pasie z automatem pobierającym opłatę, trzymał w dłoni przygotowany żeton, by wrzucić go do maszyny, kiedy ponownie dostrzegł śledzącego go buicka.

W pewnym sensie, pomyślał Blake, jest lepiej, niż można się było spodziewać. W końcu jakież pożytek z przedstawienia, jeśli nie ma nikogo na widowni? Pozbędę się go dopiero przed spotkaniem ze Steinbergiem w restauracji u Emilia, nie powinno to sprawić dużego problemu. Nie na Manhattanie. Sztuka polega na tym, by zgubić ogon, zarazem nie wzbudzając podejrzeń. Uciec mu, a po odbytej rozmowie ze Steinbergiem znowu dać się odnaleźć.

Blake wybrał najkrótszą drogę prowadzącą do biura Joanny, kierując się park Avenue w stronę Broadwayu, a następnie Broadwayem do Soho. Jechał powoli, nie dbając o cały świat, beztrzesko pozwalając wyprzedzać się innym samochodom.

Buick trzymał się za nim. W pewnej chwili, gdy oba samochody stanęły zderzak przy zderzaku na czerwonym świetle, Blake zerknął w lusterko. Dostrzegł młodego mężczyznę o sięgających do ramion włosach z okrągłym koleczykiem w uchu.

Gdy ruszył ze skrzyżowania, zaczął zastanawiać się nad taktyką jaką trzeba będzie przyjąć, jeśli Maxa również śledzono. Skoro rzekomo zakończyli wspólne interesy, nie istniał żaden powód, by mieli się spotykać. Blake postanowił znaleźć jakiś sposób, by móc obserwować przyjście adwokata na umówione miejsce.

Od Steinberga jego myśli powędrowały ku Bellowi Kosinskiemu. Oby tylko siedział w zajeździe na Bayside. Kosinski nie zechce ukrywać się dłużej niż kilka dni. Były policjant (przynajmniej zdaniem Blake'a) był prawdziwym twardzielem; nie sposób namówić go do odgrywania w nieskończoność roli przestraszonego króliczka. Jeżeli Blake nie zdoła szybko załatwić Harraha oraz jego zbirów, Kosinski na własną rękę podejmie małe polowanie.

18.

— Wyglądasz szalowo, Cyntio, naprawdę szalowo — Blake zawsze potrafił zdobyć się na pochlebstwa — prawienie komplementów żonom klientów czy ich dziewczynom podczas najróżniejszych przyjęć stanowiło nieodzowną część jego zawodu. Tym razem jednak podziw Marty'ego był jak najbardziej szczerzy. Cynthia Barret miała na sobie brązową bluzeczkę z jedwabiu, udekorowaną wspaniałym, złotym naszyjnikiem. Na prawym ramieniu upięła szarfę, która łagodnymi fałdami ścieliła się w poprzek klatki piersiowej. Jej żywe kolory — pomarańczowy, brązowy i żółty — znakomicie pasowały do cynamonowej skóry Cynthii, dodawały głębi jej żółto-brązowym oczom oraz podkreślały kształt piersi.

— Dziękuję, Marty — Cynthia Barret podała Blake'owi obie dłonie. — Joanna wyplaciła nam premię, interesy idą o wiele lepiej.

— A ty wydałaś całą premię na ubrania i biżuterię, zgadza się?

— Prawdę mówiąc splaciłam nią kredyt z mojej Master Card, żeby móc zaciągnąć nowy na zakup ubrań i biżuterii. W Citibank wołam, by tak właśnie postępować. Zaproponowali mi nawet powiększenie limitu kredytowego.

— Ktoś powinien ich ostrzec, zanim zbankrutują.

Cynthia jak zwykle odpowiedziała radosnym, ciepłym śmiechem.

— Joanna czeka na ciebie.

— Mam nadzieję, że jest w dobrym humorze, ponieważ chciałbym, żeby podrzuciła mi jakieś zlecenie.

— O, z pewnością Marty. Joanna właśnie kupiła... nabyła nowy mebel. Być może zechcesz powiedzieć jej jakiś komplement.

Blake wetknął dłonie do kieszeni.

— Jaka jest tym razem historia?

— No cóż, mój drogi — Cynthia uniosła nos do góry i spojrzała na Marty'ego z ukosa. — Moja wielbna pracodawczyni zakupiła dębową bielizniarkę w stylu chippendale datowaną w przybliżeniu na rok 1780. Dzieło to wyposażone jest w ozdobne narożniki umieszczone ponad parą rzeźbionych, zaokrąglonych u góry drzwiczek oraz trzy półki podpierane małymi kolumnkami — przerwała, po czym opuściła głowę. — Marty, przysięgam, że to najohydniejszy mebel, jaki kiedykolwiek widziałam.

— Jest zbyt brzydki jak na imitację?

Cynthia ponownie zaśmiała się.

— Nie wiem, Marty. Dlaczego nie spytasz Joanny?

— Ponieważ nie jestem tak odważny. Nigdy nie byłem — przyznał Blake.

Marty łatwo rozpoznał najnowszy antyk Joanny, gdyż kiedy wszedł do jej gabinetu, podziwiała właśnie swój nabytek. Jej złocista sukienka o sznurowanym dekolcie została dobrana specjalnie do żółtawych tonów masywnego mebla. Spostrzegłszy obecność Blake'a, delikatnie zamknęła drzwi bielizniarki.

— Do licha, Joanno — zatrzymał się w drzwiach. — Nie mogę się zdecydować, co mi się bardziej podoba, szafa czy kobieta, która przed nią stoi.

— Marty, mamy pewien problem. Usiądź proszę.

Blake, zaskoczony niespodziewanym rozwojem sytuacji, wykonał polecenie. Właściwie nie miał innego wyjścia, zastanawiał się jednak, dlaczego w ogóle starała się udawać, iż nic się nie stało, skoro miała dla niego złe wieści. Na wyjaśnienie nie czekał długo, gdyż Joanna natychmiast przeszła do rzeczy.

— Wczoraj wieczorem — zaczęła wciąż częściowo zwrócona w stronę bieliźniarki, z uniesioną ręką jakby zamierzała pogłaskać drewniane monstrum — zadzwoniono do mnie w imieniu jednego z moich nowych klientów, o którego zlecenia zabiegałam niemal od roku.

— I chodziło o mnie.

— Zgadza się, Marty.

— Któż to taki?

— Telefonował osobisty sekretarz burmistrza, pana Edwarda Greena.

Blake całym ciężarem opadł na krzesło, przypominając sobie jednocześnie, by nie pozwolić ponieść się nerwom.

— Czego chciał ten sekretarz?

— Twierdził, że wtykałeś nos w prywatne sprawy pana Greena, że przeprowadzałeś nielegalną inwigilację. Wygląda na to, że zostaniesz pozbawiony licencji. Pytał oczywiście, czy wciąż pracujesz dla Manhattan Executive — przerwała, odwracając się w jego stronę. — Dopytywał się, czy *to ja* dałam ci takie zlecenie.

— A dałaś?

— To nie jest śmieszne.

— Nie miało być — Blake założył nogę na nogę i oparł dłoń na kolanie. — Zastanów się, Joanno. Przecież rzeczywiście wysłałaś mnie do Maxa Steinberga. Nie zamierzam przeproszać za wypełnianie swoich obowiązków. Prawdę mówiąc, jestem dumny ze swoich osiągnięć. Zdobyłem niepodważalny dowód niewinności Billy'ego Sowell'a i to wszystko. Nie widziałem Maxa Steinberga od czasu spotkania wkrótce po śmierci chłopca. Obaj byliśmy wtedy pijani, jeśli dobrze pamiętam.

Joanna Bardo przestała w końcu zajmować się swoją nową zabawką, podeszła do biurka i usiadła.

— Marty, wdepnąłeś w gówno.

— Aż tak źle? — pomimo całej swej zuchwałości, Blake zawahał się, słysząc nietypową reakcję dawnej pracodawczyni.

— Dziś rano, na krótko przed twoim przyjściem, złożył mi wizytę niejaki detektyw Brannigan. Przyniósł pudełko pełne pluskiew, nadajników oraz magnetofonów. Twierdził, iż sprzętem tym posłużono się przy nielegalnej inwigilacji i żądał odpowiedzi, czy to Manhattan Executive go dostarczyło. *Tobie*.

— Manhattan Executive nie ma z tym nic wspólnego, nie rozumiem więc, na czym polega twój problem.

Joanna pochyliła się nad biurkiem.

— Mam problem dwojakiego rodzaju. Po pierwsze, Marty, zawarliśmy umowę, która umożliwiła ci korzystanie ze sprzętu Manhattan Executive, jednak tamte urządzenia były nowe. Skoro zdecydowałaś się wydać aż tyle pieniędzy, podczas gdy mogłaś wykorzystać nasze zasoby, zapewne mi nie ufałaś. To proste. Po drugie, kilka dni temu przyszedłeś do mnie razem ze swoim nowym kolegą, żeby błagać mnie o pracę, o zlecenia, których najwyraźniej wcale nie potrzebowałaś. Po prostu próbowałaś mnie zwieść.

— Więc zostałem skazany nawet bez rozprawy, na podstawie stwierdzeń jakiegoś gliny oraz polityka? — Blake rozpaczliwie szukał wyjścia z sytuacji. Zdawał sobie sprawę, iż popełnił błąd, przyprowadzając wtedy ze sobą Kosinskiego. — Czy przypadkiem nie nagrywasz tej rozmowy?

Pytanie wywołało krótkotrwały pąs na twarzy Joanny natychmiast zamaskowany zmarszczeniem brwi.

— Czy wiesz ile pracy kosztowało mnie zdobycie takiego klienta? Czy w ogóle masz pojęcie? Edward Green zamierza ponownie kandydować na stanowisko burmistrza. Jego komitet wyborczy już stał się naszym największym klientem, a to dopiero początek — przerwała, zerknęła na swą dębową bielizniarkę, a następnie potrząsnęła głową. — Zrobiłam dla ciebie tyle, ile mogłam. Ustawiłam twoją firmę, znalazłam ci klienta, dałam dostęp do swoich komputerów, a ty odwzięczyłaś się, próbując mnie oszukać. To boli, Marty.

Blake wstał i ruszył w stronę wyjścia, lecz zatrzymał się jeszcze.

— Nie wiem nic o żadnym przekętym Edwardzie Greenie. Nic, rozumiesz? Ale tak naprawdę to co wiem, a czego nie wiem, wcale się nie liczy, nieprawdaż? — wykonał krok w kierunku biurka Joanny. — Pieprzę ciebie i twoją dębową bielizniarkę, twoje nędzne ambicje oraz żalostną pretensjonalność — przerwał, zniżył głos i pociągnął nosem. — Jak to jest, kiedy przez całe życie liże się komuś dupę? Kiedy poświęca się starego przyjaciela, ponieważ zadzwonił sekretarzyna jakiegoś klienta? Gdyby jakiś waśniak powiedział ci: „Zabierz z recepcji tego czarnucha”, czy wylałabyś również Cynthię?

Blake zauważył spokojny wyraz twarzy Joanny i doszedł do wniosku, iż nie uwierzyła w odegraną przez niego scenkę. Złoży raport Edwardowi Greenowi natychmiast po jego wyjściu, być może nawet wyśle mu kopię nagrania, którego sporządzeniu nie zaprzeczyła. Bardzo dobrze, że wszystko zostało zarejestrowane na taśmie; jego złość, na którą Joanna nie dała się nabrać, może przynajmniej zmylić Samuela Harraha. Joanna powiedziała, że chcą mu odebrać licencję, a nie życie, co oznacza, iż nie mają jeszcze pewności, jakie są jego zamiary. Albo może uznali, że zlikwidowanie założonych przez niego podsłuchów uczyniło go nieszkodliwym. W obu przypadkach zyskiwał.

— Gdzie się podział twój uśmiech, Marty? Twój śliczny uśmiech — ton głosu Joanny wydawał się niemal smutny. Odsunęła nieco krzesło, a następnie złożyła

ręce. — Był taki czas, że potrafił on rozjaśnić ten pokój, a teraz przeminął bez śladu. Czuję się, jakbym rozmawiała z obcym człowiekiem. Stałeś się bardziej szorstki, złośliwy. Czy zastanowiłeś się dokąd zmierzasz? — wstała, przeszła przez pokój i otworzyła drzwi. — Żegnaj, Marty. Nie przychodź tu więcej.

Jadąc przez miasto, Blake rozmyślał o ostatnich słowach Joanny. Najpierw przeszedł piwnicami do wyjścia w małej alejce prowadzącej na Wooster Street, następnie zatrzymał taksówkę i kazał kierowcy zatoczyć koło, a potem zawrócić i jechać na Greene Street. Zgodnie z oczekiwaniami kasztanowy buick nadal stał zaparkowany przed budynkiem Joanny. Długowłosa glina siedział za kierownicą, zza rozłożonego *Daily News* wystawał jedynie jego wielki kolczyk. Blake potrząsnął głową z zadowoleniem, po czym pogrążył się w myślach.

Manhattan Executive przez długi czas było jego drugim domem. Joanna Bardo, królowa i matka, żywiła go (i wykorzystywała), podczas gdy on krok po kroku doskonalił się w swoim fachu. Teraz niespodziewanie odstawiono go od piersi i jak przypuszczał, powinien czuć się zagubiony i smutny. Tak naprawdę jednak, odczuwał tylko lekkie łaskotanie spowodowane spływającymi za kołnierz kropelkami potu. Pomimo otwartych okien wewnątrz samochodu panował upał.

Jeszcze kilka tygodni temu, przypomniał sobie Blake, jeździł prawie identyczną żółtą taksówką. Zerknął na licencję kierowcy. François George. A może George François? Członkowie komisji do spraw taksówek mieli talent do przekręcania nazwisk obcego pochodzenia. Ten kierowca pochodził prawdopodobnie z Haiti.

Blake poczuł nagłą chęć, by zapytać go o życie w jego ojczyźnie. Czy w Port-au-Prince również prowadził taksówki? Czy zostawił rodzinę — żonę, dzieci — tylko po to, by przyjechać do kraju, gdzie ludzie nim pogardzają? Jakie były motywy jego emigracji — polityka czy bieda? A może polityka biedy? Haiti było ubogim państwem, a jego obywatele znosili ucisk od tak dawna, że rozdzielanie obu problemów stanowiło jedynie grę amerykańskich polityków mającą na celu utrzymać Haitańczyków z dala od Stanów Zjednoczonych.

— Chłopie, spójrz no.

Blake powiódł wzrokiem w kierunku wskazanym przez François George'a i zobaczył dwie kobiety w średnim wieku, które trzymając się za ręce spacerowały po Hudson Street.

— Pieprzone lesby. Nienawidzę tych cholernych lesbijek— warknął, a następnie potrząsnął głową. — Liżą sobie cipy. To ohydne.

Taksówkarz gwałtownie skręcił w lewo, zajeżdżając drogę autobusowi, po czym pomknął wzdłuż pierwszej alei.

— François George, skąd jesteś? — spytał Blake.

— Z Harlemu — odparł mężczyzna. — Zachodnia sto pięćdziesiąta druga.

— Czy to twój wóz?

— Mój i banku, jesteśmy współnikami — zachichotał radośnie. — Kupiłem ją piętnaście lat temu, do osiemdziesiątego dziewiątego spłaciłem, w zeszłym roku

zaciągnąłem za nią kredyt hipoteczny i kupiłem pralnię, którą prowadzi moja żona. Wiedzie nam się całkiem nieźle. Zamierzamy się jednak przeprowadzić. Chcemy uciec z Harlemu, zamieszkać w jakimś bezpieczniejszym miejscu — zaśmiał się ponownie. — Jeśli tylko uda nam się takie znaleźć.

Blake wysiadł na skrzyżowaniu pierwszej alei z siódmą ulicą, pół przecznicy od Emilio's Ristorante. Do umówionego spotkania ze Steinbergiem pozostało jeszcze dwadzieścia minut. Udał się wprost do kawiarenki mieszczącej się po przeciwnej stronie ulicy, usiadł przy oknie i zamówił kawę oraz ciastko z kremem kokosowym. Dopijał właśnie drugą filiżankę kawy, kiedy Steinberg nadjechał taksówką i wszedł do restauracji. Dziesięć minut później mając pewność, iż Max nie był śledzony, Marty zapłacił rachunek, a następnie przeszedł na drugą stronę ulicy.

— Usiądź, Marty — powiedział adwokat, nie podnosząc wzroku. — Musimy porozmawiać.

Blake zauważył skulone ramiona, smutny ton oraz spuszczoną głowę. Słynna peruka pozostawała w bezruchu.

— Max, nie wyglądasz najlepiej — zamówił wytrawny manhattan, popatrzył za odchodzącym kelnerem, zastanawiając się, dlaczego serce wali mu w piersi niczym młot kowalski.

— Bywało lepiej — Steinberg pociągnął łyk swojego drinka, zaczerpnął głęboki oddech i w końcu spojrzął na Blake'a. — Nie ma sensu rozwodzić się zbytnio — powiedział. — Wycofuję się, nie mam innego wyjścia.

— Naprawdę? A co stało się z twoim: „Steinberg nigdy się nie poddaje”?

Blake dostrzegł w oczach adwokata charakterystyczny błysk gniewu, lecz znikł on równie szybko, jak się pojawił. Steinberg sprawiał wrażenie tak dokładnie zgnojonego, iż Blake'owi zrobiło się go żal.

— Nie mam wyboru — powtórzył. — Dobrali mi się do tyłka.

Blake wyprostował się, gdy kelner stawiał na stole zamówionego przez niego drinka. Przez moment przyglądał mu się, po czym opróżnił kieliszek i poprosił o następny.

— Rozumiem, że nie skontaktowałeś się z dziennikarzem, nawet nie zacząłeś. Steinberg potrząsnął głową.

— Nie, nie zrobiłem nic. Uczepili się mnie zaraz po naszej rozmowie — spojrzął w dół na swoje dłonie. — To sprawa sprzed paru lat. Chodzi o pewnego klienta jeszcze z czasów, zanim zdecydowałem się zawsze grać czysto. Nie powinienem był tego robić, lecz zaryzykowałem. Chryste, Marty, sądziłem, że dawno o wszystkim zapomniano, ale te skurwiele trzymały to aż do dzisiaj.

— Dlaczego nie próbowali cię wcześniej szantażować? Przecież szantaż to ich specjalność?

— Powiedzieli...

— Kto, Max, podaj nazwisko.

— Thomas Brannigan.

— A więc nie zasługiwałaś nawet na wizytę samego szefa.

— Masz rację. Zgnietli mnie jak pchłę — Steinberg wypił i skinął na kelnera, by ponownie napełnił szklaneczkę. — Chcesz wiedzieć, dlaczego nie przycisnęli mnie wcześniej? Ponieważ sprawdzili mnie i odkryli, że siedzę po same uszy w długach.

— Ale nie ujawnili zdobytych informacji.

— Jeszcze tylko dwa lata, Marty. Dwa lata, a sprawa uległaby przedawnieniu. Dwa lata i byłbym wolny.

— Wolny i niewinny?

Pojawił się kelner, niosąc kieliszki. Postawił je na stole, a następnie zapytał, czy chcą zamówić już obiad.

— Ja swój piję — odparł Steinberg, odsyłając obsługę. — Słuchaj, Marty, jeśli sądzisz, że Harrah nie wie, co knujesz to się mylisz. Przyszedłem tu, żeby cię ostrzec. Jeżeli wykonasz jakiś ruch przeciwko Harrahowi, on pogrąży mnie oraz twoją szefową, Joannę Bardo. Zrobi to, gdy tylko kiwniesz palcem.

Blake rozglądając się, przez chwilę zbierał myśli. Restauracja u Emilia należała do jednych z ostatnich tradycyjnych, włoskich lokali w tej okolicy. Stanowiła pozostałość po czasach, gdy na Lower East Side rzeczywiście mieszkali Włosi. Ściany obwieszane były pożółkłymi fotografiami, z których wiele nosiło autografy. Wśród nich znajdowały się zdjęcia Carmen Basilio, Jake'a LaMotta, Rocky'ego Marciano. Vic Damone zajmował zaszczytne miejsce ponad wypolerowaną maszyną do przyrządzania kawy cappuccino, w sąsiedztwie Roberta De Niro, Sylvestra Stallone oraz Lou Costello. O dziwo, w powyższym panteonie brakowało Franka Sinatry.

— Więc gdzie się podziewa prezes zarządu? — spytał Blake; w kącikach jego ust czaił się uśmiezek.

— Kto?

— Prezes zarządu, Max. Frank. Gdzie do cholery jest Frank?

Steinberg stracił w końcu panowanie nad sobą.

— Blake, jesteście stuknięty. Spodziewałem się czegoś podobnego po tym pijaku, Kosinskim, lecz wydawało mi się, że ty masz nieco więcej zdrowego rozsądku.

Blake przysunął krzesło do stołu i pochylił się.

— A więc jeśli się wycofam, co z tego będę miał?

— Zachowasz swoją licencję. Pluskwy i nadajniki ulegną zapomnieniu.

— A Bell? Co zyska Bell? A może mamy udać, że nie widzimy, gdy pewnego dnia wyłowią go z rzeki?

Ponieważ Steinberg nie udzielił odpowiedzi, Blake zmienił temat.

— Max, pamiętasz pewnego policjanta, Matthew Blake'a. Zdaje się, że los zetknął was ze sobą jakieś osiem lat temu.

— Czy reprezentowałem go? Czy był z tobą spokrewniony?

Blake przez moment przypatrywał się wyrazowi twarzy adwokata. Przymrużone oczy Steinberga pragnęły oczywiście coś ukryć, jednak w kącikach ust pojawił się jakby cień uśmiechu.

— Wiedziałeś o wszystkim przez cały czas naszej współpracy, zgadza się? — Blake spodziewał się choćby formalnego zaprzeczenia, lecz twarz Steinberga pozostała niewzruszona. — Max, nie powinieneś mnie teraz okłamywać, ponieważ biorąc pod uwagę mój obecny nastrój, mógłbym zmusić cię do zjedzenia tej twojej peruki.

Prawnik wzruszył ramionami i rozłożył ręce.

— Na początku nie skojarzyłem was obu — Blake to dość pospolite nazwisko — później jednak przypomniałem sobie, sprawdziłem wszystko i odkryłem, że jesteś jego synem. Życie jest pełne niespodzianek, nieprawdaż? Kiedy jednak zadawałem sobie pytanie, co ten fakt zmienia w stosunkach między nami, nie potrafiłem na nie odpowiedzieć, więc milczałem. Nie jesteś swoim ojcem.

Blake opróżnił kieliszek, odczekał, aż żar alkoholu dotrze do żołądka oraz rozgrzeje dłonie i twarz.

— Twoja klientka, ta narkomanka, jak ona się nazywała?

— Chantel McKendrick.

— Twierdziła, że mój ojciec ją zgwałcił.

— Zgadza się.

— A ty złożyłeś skargę.

— Co ty sobie wyobrażasz, Marty? Uważasz, że tak po prostu uwierzyłem jej słowom? Byle tylko wygrać sprawę? — Steinberg oparł dłonie na stole i zbliżył swą twarz do twarzy Blake'a. — Po pierwsze, chłoptasiu, podłączyłem ją do wykrywacza kłamstw i kazałem od początku opowiedzieć wszystkie szczegóły. Krok po kroku. Potem ponownie powtórzyliśmy całą procedurę, a następnie jeszcze raz od końca.

— I zdała?

— Celująco — oczy adwokata świeciły triumfalnie. Było to spojrzenie sportowca, który w jakiś cudowny sposób zdołał zwyciężyć, choć wszystko wskazywało, że poniesie klęskę; zdumionego wojownika, który spostrzegł, iż jego potężniejszy przeciwnik padł. — Ale, do licha, dlaczego ktokolwiek miałby się dziwić? Przecież często bywa podobnie, nieprawdaż?

Blake wstał od stołu.

— Tak — przyznał — takie rzeczy zdarzają się niemal codziennie. No cóż, obowiązek wzywa.

Blake, zanim jeszcze zdążył wsiąść do taksówki, rozważał już kolejne posunięcie. Nie zamierzał wracać po taurusa. Jaki miałyby to sens? Nie, powinien raczej znaleźć jakąś agencję wypożyczającą samochody, która przyjmuje gotówkę, a następnie pojechać do Kosinskiego i podzielić się z nim złymi wiadomościami. Kosinski oczywiście nie zechce siedzieć bezczynnie. Nie mógł wycofać się teraz, gdy koniec był już tak bliski. Cóż, być może kamizelka kuloodporna powiększy nieco jego szanse. Albo może powinien wypróbować działanie różańca poświęconego przez papieża.

19.

— Pamiętasz tego blondasa? — spytała Bella Kosinskiego Emily Caruso. — Widywało się go kiedyś w telewizji.

Ksiądz Tim chwilę się zastanawiał, drapiąc się po brodzie.

— Biskup Fulton J. Sheen — odparł wreszcie, cedząc słowa jak zawsze pod koniec swojej codziennej wizyty w Cryders.

— Na miłość boską, Bell, czy mógłbyś powiedzieć temu chlajusowi, żeby się zamknął? — odwróciła się tyłem do Kosinskiego, by rzucić księdzu złowrogie spojrze-
nienie. — Czy ja cię o coś pytałam? Czy uważasz, że traciłabym czas na rozmowę z takim starym pijakiem jak ty, który w swoim życiu nigdy nie miał żadnej baby?

Ksiądz Tim zachichotał.

— Przebaczam ci, Emily. Podobnie jak czyniłem to w przeszłości, robię to również teraz, a także błogosławię cię.

Jego uwaga odniosła zamierzony skutek. Emily Caruso, której ze złości drżała każda zmarszczka na twarzy, odwróciła się ponownie w stronę Kosinskiego.

— Bell, on się ze mnie nabija, tak jak wyśmiewał się ze swych ślubów, kiedy jeszcze był księdzem. Facet nie ma odrobiny wstydu — uniosła do góry brwi, zbierając się do przypuszczenia ostatecznego szturmu. — W konfesjonale pił wódkę. Czułam to po jego oddechu. Jakie odpuszczenie można uzyskać od takiego pijaka?

Bell Kosinski skinął głową w zamyśleniu.

— Dlaczego więc nie poszukałaś sobie innego księdza? Przecież nie był jedynym.

Obserwował, jak usta starszej pani powoli układają się w uśmiech. Jej chichot wydawał się niemal dziewczęcy, przypominał mu szkolne lata. Zamknął oczy, zobaczył Andreę Fischetti, swoją pierwszą miłość, usłyszał jej radosny śmiech, kiedy jego palce wsuwały się pod śnieżnobiałą bluzeczkę dziewczyny.

— Chodziłam do niego, ponieważ temu baranowi mogłam powiedzieć wszystko — stwierdziła Emily Caruso — a on nazajutrz nic już nie pamiętał. Było mi łatwiej, bo to trochę jakby mówiło się do pustego konfesjonału, nieprawdaż?

— Pamiętam każde twoje słowo, Emily. Mógłbym zacytować całą listę twoich przewinień niczym archanioł Gabriel czytający je z księgi.

Potrząsnęła głową, pragnąc, by ksiądz odczepił się.

— Wracając do tego blondasa, Bell, pamiętasz, kto to jest?

— Nie bardzo.

— Ależ na pewno pamiętasz — nalegała, ciągnąc go za ramię. — Ten frajer, taki albinos. Ten, który powiedział, że każdy powinien mieć swoje piętnaście minut sławy. To o nim mówię.

— Andy Warhol — wtrącił się ksiądz Tim.

— Właśnie, Bell, Andy Warhol. Tak więc chciałabym wiedzieć, co się stało z moim kwadransiem? Spójrz tylko na mnie. Jeśli przyjdzie mi dalej czekać, jedyną

okazją do zdobycia sławy będzie przejechanie przez karawan małego dziecka podczas mojego pogrzebu — przerwała, a po chwili zastanowienia przestała się uśmiechać. — Lepiej niech to będzie cała grupa dzieci, grupka niewiniątek czekających na szkolny autobus. W Nowym Jorku jedno dziecko to za mało.

Kosinski wzruszył ramionami.

— Zapewne Andy się mylił.

— Andy Warhol powiedział, że każdy *ma prawo* do piętnastu minut sławy — wtrącił się ksiądz Tim. — Prawo to jeszcze nie gwarancja.

Emily Caruso z wściekłością rzuciła się na niego.

— Gównu wiesz na ten temat — zaczęła. — Nie mówił ani słowa o żadnych prawach, do cholery.

Kosinski w myślach oddalał się od niemal rytualnych kłótni bywalców baru Cryders. Wiedział, że Emily Caruso będzie mówić coraz głośniej, ksiądz Tim zacznie odrzucać każde jej słowo; Ed O'Leary w końcu zagrozi, że na zawsze zakaże im wstępu do lokalu. Emily i Tim będą udawać, że poważnie traktują pogrożki, choć każde z nich doskonale wiedziało, iż Ed nigdy nie pozwoliłby sobie na taką stratę. Gdyby przez dwa wieczory z rzędu nie pokazali się w barze, poszedłby do nich, gotów przywlec ich do siebie choćby siłą.

Kosinski patrzył na nich nieprzytomnie. Był pochłonięty roztrząsaniem szczegółów współpracy z Maxem Steinbergiem i Martym Blakiem. Najdziwniejszy był fakt, iż w obecnej chwili czuł się niczym podróżnik, który powrócił z długich i ciężkich, niemniej jednak zakończonych sukcesem wojaży. W pewnym sensie nie żałował; ze wszystkich przygód wyszedł nie tylko bez żadnego uszczerbku, lecz nawet nieco podbudowany. Zakończenie wydawało się absurdalne, głupie ponad wszelką miarę. Jak mogło być już po wszystkim, skoro on przyszedł tutaj ubrany w kamizelkę kuloodporną ze smith & wessonem za paskiem?

Zerknął na Tony'ego Loesta siedzącego na stolku w pobliżu drzwi. Został zatrudniony na dwuletni kontrakt jako murarz przy budowie wieżowca w centrum Brooklynu i oficjalnie skończył z handlem kokainą. Opróżniał szklaneczki z taką częstotliwością, jakby został skazany na śmierć, a one stanowiły ostatnią szansę odpokutowania grzechów.

— Gotowy, Bell?

Kosinski spojrział na Eda O'Leary'ego. Barman wypowiedział już zwyczajową groźbę pod adresem kłócących się i teraz stał nad nim z butelką w dłoni.

— Zawsze — odparł — zawsze gotowy.

O'Leary napełnił jego szklaneczkę, po czym pochylił się nad barem.

— Zaraz nie wytrzymam — zwierzył się. — Metsi przegrywają osiem do jednego. Ten cholerny Bonilla, przez cały rok sztywniak, a teraz nagle zdobywa punkty. Spróbuj to pojąć.

Kosinski popatrzył za odchodzącym barmanem. Pragnął z powrotem zanurzyć się w swoich rozmyślaniach, lecz niestety Emily Caruso pociągnęła go za rękaw.

— Wiesz, co sobie myślę, Bell — jej oczy stały się mętne, kiwała się na stołku niczym narciarz podczas slalomu giganta. — Sądzę, że Andy Warhol chrząknął głośno. W jaki sposób każdy miałby dostać swoje piętnaście minut? Na świecie jest zbyt dużo ludzi — przerwała, by po chwili dodać — a za mało czasu.

Kosinski przytaknął.

— Tak, jeśli zbierzesz wszystkich razem, znajdzie się jakieś pięć czy sześć miliardów kandydatów. Gdyby wszyscy stali się sławni, nie pozostałaby żadna publiczność.

— Chyba że — stwierdził ksiądz Tim — stworzylibyśmy publiczność z ochotników, z samych niedbających o siebie osobników, którzy rzekliby się swoich piętnastu minut dla dobra ogółu. Moglibyśmy przykuwać ich na szesnastu godzin dziennie do bateryjnie zasilanych telewizorów, a ci, którzy pragną zdobyć sławę przechodziliby przed kamerą — przerwał, by wypić drinka, odczekał, aż minęła mu czkawka i mówił dalej: — Oczywiście trzeba by powołać specjalną komisję orzekającą, kto jest uprawniony, a kto nie. Przesłane oraz znani politycy automatycznie zostaliby wykluczeni.

Kosinski spojrzął na Emily Caruso, która przestała reagować już na docinki księdza Tima.

— Istnieje wiele sposobów, by zyskać sławę — zauważył — lecz nie wszystkie są jednakowo dobre. — Pomyślał, że jednym z tych złych jest dać się zabić w dzielnicy białych, będąc emerytowanym białym policjantem.

— Nie doczekasz się sławy — Emily potrząsnęła głową omal nie spadając przez to ze stołka. — Bell, wiesz, czego się prędzej doczekasz?

— Uświadom mnie, Emily.

— Zawsze przytrafi ci się jakaś smutna historia. Coś, co jeszcze bardziej cię pogrąży, ale musisz dotrwać z tym do samego końca. Oczywiście nikt nie powie ci tego wprost, ale tylko to jedno należy ci się w życiu. Każdy człowiek na tej planecie dostaje swoją chwilę smutku.

— Nawet ksiądz Tim?

Emily Caruso zamiast odpowiedzieć, osunęła się ze stołka. Ksiądz Tim natychmiast podtrzymał ją w pozycji siedzącej.

— Lepiej będzie, jak odstawię Emily do domu — stwierdził. — Sam też powinienem już pójść.

Domem Emily był pokój w mieszkaniu jej córki oddalonym od baru o trzy przecznice.

— Sądziś, że to przeżyje?

— Wczoraj jej się udało — objął ją w pól, po czym założył kapelusz. — Przedwczoraj także. Bóg z tobą, Bell.

Kosinski pozostał w barze, dopóki nie wyszedł ostatni klient, a Ed O'Leary nie pozmywał naczyń i nie posprzątał. Nie bał się, nie czuł strachu przed opustoszałymi ulicami. Właściwie nie mógł już doczekać się konfrontacji, która miała nastąpić. Podczas służby nie skorzystał ze swojej trzydziestkiósemki, nie został postrzelony, choć pozamykał wielu groźnych przestępców.

To coś nowego, pomyślał. Kiedy odchodziłem na emeryturę, straciłem wszelką nadzieję. Sądziłem, że nic się nie zmieni, że dni będą przepływać niczym papierowe okręty po kałuży.

Spojrzał na mokry blat baru, policzył czarne, dziury wypalone w drewnie papierosami.

— Wiesz, na czym polega problem? — zwrócił się właściwie w pustkę.

— Nie, Bell, co to za problem?

Kosinski przez moment przypatrywał się Edowi O'Leary'emu. Barman stał w drzwiach prowadzących na zaplecze.

— Kłopot w tym, że człowiek nie mając żadnej władzy, zachowuje się, jakby było inaczej. Nigdy nie zadaje się pierwszego ciosu, choćby nie wiem jak się chciało.

Bell podniósł się, udało mu się utrzymać kontrolę nad ciałem, nie drżały mu dłonie, gdy dotknął kolby tkwiącego za paskiem rewolweru. Przez chwilę głąkał ręką zimny metal broni, położył kciuk na kurku, pozostałymi palcami przesunął po pięciocentymetrowej lufie i dotknął osłony spustu. W końcu opuścił rękę.

Z daleka, w ciemnościach trzymana w dłoni broń będzie niewidoczna. Na tym właśnie polegały plan A, plan B i plan C; strategia pijanego, emerytowanego gliny wciąż wierzącego w zadanie pierwszego ciosu.

— Aż tak źle, Bell? — O'Leary ponownie wrócił za bar. Stojąc przed otwartą kasą, w lewej ręce trzymał swój obrzyn. — Jeśli chcesz, odprowadzę cię do domu.

— Nie sądzę, Ed, żeby to był dobry pomysł — Kosinski ruszył w stronę drzwi, zatrzymał się jednak na moment i odwrócił do przyjaciela. — Ci ludzie to skorumpowane gliny. W tej bitwie nie można odnieść zwycięstwa ponownie skierował się do wyjścia, lecz zatrzymał się jeszcze raz. — Wiedzą, że nie zostawię ich w spokoju. W przeciwnym razie, może by mnie oszczędzili, ale wiedzą, iż tak się nie stanie, ponieważ sam im to powiedziałem. Teraz mogę winić jedynie samego siebie.

Było kilka minut po drugiej, kiedy Kosinski opuścił w końcu bar Cryders. Zimne i wilgotne powietrze zdążyło już zrosić chodniki. Zaczerniał głąboki oddech, poczuł, jak na jego włosach i brwiach osiadają mikroskopijne kropelki. Ulice dawno już opustoszały. Z oddali dobiegł go zgrzyt ciężarówki zmieniającej biegi oraz warkot silnika. Potem znowu nastąpiła cisza.

Przeszedł na drugą stronę ulicy, spoglądając na każde mijane drzwi. W Nowym Jorku nigdy nie było ciemno, pomiędzy wszystkimi przecznicami obowiązkowo znajdowały się cztery latarnie. Wszędzie jednak spotykało się cienie, które w miarę zbliżania się odsłaniały coraz więcej ze swojej tajemniczości.

W ulicę, którą szedł, skręcił samochód i przejechał obok niego. Kosinski wyobraził sobie Tommy'ego Brannigana w odwróconej tył na przód czapce baseballowej, widział go, jak wychyla się z tylnego okna samochodu, trzymając w ręku uzi.

Grogan będzie z przodu, z półautomatem, podczas gdy Samuel Harrah siedząc wyprostowany i spokojny, będzie patrzeć na wszystko swoim stalowym spojrzeniem.

Wyobrażenie napadu rozbawiło Kosinskiego, więc dalej rozwijał swój pomysł. Być może posłużą się jednym z tych chevroletów, których zawieszenie opuszcza się lub podnosi, gdy kierowca naciśnie odpowiedni guzik. Ale nie, podobne rzeczy były raczej w stylu zachodniego wybrzeża. W Nowym Jorku chevroleta zastąpiłby mercedes, z radia rozbrzmiewałaby muzyka. Odwróciłby się, uniósł swoją trzydziestkęósemkę, oddał na oślep kilka strzałów, zanim hałas spowodowany jego pukawką zostałby zagłuszony przez huk karabinu oraz powtarzający się terkot uzi.

Najważniejsze pytanie, pomyślał, to czy mam się trząść i tańczyć tak jak Bonnie i Clyde na końcu filmu, czy raczej kule powinny mnie unieść i rzucić na jakąś wystawę.

Szedł do przodu, jednocześnie kalkulując swoje szanse. Przez cały czas starał się trzymać w pobliżu zaparkowanych samochodów. Jeszcze nigdy nie polowano na niego, choć on sam niejednokrotnie odgrywał rolę myśliwego. Człowiek, przeżony do granic wytrzymałości, uczył się wtedy bezustannie zwracać uwagę na każdy najdrobniejszy szczegół. Pamiętał, iż należy przeszukiwać wzrokiem wnętrza stojących aut, ocienione wejścia do budynków, ciemne alejki, dachy, okna, a nawet drzewa. Oczywiście powinny przeskakiwać z przedmiotu na przedmiot z szybkością, z jaką wali w piersi serce.

Wybiorę chyba wystawę, postanowił w końcu. Grad pocisków pchnie mnie do tyłu i ciśnie w wielką szybę. Odłamki szkła będą fruwać niczym diamenty, podczas gdy światło w moich oczach powoli zacznie zamierać.

Niespodziewanie Kosinskiego ogarnęły mdłości. Zatoczył się w stronę krawężnika, próbował zwymiotować, poczuł, jak umysł przestaje mu pracować, podczas gdy ciałem wstrząsa seria silnych, bezlitosnych dreszczy.

Znajdował się w odległości jednej przecznicy od domu, kiedy odzyskał świadomość. Miał mokre kolana, a ze skaleczonego czoła spływała mu krew. Zamierzał dotknąć ręką rany, gdy nagle zobaczył trzymaną w dłoni broń i przypomniał sobie, co ona tam robiła.

Ciekawe, zastanawiał się, czy posłużyłbym się nią? Czy siła, która doprowadziła mnie aż tutaj, wiedziałaby, co należy uczynić? Coś sprawiło, że wstałem, coś poruszało moimi nogami, znało drogę do domu, lecz czy zdawało sobie sprawę z groźącego mi niebezpieczeństwa? Ze strachu?

Znowu spojrzął na otaczające go cienie i opuścił rękę. Niezapalony neon nad pralnią automatyczną Cheery Day zapraszał go, opowiadał o domu i bezpieczeństwie. Jednak zamiast pospieszyć w kierunku zasuw i zamków u drzwi swojego mieszkania, stał w bezruchu, oddychając spokojnie i rozkoszując się orzeźwiającym, chłodnym powietrzem.

Dwie przecznice dalej w czternastą aleję skręcił kasztanowy buick, zbliżał się powoli, a następnie przystanął na skrzyżowaniu. Kosinski dostrzegł, iż głowa kierowcy na moment obraca się do tyłu. Potem auto ruszyło, przejechało na lewą stronę jezdni i zatrzymało się niecałe trzy metry od niego.

— Hej, koleś, chciałem dojechać na Whitestone Bridge. Musiałem skrócić w złym kierunku, ponieważ jakkolwiek bym jechał, zawsze wracam tutaj. — Długie, jasne włosy kierowcy połyskiwały w świetle latarni. Kiedy odsunęły się nieco do tyłu, odsłoniły złoty kolczyk znakomicie pasujący do szerokiego uśmiechu — kolczyk, który Kosinski i tak zauważył już wcześniej.

— Zawróć, pojedź z powrotem na sto sześćdziesiątą drugą, a potem skręć w prawo w Cross Island Parkway — Kosinski zacisnął dłoń na kolbie rewolweru, palec wskazujący położył na spuście, przez cały czas jednocześnie starając się ukryć broń za nogą.

— Powtórz jeszcze raz nazwę ulicy — uśmiech pytającego poszerzył się.

— To ulica twoich utraconych marzeń.

Uśmiech kierowcy znikł, a jednocześnie w oknie ukazał się wielkokalibrowy pistolet automatyczny. Kosinski odsunął się w lewo i obserwując ruch broni w jego kierunku, wycelował swoją trzydziestkęósemkę i trzykrotnie wystrzelił. Huk, niesamowicie głośny w wilgotnym, nocnym powietrzu, zagłuszył kroki zbliżającej się osoby, dlatego o obecności drugiego zamachowca Kosinski dowiedział się dopiero w chwili, gdy w okrywającą jego plecy kamizelkę uderzyła kula.

Doskonały strzał, pomyślał.

Gdy odwracał się w stronę atakującego, jeszcze dwukrotnie został trafiony. Pierwsza kula uderzyła w kamizelkę z wystarczającą siłą, by złamać mu żebro, druga przeszła przez lewe ramię, rozdzierając ciało oraz strzaskując kość. Nie odczuwał bólu, nie pragnął odwrócić się i uciekać; zamiast tego z fascynacją obserwował, jak jego świadomość kurczy się do postaci twardej, czarnej piłeczki, mrocznego punkciku mieszczącego w sobie zasoby czystej nienawiści, jakich istnienia nigdy nie podejrzewał.

— Ostatnia szansa — powiedział do grubego mężczyzny w baseballowej kurtce. — Ostatnia szansa na chwałę — powiedział sam do siebie.

20.

Po podwiezieniu swojego partnera do Cryders Blake postanowił zająć się — jak to nazywał — „szczegółami operacyjnymi”. Jego decyzja wynikała z ogarniającego go poczucia bezradności. Błagał Kosinskiego, by pozostał w ukryciu, przytaczał każdy argument, jaki tylko przychodził mu do głowy, lecz emerytowany policjant nie dawał się przekonać.

— Ależ, Marty — wyjaśniał cierpliwie — ja po prostu się nie boję. Jak można się ukrywać, niczego się nie obawiając? Blake rozumiał przyjaciela, lecz upór Kosinskiego nie zwalniał go od odpowiedzialności za partnera. Jeżeli Bella spotka coś złego, Marty będzie czuł się winny.

Raz już przecież uciekł — od Matthew Blake'a. Pozwolił ojcu całkowicie się stoczyć. Jeśli Bell Kosinski zostanie zamordowany, to Marty poniesie konsekwencje, za to co się stało. Wydarzenia następowały po sobie niemal automatycznie, jedno po drugim i nie można było wpłynąć na ich bieg.

Blake rzeczywiście miał ważny powód, by pozostawić Bella samego. Wiedział, iż jedynym sposobem wyjścia z obecnej opresji jest nieustanne parcie do przodu. Wycofanie się Steinberga oraz utrata kaset nagranych u McGuire'a i Tillsona nie przesądzało jeszcze sprawy. Zgromadzony materiał w zupełności wystarczał, by zainteresować odpowiedniego reportera. Problem w tym, że większość dziennikarzy była powiązana z policją — zawieranie znajomości stanowiło część ich zawodu — a niektórzy z pewnością mogliby okazać się bardziej lojalni od innych. Potrzeba czasu, by uniknąć zasadzki, lecz niestety Bell Kosinski nie miał go zbyt wiele.

Należało załatwić jeszcze kilka spraw. Z baru Cryders Blake pojechał z powrotem na Forest Hills, by przez sąsiedni budynek, po dachach dostać się do własnego mieszkania. Najważniejszy był materiał przechowywany w mieszkaniu Sary Tannebaum, ale Marty chciał jeszcze coś sprawdzić. Przekręcił w zamku klucz, delikatnie otworzył drzwi i wślizgnął się do środka bez najmniejszego hałasu. Była dziewiętnasta, zapadała noc.

Na palcach podszedł do okna i zerknął na białą furgonetkę zaparkowaną po przeciwnej stronie ulicy. Jej obecność dodała mu sił, jak gdyby stanął oko w oko w Samuelem Harrahem. Zrozumiał nagle, dlaczego Kosinski chciał pojechać do Cryders. Partia szachów miała rozegrać się w ciemnościach, obie strony wykonywały ukryte posunięcia. Tommy Brannigan udawał, iż wierzy, że Kosinski działa na własną rękę, podczas gdy jego szefowie przypuszczali szturm na Steinberga. Max dał się złamać, lecz nie wiedział, iż Blake nagrał zeznanie McGuire'a. Kosinski zaś dążył do ostatecznego rozwiązania, uważał, że potrzebne jest jakieś radykalne posunięcie.

Właśnie na tym polegała różnica pomiędzy Martym a jego partnerem. Błake chciał wygrać i jeśli zwycięstwo wymagało od niego cierpliwości, gotów był się na nią zdobyć. Zdawał sobie sprawę, że nie istnieje ostateczne rozwiązanie, że nie ma

żadnej magicznej figury, która przeskoczyłaby ponad obroną Harraha i zagroziła królowi.

Marty wysunął dolną szufladę komody i spod stosu starannie złożonych koszulek wyjął pistolet Llama M-82. Dotyk zimnego metalu oraz zapach oliwy wydawały mu się wystarczająco radykalne.

Wymknął się równie cicho, jak wszedł do środka, po czym udał się na górę do mieszkania matki. Chciał odebrać kasetę oraz dokumenty i ruszyć w dalszą drogę. Nie zdziwił się zbyt, kiedy na kanapie w salonie zastał wujka Patricka, niepomiernie natomiast zdumiał go głos sędziego McGuire'a dobiegający z magnetofonu.

— Skąd...! — krzyknął na Dorę Blake, nie mógł jednak znaleźć właściwych słów, by wyrazić, jak zabolala go jej zdrada.

Po raz pierwszy w życiu Dora Blake nie miała żadnej gotowej odpowiedzi; milcząc, stała w bezruchu.

— Twoja matka szuka wyjścia z sytuacji — powiedział Patrick Blake. — Nie możesz jej za to obwiniać.

— Chcesz się założyć? — Blake odwrócił się w stronę wujka. — Zabieram kasetę — spostrzegł plik papierów leżący na kolanach Patricka — oraz raport.

— Nie zamierzam cię powstrzymywać.

— Rozsądne posunięcie.

Policjant poczerwieniał, jego usta zacisnęły się.

— Niech cię licho, z tą twoją arogancją — wycedził.

Blake odebrał z rąk wuja papiery, wyjął z magnetofonu kasetę i schował do pudełka.

— Jaki będzie kolejny ruch, wujku? Teraz gdy już wiesz, co przydarzyło się Billy'emu Sowellowi?

— Zastanawiam się nad tym już od dwóch dni — twarz Patricka Blake'a rozluźniła się w końcu — lecz nie widzę żadnego dobrego rozwiązania.

— Zorganizuję publiczne ujawnienie faktów, które ocali Kosinskiego. W tej chwili to jedyne rozwiązanie — zawahał się, jak gdyby po raz pierwszy zastanawiał się nad swoimi intencjami. — Kiedy opinia publiczna pozna dowody, Harrah nie będzie mógł już nic zrobić przeciwko mojemu partnerowi. To dosyć proste.

Patrick Blake chrząknął, podniósł się, z kieszeni marynarki wyjął kartkę papieru i podał ją bratankowi.

— Marcus Fletcher jest zastępcą prokuratora. To numery telefonów do jego domu oraz biura.

— Rozmawiałeś z nim o sprawie?

— Nie, Marty, nie rozmawiałem.

— Więc jaki to ma sens?

— Marcus Fletcher jest czarnym entuzjastą prawa i porządku o naprawę ogromnych ambicjach. Robert Morgenthau, prokurator okręgowy, jest już stary. Miasto ulega przemianom, Marty, i każdy półgłówek zdaje sobie z tego sprawę.

Fletcher potrzebuje tylko trochę rozgłosu, żeby zrobić karierę polityczną. Uważa się, że lubi oskarżać gliniarzy, lecz ja sędzę, że prowadzi swego rodzaju krucjatę religijną. Siedziałem kiedyś obok niego podczas zorganizowanej przez burmistrza zbiórki na cele charytatywne, a on przez cały czas mówił o upadku moralnym. Filmy, telewizja, rap, szkoły, liberałowie... i tak bez końca.

— No cóż, zapamiętam to sobie — Blake wetknął do kieszeni otrzymaną karteczkę. Mimo wszystko, nie potrafił uwierzyć, by Patrick Blake go wystawił. Nie w obecności matki. — Powiedz mi wujku, czy wchodziłeś frontowymi drzwiami?

— Oczywiście.

— Oczywiście?

— Do rzeczy, Marty.

— Zdaje się, że już za długo nie pracowałeś w terenie. Przed domem stoi furgonetka z ludźmi Harraha. Na pewno cię zauważyli — Blake dostrzegł, że Patrick Blake blednie. — Nie zapominaj o tym, co powiedziałem ci poprzednio. Jeżeli odejdziesz się głowę, ciało umiera.

Zadowolony ze swojej ostatniej kwestii Marty ucałował matkę w policzek, po czym bez słowa wyszedł i udał się do samochodu. Pojechał do sklepu na Queens Boulevard, wykonał tuzin kopii raportu Gurpa Patela, kupił podstawowe przybory toaletowe, szare koperty oraz papier listowy. Potem w salonie ze sprzętem elektronicznym w Rego Park, nabył magnetofon dwukasetowy oraz dziesięć czystych taśm. Ostatni przystanek zrobił przy Queens Mall, by zaopatrzyć się w parę dzinśów, dwie nieco za duże, kolorowe koszule z krótkimi rękawami, bieliznę oraz skarpetki.

Powróciwszy do pokoju w zajeździe Adriatic, otworzył okno, by pozbyć się wyczuwalnego wciąż zapachu Bella Kosinskiego, po czym zasiadł do pracy. Do magnetofonu włożył dwie kasety — jedną z zeznaniem McGuire'a, drugą czystą włączył kopiowanie i przez chwilę wpatrywał się w obracające się rolki. Następnie zajął się leżącym na stoliku papierem listowym.

Kolejne dwie godziny spędził na pisaniu, przerywając jedynie w celu wymiany kaset. Sporządzał na brudno kolejne wersje listu, dopóki nie stwierdził, iż jego treść z pewnością skłoni do działania jakiegoś reportera. Gdyby miało się stać najgorsze, rozesłał materiały do dziesięciu najodważniejszych dziennikarzy nowojorskich. Na jego liście byli: Jimmy Breslin, Jack Neufield, Sheryl McCarthy, Amy Pagnozzi, Peter Noel i William Bastone. Znajdą się również inni. Z pewnością któryś z nich...

27 listopada 1991 roku Sondra Tillson, mieszkanka Nowego Jorku, została brutalnie zamordowana. Jej ciało z poderżniętym gardłem porzucono w samochodzie nie opodal Gramercy Park. 12 grudnia 1991 roku William Sowell, opóźniony w rozwoju mężczyzna o ilorazie inteligencji 68, przyznał się do popełnienia owej zbrodni. Załączone materiały dowodzą, iż prawdziwym zabójcą, Edward Green — burmistrz Manhattanu, wraz z

nadinspektorem Samuelem Harrahem, szefem wywiadu w Nowojorskim Departamencie Policji oraz sędzią Sądu Najwyższego Johnem McGuirem, który w ostatnich dniach popełnił samobójstwo, doprowadzili do skazania niewinnego Williama Sowell.

Całkiem niezłe, pomyślał Blake. Próbował wyobrazić sobie Jimmy'ego Breslina, jak czyta otrzymany list, a następnie wyrzuca do kosza całą przesyłkę, lecz uznał to za niemożliwe. Breslin z pewnością natychmiast zacząłby działać — z obawy, iż ktoś z konkurencji mógłby wyprzedzić go z opublikowaniem tak niewiarygodnej historii — jego postępowanie jednak byłoby dokładnie przemyślane. Sprawdziłby każdy najdrobniejszy fakt, nie wykluczając twierdzenia Blake'a, iż nagrany na taśmie głos rzeczywiście należał do Johna McGuire'a. Samuel Harrah miałby coraz mniej powodów, by pozostawać w ukryciu.

Blake wstał od stolika i zaczął się pakować. Wynajął pokój na własne nazwisko, chociaż płacił za niego gotówką. Harrah mógłby go odnaleźć, nakazując swoim ludziom zadzwonić do wszystkich okolicznych hoteli. Nadszedł czas, by przenieść się gdzieś indziej.

Zanim wyszedł, wziął do ręki telefon i zadzwonił do Rebeki Webber. Kiedy po trzecim sygnale odebrała, uśmiechną się do siebie — powinna wrócić dopiero za trzy dni.

— Rebeka? Tu Marty Blake.

— Marty — jej głos zarazem delikatny i seksowny sprawiał, iż Marty zaczynał się ślinić niczym pies Pawłowa na dźwięk dzwonka. — Wróciłam wcześniej.

— Zauważyłem.

— Żeby być z tobą — dodała, ignorując jego uszczypliwość. — Minęło tyle czasu.

— Prawie dwa tygodnie — przerwał. — Spodziewałem się, że zastanę Sarę. — Sześćdziesięcioletnia Sara Thomas była osobistą służącą Rebeki.

— Co od niej chciałeś? Chyba nie macie ze sobą romansu?

— Czy wzbudziłoby to twoją zazdrość? A może podniecenie? — Blake wyobraził sobie uśmiech Rebeki. — Słuchaj, nie mam zbyt wiele czasu. Trzymaj się z dala od mojego mieszkania, znajduje się pod obserwacją, a mnie i tak w nim nie zastaniesz.

— Marty, masz jakieś kłopoty?

— Kłopoty to nie najważniejsze słowo — zamilkł, próbując znaleźć określenie, które lepiej opisałoby jego sytuację. — Słuchaj, muszę kończyć.

— Jeżeli potrzebujesz kryjówki, możesz zamieszkać u mnie.

— A co z Williamem?

— Został w Niemczech.

— Wróciłaś sama?

Przez chwilę zawahała się.

— Miałam już dość, naprawdę dość. Żałosnych arystokratów, nędznych, brutalnych robotników, uchodźców mieszkających w rozpadających się barakach, emerytów żebrzących na ulicach. Ja... — przerwała, po czym zapytała: — Marty, przyjedziesz?

Ostatnie kuszenie Marty'ego Blake'a — sprzedaj się Harrahowi, a potem zatrać się w ciele Rebeki. Niemalże czuł delikatny smak szyi, słonawą wilgoć pod pierściami, silny uścisk ud oraz spragnione usta. Gdyby teraz ją porzucił... Gdyby teraz ją porzucił, uwolniłby się spod jej wpływu.

— Nie mogę, Rebeko — z obrzydzeniem zauważył, że jego głos brzmi niczym skomlenie szczeniaka, a nie odmowa stanowczego i niezależnego mężczyzny. — Muszę dotrwać do końca.

— Nie rozumiem. Co ma wspólne jedno z drugim?

Z jej punktu widzenia to pytanie nie było zapewne pozbawione sensu, lecz on nie miał żadnej gotowej odpowiedzi, której udzielenie zajęłoby mniej niż dwa, trzy lata.

— Słuchaj, Marty, moja rodzina ma pewne wpływy w tym mieście — powiedziała z przekonaniem. — William jest w dobrych kontaktach z burmistrzem Manhattanu Edwardem Greenem.

Blake z trudem zdławił w sobie śmiech.

— Dobrze wiedzieć, Rebeko. Może pociągniesz za kilka sznurków i z powrotem poskładasz swojego Misiaczka.

— Z tego co słyszę, wciąż jesteś w jednym kawałku — w słuchawce zabrzmiał jej gardłowy śmiech. — Marty, zmarzłam. Właśnie wyszłam spod prysznica i zdaje się, że przytyłam parę kilogramów, ponieważ ręcznik zrobił się za mały, by zapewnić mi ciepło.

— Spróbuj przestawić klimatyzację. Muszę kończyć.

Jadąc przez Queens w kierunku lotniska La Guardia, Blake myślał o Marcusie Fletcherze, wspomnianym przez wujka zastępcy prokuratora okręgowego. Patrick Blake opisał Fletchera jako entuzjastę prawa i porządku, człowieka ambitnego i występującego przeciwko glinom. Blake wiedział jednak, że personel śledczy asygnowany do współpracy z biurem prokuratora w stu procentach składał się z policjantów, z których każdy może siedzieć w kieszeni Harraha. Mimo to uznał, że dopóki nie stawia wszystkiego na jedną kartę, warto spróbować.

Dwadzieścia minut później zameldował się w motelu Continental przy Ditmars Boulevard pod nazwiskiem Martin Reid. Continental należał do lokali o jedno oczko lepszych od licznych w Queens hotelików z małymi kinami porno. Nie był jednak aż tak porządny, by recepcjonista zażądał okazania dowodu tożsamości od mężczyzny wprowadzającego się o trzeciej nad ranem. Przyjął od Blake'a pieniądze, podał mu klucz i bez słowa wrócił do swojego migotającego czarno-białego telewizora.

Znalazłszy się w pokoju, Blake szybko zaadresował do swojego wuja jedną z kopert, wepchnął do niej kopię raportu Gurpa Patela, swój własny list oraz kopię kasety z zeznaniem sędziego McGuire'a, po czym wszystko zakleił. Jutro, gdy wysła przesyłkę pocztą, posłuży ona dwóm celom. Jeśli Patrick Blake poważnie potraktuje jego stwierdzenie na temat głowy i ciała, jeżeli zdecyduje, że zdetronizowany Samuel Harrah może zaszkodzić jego karierze znacznie mniej, niż będąc u szczytu władzy, być może otrzymane materiały po prostu przekaże Marcusowi Fletcherowi. Jednak nawet jeżeli postąpi inaczej, wciąż będzie miał w swoim ręku dowód. Może gdy na jednej z nowojorskich ulic jego bratanka spotka tragiczny koniec, obudzi się w nim sumienie. Może zmusi go Dora Blake.

21.

Jeszcze przed dziewiątą następnego ranka Marty wziął prysznic, ogolił się, ubrał i wyszedł. Był pierwszy dzień września, sobota; natura jak gdyby zauważając zbliżający się koniec lata, obdarowała Nowy Jork prawdziwie jesienną pogodą. Temperatura spadła o dziesięć stopni, po niebie przemykały liczne białe chmury, powietrze pachniało świeżością i nawet uliczne śmieci wydawały się mniej rażące.

Blake zaskoczony tak nagłą zmianą przystanął na chwilę. Przez cały sierpień w Nowym Jorku panowały upały. Teraz jednak zimna bryza przeniknęła przez cienką koszulę Marty'ego, zjeżyła włosy na klatce piersiowej oraz wywołała krótki dreszcz.

— Chłodno dziś, proszę pana. Idzie zima. Ma pan może jakieś drobne?

Blake'a nie zdziwiło nędzne ubranie żebraka, dwie rwące się plastikowe torby zawierające cały jego dobytek ani nawet jego biała skóra oraz jasne włosy. Zdumiał go natomiast niezwykle młody wiek żebrzącego. Zapewne nie dalej jak rok albo dwa skończył on szkołę średnią, jednak wyglądał na całkowicie zrezygnowanego.

— Tak, zaczekaj chwilę — włożył rękę do kieszeni swoich nowych spodni, wyjął ćwierćdolarówkę i podał chłopcu. — Życz mi szczęścia — powiedział. — Zasłużył na otrzymany grosz.

Żebak po raz pierwszy spojrział Blake'owi w twarz. Jego jasnyniebieskie oczy, choć pozbawione wszelkiej wrogości, pełne były wyrzutu, iż ludzie, których stać na zapewnienie sobie dachu nad głową oraz trzech posiłków dziennie nie potrzebują szczęścia, ponieważ już je mają.

— Powodzenia, proszę pana. Dziękuję panu — opuścił wzrok, odwrócił się i odszedł.

Blake jeszcze przez chwilę patrzył za nim, następnie przeszedł na drugą stronę ulicy do niewielkiego snack baru. Wewnątrz zamówił kawę, bułeczkę kukurydzianą i czekając na zrealizowanie zamówienia zerknął na wydrukowany na pierwszej stronie *New York Posta* nagłówek — **BYŁY POLICJANT ZASTRZELONY W WHITESTONE.**

Chwycił gazetę, otworzył na trzeciej stronie i zaczął czytać artykuł. Wspomnianym w nagłówku policjantem na szczęście nie był Bell Kosinski. Niestety, jego partner został oskarżony o popełnienie morderstwa drugiego stopnia i obecnie przebywał na oddziale więziennym szpitala Rellevue. Jego stan opisano jako krytyczny.

Zabity eks-glina, którego buick przetoczył się jeszcze pół przecznicy, zanim uderzył w zaparkowany samochód, nazywał się Anthony Carabone. W 1989 roku sprzedał on gram kokainy podstawionemu agentowi z wydziału wewnętrznego. W

wyniku układu zawartego z prokuraturą status jego czynu został obniżony z przestępstwa do wykroczenia, po czym orzeczono pięcioletni wyrok w zawieszeniu. Naturalnie jego kariera w policji dobiegła końca.

„Nieudana transakcja narkotykowa”, tak detektyw Hank Norris powiedział o strzelaninie autorowi reportażu. Twierdził on również, iż trzeci, prawdopodobnie ranny mężczyzna uciekł z miejsca wydarzeń i aktualnie poszukiwany jest przez policję.

— Hej, koleś.

Blake spojrzął na sprzedawcę.

— Słucham?

— Pańskie zamówienie.

— Ile?

— Dolar siedemdziesiąt pięć. Razem z gazetą.

Blake zabrał torbę zjedzeniem oraz gazetę do samochodu. Wewnątrz kilkakrotnie przeczytał artykuł, próbując znaleźć w nim choćby cień nadziei, iż stan Bella Kosinskiego leżącego na strzeżonym oddziale nie był beznadziejny. W końcu doszedł do wniosku, że o ile jego partner przeżyje, nie mógłby życzyć mu znalezienia się w bezpieczniejszym miejscu.

Pojechał na lotnisko La Guardia, zaparkował przed terminalem i ruszył na poszukiwanie automatu telefonicznego. Wpierw należało Kosinskiemu dać nieco czasu, a najlepszym na to sposobem było zwrócenie uwagi na siebie. W książce telefonicznej znalazł numer sekcji wywiadowczej w policji i zadzwonił do centrali. Minutę później rozmawiał z sekretarzem Harraha, gliną o nazwisku O'Brien, którego poprosił o połączenie z nadinspektorem.

— W jakiej sprawie?

— W sprawie byłego policjanta zastrzelonego w Whitestone.

— Powinien pan zadzwonić do wydziału zabójstw.

Blake zaczerpnął głęboki oddech, przypominając sobie, by zachował spokój.

— Czy nadinspektor Harrah jest w swoim gabinecie?

— Dziś jest sobota.

— Nie o to pytałem.

Tym razem zawahał się O'Brien.

— Tak, jest tutaj — przyznał z niechęcią.

— Proszę mu powiedzieć, że nazywam się Marty Blake. Jeżeli nie zechce ze mną teraz porozmawiać, więcej już nie zadzwonię. To jego pierwsza, ostatnia i jedyna szansa.

Po kilku minutach ciszy Blake usłyszał znajomy głos.

— Czego chcesz, Blake?

— Grogan?

— *Inspektor* Grogan.

Blake uśmiechnął się, gdyż wielka szycha, Samuel Harrah, jak zwykle starał się zachować anonimowość.

— Będę się streszczał, Grogan. Za jakieś dwie godziny otrzymasz przez posłańca paczkę — trochę papierów oraz kasetę. Radzę przeczytać te materiały oraz przesłuchać taśmę bardzo dokładnie, ponieważ od tego zależy los twojej tłustej dupy. Możemy ubić razem interes, pod warunkiem, że mój partner nie umrze. Rozumiesz? Kosinski stanowi część układu. Twoja głowa za jego głowę. Skontaktuj się.

Godzinę później po nadaniu paczki w firmie wysyłkowej Blake zaparkował wynajętego nissana na Hillside Avenue i udał się do lokalnej biblioteki. W czytelni wyszukał egzemplarz przewodnika *Kto jest kim w Nowym Jorku*. Pod hasłem dotyczącym nadinspektora Samuela Harraha były dane jego żony, Margaret, dwóch synów oraz brata. Obaj synowie, George i Owen, byli adwokatami. Brat już nie żył. W książce telefonicznej Blake znalazł adresy biur obu prawników.

Pod wpływem impulsu skorzystał z należącego do biblioteki elektronicznego archiwum prasowego i wyszukał artykuł zamieszczony w *Daily News* dotyczący sekcji wywiadowczej Nowojorskiego Departamentu Policji. Napisany w 1989 roku i odtąd przechowywany na mikrofilmie zawierał wyblakłą fotografię nadinspektora Samuela Harraha stojącego u boku burmistrza Eda Kocha oraz komisarza Benjamina Warda. Blake przyjrzał się dokładnie zdjęciu, poszukując jakichś znaków — rogów czy przynajmniej diabelskiego spojrzenia — lecz nie wyróżniające się niczym rysy twarzy, małe oczy, szeroki, nieco zadarty nos oraz lekko cofnięty podbródek nie były w stanie wzbudzić niczyjego strachu. Samuel Harrah wyglądał jak każdy inny mężczyzna w podeszłym wieku. Jak wszyscy panowie czekający na emeryturę oraz narodziny wnuków.

Z biblioteki było już niedaleko do „rezydencji” Guipa Patela mieszczącej się przy Liberty Avenue. Po drodze Blake zastanawiał się, co zrobi, jeżeli nie zastanie Patela. Na miejscu okazało się, że sprawa jest poważniejsza — Patel nie wyjechał na weekend, lecz zniknął z powierzchni ziemi. Eternal Memorials, pomimo swojej nazwy, przestało istnieć; nie pozostało nic, nawet najmniejszy ślad. Dokument urzędu do spraw nieruchomości przyklejony do drzwi frontowych zaświadczał, iż budynek przeznaczony był do rozbiórki.

Blake odwrócił się plecami do pustego domu i zobaczył zbliżających się chodnikiem dwóch chłopców. Zatrzymał ich.

- Chłopcy, mieszkacie tu w okolicy? — spytał.
- Nie jestem chłopcem — odparł wyższy z nich.
- Nie jestem chłopcem — powtórzył drugi.

Blake zaśmiał się szczerze po raz pierwszy od kilku tygodni. Starszy chłopiec sięgał mu nieco powyżej pasa, młodszy sprawiał wrażenie, iż dopiero niedawno nauczył się chodzić.

— Przepraszam, obiecuję poprawę — powiedział. — Czy panowie mieszkają w okolicy?

- Jesteś z policji?

Blake potrzęsła głową.

— Nie, jestem biznesmenem. Umówiłem się na spotkanie z ludźmi pracującymi w tym budynku, ale zdaje się, że oni gdzieś zniknęli.

— Tak — wykrzyknął młodszy — widzieliśmy ich. To...

— Zamknij się, Marcus — starszy chłopiec uniósł głowę, rozstawił szeroko nogi i spojrzał Blake'owi w twarz. — Nie jesteśmy biblioteką publiczną. Biblioteki publiczne są bezpłatne.

Blake wyjął pięciodolarowy banknot i zademonstrował młodzieńcom.

— Za mało. To będzie kosztowało dwie dychy.

— Tak, dwie dychy.

— Zapomnijcie, chłopaki. Nie jestem aż tak ciekawy — pomachał banknotem.

— Pięć po raz pierwszy, po raz drugi...

— Dobra, człowieku, powiemy ci — starszy chłopiec wyrwał pieniądze z ręki Blake'a. — Jesteśmy bezrobotni — wyjaśnił. — Tylko dlatego się zgadzamy.

— Bezrobotni w jakim zawodzie? Ucznia szkoły podstawowej?

Chłopiec zignorował ostatnie pytanie.

— Wczoraj rano podjechały tu dwie ciężarówky. Ja i Marcus widzieliśmy je po drodze do szkoły. Jedna z nich przypominała te, jakimi przewożą meble. Druga była wielka jak cholera. Długa, bez dachu.

— Platforma? — spytał Blake.

— Nie wiem, jak one się nazywają, ale jeśli będziesz mi wciąż przerywał, będziesz musiał zapłacić za mój stracony czas — chłopiec zaczął, by jego pogróżka została należycie rozważona, po czym kontynuował: — Kiedy wracaliśmy jeszcze tu były, więc zatrzymaliśmy się, żeby popatrzeć. Kamienie szły na wielką ciężarówkę. Mieli specjalną maszynę do ich wynoszenia. Graty z biura szły na tę zakrytą. Kiedy odchodziliśmy, ciągle pracowali.

— Jakieś gliny w pobliżu?

— Nie widziałem.

— A komputer widziałeś?

— Nie wiem, człowieku. Część rzeczy była w skrzyniach. Słuchaj, ja i Marcus musimy już iść. Jak nie wrócimy do domu na obiad, ojciec zacznie nas szukać.

Blake popatrzył przez chwilę za odchodzącymi chłopcami, po czym wrócił do samochodu i pojechał do najbliższego telefonu. Wystukał numer Patela, odczekał trzydzieści sygnałów i dopiero wtedy odwiesił słuchawkę. Patel i jego komputer zniknęli. Uśmiechnął się do siebie, dotknął tkwiącego za paskiem pistoletu, wyobraził sobie, jak by to było, gdyby przystawić go do skroni Joanny Bardo. Nie tylko nie było to najokrutniejsze z marzeń Blake'a, lecz również nie przyniosłoby ono żadnego rozwiązania.

Podczas drogi przez slumsy południowego Queens przez głowę Marty'ego przewinął cały szereg kiepskich pomysłów. Choć były bezużyteczne z jego punktu widzenia, miały w sobie pewien urok. Nie powinien pozwolić Kosinskiemu narażać

się, tylko opracować całościowy plan (podobny do wprowadzanego obecnie w życie), by utrzymać partnera w ukryciu. Mógł przynajmniej zatrzymać dla siebie wiadomość o wycofaniu się Steinberga. Zyskałby wtedy dla Kosinskiego chociaż kilka dni.

Oczywiście Bell — jego partner i przyjaciel — był dorosłym mężczyzną, a nie małym dzieckiem. Kłamanie mu prosto w oczy wydawało się równie odrażające, jak widok jego ciała rozciągniętego na jednym z chodników Whitestone. Poza tym Blake nie mógł w żaden sposób przewidzieć, iż Steinberg się podda. Czy nie powtarzał im ciągle, że przestrzega prawa? Niemniej jednak adwokat zarezerwował sobie prawo do opuszczenia statku w każdej chwili i możliwość tę zawsze należało brać pod uwagę. Blake natomiast bezmyślnie założył, że Steinberg dotrwa z nimi do samego końca.

Błąd, pomyślał Marty, niemal fatalny w skutkach.

Najtrudniejsze do zniesienia było owo „niemal” — Blake przygotował się na najgorsze, lecz nie na „prawie najgorsze”. Śmierć Kosinskiego dawałaby mu nieograniczony czas na opracowanie planu, który zapewniłby Marty'emu bezpieczeństwo, wprowadzenie go w życie i wreszcie dokonanie zemsty, która nie równałaby się samobójstwu. Żywy Kosinski natomiast zmuszał go do podjęcia natychmiastowego działania, nakładał na Blake'a obowiązek, którego spełnienia nie sposób odkładać, tłumacząc się instynktem samozachowawczym.

To kwestia honoru, powiedział do siebie. Nie ma na to innego określenia. I nie ma to nic wspólnego z kodeksem karnym czy dziesięcioma przykazaniami. Honor stanowi wartość samoistną; nie został podany na kamiennych tablicach, nie stworzyli go także politycy. Człowiek wie, co należy czynić, kiedy chodzi o jego własny honor. Jeśli postanowi się go zignorować... No cóż, mój ojciec próbował i nie wyszło mu to na zdrowie.

Kiedy skręcał z czterdziestej ósmej ulicy w Barnett Avenue, przesunął wzrokiem po chodniku, jak gdyby w poszukiwaniu ciała Kosinskiego. Sto metrów dalej podjechał do krawężnika, wyłączył silnik i spojrzął na budynek po przeciwnej stronie ulicy, stanowiący nową siedzibę łowców głów Joanny Bardo. Zauważył mężczyznę siedzącego na zaparkowanym przed wejściem motocyklu.

Woodside Investigations wyglądało jak melina. Zajmowało parterowy budynek pomiędzy Komisem Części Samochodowych a AAAAAA (JESTEŚMY PIERWSI W KSIĄŻCE TELEFONICZNEJ) DEZYNSEKCJA. W niczym nie przypominało wysokiej klasy biur Manhattan Executive.

Blake wiedział oczywiście, iż ludzie pożyczający innym pieniądze na wpłacenie kaucji nie dbają o tak abstrakcyjne rzeczy jak klasa. Bo i dlaczego mieliby dbać? Kiedy w grę wchodziła dowolna suma między dwudziestoma a dwustoma tysiącami dolarów, pragnęli jedynie usług Terminatora. Vinnie Cappolino nie jest może Arnoldem Schwarzeneggerem, lecz na podstawie samego wyglądu nie sposób tego ocenić. Czarna skórzana kurtka, wojskowy podkoszulek, zatłuszczone dżinsy,

ogółocony z lusterek i błotników harley-davidson... to filmy papugowały Vinniego, nie zaś odwrotnie.

— Czy to ty, Blake?

Marty, zanim odpowiedział, przypatrywał się przez chwilę siedzącemu na motocyklu. On i Cappolino wzięli się kiedyś za łby — obaj pijani, obaj pragnęli położyć kres trwającym od miesięcy słownym potyczkom. Ostra i brutalna walka zakończyła się jednak nic nie rozwiązującym remisem.

— Tak — odparł Blake — to ja.

Cappolino zsiadł z harleya, podrapał się, a następnie podszedł do nissana Blake'a.

— Miałem telefon w twojej sprawie.

— Od Joanny?

Na ustach Cappolino pojawił się szeroki uśmiech odsłaniający rząd małych, poźółkłych zębów.

— Jedynej i niepowtarzalnej. Poinformowała mnie, że znalazłeś się na czarnej liście. Co przeskrobałeś, chłopie? Zapomniałeś o grzeczności?

— Tak. Zapomniałem wyciągać jej odessane pośladki — odparł Blake. — Potrzebuję pewnych informacji, Vinnie, i to szybko. Głównie zeznania podatkowe.

— Masz forsę? — Cappolino schylił się do okna, uśmiechając się jeszcze szerzej. — Widzisz, tak się złożyło, że Walter zakochał się i poślubił księgową, Lindę Horstmann. Linda jest nieubłagana, Marty. Żadnych przysług — to jej dewiza. Teraz nie pracujemy już dla samej przyjemności.

22.

To nie pikanie, pomyślał Kosinski, ani nie zielony monitor z linią przebiegającą przez środek. To nie gips pokrywający klatkę piersiową ani rura tkwiąca w miejscu, gdzie kiedyś było moje gardło, nie szum respiratora oraz nie zimno, jakie mnie ogarnia, kiedy pompują mi w żyły świeżą krew. To sprawa narkotyków i całkowitego bezruchu mięśni.

Miał wrażenie, jakby unosił się na powierzchni jeziora, rozciągającego się aż po horyzont jeziora morfiny. Przedmioty znajdujące się w pokoju — podobnie jak ostre ataki bólu następujące po każdej próbie wykonania najmniejszego ruchu — były jedynie towarzyszami podróży, statkami dryfującymi w ciemnościach. W każdej chwili mogą zniknąć, pozostawiając go otaczającym zewsząd ciepłym wodom.

Nie mam pojęcia, dlaczego zmarnowałem całe życie na wódkę, pomyślał, skoro mogłem stać się narkomanem.

Ostatnia uwaga w założeniach miała być dowcipna, lecz myśli rannego wydały mu się tak dalekie jak wieszak z kropłówką czy też metalowy basen leżący na niewielkim stoliku w pobliżu łóżka.

Boże, dzięki Ci za węża, powiedział do siebie, za węża w raj. Gdyby nie on, nie mógłbym teraz w ogóle zachować świadomości.

Wąż mieszkał w stalowym zamku metalowych drzwi znajdujących się po drugiej stronie sali. Za każdym razem, gdy ktoś zakłócał jego spokój, klucz w zamku wydobywał z siebie ostry, metaliczny zgrzyt, rozchodząc się echem po niewielkiej przestrzeni i wywołując ból pokonujący nawet morfinę.

— Tylko troszkę krwi — stwierdził sanitariusz. Zatrzymał się przed łóżkiem, jak gdyby czekał na odpowiedź. Kosinski pragnął jej udzielić, lecz zdołał wydobyć z siebie jedynie pomruk. Przy braku połowy gardła oraz strzaskanej szczęce tylko na tyle było go stać.

— Proszę nic nie mówić. Idzie pan na operację — sanitariusz przez chwilę manipulował przy prawym nadgarstku Kosinskiego, po czym z triumfem uniósł do góry zakrwawioną, plastikową fiolkę. — Mam sprawne ręce — pochwalił się. — Aksamitne paluszki. Gotów na atak bólu?

Kiedy Kosinski skinął głową, od szczęki aż do samego mózgu przeszył go potworny ból. Morfina przywróciła mu świadomość, docierając do każdej najmniejszej komórki. Doskonale wiedział, że każdy z wykonywanych raz na godzinę zastrzyków może być śmiertelny; niejednokrotnie widywał zwłoki narkomanów, którzy przedawkowali.

Cholera, pomyślał, każdy ćpun widział, jak umierają inni, ale to ich nie powstrzymuje. Dlaczego ze mną miałyby być inaczej?

Zamknął oczy, jego umysł wypełniły marzenia, obrazy z przeszłości, które choć makabryczne, bawiły go. Widział małe, zwęglone ciała leżące w nieładzie na podłodze walącego się baraku; chłopca zamkniętego w szafie, zakutego na trzy dni w łańcuchy przez ćpających rodziców; striptizerkę i jednocześnie dziwkę przesiadającą się z kolan na kolana; zakurzoną fotografię w czarnej, metalowej ramce, ślubne zdjęcie zrobione w Berlinie. Przez chwilę przypatrywał mu się, próbując zachować je w pamięci — żołnierz z głupawym uśmiechem na twarzy spoglądał wprost na niego, stojąca obok blondynka patrzyła w dal.

Powinienem był wiedzieć.

Słowa odbiły się echem po wypełniającej jego głowę pustce — *powinienem był wiedzieć, powinienem był wiedzieć, powinienem był wiedzieć*. Powtarzały się, dopóki nie spostrzegł, iż pochodzą one z ust Marty'ego Blake'a.

Kosinski otworzył oczy i rozejrzał się. Pokój był pusty.

No cóż, pomyślał, w końcu nieważne, czy Marty Blake powinien był wiedzieć, czy nie. Nie ma to absolutnie nic do rzeczy.

Ponownie zamknął oczy, zobaczył swoją żonę, Ingrid. Wyrosła w piekle powojennego Berlina, opowiadała o przetrząsaniu gruzów w poszukiwaniu jedzenia, swoich siostrach sprzedających się w zamian za konserwy z szynką i woreczki cukru.

To czy się wie, nie ma nic do rzeczy, powtórzył.

Klucz przekręcił się w zamku. Kosinski zastanawiał się, czy nadszedł czas na kolejny zastrzyk. Czyżby upłynęła już godzina? Może przyszli, żeby przygotować go do operacji, albo zabrać na rentgen.

Kiedy zobaczył w drzwiach Tommy'ego Brannigana, pomyślał: „A może już mnie nie lubią?”.

Brannigan zamknął drzwi, podszedł, spojrzał mu w oczy.

— Zawsze jest smutno, gdy rozstają się partnerzy — stwierdził.

Kosinski pragnął coś odpowiedzieć. W myślach ułożył kilka drwiących komentarzy. Kiedy jednak spróbował się odezwać, wydobył z siebie zaledwie dziwaczny pomruk. Dźwięk ów wydał mu się mechaniczny, jak gdyby stanowił część nieustannego szumu respiratora pompującego w niego życie.

— Nie możesz mówić? — Brannigan pokiwał głową. — Szkoda, szkoda — usiadł na brzegu łóżka i złożył ręce. — Ale może zdołamy się jakoś dogadać. Może nie trzeba będzie pogarszać tej i tak nie ciekawej już sytuacji. Jeżeli mnie rozumiesz, mrugnij raz.

Kosinski zastanowił się chwilę, po czym mrugnął osiem razy, drwiąc z policjanta w jedyny dostępny sobie sposób. Brannigan wzruszył ramionami i ponownie pokiwał głową.

— Tak myślałem — powiedział, po czym uderzył Kosinskiego w policzek.

Niesamowity ból wgryzł się głęboko, przesywając każdy najdrobniejszy nerw, a gdy zelżał, Kosinski przez łzy zobaczył Tommy'ego Brannigana oraz usłyszał jego śmiech.

— Zdaje się, że wiem, w jaki sposób odpowiesz na moje pytanie, lecz spróbujmy od nowa. Jeśli mnie rozumiesz, mrugnij raz.

Kosinski pragnął odrzec, że nie było to pytanie, lecz mimo wszystko mrugnął jeden raz.

— Dobrze — Brannigan wstał i zaczął przechadzać się po sali. — Chryste, Bell, wiesz, jak narozrabiałeś? Spójrz tylko na siebie. Zobacz, do czego się doprowadziłeś. Nie zamierzam pytać cię dlaczego, ponieważ i tak nie będziesz mógł odpowiedzieć, powinieneś jednak pomyśleć o tym. Do cholery, ostatnie chwile swojej żalostnej egzystencji poświęć na zastanowienie.

Niestety, nie było o czym myśleć, nie istniało żadne wyjście, żaden manewr — Kosinski był całkowicie bezradny. Właściwie nie przeszkadzało mu to zbytnio. Nie odczuwał również zdumienia. Uważał, że w życiu i tak otrzymał dużo dodatkowego czasu. Miał już także swoje piętnaście minut sławy, więc wszystko inne przestawało się liczyć.

— Zrozum — wyjaśniał Brannigan — tu nie chodzi o dobrych czy złych chłopców. Dobrzy nie istnieją. Zostali wymyśleni przez tych złych, by utrzymać w ryzach wszystkich dupków. Rozumiesz, Bell? Są źli i dupki, tak skonstruowany jest świat — podszedł do łóżka, obejrzał aparaturę, a następnie usiadł. — Mamy kłopoty ze znalezieniem twojego partnera, Bell. Marty Blake gdzieś zniknął. To budzi nasze obawy. Adwokat siedzi grzecznie w swoim biurze i obmyśla nowe sposoby na wyrolowanie systemu sprawiedliwości. Ale twój kumpel... jakby zapadł się pod ziemię i dlatego musisz mi powiedzieć, czy Marty Blake należy do takich samych dupków jak ty. Mrugnij raz na tak lub dwa razy na nie.

Kosinski mrugnął dwukrotnie, zastanawiając się, czy po jego twarzy da się rozpoznać kłamstwo.

— I oczywiście nie wiesz, gdzie się teraz podziewa?

Kosinski czuł się, jakby głowa miała mu za chwilę eksplodować. Trwało to długo. Kiedy ból w końcu ustąpił, mrugnął raz. Zdawał sobie sprawę z następujących na przemian utrat i powrotów świadomości, mrugał raz po razie, podtrzymując swoje kłamstwo. Oczywiście w ten sposób opowiadał się po stronie Blake'a, lecz jego czyn miał również głębsze znaczenie. Nie mógł u kresu życia ukorzyć się przed takim gnojkiem jak Tommy Brannigan. Nikt z jego znajomych nie uwierzyłby, iż Kosinski upadł aż tak nisko.

— W porządku, Bell. Wątpiłem, by dało się ciebie przekonać, ale niestety moi przełożeni jeszcze cię nie znają — Brannigan podniósł się, z kieszeni marynarki wyjął strzykawkę i obejrzał pod światło. — Wiesz, co to jest?

Kosinski chciał odpowiedzieć, lecz przeszył go ostry ból.

— Potas. Jest go sporo w bananach. Jeśli jednak wstrzykniesz większą dawkę, zatrzymuje pracę serca. Raz-dwa i po krzyku — zdjął osłonkę. — Ulega rozkładowi tak szybko, że trudno go wykryć nawet w specjalistycznych badaniach i co najciekawsze nie pozostawia najmniejszych śladów. Znasz to z doświadczenia, Bell. Lekarz sądowy wyjmie twoje serce, przebada je i stwierdzi: „Serce Kosinskiego nie

wytrzymało szoku spowodowanego licznymi ranami postrzałowymi”. Albo coś w tym rodzaju. Moim zdaniem to dla ciebie i tak zbyt dobre rozwiązanie. Powiedziałem Groganowi: „Ten facet zasługuje na ciężką śmierć. Urządźmy mu...”.

Niespodziewane pukanie do drzwi przerwało monolog Brannigana. Założył osłonkę, schował strzykawkę do kieszeni i zawołał:

— Czego chcesz, do cholery?

Drzwi uchyliły się odrobinę i pojawiła się w nich głowa umundurowanego strażnika.

— Telefon do pana. Jakiś mężczyzna twierdzi, że to ważne, że powinienem panu przerwać. Może pan odebrać na korytarzu, tuż obok.

Kosinski nie próbował unosić głowy, jednak wszystko doskonale słyszał. Najpierw Brannigan powiedział do słuchawki swoje nazwisko, potem nastąpiła długa przerwa, a w końcu odezwał się:

— Przykro mi, panie nadinspektorze, ale jest już za późno. Właśnie wychodziłem — i odłożył słuchawkę.

— Nic tylko zawracają głowę, prawda Bell? Przekłęci szefowie, nigdy nie pozwalają człowiekowi działać — Brannigan wrócił do sali, zatraskując za sobą drzwi. Powracając do przerwanej czynności, zdjął osłonkę, podłączył strzykawkę zamiast kroplówki i nacisnął tłoczek.

Ostatnim odczuciem Kosinskiego było zaskoczenie. Zaskoczyła go własna głupota, która sprawiła, iż dotąd nie dostrzegał prawdy. A prawdą było to — i w żaden sposób nie mógł temu zaprzeczyć — że kochał życie. Każdy jego dzień, każdą minutę. Kochał je, lecz za późno to rozumiał.

23.

— Czek? — długa, niemal końska twarz Vinniego Cappolino wykrzywiła się podejrzliwie. Spojrzał na Blake'a, podobnie jak czyni to dziecko, któremu nie pozwolono wypowiedzieć życzenia urodzinowego. — Jest sobota. Banki otwierają dopiero w poniedziałek. Co będzie, jeśli to czek bez pokrycia?

— Sądzisz, że mógłbym wsadzić ci lipny czek, Vinnie?

— I to bez mrugnięcia — palce Cappolino przesunęły się po wąskiej bliźnie na jego czole, a następnie dotknęły spłaszczonego nosa. — Zrozum, Marty, twoje zamiary nie mają żadnej przyszłości.

Blake pokiwał głową, próbował zaśmiać się, lecz nie zdołał.

— Cóż mogę powiedzieć? Rzeczywiście masz rację. Skłamałbym, gdyby to miało pomóc, tym razem jednak oszukiwanie nie ma sensu. Na koncie są pieniądze — przerwał na chwilę i uśmiechnął się. — Vinnie, obaj dobrze wiemy, iż zażadasz ode mnie pięciokrotność normalnej stawki. Wysokie ryzyko idzie w parze z wysokim wynagrodzeniem. Tak to już jest w tym zawodzie.

— Masz rację, ale... zrozum, Marty, kiedy Linda przyszła do naszej firmy — jeszcze przed ślubem z Walterem — kazała nam usiąść i wyjaśniła, na czym polega bycie najemnikiem. Gdy skończyła, po raz pierwszy zrozumiałem kim jestem. Jestem dziwką, Marty. Nie rozkraczam nóg, dopóki mi nie zapłacą — pochylił głowę i wskazał palcem na łysinę znajdującą się na jej czubku. — Poza tym mam trzydzieści trzy lata i powinienem zacząć dbać o swoją przyszłość. Nie staję się coraz młodszy.

Rozwiązanie wydawało się proste, choć niestety bolesne. Na swoim koncie Blake miał nieco ponad sześć tysięcy dolarów, z których większość należała do Steinberga. Kiedy Vinnie pozna dokładną sumę, zażąda całości.

— Co powiesz na to — zaproponował Blake. — Poszukamy bankomatu i sprawdzimy stan konta. Jeżeli nie wystarczy na pokrycie twojego honorarium, będziesz mógł po prostu odejść.

W oczach Cappolino pojawił się błysk. Blake próbował go rozszyfrować, lecz nie potrafił orzec, czy oznaczał on przebiegłość, czy może zadowolenie.

— A co z kartą magnetyczną? — spytał Vinnie. — Możesz wybrać na nią pięćset dolarów dziennie. Straciłbym wtedy tysiąc pięćset dolców. W zależności od tego, ile masz na koncie.

— W twojej obecności podrę kartę.

Cappolino oparł się w swoim bujanym fotelu, przez moment kołysał się, by wreszcie położyć nogi na biurku.

— Tak, to mi odpowiada. Tylko, jeśli ci to nie sprawi różnicy, rozpiszmy całą sumę na trzy mniejsze czeki. Na wypadek gdyby w poniedziałek ktoś uprzedził mnie w banku. A teraz proponuję przejść do szczegółów.

Blake wyjął z kieszeni listę i podał ją Vinniemu.

— Potrzebne mi są zeznania podatkowe pierwszych czterech oraz domowe adresy i numery telefonów pozostałych dwóch. Jeżeli którekolwiek z zeznań zawierać będzie dochód pochodzący od jakiejś prywatnej korporacji, chcę również danych dotyczących tej spółki.

— Zdobycie adresów zajmie mi kilka minut, ale zeznań podatkowych nie załatwię tutaj — przesunął palcem po liście nazwisk. — Muszę przesłać to dalej. Potrzebne będą numery polis ubezpieczeniowych.

— Nie interesuje mnie, gdzie wykonasz moje zlecenie, chodzi mi jedynie o czas. Dziś wieczorem.

— Nie ma sprawy. Coś jeszcze?

— Trochę narzędzi. Dłuto, młotek, śrubokręty, woltomierz, szczypce — wiesz, co potrzeba.

— To mam na miejscu. Coś jeszcze?

— Broń, Vinnie. Tak jak ci mówiłem, nie wiem, ilu ludzi przyjdzie po moją głowę, lecz z pewnością nie będzie to walka jeden na jednego.

— Znasz się na broni maszynowej? Używałeś kiedyś M40?

— Do licha, człowieku, nie wiem nawet, co to jest M40.

— Marty, gdyby komputery strzelały piorunami, byłbyś Brudnym Harrym — zachichotał. — Ale mam pewien drobiazg, który będzie pasować do twoich umiejętności. Wszystko rozegra się na małej przestrzeni, zgadza się?

— Tak.

Cappolino wstał i nie przestając się uśmiechać, poszedł na zaplecze. Chwilę później wrócił ze strzelbą o zakrzywionej kolbie oraz dwoma pudełkami amunicji.

— To jest benelli M3, półautomat, strzela z taką wydajnością, jak szybko pociągniesz za spust. Magazynek mieści siedem dwunastomilimetrowych ładunków.

— Czy przebiją kamizelkę?

— Właśnie na tym polega ich urok, Marty — podał Blake'owi amunicję, by mógł się jej przyjrzeć. — Na każdy z nich przypada aż dwadzieścia maleńkich pocisków, które możesz porównać do strzałek. Jedyna rzecz, jaka jest w stanie je zatrzymać, to kość. Kiedy w nią trafiają, rozrywają się i rykoszetują.

Blake wziął strzelbę do rąk. Zdziwiła go miękkość rękojeści; podczas gdy spodiał się drewna lub utwardzanego plastiku, jego palce napotkały miłą w dotyku, uginającą się lekko powierzchnię.

— Celowaniem nie musisz się przejmować — wyjaśnił Cappolino. — W małym pomieszczeniu wystarczy pociągać za spust. Na odległości dziesięciu metrów rozrzut ładunku wynosi czterdzieści centymetrów. Nie sposób chybić.

Blake wypróbował broń na sucho i skinął głową.

— Ile, Vinnie? Za wszystko.

— No, cóż...

— Proponuję zaoszczędzić czas. Na koncie mam nieco ponad sześć tysięcy dolarów. To mój cały majątek.

- Sześć kawałków? — Cappolino skrzywił się. — Myślałem raczej o piętnastu.
- Sześć, Vinnie. I nie chrzań mi głupot, bo wiem, że nie włożysz w to zlecenie więcej niż dwa tysiące, nawet jeżeli za strzelbę zapłaciłeś pełną cenę, w co wątpię — ponieważ Cappolino nadal się wahał, Blake po raz pierwszy uciekł się do kłamstwa. — Słuchaj, przyszedłem do ciebie tylko dlatego, że bardzo mi się spieszy. Ale jeśli mnie zmusisz, zmienię plany i spokojnie sam wszystko załatwię.
- Dobra, dobra — Cappolino przestał się krzywić. — Chryste, wiesz Marty, zawsze byłeś kutasem. Powinieneś wreszcie wydorosnąć. Tak jak ja.

Blake, jadąc wzdłuż Northern Boulevard w kierunku mostu, opuścił szybę, pochylił głowę w stronę silnego powiewu chłodnego powietrza i zadowolony zaczerpnął głęboki oddech. Gratulował sobie mądrej decyzji podjętej przed paroma laty. W połowie lat osiemdziesiątych kasy oszczędności oraz banki wysyłały formularze wraz z załączonymi kartami magnetycznymi wszystkim posiadającym już karty kredytowe. Blake zatrzymał sobie siedem sztuk oraz starał się korzystać z każdej z nich przynajmniej raz w roku. Uważał je za swego rodzaju polisę ubezpieczeniową, podręczny środek zaradczy na wszelkie życiowe tarapaty. Teraz wreszcie miały mu się przydać i gdyby nie one byłyby skończone.

Teraz zmierzał do następnego celu — sklepu ze sprzętem elektronicznym na skrzyżowaniu pierwszej alei z sześćdziesiątą pierwszą ulicą. Większość z pasów na moście zamknięta była z powodu remontu ciągnącego się od niemal piętnastu lat. Korek nie zaskoczył Blake'a, niemniej jednak spowodowane nim opóźnienie stanowiło prawdziwą torturę. Kiedy wreszcie zaparkował przed sklepem, był wściekły.

- Charlie — zawołał do właściciela, Charlesa Baumanna — jeżeli nie masz na składzie potrzebnego mi sprzętu, daję ci trzy godziny na jego zdobycie.

- Za trzy godziny mój sklep będzie zamknięty. Dziś jest sobota i muszę załatwić kilka spraw. — Kwaśna mina nigdy nie zniknęła z twarzy Baumanna. Jego szkliste, brązowe oczy wykrzywione były w permanentnym zezie spowodowanym zapewne dymem z papierosa tkwiącego zawsze w kąciку ust albo czterdziestoma latami przepracowanymi w śmierdzącym interesie.

- Mówimy tu o piętnastu kawałkach, stary — Blake spostrzegł iskrę ciekawości w oczach mężczyzny, dlatego naciskał. — Jutro będzie za późno, Charlie. Nie załatwisz sprawy dzisiaj, wezmę sprzęt od kogoś innego — posłużył się tą samą pogróżką, co w przypadku Vinniego Cappolino.

- Sprzęt, którego potrzebujesz, jest legalny?

- Same katalogowe pozycje.

Baumann skinął głową, zapalił kolejnego papierosa.

- Jak zamierzasz zapłacić, Blake, biorąc pod uwagę fakt, że jedyne wybrzucenie na twoim ciele to nie portfel, lecz spluwa wetknięta za pasek?

- Plastikiem.

- *Swoim* plastikiem?

Blake wyjął trzy karty kredytowe i rzucił na szklaną ladę.

— Obejrzyj sobie.

Baumann, każdą kartę z osobna zbadał pod szkłem powiększającym. Zadowolony z rezultatów, odłożył je i przez chwilę popatrzył na Blake'a zezem.

— W porządku — odezwał się w końcu — czego potrzebujesz?

Blake wymieniał po kolei niezbędne przedmioty, obserwując Charliego spisującego listę i kiwającego głową. Sumuje ilość pozycji czy dolary — zastanawiał się Blake.

— Wszystkie potrzebne ci rzeczy mam w magazynie w Jersey City — powiedział Baumann, kiedy Blake skończył dyktować. — Przywiezienie ich zajmie około godziny. Ale nadajnika wideo nie dostaniesz, urządzenia dalekiego zasięgu dostępne są jedynie dla glin. Mogę dostarczyć ci tylko o zasięgu do stu pięćdziesięciu metrów. Jeśli chcesz większej mocy, musisz pójść do kogoś innego.

— Nie mógłbyś zrobić wyjątku? Przecież jestem twoim starym dobrym klientem — Blake obdarował go jednym ze swoich najślodszych uśmiechów.

— Zapomnij — Baumann potrząsnął głową złożył listę i schował do kieszeni. — Nie za plastik, Marty. Transakcje opłacane kartą kredytową podlegają zaksięgowaniu. Plastik nie pozwala na szwindle.

Wyszedszy z powrotem na ulicę, Blake znalazł automat, zadzwonił do *New York Posta* i poprosił o rozmowę z Herbertem Coenem, autorem artykułu na temat strzelaniny w Whitestone. Połączono go z biurem, gdzie powtórzył swoją prośbę.

— Coen poszedł do toalety.

— Zaczekam.

— Jak chcesz, kolego.

Pięć minut później odezwał się stanowczy głos:

— Coen.

— To pan jest tym Coenem, który napisał artykuł o strzelaninie w Whitestone?

— Zgadza się.

— Widzisz, chłopie, tam poszło o coś zupełnie innego. Gliny nakarmiły cię bzdurami o narkotykach, a ty zanotowałeś wszystko jak na szkolnym dyktandzie.

— Mówił pan, że jak się nazywa?

— Nie mówiłem.

Blake ze spokojem przyjął ciszę, jaka nastąpiła, nie zamierzał jej przerywać. Coen potrzebował czasu do namysłu, zastanawiał się, czy dla pozyskania materiału warto było znosić zachowanie Blake'a. W porządku, pomyślał Marty, dziennikarz nie połknie przynęty, jeżeli nie jest głodny.

— A może mi pan powie, co tam się naprawdę stało?

— Nie przez telefon.

— Daj spokój, człowieku. Mam lepsze rzeczy do roboty, niż skakanie jak mi zagrasz.

Czas przekupić psa kością, zarzucić haczyk.

— Chodziło o morderstwo i szantaż, Coen. Mam dokumenty oraz nagraną rozmowę. Pamięta pan sędziego, który kilka dni temu popełnił samobójstwo?

— JohnaMcGuire'a?

— Był zamieszany w tę sprawę.

Coen zaczerpnęła głęboki oddech.

— Gdzie chciałby się pan ze mną spotkać?

— W restauracji Pioneer przy West Side Highway, przed tunelem. Za pół godziny.

— Niech pan posłucha, mam jeszcze...

Blake odwiesił słuchawkę, wrócił do samochodu i pojechał w stronę centrum. Wybrał dłuższą drogę, trzymając się wschodniego krańca Manhattanu aż do Battery, a następnie zawrócił, skręcając w to, co pozostało jeszcze ze starej West Side Highway. Prowadząc, próbował skoncentrować się na sukcesach odniesionych dotychczas — transakcjach zawartych z Cappolino i Baumannem, umówionym spotkaniu z Coenem — a nie na ryzyku, które zamierzał podjąć. Gdyby miał więcej czasu postąpiłby zupełnie inaczej.

W Pioneerze Blake zajął stolik oraz zamówił kawę i hamburgera. Pił już drugą filiżankę, kiedy zjawił się Herbert Coen. Był niskim, kościstym mężczyzną o długiej, wąskiej twarzy, której nie można było porównać do szczurzej jedynie dzięki promieniującym inteligencją oczom.

Coen zajął miejsce naprzeciwko Blake'a.

— Zmusił mnie pan do narażenia się w pracy — odezwał się Coen. — Oby miał pan coś naprawdę gorącego. — Do stolika podeszła kelnerka, przynosząc kartę. Coen zamówił kawę i odesłał ją.

Blake wyjął i położył na stole zawartość szarej koperty, którą zamierzał wysłać do swojego wujka. Wziął napisany przez siebie list, podał Coenowi, zaczekał, aż reporter zapozna się z jego treścią, po czym przekazał mu resztę papierów.

— Oto dokumenty dotyczące założenia i rozwiązania spółki Landsman Properties. Proszę zauważyć, że Alan Green, ojciec burmistrza Manhattanu, był jej jedynym akcjonariuszem. Załączone faktury stanowią dowody dokonanego przez spółkę zakupu pewnej nieruchomości na Long Island, którą następnie odsprzedano Johanowi Tillsonowi, małżonkowi Sondry Tillson. Nie mam czasu, by odtwarzać panu nagranie, lecz gwarantuję, iż nie pozostawia ono najmniejszych wątpliwości.

Blake wyprostował się, ugryzł hamburgera i popił resztkami kawy. Pewność siebie bawiła go w równym stopniu jak dramatyzm sytuacji. Coen ślinił się niczym pies nad kawałkiem pieczeni, lecz nie przesądzało to jeszcze, że jego wydawca zgodzi się opublikować materiał — nie istniał żaden sposób, by przekonać się, jak daleko sięgały wpływy Harraha. Mimo wszystko Marty odczuwał zadowolenie, osiągnął dokładnie tyle, ile zamierzył.

— Zapewne nie zechce pan podać mi swego nazwiska?

— Marty Blake.

- A pański związek ze sprawą?
- Blake westchnął, po czym ponownie ugryzł kanapkę.
- Mam nadzieję, że nie przeszkadza to panu — powiedział z pełnymi ustami.
- Przez cały dzień nic nie jadłem.
- Coen pokiwał głową.
- W porządku, nie mój interes.
- Poza tym nie mam czasu na wdawanie się w szczegóły — Blake przelknął.
- Wkrótce, prawdopodobnie w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin, znajdę się w posiadaniu większej liczby dowodów. Jeśli to pana interesuje.
- Naturalnie.
- Doskonale, ponieważ docelowo zamierzam rozesłać podobne zestawy także do innych dziennikarzy. Coen, informacje, jakie pan otrzymał to dopiero wstęp, dlatego nie opłaca się panu zwlekać z publikacją.
- Jakies inne rady?
- Blake potrząsnął głową.
- Do przekazania dalszych materiałów potrzebna będzie jakaś skrzynka kontaktowa. Poczta nie wchodzi w rachubę.
- Coen zapisał swój adres na odwrocie wizytówki.
- Postaram się, żeby przez kilka najbliższych dni ktoś tam czekał, ale zawsze może pan zostawić przesyłkę portierowi — przez moment przypatrywał się Blake'owi i w końcu postanowił dodać: — Widzi pan, ta sprawa stanowi dla mnie niezwykłą okazję.
- Tak, z pewnością dopomoże ona pańskiej karierze. Nadaje się również jako temat na książkę.
- Ale ludzie, których pan tu oskarża... proszę zrozumieć, jeśli nie będę dysponował niepodważalnymi dowodami, skończę w dziale lokalnych plotek na jakimś zadupiu. Nie ma mowy, żebym poszedł z tym do mojego wydawcy, zanim nie upewnię się, iż pańskie dokumenty są autentyczne.
- Blake wyobraził sobie Kosinskiego leżącego na szpitalnym łóżku, zastanawiał się, czy może czekać, aż Coen wszystko posprawdza. Doszedł jednak do wniosku, iż nie ma to większego znaczenia.
- Faktury, dane dotyczące spółki są ogólnie dostępne. Jeśli chodzi o kasetę... cóż, może pan spróbować odtworzyć ją wdowie po McGuirze. Ciekawe, czy spodoba jej się własny głos.

W drodze powrotnej Blake nie spieszył się zbyt. Pojechał Hudson Street w kierunku północnym, następnie na wschód Houston Street aż do pierwszej alei, gdzie ponownie skręcił na północ. Ponieważ jego szlak przebiegał obok szpitala Beüevue, zatrzymał się na chwilę, by popatrzeć na ponure ściany z cegły oraz brudne okna. Wewnątrz pełną parą toczyło się szpitalne życie. Ludzie wchodzili i wychodzili, przed budynkiem kilka pielęgniarek w towarzystwie internisty czekało cierpliwie na sprzedawcę hot-dogów, krewni pilnowali zaparkowanych samochodów, podczas gdy inni składali wizytę choremu. Niska Latynoska ciągnęła wózek

wypchany po brzegi bukietami białych i różowych goździków. Nie było tam róż ani orchidei. Bellevue to zwykły miejski szpital; ludzie, którzy mogą sobie pozwolić na drogie kwiaty, leczą się gdzie indziej.

— Wystarczy, proszę ruszać — wzdłuż zaparkowanych samochodów szedł wyraźnie znudzony czarnoskóry strażnik. — Tutaj nie wolno parkować. Proszę odjechać.

Nikt nie zareagował, nikt nie odwrócił się, by spojrzeć w jego stronę. Nie miał żadnych praw, nie mógł nawet wypisać mandatu i doskonale o tym wiedział. Po kilku nieudanych próbach odwrócił się, zaklął, po czym poszedł w kierunku głównego wejścia.

Blake poczuł nagłą chęć, by udać się za strażnikiem, wywlec Kosinskiego z łóżka i zawieźć w bezpieczne miejsce. Zdawał sobie sprawę z dziecinności swojego pomysłu, przypominającego życzenie małego szkraba wciąż jeszcze wierzącego w czary, niemniej jednak otworzył drzwi. Wysiadł właśnie, kiedy w drzwiach szpitala pojawił się Tommy Brannigan.

Pod wpływem pierwszego impulsu Blake pragnął rzucić się do ucieczki — nie przed Branniganem, ale przed koszmarными wyobrażeniami wywołanymi jego niespodziewaną obecnością — i zapewne zrealizowałby swój zamiar, gdyby policjant nie zauważył go.

— Hej, Blake, przyszedłeś odwiedzić swoją dziewczynę?

Mimo pozornej wesołości oraz sporego dystansu Marty dostrzegł chłód i rozagę kryjące się w spojrzeniu Brannigana. Ruszył w stronę policjanta, którego wzrok przyciągał go niczym magnes. Kiedy dzielili ich już tylko metr, zatrzymał się i milcząc spojrzał mu w twarz.

— Szkoda Kosinskiego. Biedak nie miał dziś chyba najlepszego dnia. Zmarł.

Brannigan uśmiechnął się, a jego dłoń powędrowała w stronę suwaka od kurtki. Blake odwzajemnił uśmiech, pozwolił glinie odsunąć suwak, włożyć rękę pod bluzę, a wtedy z całej siły uderzył go pięścią prosto w splot słoneczny. Brannigan jęknął i upadł na plecy.

— Ty dziś także nie masz chyba najlepszego dnia.

Blake wyrwał zza paska pistolet i grzmotnął kolbą w twarz policjanta. Trzask łamanych kości oraz bolesny okrzyk sprawiły mu niezwykłą przyjemność, tak wielką, że zadał kolejny cios, i kolejny, i jeszcze jeden.

24.

Kiedy Marty Blake dotarł do mieszczącego się w St. Albans domu zastępcy prokuratora okręgowego Marcusa Fletchera, w jego głowie kłębiły się myśli. Używając przemocy wobec Brannigana, po raz pierwszy znalazł się w konflikcie z prawem. Grupka skorumpowanych glin na usługach Harraha przerodziła się w ową armię, której tak bardzo się obawiał. Billy'ego Sowellę Harrah zdołał osiągnąć w więzieniu stanowym, Bella Kosinskiego na oddziale więziennym szpitala miejskiego. Marty nie miał powodu, by sądzić, iż areszt śledczy stanowiąc będzie dla niego jakikolwiek problem.

Z drugiej jednak strony aresztowanie Blake'a za pobicie Tommy'ego Brannigana mogłoby grozić Harrahowi licznymi negatywnymi konsekwencjami. Nadszpektor nie był w stanie przewidzieć, który policjant dokona zatrzymania, kto będzie przeprowadzać przesłuchanie. Co więcej Blake mógłby specjalnie oddać się w ręce policji, przychodząc na dowolny posterunek w towarzystwie swojego adwokata oraz dziennikarzy. Gdyby zażądał ochrony twierdząc, iż jego życie znajduje się w niebezpieczeństwie, znalazłby się całkowicie poza zasięgiem Samuela Harraha.

Niestety, gdyby postąpił w taki właśnie sposób, pozwoliłby się zamknąć w mieszkaniu pod bezustanną opieką strażników, co w zasadzie niewiele różniłoby się od odsiadywania wyroku w jednoosobowej celi. Blake potrafił zobaczyć w wyobraźni siebie zamkniętego w więzieniu oraz Samuela Harraha gotowego zrobić niemal wszystko, by tylko zapobiec rozprawie, by zemścić się. Gdyby pewnego ranka znaleziono Marty'ego Blake'a wiszącego na kratkach okiennych, któż odważyłby się powiedzieć, że to nie było samobójstwo? Max Steinberg? Joanna Bardo?

Po odebraniu zamówionego sprzętu ze sklepu elektronicznego Charlesa Baumanna oraz wymienieniu nissana na chevroleta caprice w jednej z wypożyczalni na Long Island, wrócił do swojego pokoju w zajeździe Adriatic, by wziąć kilka egzemplarzy materiałów, jakie przekazał Herbertowi Coenowi. Podczas drogi doszedł do wniosku, iż skoro nie potrafi kontrolować swoich myśli, powinien zająć się własnym postępowaniem. A najlepszym sposobem, by tego dokonać (bez rozważania każdego posunięcia) było realizowanie wyznaczonego na początku planu.

Blake zatrzymał samochód przy krawężniku, przekręcił kluczyk, silnik wydał z siebie jeszcze kilka dźwięków i zamilkł. Wysoki, czarny mężczyzna koszący trawę ani na chwilę nie podniósł wzroku. Być może nie słyszał nadjeżdżającego chevroleta zagłuszonego przez ryk silnika kosiarki, a może po prostu nie miał zwyczaju wtykać nosa w nie swoje sprawy. W każdym razie Blake'owi nie udało się zobaczyć twarzy mężczyzny, dopóki tamten nie dotarł do końca trawnika i nie zawrócił.

W pierwszej chwili Marty odniósł wrażenie, iż nieznamy promieniuje tajemniczą niezłomną siłą. Szeroko rozstawione oczy, mały, pękaty nos, pełne usta, wydatna szczeka oraz wystające kości policzkowe wyrażały zdecydowanie. Jednak w

niewzruszonym obliczu mężczyzny, ukształtowanym dawno temu i od owego czasu utrzymywanym siłą woli w nie zmienionym stanie, było coś odpychającego.

W tym momencie, jakby słysząc myśli Blake'a, człowiek koszący trawę popatrzył w kierunku chevroleta. Ich spojrzenia skrzyżowały się, a wzajemna obserwacja trwała wystarczająco długo, by obaj zdążyli się zorientować, iż mają ze sobą coś do załatwienia. Blake, trzymając pod pachą szarą kopertę, wysiadł z samochodu i przeszedł przez trawę.

— Pan Marcus Fletcher? — zatrzymał się w odległości niespełna trzech metrów, mówił cichym, grzecznym i spokojnym głosem.

— Zgadza się.

— Nazywam się Marty Blake. Przepraszam, że zawracam panu głowę w domu, a na dodatek w sobotę, lecz sprawa jest niezwykle pilna — przerwał, spodziewając się jakiejś reakcji, lecz twarz czarnego pozostała niewzruszona. — Dysponuję pewnymi informacjami, które powinien pan poznać.

— Chwileczkę — Fletcher bez pośpiechu przyjrzał się uważnie Blake'owi, jak gdyby oceniając go. — Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, wolałbym porozmawiać wewnątrz — odwrócił się, ruszył przodem i nie oglądając się, dodał: — Wiem, kim pan jest.

Blake zrobił kilka kroków, po czym gwałtownie zatrzymał się.

— Moment — zaczął, aż Fletcher odwróci się ponownie. — Rozmawiał pan z moim wujkiem, to oczywiste. Z kim jeszcze się pan kontaktował?

Kto jest w pańskim domu?

— Wewnątrz jest moja żona oraz dwaj synowie — Fletcher zamierzał się uśmiechnąć, lecz gdy próba nie powiodła się, na jego twarz powrócił kamienny wyraz. — To nie jest pułapka, panie Blake. Jeśli potrafi pan udowodnić swoje oskarżenia, znajdzie pan we mnie sprzymierzeńca.

— Obawiam się, że nie — Blake z dłonią schowaną pod koszulą zaczął się wycofywać. — Pańska rola w tej farsie jest raczej znikoma. Wehodzi pan na scenę już po kulminacyjnym momencie, dlatego zostawię pana teraz razem z pańską trawą. Życzę miłego dnia.

— Proszę — oczy Fletchera rozszerzyły się, usta rozchyliły się nieco. Blake natychmiast rozpoznał objawy strachu, a dopiero po chwili zrozumiał, że zastępcy prokuratora zależy na kompromitujących materiałach.

— Chce pan to mieć? — spytał Blake.

— Tak, bardzo.

— Dlaczego?

Fletcher wziął głęboki oddech.

— Czy jest pan religijny?

— Niech pan nie zawraca mi głowy bzdurami — Blake nadal się wycofywał.

— Ktoś musi powstrzymać Samuela Harraha.

— A niby kto?

— Ktoś powinien pokazać go społeczeństwu. Czy może pan zrobić to samotnie?

- Wciąż nie odpowiedział pan na moje pytanie.
- W porządku, panie Blake. Chcę mieć tę sprawę dla siebie, jest mi potrzebna do kariery. Czy to właśnie pragnął pan usłyszeć?

Blake zatrzymał się przy drzwiach samochodu.

- Niech pan wsiada — powiedział.

Fletcher z wyraźną ulgą wszedł do auta. Przyjął od Marty'ego pakunek i cierpliwie czekał, podczas gdy Blake uruchomił silnik, wrzucił bieg i ruszył. Następnie otworzył kopertę, przeczytał list oraz przejrzał załączone dokumenty.

— Na kasecie są cztery głosy — odezwał się Blake. — Johna McGuire'a, Ann McGuire, Bella Kosinskiego oraz Samuela Harraha. Pański problem polega na tym, że dwaj spośród nich już nie żyją a samo przekazanie nieruchomości nie do-
wodzi jeszcze niczego. Pociuszający jest fakt, iż wszystkie dokumenty pochodzą z ogólnie dostępnych baz danych, a nagrania dokonano za całkowitą zgodą jednego z uczestników rozmowy.

Fletcher pokiwał głową i ponownie zajął się czytaniem otrzymanych materiałów, tym razem jednak poświęcając im znacznie więcej uwagi. Skończywszy, schował dokumenty i kasetę z powrotem do koperty.

— Mąż, Tillson — odezwał się — pójdzie na pierwszy ogień. Jego przestępstwa — utrudnianie działania wymiarowi sprawiedliwości oraz przyjmowanie łapówek — są stosunkowo niewielkie. Zaproponujemy mu nietykalność w zamian za złożenie zeznań, którymi posłużymy się do wznowienia śledztwa dotyczącego zamordowania jego żony.

- To załatwia sprawę Edwarda Greena, a co z Samuelem Harrahem?

Fletcher położył kopertę na kolanach i złożył ręce.

— Harrah będzie wymagać nieco więcej wysiłku. Może wykorzystamy Ann McGuire, jeśli posiada jakieś informacje, albo Tillsona, jeżeli Harrah odgrywał rolę pośrednika.

Blake zatrzymał samochód przy krawężniku.

- Zamierza pan pójść z tym do swojego szefa?

— Nie mam prawa rozpocząć śledztwa na własną rękę. Ale zapewniam pana, Blake, że manhattański prokurator okręgowy nie ulega naciskom politycznym. Może pan...

— Zdaje się, że prosiłem pana o nie zwracanie mi głowy bzdurami — Blake otworzył Fletcherowi drzwi. — Proszę zrobić przysługę nam obu i nie pokazywać nikomu tych materiałów. Za kilka dni otrzyma pan znacznie więcej, wystarczająco dużo, by zmusić do działania pańskiego szefa bez względu na fakt, czy mu się to podoba czy nie. Aha, jeszcze jedno, wszystkie dokumenty, które pan dostał i jeszcze dostanie, trafiają najpierw do prasy. Na tyle właśnie ufam prokuratorowi okręgowemu — uśmiechnął się. — Na tyle też ufam *panu*.

Zdaniem Marty'ego Blake'a wszystko, co dotyczyło Marcusa Fletchera (również jego ambicje), było szczere. W oczach zastępcy prokuratora czaiła się chciwość, a nie wyrachowanie; jego zachowanie zdawało się bezpośrednie, lecz pełne szacunku. Niemniej jednak Fletcher widział samochód, mógł również zapamiętać jego numer rejestracyjny, a teraz być może wystukuje właśnie numer telefonu lub rozmawia już z Samuelem Harrahem.

Podobne myśli nawiedzały Blake'a, gdy jechał na lotnisko Kennedy'ego, aby wymienić wypożyczonego chevroleta. Samochód, jakiego szukał, znalazł w małej agencji w pobliżu lotniska. Leżący na uboczu parking Sutphin Boulevard oferował wiele podstarzałych pojazdów, w niczym nieprzypominających wspaniałych, błyszczących aut dostępnych u wielkich potentatów, za to niezwykle konkurencyjnych cenowo. Blake wybrał furgonetkę — forda aerostara z 1991 roku — z pojedynczymi oknami po bokach i bez szyby w tylnych drzwiach. Porysowana i powgniatana na ulicy z pewnością nie będzie zwracać na siebie uwagi.

Kiedy Blake uruchomił silnik, z włączonego radia doleciał go głos spikera. Odbiornik ustawiony był na stację nadającą całodobowy serwis informacyjny, dlatego zdążając w kierunku Barnet Avenue w Woodside, Marty nie wyłączał go, spodziewał się bowiem usłyszeć wiadomość o śmierci Bella Kosinskiego. Wbrew jego oczekiwaniom dźwięczny, męski głos doniósł o spowodowanym przedawkowaniem narkotyków zgonie burmistrza Manhattanu Edwarda Greena. Zwłoki znaleziono w gabinecie polityka w urzędzie miejskim, kilka godzin po tym, jak jego żona zgłosiła zaginięcie Greena. Detektywi obecni na miejscu zdarzenia nie wykluczali możliwości samobójstwa, lecz z wydaniem oficjalnego oświadczenia wstrzymali się do czasu uzyskania wyników sekcji, które powinny zostać ogłoszone w połowie tygodnia.

To by było na tyle, jeśli chodzi o ważnego klienta Joanny, pomyślał Blake. Podobny los zapewne czeka wkrótce Johana Tillsona, jeżeli mnie nie dopadną wcześniej.

Pół godziny później w biurze Vinniego Cappolino Marty przeglądał cztery zeznania podatkowe osób prywatnych oraz dwa dotyczące spółek. Vinnie, wystrojony w swoją najnowszą koszulkę z nadrukiem na piersi oraz wiekową kurtkę z czarnej skóry, siedział po przeciwnej stronie biurka, narzekając tak jak nauczyła go Linda Francis, praktyczna żona współnika.

— Widzisz, te zeznania kosztowały mnie więcej niż się spodziewałem. Może jest za mało kontrolerów w urzędach skarbowych — nie wiem — w każdym razie ledwie zdołałem się wypłacić. Prawdę mówiąc, Marty, zażądałbym od ciebie więcej, gdybym wiedział, że masz jeszcze jakąś forszę.

Blake zignorował tę uwagę, skupiając się całkowicie na otrzymanych dokumentach. Już na pierwszy rzut oka wszystko wyglądało tak, jak się tego spodziewał, niemniej jednak Marty wnikliwie analizował kolumny liczb, dopóki nie utkwiły mu

w pamięci. Samuel Harrah i jego żona, Margaret, w ciągu ostatnich czterech lat składali osobne zeznania. Jako głowa rodziny Harrah wykazał tylko dochody ze swojej posady oraz niewielkie zyski z ulokowanych na koncie oszczędności. Margaret Harrah natomiast, będąca jedyną właścicielką firmy konsultingowej w południowym Queens oraz przedsiębiorstwa zajmującego się handlem artykułami biurowymi, płaciła co roku podatek od dochodu w wysokości ponad stu pięćdziesięciu tysięcy dolarów, w całości pochodzącego z zysków pierwszej spółki. Ponadto obaj synowie Harrahów, George i Owen, jako jedyni pracownicy firmy konsultingowej otrzymywali wypłaty rzędu tysiąca dolarów tygodniowo, a ponadto mieli pokazać dochody z pracy w kancelarii adwokackiej Wallacha i Blocka na Wall Street.

— Czytałeś to Vinnie? — Blake rozłożył papiery na biurku, wyprostował się i zaczął się zastanawiać, co by było, gdyby nie znalazł żadnych danych kompromitujących Harrahów. Gdyby po prostu wrócił do domu i czekał? Albo odwiedził nadinspektora i rozwalił mu łeb?

— Pewnie, że tak. Ale nie mam pojęcia, na co może się to przydać — pochylił się, opierając łokcie na biurku. — Pamiętasz, jak Joanna wyraziła się o moich pre-dyspozycjach do prowadzenia spraw gospodarczych? Że nie mam smykałki. Możesz w to uwierzyć?

— Przestań, Vinnie, i powiedz, jakie jest twoje zdanie.

Cappolino wzruszył ramionami, zapalił długie, grube cygareto, a następnie puścił idealnie okrągłe kółko.

— Firma konsultingowa to pralnia. Nie zatrudniają nikogo — ani księgowego, ani urzędników, ani nawet sprzątaczkę. Poza tym, do licha, cóż taka spółka robi akurat w Queens? Nie wiem, skąd pochodzi forsa, ale gwarantuję ci, że nie są to honoraria za porady giełdowe.

— A handel artykułami biurowymi? Po co komu druga spółka, która ledwie wiąże koniec z końcem?

— Myślisz, że nie wiem? — machnął cygarem niczym mieczem, po czym z dumą uśmiechnął się. — Przecież poza płaceniem czynszu oraz rachunków za prąd i wodę firma konsultingowa zmuszona jest jeszcze tylko do jednego, mianowicie regularnych zakupów akcesoriów biurowych. Mogliby oczywiście zaopatrywać się u kogoś innego i po prostu wyrzucać towar do śmietnika, ale to z pewnością zwróciłoby uwagę sąsiadów. A tak w papierach mają absolutny porządek, dysponują fakturami na wypadek kontroli z urzędu skarbowego, lecz nie muszą zwracać sobie głowy towarem.

— Tak — przyznał Blake — ja też tak sadzę. To raczej oczywiste.

— Zdziwiło mnie tylko, że nie ulokowali swojego interesu gdzieś za granicą. Wtedy byłbyś załatwiony, zapłacilibyś mi za nic.

Blake potrząsnął głową.

— Harrah to nie przywódca kartelu narkotykowego z Medellin. Na dodatek sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów rocznego dochodu nie wystarczyłoby na napiwek

dla panamskich bankierów — wziął głęboki oddech. Nadszedł czas, by wprowadzić do gry ostatnią kartę. Żeby tylko udało się wyjąć ją ze spodu talii nie upuszczając. — Potrzebuję od ciebie jeszcze jednej rzeczy, Vinnie. Tylko...

— Tylko, że nie masz pieniędzy.

— Tak, to by się zgadzało — Blake próbował uśmiechnąć się, lecz skrzywił jedynie twarz. — Chciałbym cię prosić, żebyś poświęcił parę godzin i obsłużył sprzęt podsłuchowy w furgonetce z odbiornikami wideo. Twoim jedynym zadaniem byłoby skopiowanie uzyskanego materiału i przesłanie go dwóm adresatom. To drobnostka.

— Chyba że zostanę złapany — odparł Cappolino. — Wtedy czeka mnie od pięciu do dziesięciu lat. W Attice. A może gliny dojdą do wniosku, iż powinni załatwić mnie tak, jak zrobili to z tobą.

— Będziesz w odległości dwóch przecznic. W furgonetce. Słuchaj, Vinnie, przecież jeszcze nie tak dawno podjąłbyś się czegoś podobnego dla samej przyjemności. Zamierzam dobrać się do tyłka wielkim szychom i pomyślałem sobie, że skoro zawsze należałeś do prawdziwych mężczyzn, chciałbyś również sam zdobyć nieco sławy. Ale zdaje się, że Linda jest twoim szefem, a nie księgową i karci cię za każdym razem, gdy się wychylasz.

— Daruj sobie, Marty. Nie dam się podpuścić. Zmieniłem się.

— Co, Vinnie, zostałeś palantem?

Cappolino wzruszył ramionami.

— Zatem chyba nie zmieniłem się tak bardzo, jak myślałem.

— Wiesz co, to ja powinienem „zmienić” ci twarz w cholerną miazgę — mimo najszerszych chęci Blake nie potrafił nadać wiarygodności swojej pogroźce. Twarz Cappolino i tak miała na sobie już tyle blizn, że przypominała mapę samochodową. — W porządku, Vinnie. Zapomnij o wszystkim, co ci przed chwilą powiedziałem. Ile chcesz za tę robotę?

— Dwa patole.

— Dwa tysiące dolarów za kilka godzin pracy? To rozbój w biały dzień.

— Nie sądzę. To zwyczajny interes. Zrozum, Marty, nie zanosz się, że zostaniesz regularnym klientem.

Blake wstał.

— Muszę zadzwonić. Mogę skorzystać z telefonu w gabinecie twojego partnera?

— Z kim chcesz rozmawiać?

— Z Joanną Bardo.

Gromki śmiech Cappolino podążył za Blakiem do sąsiedniego pokoju. Marty zamknął drzwi, wytłumaczył sobie, że już nie pierwszy raz zmuszony jest podlizywać się komuś, by załatwić jakąś sprawę, a następnie wykręcił domowy numer swojej byłej pracodawczyni.

- Halo.
- Tu Marty Blake.

Po krótkiej ciszy Joanna, posługując się jednym ze swych najbardziej władczych tonów, zawołała:

- Zrujnowałeś nas.
- Czy to znaczy, że słyszałaś już o Edwardzie Greenie?
- Marty, sam kopiesz sobie grób.

– A mnie się zdaje, że już skończyłem i teraz stoję w środku. Czekam, aż zaczną rzucać na mnie ziemię. Ale słuchaj, nie zadzwoniłem, żeby sobie pogawędzić. Potrzebuję twojej pomocy, Joanno. Chciałbym, żebyś obiecała Vinniemu Cappolino, iż zapłacisz mu dwa tysiące dolarów za pracę, którą dla mnie wykona.

- A dlaczego miałabym to zrobić?

– Ponieważ jeśli się nie zgodzisz, powiem ludziom, którzy załatwili Edwarda Greena, że przez cały czas wykonywałem twoje polecenia. Przekażę im, że finansowałaś moje śledztwo, udostępniałaś mi komputery, że wiesz dokładnie tyle samo, ile ja, i nie zawahasz się tego wykorzystać. Poinformuję ich, że jesteś moją polisą ubezpieczeniową.

Ponownie zapadła głucha cisza. Blake czekał cierpliwie przekonany, iż Joanna zrobiłaby wszystko, byle tylko uchronić siebie i swoją firmę. Musiała zrozumieć, że jej jedynym wyjściem jest spełnienie wszelkich żądań.

- Daj mi Vinniego.

Blake odłożył na bok słuchawkę bez słowa odpowiedzi, otworzył drzwi i wpuścił Cappolino do środka.

- Chce z tobą rozmawiać.

Vinnie z uśmiechem przyklejonym do twarzy wyszedł z gabinetu wspólnika po pięciu minutach. Przeszedł przez pokój i usiadł za biurkiem.

– Człowieku, ale ta suka się wściekła. Nie pamiętam, żeby kiedykolwiek była tak wkurzona.

- Co mówiła?

– Zaczęła od bajki o lojalności. Że niby jestem jej coś winien. „Przestań chrzanić”, powiedziałem, „zbiegły niewolnik nie ma zobowiązań wobec swego pana”. Potem przypomniała mi, że codziennie korzystam z jej komputerów, że mogłaby zakazać mi dostępu do nich. Ja odpowiedziałem jej, że jest co najmniej pięćdziesiąt firm świadczących podobne usługi, a ponadto za każdym razem, gdy przychodzi z czymś nielegalnym i tak wysyła mnie na ulicę. Ja...

- Proszę cię, Vinnie, do rzeczy.

Cappolino wysunął dolną szufladę biurka, wyjął ćwiartkę burbona „Wild Turkey” i napił się prosto z butelki.

— Zdaje się, Marty, że wpakowałeś się w niezłą kabałę, czego rok temu na pewno byś nie zrobił. Chyba nie tylko ja zmieniłem się ostatnio — zakręcił butelkę i odłożył do szuflady. — Kiedy Joanna zrozumiała, że nie uda jej się wyperswadować mi, żebym ci odmówił, przerzuciła się na amunicję większego kalibru.

— Zaproponowała pieniądze.

— Tak, cztery tysiące dolarów, jeśli wpakuję ci kulkę w łeb, a ciało wrzucę do rzeki.

— I co ty na to, Vinnie?

— Powiedziałem Joannie, że ubiliśmy wspólny interes, a ja mam swój honor, lecz jeżeli po całej sprawie pozostaniesz w jednym kawałku, wszystko da się załatwić.

25.

Blake nie spieszył się do mieszczącej się przy Conduit Avenue siedziby firmy konsultingowej Harrahów. Był zupełnie zadowolony ze swoich postępów (nie wspominając już o zmasakrowaniu twarzy Tommy'ego Brannigana), dlatego zatrzymał się w jednej z przydrożnych restauracji, by zjeść pizzę — najpierw jedną, potem drugą, a następnie trzecią. Znalezienie osoby, która zajmie się furgonetką oraz rozprowdzi kasety i dokumenty było ostatnim problemem logistycznym. Odtąd jego zadanie stawało się szeregiem czysto mechanicznych posunięć, serią wzajemnie zależnych elementów. Wciąż istniało zbyt wiele niewiadomych, by Blake mógł przewidzieć ostateczne rezultaty, miał jednak pewność, iż Samuel Harrah i jego wspólnicy zostaną pogrążeni. Z punktu widzenia Marty'ego był to ostateczny, a od śmierci Bella Kosinskiego jedyny cel.

Dobiegała jedenasta, kiedy Blake opuścił niewielką pizzerię. Stojąc na chodniku, obserwował ruch na Woodhaven Boulevard i w pewnym momencie zaczął żałować, że nie włożył marynarki. Z przejeżdżającego ulicą wozu patrolowego dwaj policjanci obrzucili go uważnymi spojrzeciami. Nagle tkwiący za paskiem pistolet zaciążył mu, jak gdyby ważył z dziesięć kilogramów. Marty był niemal pewien, iż gliny spostrzegą nienaturalne wybrzuszenie, wyskoczą z samochodu i, kryjąc się za maską i bagażnikiem, każą mu podnieść ręce do góry. Wbrew oczekiwaniom jednak na następnym skrzyżowaniu skręcili w lewo i odjechali.

Blake przez chwilę popatrzył za oddalającym się wozem patrolowym, po czym ruszył w stronę swojej furgonetki. Przechodząc koło budki telefonicznej, zawahał się, lecz nie zatrzymując się poszedł dalej. Przed swoim pierwszym i jednocześnie ostatnim spotkaniem z Samuelem Harrahem zmuszony będzie skorzystać z telefonu. Nie może nie zadzwonić do matki. Chociaż nie miał zamiaru popełnić samobójstwa, czekającego przedsięwzięcie wiązało się z ryzykiem stanowiącym wystarczający powód, by wzbudzić jej niepokój. Oczywiście mógł jej skłamać, powiedzieć to, w co pragnęła wierzyć, lecz wówczas telefonowanie nie miałooby sensu.

Do kogo jeszcze — zastanawiał się, ruszając furgonetką. Do kogo powinienem jeszcze zadzwonić?

Marty zdał sobie sprawę, że nie ma już nikogo innego. Przez całe życie nie miał przyjaciół. Koledzy z sali gimnastycznej, współpracownicy, a także Rebeka Webber byli jedynie znajomymi, przedmiotami uzupełniającymi jego egzystencję tak jak IBM czy ubrania. Nie potrafił wyobrazić sobie rozmowy, która nie wydawałaby się niezręcznością, pogwałceniem niepisanych reguł, wykluczających wszelką intymność w relacjach pomiędzy znajomymi.

Chryste, pomyślał, zawracam sobie głowę samymi bzdurami. W kółko to samo. Gonienie własnego ogona to zabawa dla szczeniaków, a nie dla mężczyzny zamierzającego popełnić morderstwo.

Blake, mimo pewności siebie, przez moment poddał się niezwykle silnemu poczuciu samotności. Przyszedł mu na myśl Jeffrey Dahmer, wielokrotny morderca, który nie potrafił rozstać się ze swymi ofiarami i dlatego odcięte głowy przechowywał w lodówce, a kości w nocnej szafce przy łóżku. Być może Dahmer każdą ofiarę postrzegał jako swego rodzaju lek. A może pragnął jedynie wypełnić pustą przestrzeń własnego życia, napęłnić ją wspomnieniami zmarłych oraz duszami swoich ofiar. Ich serca zdążył już zjeść.

Dwadzieścia minut później Blake przejechał obok agencji konsultingowej Harrahów. Nie zwolnił, nawet nie odwrócił głowy, lecz czterokrotnie przejeżdżał przed wejściem, dopóki nie upewnił się, że Samuel Harrah nie przewidział takiego posunięcia oraz że nie istniało żadne tylne wyjście z budynku. Następnie zaparkował samochód, wyłączył światła i rozpoczął obserwację.

Obie jezdnie Conduit Avenue miały po pięć pasów ruchu, okalały z dwóch stron Belt Parkway, a dalej rozdzielały się i otaczały lotnisko Kennedy'ego. Tą trasą ciężarówki jechały z lotniska na Long Island i do Brooklynu. Samochody przejeżdżały obok z prędkością powyżej osiemdziesięciu kilometrów na godzinę, co doskonale pasowało Marty'emu. Kierowcy oraz pasażerowie, którzy przypadkiem zobaczą go, gdy będzie się włamywał, nie zdołają mu się przyjrzeć wystarczająco dokładnie.

Piesi natomiast nie powinni pojawiać się zbyt często, jako że połowę odcinka pomiędzy dwiema najbliższymi przecznicami od południowej strony alei zajmował długi, jednopiętrowy budynek podzielony na mniejsze magazyny oraz biura, resztę zaś ogrodzony parking pełen furgonetek i ciężarówek ze znakami firmy przewozowej. Agencja konsultingowa należąca do rodziny Samuela Harraha mieściła się na górnym piętrze na rogu, przy skrzyżowaniu ze sto dwudziestą ósmą ulicą. Poniżej znajdowało się biuro firmy prowadzącej wynajem samochodów, rozciągające się również pod pomieszczeniami Paradise Travel — spółki dzielącej piętro z agencją Harraha. Wszystkie miały oddzielne wejścia.

Blake podszedł do obitych blachą drzwi firmy konsultingowej zaopatrzonej w tabliczkę informacyjną: „Lokal chroniony systemem alarmowym Allsafe”. W drzwiach nie było żadnego okienka. Aby dostać się do wyłącznika, pozostawało jedynie przeciąć linie elektryczne i telefoniczne wchodzące do budynku. Jednak nawet wówczas nie uzyskałoby się pewności, że strzegący biura alarm nie ma zabezpieczenia na wypadek odcięcia zewnętrznego zasilania.

System ochrony wydawał się znanadto skomplikowany jak na firmę nieposiadającą niczego wartościowego. Co mogło tu być? Komputer? Drukarka? Maszyna do pisania? Podobne instytucje zadawały się wykupieniem polisy ubezpieczeniowej oraz dobrym zamkiem. Tak właśnie najwyraźniej postąpili właściciele Paradise Travel. Wejście do pomieszczeń biurowych na piętrze było zamknięte jedynie na masywną, nowoczesną zasuwę. Blake obejrzał dokładnie zamek, a następnie powrócił do furgonetki.

Wewnątrz sprawdził zestaw narzędzi przygotowany przez Vinniego Cappolino, pokiwał z zadowoleniem głową na widok akumulatorowej wiertarki oraz kompletu kobaltowych wiertel. Wybrał sześciomilimetrowe i umocował je. Narastające podniecenie sprawiało mu niezwykłą przyjemność. Doskonale znał to uczucie, już nieraz był bliski urzeczywistnienia skrupulatnie przygotowanych planów. Wiedział, że powinien bać się, powtarzać sobie bez przerwy, iż zamierza popełnić przestępstwo, że w każdej chwili może nadjechać policja, że oddziały tajniaków nieustannie patrolowały podobne okolice. Powinien ciągle przypominać sobie, że jest jeszcze czas, by się wycofać.

On jednak z rozkoszą poddał się ogarniającym go emocjom. Wymazał z pamięci Billy'ego Sowell i Bella Kosinskiego, Joannę Bardo i Maxa Steinberga, przez moment znalazł się w świecie zamieszkanym tylko przez niego i Samuela Harraha. Cała reszta, począwszy od Vinniego Cappolino i Marcusa Fletchera, a skończywszy na Aloysiusie Groganie i Tommym Branniganie, odgrywała jedynie rolę spustów, które wystarczyło pociągnąć w odpowiednim czasie i miejscu.

Nagle Blake doznał olśnienia — przez całe życie czekał na taką konfrontację. Przypomniał sobie ojca z czasów, gdy jeszcze pracował, kiedy wracał do domu, wkładał niebieską czapkę z daszkiem na głowę syna i przyczepiał odznakę do jego piersi. „My walczymy po stronie dobra”, stwierdzał, a Marty wierzył mu. Ufał słowom ojca i teraz zamierzał wprowadzić je w życie.

Opuścił furgonetkę i spokojnie podszedł do obitych blachą drzwi biura podróży Paradise Travel. Bez wahania postawił na ziemi pudełko z narzędziami, przystawił wiertło ponad zamkiem i zaczął wiercić pod kątem czterdziestu pięciu stopni. Kobaltowe wiertło — wystarczająco ostre, by pokonać stalową ściankę szafy pancerniej — weszło w metal i puste w środku drewno niczym w masło. Blake pchał, dopóki nie rozwierteł zapadki zabezpieczającej zamek i nie przebił drzwi na wylot. Następnie odłożył wiertarkę i posługując się zakrzywionym szpikulcem, przesunął sztabkę zasuwki.

Znalazłszy się wewnątrz, z powrotem zamknął drzwi na zasuwę i uśmiechnął się. Minuta i piętnaście sekund bez wyważania drzwi? Może to za dużo, by trafić do *Księgi Rekordów Guinnessa*, lecz z pewnością wystarczy, by przypieczętować los nadinspektora Samuela Harraha i oczywiście swój własny.

Na pozbawionej okien klatce schodowej panowała nieprzenikniona ciemność, dlatego wchodząc do góry, Blake pozwolił sobie na zapalenie małej latarki. Na piętrze natknął się na kolejne drzwi, tym razem z zamkiem elektrycznym podobnym do tych, jakie hollywoodzcy detektywi pokonują zwykle za pomocą kart kredytowych. Niestety, te akurat drzwi otwierały się na zewnątrz, co powodowało, iż plastikowa karta mogła okazać się przydatna jedynie przy próbie wyjścia. Blake wyjął zakrzywiony nóż do cięcia linoleum, wetknął ostrze pomiędzy drzwi a futrynę, przesunął do dołu, aż dotarł poza zamek. Przekreślił ostrze w kierunku futryny, a następnie gwałtownie pociągnął, cofając zapadkę i otwierając drzwi.

Pierwszą czynnością, jaką Marty wykonał po wejściu do środka, było rozejrzenie się za przejściem łączącym Paradise Travel z firmą konsultingową państwa Harrahów. Szansa istnienia takich drzwi wynosiła około jeden do stu, dlatego Blake nie zdziwił się specjalnie ich brakiem. Natychmiast dostrzegł inny sposób na pokonanie ściany, słaby punkt, którego zarówno właściciele, jak i najemcy zazwyczaj nie zauważają, w przeciwieństwie do złodziei czy prywatnych detektywów.

Przeniósł całe swoje wyposażenie pod drzwi niewielkiego pomieszczenia stanowiącego swego rodzaju szafę, a kiedy spostrzegł, że nie są zamknięte, wszedł do środka. Miał absolutną pewność, iż schowek firmy konsultingowej mieści się dokładnie po drugiej stronie cieniutkiej ścianki i wystarczy jedynie pokonać tę gipsową przegrodę, by znaleźć się w prywatnym królestwie Samuela Harraha. Odwrócił się i z całej siły uderzył obcasem w ściankę, lecz ku jego zdumieniu noga odbiła się od niezwykle twardej powierzchni.

Przerażającą myśl, że ma do czynienia z sejfem, Blake próbował odpędzić przekonując samego siebie, iż przy użyciu kobaltowych wiertel Vinniego Cappolino zdoła pokonać prawie wszystko. Następnie zajął się rozbijaniem za pomocą łomu ścianki powyżej tajemniczego obiektu. Rozerwał zewnętrzną, papierową warstwę, po czym uderzał w gipsową ścianę, dopóki nie stracił równowagi i nie wpadł do znajdującego się po drugiej stronie schowka. Wylądował na wielkim pudle pełnym papieru do drukarki laserowej. Usiadł, zapalił latarkę, oświetlił przedmiot, który zniweczył pierwszą próbę pokonania ścianki i odetchnął z ulgą stwierdziwszy, iż są to trzy metalowe szafki ustawione obok siebie. Urządając siedzibę swojej firmy, Samuel Harrah zapewne w jednakowym stopniu obawiał się włamywaczy, jak i ewentualnego pożaru. Naklejki na drzwiczkach każdej z szafek informowały, iż gwarantują one bezpieczeństwo przechowywanych przedmiotów przy zewnętrznej temperaturze do 1350° C.

Blake uderzył łomem w miejsce, gdzie szuflada środkowej szafki stykała się z ramą, rozbijając zamek. Wziął jeden z segregatorów, otworzył i skierował światło latarki na dużą fotografię. W pierwszej chwili nie rozpoznał przedstawionych na zdjęciu czterech osób — trzech mężczyzn i jednej kobiety. Być może dlatego, iż większą część twarzy kobiety przesłaniał ogromny penis, którego trzymała w ustach. Albo po prostu dlatego, że pani senator Margaret Frances Murray na zdjęciu miała o trzydzieści lat mniej niż obecnie. Choć akta dotyczące różnych osobistości nie miały dla niego znaczenia, przez następne pół godziny Marty zabawiał się ich przeglądaniem niczym pięciolatek zadowolony z najnowszego prezentu. Co ciekawe, większość zgromadzonych dokumentów nie dotyczyła wcale kompromitujących gier erotycznych. Łapówki, defraudacje, podpalenia, sprzeniewierzenia funduszy przeznaczonych na pomoc społeczną — Nowy Jork był miastem oszustów i intrygantów, a Samuel Harrah, jeszcze jeden cwaniak w mieście cwaniaków, zebrał dowody na potwierdzenie tego faktu.

Gdy znalazł się wewnątrz składającego się z zaledwie jednego pokoju biura firmy konsultingowej, miał ochotę włączyć komputer, z trudem walczył z pokusą lecz zdawał sobie sprawę, że nawet odrobina światła nie może wydostać się przez opuszczone rolety. Posługiwanie się latarką w schowku czy na pozbawionej okien klatce schodowej było dopuszczalne, lecz gdyby jakiś przechodzący policjant zauważył światło wewnątrz pustego budynku i postanowił to sprawdzić, jego plany spaliłyby na panewce. Szczególnie gdyby Blake trafił na jednego z podwładnych Harraha. Ryzyko było zbyt wielkie.

Nie mogąc włączyć komputera, ze stojącej w rogu otwartej szafki wyjął okazałą stertę skoroszytów, zaniósł je do schowka i porównał z aktami wykorzystywanymi do szantażu. Ani trochę nie zdziwił go fakt, iż każdy skoroszyt miał swój tajny odpowiednik. Klienci firmy konsultingowej bez wyjątku stawali się jej ofiarami. Ostatni kawałek układanki trafił na swoje miejsce.

Marty wrócił do gabinetu Harraha, usiadł na brzegu biurka i podniósł słuchawkę telefonu. Kiedy wszędzie słońce, będzie miał mnóstwo pracy, lecz przy najmniej będzie widział, co robi, a na razie... Wystukał numer, wziął głęboki oddech i pomyślał, że bohaterowie nie powinni mieć matek.

- Halo?
- Mama? Spałaś?
- Nie.

Blake przeczesał włosy palcami, potrząsnął głową. Nie zamierzała mu niczego ułatwić.

— Następny raz zadzwonię dopiero po wszystkim, więc jeśli masz mi coś do powiedzenia, zrób to lepiej teraz.

— Czy to ultimatum? — nie czekała na odpowiedź. — Marty, daruj sobie. Po prostu zapomnij o wszystkim.

- Czy to nie ty przypadkiem kazałaś mi spełnić mój obowiązek?
- Chyba już trochę za późno na złośliwość?

Blake zdał sobie sprawę, iż matka miała rację. Właściwie nie potrafili już rozmawiać ze sobą.

— Zadzwoniłem, by ci powiedzieć, że nic mi nie jest i nadal działam. Bell Kossinski nie żyje — powiedział po chwili wahania. — Nie wiem, czy już słyszałaś. Nie zdołali zabić go na ulicy, to dopadli go w szpitalu. Dlaczego więc uważasz, że Harrah zostawi mnie w spokoju?

Pragnął powiedzieć coś zupełnie innego. Ale nawet jeśli istniało jakieś magiczne zdanie mogące pokonać dzielącą ich przepaść, wyleczyć rany, on niestety go nie znał.

- Sam kopiesz sobie grób.
- Nie kopię, mam, już wykopałem — natychmiast pożałował swojego sarkazmu. — Posłuchaj, kiedy przyjmowałem tę sprawę, nie miałem pojęcia dokąd mnie zaprowadzi. Chciałem wydostać Billy'ego Sowellę z więzienia, udowadniając jego

niewinność. Kosinski próbował mnie ostrzec, ale ja nie słuchałem go. Powiedziałem sobie — odwal tę robotę i zainkasuj forszę. Później, kiedy zamordowano mojego klienta, nie mogłem się już wycofać, podobnie jak teraz.

Nastąpiła długa cisza. Blake wsłuchiwał się w oddech matki, cierpliwie czekając, aż zacznie mówić.

— Kiedy wyszłam za twojego ojca, musiałam zerwać z rodziną — głos Dory brzmiał ostro i rzeczowo, jakby wypowiadała wyuczoną kwestię. — Mój ojciec zdębiał, kiedy poinformowałam go, że zgodziłam się wychować swoje dzieci na katolików. Pomyślałam sobie, że jakoś to przeżyję, że miłość potrafi zwyciężyć wszelkie przeciwności, że będę miała rodzinę, że rodzice w końcu jakoś pogodzą się z moją decyzją. Niestety, straciłam wszystko.

— Na miłość boską, ja przecież żyję — niemalże słyszał, jak jego matka wzrusza ramionami.

— Jakiś inspektor Grogan przyszedł do mnie kilka godzin temu — kontynuowała. — Chciał cię aresztować za napaść z bronią w rękę na policjanta o nazwisku Brannigan. Wiem, co to oznacza, co będzie, gdy cię znajdą. Jaki czeka cię los, jeżeli nie przestaniesz mieszać się w nie swoje sprawy.

— Stanie się to bez względu na moje działania, a tak przynajmniej mogę sobie wybrać pole bitwy. — Blake do oskarżenia o napaść dodał w myślach włamanie i spróbował wyobrazić sobie pięć lat, które przyszłoby mu spędzić w więzieniu stanowym. Kiedy dotarło do niego, iż pięć lat to najlepsza rzecz, jaka może go spotkać, wzdrygnął się. — Słuchaj, mam, muszę kończyć. Za dwadzieścia cztery godziny będzie już po wszystkim. Domyślasz się zapewne, że przyda mi się adwokat. Może zajęłabyś się tym razem z wujkiem Patrickiem — ponownie zawahał się w nadziei, że usłyszy jakąś odpowiedź, która pozwoliłaby mu wybrnąć z trudnej sytuacji. Niestety, nie doczekał się. W końcu wyrzucił z siebie: — Kocham cię, mam — i odłożył słuchawkę.

Kusiło go, by od razu rozładować furgonetkę, lecz zdawał sobie sprawę, iż musiałby wykonać kilka kursów, a mężczyzna ubrany w koszulkę z krótkim rękawem wnoszący do biura podróży jakieś pudełka w niedzielę o drugiej nad ranem na pewno wzbudziłyby podejrzenia. Nie stać go było na podjęcie takiego ryzyka. Z drugiej jednak strony należało wziąć pod uwagę możliwość, iż kiedy on będzie spać w gabinecie Samuela Harraha, ktoś ukradnie mu samochód. Dlatego jedynym rozsądnym rozwiązaniem było przeniesienie się do furgonetki i spędzenie nocy na tylnym siedzeniu z pistoletem pod głową. Biorąc pod uwagę fakt, że w Nowym Jorku pod względem liczby kradzieży samochodów Queens było wszelkie rekordy, właściwie nie miał wyboru.

Zasnął w ciągu kilku minut i obudził się dopiero parę godzin później, osłepiony zaglądającym przez okno słońcem. Przez pierwszych kilka sekund nie mógł się zorientować, gdzie jest. Hałas przejeżdżających z rzadka samochodów wydawał

mu się szumem fal, a padające na twarz promienie słoneczne sugerowały przebudzenie na plaży po krótkiej drzemce. Wtedy zauważył leżącą na podłodze broń.

Wstał, przetarł oczy, spróbował przypomnieć sobie, jaki miał sen. Występowali w nim wszyscy, ci dobrzy — ofiary i ci źli — tchórze, lecz nie potrafił umieścić ich w żadnym kontekście. Zerknął w lusterko. Włosy sterczały mu pod najdziwniejszymi kątami, oczy tonęły w niemal czarnych sińcach, rzadka szczecina porastająca brodę i policzki sprawiała, iż wyglądał na dwudziestolatka.

Jestem zupełnie do siebie niepodobny, pomyślał, przeciskając się na przednie siedzenie i uruchamiając silnik. Nie przypominam już frajera z ośmioma garniturami w szafie i rolexem na rękę. I bez względu na rozwój wypadków nie wolno mi do tego wracać. Muszę dążyć do przodu.

Kilka przecnic dalej natrafił na niewielką restaurację i, ignorując pełne obrzydzenia spojrzenia kasjera oraz kilku kelnerek, udał się wprost do toalety. Dziesięć minut później, oporządziwszy się na tyle, na ile się dało bez pomocy prysznica oraz maszynki do golenia, zasiadł przy barze i zamówił śniadanie. Kelnerka zachęcona jego trochę schludniejszym wyglądem, nalewając kawy do filiżanki, zapytała:

— Cała noc w drodze, co?

Blake spojrział na nią. Koścista, w średnim wieku, o wąskich ustach poszerzonych nieco za pomocą różowej szminki, doskonale pasowała do wystroju wnętrza, podobnie jak wypolerowany ekspres do kawy oraz syczący grill.

— W pracy — odpowiedział. — Macie tu może jakieś gazety?

— *Daily News*. Którą sekcję chce pan przejrzeć?

— Sekcję?

— Dziś jest niedziela, nie pamięta pan? W niedzielę gazety podzielone są na sekcje.

— Ach tak, rzeczywiście. Poproszę główną. Jeszcze za wcześnie na komiks.

Interesujący go artykuł znalazł na dwudziestej ósmej stronie — najlepszy dowód, iż wczorajsza sensacja szybko traciła świeżość. Jak donosiło *Daily News*, wydział wewnętrzny sprawdzał akta Bella Kosinskiego dotyczące ostatnich trzech lat jego służby w policji, poszukując „śladów korupcji”. Nieco wyżej zamieszczono informacje, iż w mieszkaniu podejrzanego znaleziono „znaczne ilości kokainy”. O śmierci Kosinskiego nie było najmniejszej wzmianki, lecz fakt ten nie wydawał się zaskakujący. Poranne wydanie *Daily News* szło do druku późnym popołudniem, szczególnie zaś wydanie niedzielne.

Blake przymknął oczy, bezskutecznie próbował wyobrazić sobie Bella Kosinskiego czerpiącego zyski z handlu narkotykami. Nie chodziło tu wcale o Kosinskiego. Jeśli odrzuci się przypuszczenie, iż Samuel Harrah obawia się duchów, prawdziwym celem podejmowanych ataków może być Blake. Kompromitując Kosinskiego, Harrah uderzał w jego wciąż żyjącego, wciąż groźnego partnera. Posądzony o współudział w kokainowym interesie Blake straciłby wiarygodność.

Marty gotów był założyć się o swój komputer, że wśród ofiar Harraha znajdowali się również dziennikarze i policjanci, którym mógłby podłożyć narkotyki lub kompromitujące materiały, kiedykolwiek by zapragnął. Informacja stanowiła jego siłę, lecz zarazem słabość. Blake nie zamierzał kopiować akt klientów Harraha. Nie musiał tego robić, ponieważ wszystko znajdowało się już na twardym dysku komputera. Wystarczyło jedynie wymontować go i przesłać Marcusowi Fletcherowi wraz z dokumentami wykorzystywanymi do szantażu oraz kasetą wideo przedstawiającą ostateczną rozgrywkę.

— Pobudka, kochanie. Śniadanie gotowe.

Blake wyprostował się, zrobił miejsce na tacę z jajkami na bekonie, frytkami oraz tostami. Mruknął „dziękuję”, wziął widelec i zaczął jeść. Po kilku kęsach doszedł do wniosku, że wszystkie części posiłku smakują jednakowo. Albo po prostu nie mają żadnego smaku, a jedynie konsystencję. Nie przestawał jednak jeść — wkładał do ust kawałki, dokładnie przeżuwał i popijał kawą, kolejny raz zastanawiając się nad powziętą strategią. Składała się ona z dwóch podstawowych elementów: trzech kamer połączonych za pomocą kabla z nadajnikami przesyłającymi sygnał do odbiorników i magnetowidów (a także Vinniego Cappolino) znajdujących się w furgonetce oraz dwóch kartonów z materiałami używanymi do szantażu — oryginałami i kopiami wykonanymi na ksero Harraha — i twardym dyskiem, które to również mają trafić do furgonetki. Najpierw zainstaluje kamery, jedną w oknie, z którego widać chodnik, drugą na szczycie schodów i ostatnią w gabinecie za swoimi plecami. Harrah zapewne będzie się spodziewać tego typu urządzeń, lecz kupione przez Blake'a kamery nie były większe niż paczka papierosów. Jednak nawet jeśli zostaną zauważone, Harrah nie będzie mógł nic zrobić. Wpierw musi poradzić sobie z Blakiem.

Kiedy kamery znajdują się już na swoich miejscach, nadajniki i odbiorniki zostaną przetestowane, akta skopiowane, a furgonetka przestawiona na drugą stronę ulicy, będzie miał czas, by zadbać o własną skórę. Wiedział bowiem, iż pierwszy ruch będzie zmuszony oddać Samuelowi Harrahowi. Gdyby chciał go zamordować, mógłby po prostu napaść go w domu i nie wydawać piętnastu tysięcy na sprzęt elektroniczny.

Oczywiście zawsze istniała pewna szansa, że Harrah zechce podjąć negocjacje, lecz Blake nie zamierzał na to liczyć. O wiele bardziej prawdopodobne wydawało się, iż Samuel Harrah lub jakakolwiek osoba występująca w jego imieniu zastrzeli po prostu Marty'ego, a następnie powoła się na konieczność samoobrony przy próbie aresztowania. Albo wrzuci jego ciało do pobliskiego oceanu i będzie udawać, że nigdy nie istniał.

Blake nie miał ochoty na tę kąpiel, lecz miał nadzieję, że zabicie go jest tylko jednym z kilku możliwych rozwiązań. Pomogłaby mu kamizelka kuloodporna, podobnie jak przesunięcie biurka pod najdalszą ścianę i użycie go jako osłony. Jednak trzon strategii Marty'ego stanowiły trzy lampy stroboskopowe

umieszczone w połowie wysokości biurka i podłączone do małego włącznika Harrah wykona pierwszy ruch, Blake drugi, Vinnie Cappolino zarejestruje kolejność. Na tym polegał cały plan.

— Jeszcze jakieś życzenia? — zapytała kelnerka.

Blake potrząsnął przecząco głową zapłacił rachunek i kierując się w stronę furgonetki, spojrzął na zegarek. Minęła ósma — czas zabrać się do roboty. Powrócił do Paradise Travel, wniósł sprzęt na piętro, a potem poprzez schowki do pomieszczenia biurowego firmy konsultingowej. Praca uspokoiła go, podobnie jak zawsze w przeszłości; narzędzia, sprzęt, lampy, przewody przykuły go do świata przyczyn i skutków. Każdej czynności odpowiadał jakiś efekt — wywiercony otwór, wkręcona śruba stanowiły namacalną rzeczywistość, monitory pokazywały realny wygląd ulicy.

Cztery godziny później siedział z tyłu furgonetki, podłączając odbiorniki, monitory i magnetofony. Samochód stał zaparkowany między dwoma innymi autami po przeciwnej stronie ulicy. Gdyby Harrah przewidział obecność kamer (co wydawało się niemal pewne) mógłby sprawdzić samochód z zasłoniętymi szybami zaparkowany w pobliżu biura. W żaden jednak sposób nie przeszuka wszystkich furgonetek i ciężarówek w promieniu stu metrów od budynku, jeśli będzie chciał zmieścić się w czasie, jaki Blake zamierzał mu wyznaczyć.

Marty włączył wszystkie trzy odbiorniki, obserwował rozgrzewające się monitory, popatrzył na obrazy z pustej klatki schodowej, gabinetu oraz bezludnej ulicy. Przetestował magnetowidy, przez chwilę przysłuchując się przewijanej taśmie. Baterie niklowo-kadmowe mogą zasilać cały system przez sześć godzin, znacznie dłużej niż potrzebował. Przecież Harrah będzie zapewne czekał na telefon Blake'a, na wznowienie kontaktu. Mimo że Kosinski już nie żył, musiał brać taką możliwość pod uwagę.

Było zaledwie kilka minut po trzynastej, kiedy Marty opuścił furgonetkę. Poszedł piechotą na sto pięćdziesiątą ulicę, następnie przeszedł na drugą stronę do budki telefonicznej i wystukał domowy numer Vinniego Cappolino.

— Tak?

— Vinnie, tu Blake.

— Gotowe?

— Tak.

— Skąd dzwonicz?

— Nie z biura Harraha, jeśli o to pytasz.

— Biura *pani* Harrah. Nie dyskryminuj płci pięknej, Marty.

— Vinnie, rzeczywiście czasem miewasz rację. Powiedz mi, jak sądzisz, czy Harrah mógłby poświęcić swoją żonę? Odciać się od powiązań ze śmierdzącym interesem?

— Dla ciebie nie powinno stanowić to najmniejszej różnicy. Wujek Sam i tak wyeliminuje cię pierwszego.

— W zasadzie tak. Słuchaj, furgonetka stoi zaparkowana na północnej Condu-it Avenue, dokładnie naprzeciwko firmy konsultingowej naszego przyjaciela. Klucz znajdziesz pod tylnym kołem. Bądź uważny, Vinnie. Musisz zacząć nagrywać, gdy pojawią się w pobliżu budynku.

— Marty, robiłem już takie rzeczy, pamiętasz? Jak sądzisz, ile czasu to potrwa?

— Najwyżej kilka godzin. Będziesz wiedział, kiedy się ulotnić.

— Chcesz, żebym przed odjazdem wezwał ambulans, wysłał tam kogoś? Linda zmusiła Waltera i mnie do kupna telefonów komórkowych, więc nie będzie żadnego problemu.

Blake uśmiechnął się.

— To mogłoby być całkiem miłe. Słuchaj, w furgonetce znajdziesz dwa kartony. Ten z twardym dyskiem idzie do Fletchera. Drugą paczkę prześlij dziennikarzowi, Coenowi. Chcesz podać mi numer swojego telefonu komórkowego?

— Nie. A ty podasz mi numer Harraha?

— 555-9844.

— Coś jeszcze?

— Po prostu miej się na baczności. Jeśli nie włączysz na czas magnetowidów, nie zdobędę żadnego dowodu.

— Nie martw się, Marty, wypełnię zadanie. Nic nie zdoła odwrócić mojej uwagi. Życzę szczęścia.

Znalazłszy się z powrotem w biurze firmy Harraha, Blake podniósł słuchawkę i wystukał numer domowy nadinspektora. Odebrała kobieta.

— Halo?

— Chciałbym rozmawiać z Samuelem Harrahem. Proszę mu powiedzieć, że dzwoni Marty Blake.

— Ach, pan Blake. Sam spodziewał się pańskiego telefonu. Czeka w swoim biurze. Czy ma pan numer?

— Tak — Blake zamierzał już odłożyć słuchawkę, lecz czując narastający w sobie gniew, zacisnął palce na słuchawce. — Przepraszam, czy rozmawiam może z Margaret Harrah?

— Zgadza się — odpowiedziała radosnym, przyjemnym głosem gospodyni domowej.

— Czy wie pani, dlaczego telefonuję do pani męża?

— Przykro mi, ale nie.

Blake zawahał się, zmusił się do chwili zwłoki dla stworzenia nastroju niepewności, tłumacząc sobie, że właściwe rozplanowanie w czasie stanowi klucz do dobrej komedii.

— Maggie, jesteś naprawdę niegrzeczną dziewczynką. Bardzo, bardzo niegrzeczną.

— Nie wiem...

— Ależ wiesz. Nie próbuj mnie zwieść, Maggie. A propos, czy wiesz, jaki los spotyka zwykle starsze, białe kobiety w nowojorskim więzieniu stanowym? Cóż,

twoje imię z pewnością nie będzie brzmiało tam Margaret. W Bedford Hills zarówno twoim imieniem, jak i nazwiskiem będzie słowo Dziwka. Na każdym kroku: „Chodź no tu, Dziwko. Pościel mi pryczę, Dziwko. Wypierz skarpetki, Dziwko. Wyliż mi cipę, Dziwko”. Chyba że będziesz miała kogoś na wolności, kto zechce przysyłać ci pieniądze, żebyś mogła wykupić się od najbardziej agresywnych lesbijek na swoim bloku. Czeką cię jednak pewien problem, Maggie, ponieważ pozo- stanie ci tylko jeden sposób na kontaktowanie się z ukochanymi synkami, miano- wicie wysyłanie im listów do Sing-Sing*.

* Sing-Sing — zakład karny w Ossining, w stanie Nowy Jork (przyp. tłum.).

— To okropne.

— Podobnie jak szantaż. Nie wspominając już morderstwa z premedytacją. Słuchaj, Maggie, zawołaj męża do telefonu. Przekaż mu, że zadzwonię znowu za parę minut i nie zamierzam rozmawiać z jego sługusami. Jeśli się nie zgodzi, nie będzie mowy w ogóle o żadnym porozumieniu.

Blake podniósł się zza biurka, podszedł do najbliższego okna i uchylając roletę, wyjrzał na ulicę. Belt Parkway była pełna nowojorczyków zdążających na plażę Rockaway i Long Island. Samochody połyskiwały w słońcu, a jadący nimi ludzie sprawiali wrażenie, przynajmniej zdaniem Blake'a, jakby pragnęli znajdować się w zupełnie innym miejscu. Zbyt późno wstali z łóżek, zbyt długo zwlekali z wyrusze- niem w drogę. Teraz cały dzień był już zmarnowany.

Pięć minut później rozmawiał przez telefon z sierżantem Bennettem z sekcji wywiadowczej nowojorskiej policji, prosząc o połączenie z nadinspektorem Samue- lem Harrahem.

— A kto prosi?

— Marty Blake. — Równie dobrze mógłby nagrać sobie tę odpowiedź.

— Może wyjaśni mi pan cel swojej prośby? Nadinspektor wyszedł do toalety.

Zastanawiając się nad dobrą odpowiedzią Blake zrozumiał nagle, iż Bennetti celowo przedłuży rozmowę. Oczywiście Harrah chce wyśledzić, skąd dzwoni jego przeciwnik. Do tej pory zapewne zdążyli się już zorientować, że Marty nie wraca do domu.

— Bennetti, na pewno nie chciałbyś wiedzieć tego, co ja wiem. Chyba że jesteś spowiednikiem Harraha.

— Czy to miało coś znaczyć?

— To znaczy, że twój szef wymusza od ludzi pieniądze.

— Aż tak źle? Pozwól, że jako pierwszy pogratuluję ci rzucenia mnie na pod- łogę swoimi informacjami. Dobrze, że spadając z krzesła, nie złamałem sobie kar- ku.

Blake zerknął na zegarek. Minęła cała minuta, mnóstwo czasu na zlokalizowa- nie skąd dzwoni.

— Piętnaście sekund, sierżancie — powiedział. — Jeżeli za piętnaście sekund nie usłyszę twojego szefa, odłożę słuchawkę.

— O, widzę, że nadinspektor wchodzi właśnie do swojego gabinetu. Miałem szczęście, no nie?

Głos Harraha, który zabrzmiał kilka sekund później, był niemal aksamitny.

— Marty, jesteś naprawdę bezczelny. Żeby coś podobnego powiedzieć biednej Margaret.

— W takim razie jest jeden jeden, Sammy. Chyba pamiętasz, że kazałem Groganowi zostawić w spokoju mojego partnera, ale wy go zabiliscie. To także było dosyć zuchwałe.

Harrah chrząknął.

— Bell Kosinski nie umarł. Jest cały i zdrowy w szpitalu Bellevue. Przysięgam.

— Naprawdę? Czy Brannigan podsunął ci ten pomysł?

— Słuchaj, Marty, wiem o twoim starciu z...

— Daruj sobie te bzdury, Sammy.

— Brannigan się mylił. To naprawdę takie proste. Jeśli jesteś z jakiegoś powodu uprzedzony...

— *Uprzedzony?* — Blake chwycił za strzelbę, przypominając sobie, by po każdym wystrzale opuścić lufę z powrotem do poziomu. Następnie nacisnął włącznik przymocowany do blatu biurka i popatrzył na cienie w przeciwległym końcu pokoju pojawiające się w świetle lamp stroboskopowych. — *Uprzedzony* — powtórzył. — Podoba mi się brzmienie tego słowa. Chodzi ci zapewne o to, że dobieram ci się do tyłka z powodu twoich postępów. Lepiej dobrze się zastanów, Sammy. Dobieram się do ciebie z powodu jednego z moich postępów. Aha, tak przy okazji, jeśli chcesz udowodnić, że Kosinski wciąż żyje, możesz kazać mu do mnie zadzwonić. Wiesz, gdzie jestem, zgadza się?

— Tak, ale istnieje pewien problem. Twój partner jest ciężko ranny. Znajduje się pod respiratorem i nie może mówić.

— Zapewne taki los spotyka wszystkich handlarzy narkotyków — Blake zerknął na zegarek. — Słuchaj, Sammy, masz się tu stawić za czterdzieści pięć minut. Bez wymówek.

— Marty, jestem na zachodnim krańcu Manhattanu. Jeśli będę miał dużo szczęścia, za czterdzieści pięć minut zdołam przejechać przez rzekę.

— Jedź szybko. I nie zapomnij włączyć syren. Jeżeli nie stawisz się w wyznaczonym czasie, zniknę razem z aktami, które trzymałeś w schowku.

Blake odłożył słuchawkę. Jego myśli powędrowały ku osobie Bella Kosinskiego. Przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny starał się o nim zapomnieć, obawiając się, że rozpacz lub wściekłość spowodują brak ostrożności. Zdążył pokochać Bella Kosinskiego, nie mógł temu zaprzeczyć. Nie oznaczało to jednak, że gdyby usłyszał jego głos, spakowałby się i wyszedł.

Kosinski wiele razy zadawał mu zasadnicze pytanie: — *Co ty będziesz z tego miał, Blake?* Marty nigdy nie był w stanie udzielić rzetelnej odpowiedzi, nawet samemu sobie. Na początku, wmawiał sobie, że chodzi mu tylko o pieniądze. Po śmierci Billy'ego Sowell (kiedy już zakończył swoją pracę) udawał wściekłość spowodowaną arogancją Samuela Harraha. Obecnie postawił się w sytuacji bez

wyjścia i jedynym rozsądnym wyjaśnieniem owego postępu było czyste szaleństwo, równie samobójcze jak niemal dziecinny stosunek do dobra i zła reprezentowany przez jego partnera.

Najlepsi profesorowie z college'u nauczyli Marty'ego Blake'a pisać programy komputerowe. Było to zajęcie wymagające ścisłego, logicznego myślenia. *To*, potem *to*, następnie *to*, a otrzymamy *tamto*. Jeśli popełniłeś błąd, przekonywałeś się natychmiast po uruchomieniu programu. Blake posługiwał się podobną logiką, dążąc do ostatecznej konfrontacji z Samuelem Harrahem; nie pozostawiał mu najmniejszego wyboru.

Właśnie tego pragnąłem od samego początku, stwierdził. Siedzieć w tym pokoju, patrzeć na strzelbę załadowaną amunicją od Vinniego, czekać na przyście sprzedajnych glin, by ostatecznie zakończyć całą sprawę. Nigdy nie porzuciłem swojej pogoni za śmiercią, nigdy nie przestałem przekraczać pewnych granic tylko po to, by przekonać się, co będzie. Nie liczyło się, ile szwów kosztowały mnie moje poczynania albo że o mały włos nie trafiłem do więzienia. Nie mam również wymówki, jaką dysponował Kosinski. Z punktu widzenia prawa nie jestem niepoczytalny.

Ponownie podniósł strzelbę, palcem wskazującym przesunął po lufie. Nagle przypomniał sobie, że Vinnie Cappolino może już czekać w furgonetce, może go obserwować i śmiać się. Zerknął na znajdujący się w biurze monitor ukazujący szerokie plecy mężczyzny o gęstych, kręconych włosach pieszczącego swoją strzelbę.

Blake wstał i podszedł do okna. Doskonale widział zaparkowanego po przeciwnej stronie aerostara, lecz w żaden sposób nie mógł stwierdzić, czy w środku ktoś już jest. Vinnie Cappolino posiadał wystarczające doświadczenie, by zdawać sobie sprawę z konsekwencji przyłapania go na gorącym uczynku, dlatego trzymał się z dala od okien. Kiedy nadejdzie czas, wykona swoje zadanie, a następnie ulotni się.

Marty wszedł do schowka z materiałami wykorzystywanymi do szantażu. Wcześniej opróżnił i skopiował jedynie pierwszą z trzech szafek, ponad sto oddzielnych teczek. Wypełniły one dwa wielkie kartony i nie mógł oczekiwać od Vinniego uporania się z większą ilością. Teraz w trzeciej szafce pod literą S poszukiwał akt Maxa Steinberga.

Teczka zawierała pojedynczą kartkę papieru zawierającą złożone pod przysięgą zeznanie niejakiego Roberta Merkuriana, ławnika w procesie o rabunek. Merkurian twierdził, iż od obrońcy Maxwella Steinberga otrzymał pięć tysięcy dolarów, by uniemożliwić jednomyślny werdykt. Zeznanie złożono w zamian za zwolnienie od odpowiedzialności karnej.

Blake poszedł do toalety, porwał dokument na małe kawałki i wrzucił je do ubikacji. Miał to być kolejny gwóźdź do trumny Harraha. Steinberg został poniżony, zmuszony do jedzenia Harrahowi z ręki, do porzucenia Blake'a. Pozbawiony wiszącego nad głową miecza z radością zatopi kły w gardle nadinspektora. Jeżeli Harrah przeżyje konfrontację z Blakiem, zniszczy go Steinberg. Cokolwiek nastąpi, Marty zyskiwał jeszcze jedno zabezpieczenie.

Spuścił wodę, przypatrywał się, jak kawałki papieru obracają się, wpadają w wir, zabierają kryminalną przeszłość Steinberga do nowojorskich kanałów. Zanim rezerwuuar ponownie się napełnił, Blake zrozumiał, że wraz z dokumentem rozplynął się cały jego gniew. Steinberg, Joanna Bardo, wuj Patrick — żadnego z nich nie należało o nic obwiniać. Wszyscy mieszkali w Nowym Jorku wystarczająco długo, by sprawiedliwość postrzegać tylko jako jedną z dziecięcych fantazji, w które w miarę dorastania przestaje się wierzyć, podobnie jak w Świętego Mikołaja czy potwora mieszkającego w szafie.

To się nazywa naiwność, pomyślał, wracając do biura. Właśnie takim słowem Steinberg i inni określają motywy mojego postępowania.

Usiadł za biurkiem, zerknął na monitory, spojrzął na zegarek. Minęło pół godziny. Nadszedł czas, by się przygotować. Ostatni raz odtworzył w myślach zaplanowany scenariusz, lecz zdołał dotrzeć jedynie do momentu zjawienia się w holu Samuela Harraha, kiedy zadzwonił telefon.

Blake wpatrzył się w prosty, czarny aparat, wsłuchał się w jego uporczywy dzwonek, rozchodzący się echem po pokoju. Był absolutnie przekonany, że to Harrah z prośbą o odrobinę więcej czasu.

— Tak?

— Tu Vinnie. Idą.

— Którędy? Na monitorze nikogo nie widać.

— Ponieważ tulą się do ścian. Jest ich czterech. Każdy trzyma w ręku trzydziestkęsemkę. Na twoim miejscu, Marty, strzelałbym pierwszy. Załatw ich jeszcze na schodach.

— A może załatwiłbyś ich od tyłu, Vinnie. Wtedy z pewnością narobiliłby w gacie ze strachu.

— Powodzenia, Marty. Do zobaczenia w piekle.

Blake rzucił okiem na opartą o biurko strzelbę, a następnie ponownie na monitory. Złożył ręce i oparł je na przymocowanym do blatu włączniku. Kasety jasno wykażą, że siedział przodem do Harraha z pustymi rękoma. To był ostatni gwóźdź.

Obserwował otwierające się drzwi frontowe, zobaczył nadinspektora Samuela Harraha wchodzącego do środka i wyłączającego alarm. Następny pojawił się Aloysius Grogan, za nim dwaj policjanci, których Blake nie potrafił rozpoznać. Wszyscy czterej ubrani byli w mundury i każdy trzymał w dłoni broń.

Po schodach wspinali się niezwykle ostrożnie — cztery sylwetki widoczne na tle wpadającego drzwiami światła. Żaden nie zdawał sobie sprawy z obecności kamery znajdującej się niecałe pół metra przed nimi. Dotarłszy na piętro, zatrzymali się na chwilę, po czym otworzyli drzwi i weszli do środka.

Grogan pierwszy przekroczył próg, trzymając rewolwer przy udzie. Blake z trudem oparł się pokusie, by rzucić się na podłogę, widząc wchodzącego Harraha, a potem blondyna o niemal dziecięcej twarzy, który ukończył akademię zapewne nie dalej niż dwa tygodnie temu oraz wysokiego, grubego, siwiejącego weterana.

— Moje gratulacje, nadinspektorze — powitał ich Blake. — Byłem pewien, że zapomnisz o alarmie.

— Marty Blake — Harrah wyprostował się. — Aresztuję pana pod zarzutem napaści na policjanta.

— Masz nakaz? — Blake zamilkł w oczekiwaniu na odpowiedź. Nagle zorientował się, iż nigdy w życiu nie czuł się szczęśliwszy. — Nie? No cóż, rozumiem, dlaczego unikasz wszelkich papierków. Jednak, mimo twojego zdania na mój temat, jestem z gruntu ugodowym człowiekiem. Skoro chcesz, bym dał się zaaresztować, poddam się z przyjemnością. Pod warunkiem, że zatrzymania dokona mój wuj, kapitan Patrick Blake. Jeżeli chcesz go wezwać, zastaniesz go w domu.

— To nie są żarty, do jasnej cholery — Grogan omal nie zadławił się swoją wściekłością.

— Zamknij się, baranie — Harrah zrobił krok do przodu. — Biedny Aloysius — zwrócił się do Blake'a — mógł odejść na emeryturę już kilka lat temu. Brakuje mu już elastyczności. Każdy stres wywołuje w nim nerwicę. A tak przy okazji, nie zechciałbyś porozmawiać z lekarzem swojego partnera?

— Chodzi ci o człowieka pracującego na oddziale więziennym w Bellevue?

Harrah uśmiechnął się i skinął głową.

— Jeden zero dla ciebie. Ale i tak powinieneś się wstydzić — omiół wzrokiem pomieszczenie. — Wiesz, wszystko to mogłoby należeć do ciebie.

— Wszystko?

— No, może niezupełnie. Przepraszam za tę hiperbolę. Czy byłbyś zainteresowany?

— Raczej nie.

— Tak myślałem. Przypuszczam, że nagrywasz naszą rozmowę?

— Bez dźwięku. Stać mnie było jedynie na tanie wideo, Sammy.

— Przekleństwo amatorów—zachichotał Harrah, jego oczy rozbłysły. Ponownie ruszył do przodu, lecz zatrzymał się gwałtownie, kiedy Blake pokiwał ostrzegawczo głową. — Jesteś upartym człowiekiem, Marty. Podobnie jak niegdyś twój ojciec. To chyba dziedziczne.

— Czy to znaczy, że *twój* ojciec był szantażystą i zabójcą?

— Tak samo jak Matthew Blake był gwałcicielem — Harrah przerwał, wyraźnie oczekując jakiejś reakcji. Nie doczekawszy się, odwrócił się w stronę Grogana i uśmiechnął. — Uparty. Nie sposób opisać go inaczej.

Blake spojrzął na własne dłonie, przypomniał sobie, by trzymać je na widoku, że nie wolno mu wykonać pierwszego ruchu.

— A może tak przeszlibyśmy do rzeczy? — powiedział. — Jeśli to w ogóle realne?

— Widzisz, zebraliśmy pokaźną ilość informacji na temat Chantel Kendrick. Jejteczka zawiera niemal trzydzieści stron. Przesłuchaliśmy krewnych, przyjaciół, współników z przestępczego światka. Obecnie Chantel już nie żyje — zmarła oczywiście na AIDS — sądzę jednak, że posiadamy wystarczające dowody,

by orzec o winie bądź niewinności twojego ojca. Chciałbyś może obejrzeć te dokumenty?

— Lepiej po prostu opowiedz mi o nich. Zapomniałem wziąć z domu swoich okularów do czytania.

— Nic za darmo, Marty. Powinieneś o tym wiedzieć — Harrah poruszył się, jego uśmiech powoli się rozplynął. — Złóż mi jakąś ofertę.

— Co powiesz na dwadzieścia pięć lat w którymś ze stanowych zakładów karnych? Na przykład w Attice?

— Nie pozostawiasz mi żadnego wyboru.

— O to właśnie chodzi, Sammy. Bez wyboru, bez wyjścia. Wszyscy jesteśmy w podobnej sytuacji.

Blake zobaczył, jak cztery rewolwery szybko unoszą się do góry, o wiele szybciej, niż się tego spodziewał. Pierwszy strzał usłyszał, zanim jeszcze zdążył zamknąć oczy. Natychmiast nacisnął włącznik, chwycił broń i rzucił się w prawo.

Przykucnął w odległości około metra od biurka, uniósł do góry lufę i rozejrzał się w poszukiwaniu twarzy Samuela Harraha. Wydawało się, iż wszyscy czterej policjanci strzelają na oślep, niemniej jednak robili to tak szybko, jak tylko potrafili, a huk nie ustawał nawet na moment. Wtedy rozległ się ryk strzelby Blake'a, zagłuszając cały dotychczasowy hałas, powtarzając się dokładnie co pół sekundy, dopóki w magazynku znajdowały się jeszcze naboje, dopóki pokoju nie wypełnił smród kordytu oraz zapach ludzkiej krwi.

Opuściwszy broń, Blake zrobił krok do przodu, poczuł, jak jego lewa stopa osuwa się w bok. Zerknął w dół na swoją nogę, spostrzegł zakrwawione spodnie, krew po bucie spływała na podłogę. Zawiedziony popatrzył na Samuela Harraha, zobaczył postarzałego mężczyznę trzymającego się za brzuch i wijącego z bólu.

— To za mało — powiedział sam do siebie. — To zawsze będzie za mało.

Oparł się o ścianę, powoli osunął się na podłogę, pragnąc, by pozostała mu jeszcze choć odrobina życia. Przynajmniej sześćdziesiąt sekund, by mógł napawać się jękami swoich pokonanych przeciwników.

26.

Jadąc sto pięćdziesiątą czwartą w swojej toyocie corolli, Bell Kosinski po raz kolejny powtarzał w myślach przygotowane słowa. Czynił tak kilka razy dziennie od czasu opuszczenia szpitala tuż przed Świętem Dziękczynienia. Układał sobie, jak opowie wszystko księdzu Timowi, kiedy razem zasiądą przy barze, zanim jeszcze zjawią się inni stali bywalcy Cryders. Kiedy poczuje ów pierwszy żar, dopóki wódka jeszcze będzie miała czysty, wspaniały smak, wzniesie swoją szklaneczkę w toaście za zdrowie lekarzy pracujących w szpitalu Bellevue i zacznie swoją opowieść.

— Nigdy nie próbuj zatruć faceta podłączonego do urządzenia monitorującego pracę serca — stwierdzi. — A przynajmniej nie wtedy, gdy zażywa alka-seltzer.

Ksiądz Tim uśmiechnie się i odpowie jak przystało na prawdziwego kapłana:

— Mów dalej, mój synu. Nie pomijaj niczego. Jak mówią, szczerą spowiedź jest dobra dla duszy.

Z drugiego końca baru podejdzie Ed i napełni szklanekę Kosinskiego.

— Dla mnie — powie — alka-seltzer jest niezbędny do życia. Ratuje zarówno moją głowę, jak i żołądek, dlatego kupuję go na kilogramy.

— W takim razie — odpowie Bell Kosinski — jesteś w doskonałym stanie. Pod warunkiem, że monitorują twoje serce. Widzisz, Tommy Brannigan wiedział o dwóch rzeczach: po pierwsze, że podany dożylnie potas zatrzymuje pracę serca; po drugie, że potas bardzo szybko ulega rozkładowi i trudno go wykryć podczas sekcji zwłok. Z pewnego faktu, jednak nie zdawał sobie sprawy. Kiedy zanik pracy serca uruchamia alarm, lekarze lub pielęgniarki — nigdy nie udało mi się dojść dokładnie kto — najpierw rozpoczynają masaż serca, by przywrócić krążenie, a następnie wbijają ci w żyłę igłę, pobierają krew i wstrzykują dwuwęglan sodu, ten sam, który zawarty jest w tym popularnym leku na kaca. Nie zamierzam wam dokładnie wyjaśniać, ponieważ nie mam o tym zielonego pojęcia, lecz zdaje się, że dwuwęglan sodu zmusza komórki do zaabsorbowania potasu znajdującego się we krwi. Kiedy to następuje, twoje serce, o ile nie jest chore, znowu zaczyna bić. Ogólnie biorąc, nie było mnie w sumie tylko jakieś trzy i pół minuty.

— Twierdzisz, że byłeś martwy? — Ed oczywiście nie omieszka zadać jednego ze swoich praktycznych pytań. — Twoje serce przestało bić i nie oddychałeś, tak?

— Martwy? Nie znam się na tym. To znaczy byłem nieprzytomny, ale wiedziałem, co się ze mną działo. Poza tym przez cały czas byłem podłączony do respiratora, więc z pewnością oddychałem.

— Ach, wspaniale — ksiądz Tim z błyszczącymi oczyma i rozchyłonymi lekko ustami zignoruje ostatnie słowa. — Czy widziałeś Jezusa? Widziałeś światło?

— Nie, księżę, nic z tych rzeczy. Wszystko wyglądało jak w telewizji, jak gdyby umieścili nade mną kamerę. Ktoś naciskał moją klatkę piersiową, inny podawał mi preparaty dożylnie, jeszcze inny stosował elektrowstrząsy. Działali niezwykle sprawnie, ich dłonie poruszały się z szybkością błyskawicy, ale nie przeszkadzali sobie nawzajem. To było piękne. Właśnie tak sobie wtedy pomyślałem: „To naprawdę piękne!”.

Następnie ksiądz Tim i Ed zaczęli się ze sobą sprzeczać. Pierwszy powie, iż przeżycie to miało głębokie, duchowe znaczenie; drugi natomiast odrzuci wszelkie stwierdzenia księdza.

— To jeszcze niczego nie dowodzi. Co z tego, że jego serce przestało bić na trzy i pół minuty? Przecież przez cały czas oddychał, zgadza się? A ktoś podtrzymywał krążenie. O nie, nie dam się nabrać na żadną śmierć.

— Ależ Ed, przecież Bell obserwował z góry samego siebie. *Z góry!* Jakże mógłby robić coś takiego, gdyby nie umarł?

— A czy mógłby, gdyby rzeczywiście umarł?

W końcu Ed odwrócił się w stronę Kosinskiego.

— Wkrótce Brannigan stanie przed sądem. Słyszałem, że już za kilka dni.

— Tak, dokładnie za dziesięć.

— Był twoim partnerem.

— To stare czasy.

— I zamierzasz zeznawać przeciwko niemu?

— Daj spokój, Ed. Facet chciał mnie zabić. Cholera, jego kumple zabili mojego *prawdziwego* partnera. Wolałbyś, żebym mu darował?

Problem w tym, że Kosinski całą sprawę zawsze traktował jako coś osobistego. Podobnie jak czynił to niegdyś Blake. Nie wyobrażał sobie opowiadania o wszystkim w jakimś przeklętym sądzie, twarzą w twarz z dwunastoma małpami zasiadającymi w ławie przysięgłych. Być może jednak w ogóle nie dojdzie do składania zeznań. Krążyła plotka o planowanym przyznaniu się do winy, o tym, że gliny mogły posadzić Tommy'ego Brannigana już w dniu, kiedy zamordowano Billy'ego Sowell. Inna plotka mówiła coś o testach DNA oraz że Branniganowi groziło oskarżenie o jednokrotne zabójstwo drugiego stopnia z możliwością wyroku od piętnastu lat do dożywocia. To zwolniłoby Bella Kosinskiego z obowiązku stawiania się w sądzie, lecz z pewnością nie zawiodłoby go z powrotem do Cryders.

Zapalił papierosa, zaciągnął się dymem i pomyślał: Nie, nie i jeszcze raz nie. Z pewnością nie do Cryders. Niejako alkoholik po niedawno zakończonej kuracji. Dla takich jak ja pozostają papierosy, kawa oraz każdego wieczoru wysłuchiwanie innych pijaków opowiadających dzieje swojego życia. Bell Kosinski również będzie się dzielić własną historią z całą salą obcych ludzi.

W pewnym sensie było to gorsze niż alkoholizm, gorsze niż powrót chwiejnym krokiem do domu po wieczorze spędzonym w barze. Ale cenę tę musiał zapłacić,

gdyż nie potrafił zapomnieć twarzy pochylającego się nad jego łóżkiem Brannigana, gdy wstrzykiwał mu do żyły potas. Bell Kosinski pragnął żyć. Klub anonimowych alkoholików stanowił jedyną możliwość.

Nie oznaczało to wcale, że nie chciał opowiadać o sobie. Po prostu nie licząc kumpli z baru Cryders, jedyną osobą, z którą pragnął podzielić się swoją historią był Marty Blake, a on akurat *naprawdę* już nie żył. Nie był martwy, a następnie przywrócony do życia, lecz martwy, oplakany i pogrzebany.

Właśnie tam zdążył teraz Kosinski, na grób Marty'ego Blake'a, zgodnie z prośbą jego matki.

Skręcił w lewo w Northern Boulevard i na następnym skrzyżowaniu zatrzymał się na światłach. Jechał bardzo wolno, każdego przechodnia obrzucając charakterystycznym dla policjantów taksującym spojrzeniem. Może nie obraźliwym, lecz raczej wyzywającym. W tym mieście zaś kontakt wzrokowy między dwoma nieznanymi często zapowiada atak. Doświadczeni policjanci zalecali żółtodziobom zachowywać się właśnie w ten sposób, gdyż likwidowało to nadmierny strach.

Podobnie było z bólem. Kosinkiego postrzelono na początku września, a obecnie była połowa stycznia, lecz ból w zasadzie nigdy nie ustąpił. Zazwyczaj pozostawał w tle, lecz od czasu do czasu nasilał się, jakby metalowe klamry spinające jego szczękę podłączono do prądu.

Gdy tylko mógł już przelykać, zaczęli podawać mu tabletki, a po wyjściu ze szpitala przepisali mu narkotyk przeciwbólowy. Wyrzucił receptę natychmiast po powrocie do domu, dochodząc do wniosku, iż działanie lekarstwa było wystarczająco przyjemne, by zażywać je nawet bez potrzeby. Skoro koniecznie musi być od czegoś uzależniony, to alkohol kosztuje znacznie mniej niż narkotyki. Obecnie zdążył się już przyzwyczaić do bólu, podobnie jak do lekkiego pochylenia głowy spowodowanego blizną znajdującą się z jednej strony szyi. Obie dolegliwości traktował jako odznaczenia wojenne zwalniające go z dalszej walki.

Skręcił w prawo w sto sześćdziesiątą drugą ulicę, kierując się na południe w stronę cmentarza Flushing. Wielokrotnie przejeżdżał tamtędy podczas swej długiej kariery w policji, widywał starannie przystrzyżone trawniki, a raz zatrzymał się nawet w pobliżu, by wypić kawę i zjeść pączka, podziwiając pięknie kwitnące wiśnie i jabłonie. Również obecnie Flushing, oświetlony styczniowym słońcem, z nagimi gałęziami drzew oraz pustymi donicami na grobach, wyglądał jak idealny, amerykański cmentarz.

Kilka minut później przy czarnym, wypolerowanym nagrobku spotkał Dorę Blake, Na płycie wykuto już imię i nazwisko Marty'ego Blake'a, tuż obok jego ojca, Matthew.

— Jak myślisz, Bell? Czy oni kłócą się tam ze sobą? Marty i jego ojciec? — zapytała i nie czekając na odpowiedź, mówiła dalej. — To miejsce przygotowane było dla mnie, u boku męża, ale teraz postanowiłam, żeby pochowano mnie na cmentarzu żydowskim — ponownie zamilkła, spojrzała na blizny okrywające szyję i brodę

Kosinskiego. — Już od kilku miesięcy nie miałam żadnej wiadomości od rodziny Matthew. Zerwali ze mną wszelkie stosunki.

— Obwiniają ofiarę, Doro. Nic dziwnego.

Dora Blake potrząsnęła głową.

— Raczej dbają o swoje kariery w policji. Albo przynajmniej próbują. Powiedzieć ci coś śmiesznego? Patrick, brat Matta, powiedział mi kiedyś, że jego syn jest predestynowany do zostania komisarzem. Urodzony do objęcia tego stanowiska, podobnie jak synowie Joe Kennedy'ego urodzili się, by zostać prezydentami.

Kosinski wzruszył ramionami, chuchnął na przemarznięte dłonie. Przyjechał tu, ponieważ... ponieważ ona go prosiła, uważał, że to jego obowiązek wobec Marty'ego, choć nie miał pojęcia dlaczego.

— Czy oglądałeś już kasetę? — spytała po chwili Dora Blake. — Kasetę z masakry w Ozone Park?

Na twarzy Bella pojawił się mimowolny uśmiech. Vinnie Cappolino dzień po strzelaninie sprzedał kasetę oraz akta jednej z gazet. Krążyła plotka, iż wziął za oryginały pół miliona. Policja dostała kopie.

— Tak — odparł — oglądałem ją.

— Więc powiedz mi dlaczego.

— Dlaczego co?

— Dlaczego Marty postąpił w ten sposób. Zdobył akta. Mógł posłać za kratki Samuela Harraha i całą resztę bez... bez poświęcania własnego życia.

— Widzisz, Doro... — zaczął, lecz nie potrafił powiedzieć nic więcej. Na kasecie nie było dźwięku, nie przeżył nikt, by rozwikłać wszystkie niejasności. Czy on, Kosinski, miał z tym coś wspólnego? Zapewne tak. Ale jeśli Blake chciał ochraniać swojego partnera, dlaczego nie posłużył się zdobytymi materiałami jako zabezpieczeniem? A może Blake sądził, że on nie żyje?

— Marty myślał, że nie żyjesz — powiedziała Dora, jak gdyby czytała w jego myślach.

— Jezu Chryste! Skąd wiesz?

— Zadzwoił do mnie z firmy Harraha tuż przed tragicznym finałem. Powiedział mi, że cię zabili.

Kosinski wyjął z kieszeni paczkę kentów i zapalił jednego.

— Rzuciłem palenie piętnaście lat temu — powiedział — wróciłem do tego po wyjściu ze szpitala. Od czasu gdy przestałem pić, pozostały mi tylko fajki i kawa.

Dora Blake wzruszyła ramionami i mruknęła:

— Mogło być gorzej.

— Tak, też tak sądzę. Lekarz powiedział, że moja wątroba wygląda nie najgorzej. Jeśli będę się szanował, dożyję sędziwego wieku. — Kosinski zamilkł, zorientowawszy się, że bredzi bez sensu, zamiast w jakiś sposób pocieszyć Dorę. Zdobył

się tylko na krótkie stwierdzenie: — Nie sądzę, żeby Marty próbował pomścić moją śmierć.

— W takim razie powiedz mi, czego szukał — odwróciła się do niego plecami, stając przodem do nagrobka.

— To nie takie proste — pomyślał o historii, którą pragnął opowiedzieć księdzu Timowi, o tym, jak bardzo pragnął utrzymać się przy życiu, gdy uważał, że wkrótce umrze, oraz obojętności, kiedy właściwie już nie żył. — Widzisz, kiedy Marty dowiedział się o mojej rzekomej śmierci, zyskał większą swobodę. Podobnie było, gdy zamordowali Billy'ego Sowell. Rozumiesz?

Odwróciła się w jego stronę, zacisnęła usta i jedną ręką sięgnęła, by poprawić sobie kołnierz.

— Może. Dokończ to, co masz mi do powiedzenia.

— Marty miał zobowiązania. Względem mnie, Billy'ego Sowell, Maxa Steinberga. Sowell, ofiara, zszedł mu z drogi pierwszy; później Steinberg, klient; ostatni był jego partner. Wtedy stał się wolny, mógł zrobić cokolwiek zechciał.

— A co ze mną? — jej głos załamywał się. — Czy względem mnie nie miał żadnych zobowiązań?

— Nie musiał cię *ochraniać* — wziął ją pod rękę i zaczął prowadzić w kierunku ulicy. — Oglądałaś tamto nagranie równie często jak ja. Czy sądzisz, że Marty zamierzał popełnić samobójstwo?

— Nie — przyznała — ale niepotrzebnie podjął ryzyko. Mógł znaleźć jakieś inne rozwiązanie.

— Nie, jeśli weźmiesz pod uwagę, co chciał osiągnąć. — Kosinski otworzył drzwi swojej toyoty, a Dora Blake wsiadła do środka bez protestów. — Musisz się z tym pogodzić, Doro. Marty Blake przez całe życie pragnął zostać bohaterem.